

„Mroczny, genialny thriller”.  
Mark Billingham

„Połączenie *Candymana*  
i *Milczenia owiec*”  
Eva Dolan

# ZŁODZIEJ KOŚCI

LUCA  
VESTE

FILIA

# ZŁODZIEJ KOŚCI

LUCA VESTE

Przełożyła  
Magda Witkowska

FILIA

*Dedykuję tę książkę Emmie,  
mojej żonie i najlepszej przyjaciółce.  
Nie chciałbym iść przez życie  
z nikim innym.*

*Kościuch nadchodzi.  
Kościuch prawdziwy.  
Nieposkromiony.  
Na nic wrażliwy.  
Płacz nie pomoże.  
Porwie cię w złości.  
Pokroi ciało.  
Zachowa kości.*

WCZEŚNIEJ

Jej historia zaczyna się w tunelu.

Miękka ziemia pod stopami. Wietrzyk delikatnie muskający policzki. Odgłosy dobiegające z ciemności. Rozbrzmiewające echem. Szał. Zapach śmierci wczepiający się jej w skórę.

Ona właśnie tak to zapamięta już na zawsze.

Tunel.

Czworo ich miało przez ten tunel przejść. W samotności i w milczeniu. Jedno po drugim.

Wyszło troje.

Zanim pojawił się tunel, wieczór był zupełnie inny. Szli grupką przez las w rześkim jesiennym powietrzu. Ona miała jedenaście lat. Szła za swoim bratem Mattym. Był od niej co prawda trzy lata starszy, ale niespecjalnie mądrzejszy. W powolnej wędrówce towarzyszyli im jeszcze Lee i Faye, bratanek i bratanica ich nowego ojczyma. To była tylko zabawa, swego rodzaju przygoda. Nie wolno im było bawić się tak daleko od domu, ale trwały właśnie jesienne ferie, a oni przecież byli tylko dziećmi.

Nie było na nich mocnych.

– Dalej – powiedziała, wychodząc na prowadzenie i ruszając krokiem, który miał sugerować pewność siebie. – Miejsmy to z głowy.

Minęli znak z napisem „Rezerwat Przyrodniczy Dibbinsdale”, zostawili po prawej stoliki piknikowe i weszli na ścieżkę prowadzącą wśród drzew. Zrobiło się ciemniej. Niebo stopniowo znikało za ciemnymi chmurami. Gdyby przyszli tu tydzień później, o tej porze byłoby już całkiem ciemno, na razie jednak wieczór dopiero wygaszał światło.

Mrok jednak nadchodził szybko.

– Będzie padać.

– Nie martw się – powiedział Matty, zrównując z nią krok. – Chronią nas drzewa. Jak naturalny parasol.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się głupkowaty uśmiech. Ostatnie wspomnienie po tamtym małym chłopcu, którego kiedyś знаła. Przeszli przez drewniany most, z którego po drodze Matty i Lee rzucali do wody patyki. Zatrzymała się na chwilę, bo zauważyła drganie i pęcherzyki powietrza na powierzchni wody.

– Myślicie, że tu są ryby?

– Nie-e – powiedziała Faye, która stanęła obok i oparła dłonie na zmurszałej drewnianej barierce. – Nie przeżyłyby tu.

Bąbelki znów się pojawiły, pozostawiając po sobie na powierzchni wody koncentryczne okręgi. Przyglądała im się przez chwilę, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć w coraz słabszym świetle. Potem ruszyła za pozostałymi, ich głosy zaczęły się już bowiem oddalać. Ścieżka zrobiła się trochę szersza, ale potem znów się zwęziła, gdy weszli między wysokie trzciny tonące na grząskim gruncie.

Ziemia pod ich nogami wyraźnie zmiękła. Zbliźali się do celu. Musnęła stopą pojedyncze szare piórko. Zwolniła kroku.

– To tutaj.

Nagle wszyscy zamilkli. Konary i liście ożywały za sprawą wiatru falującego pośród niewidocznych drzew. Gdy trójka przed nią się zatrzymała, zrobiło się jakby chłodniej.

– Myślicie, że to prawda? – zapytał Matty, siląc się na

krotochwilny ton sugerujący odwagę. Ona wiedziała, że tylko się zgrywa. Byli na miejscu i dotychczasowa pewność siebie powoli ulatywała.

– Tu mieszka Kościuch – odparł Lee tak cicho, że szum liści nad ich głowami niemal zagłuszył jego szept. – Ludzie go widzieli.

Dołączyła do pozostałych. Stali na drugim drewnianym moście i patrzyli przed siebie. Tunel zobaczyła, gdy tylko się zatrzymała.

– Kto wchodzi pierwszy? – zapytał Matty, który teraz jakby stracił rezon.

– Myślałem, że Matty pójdzie – odparł Lee, odwracając się, żeby na niego spojrzeć. – Panie przodem.

Spomiędzy drzew zawiał wiatr i nagle zrobiło się jeszcze chłodniej. Przeszedł ją dreszcz. Kilka kropli spadło na powierzchnię wody, po czym odgłosy deszczu ustąpiły miejsca dojmującej ciszy.

– Dlaczego niby ja? Ty się boisz?

– A myślisz, że to mój pierwszy raz?

– A jakże. – Na twarzy Matty’ego wymalował się uśmiech. – Przecież ty byś się nigdy nie odważył czegoś takiego zrobić...

– Ja pójdę pierwsza.

Wszyscy spojrzeli na Faye, unosząc brwi na dźwięk cichego głosu. Któż mógł się domyślić, że to chucherko, jeszcze rok młodsze od niej, zgłosi się na ochotnika.

Po zejściu z mostu wychodziło się na krótką kamienną ścieżkę, podobną do tych, które przemierzali wcześniej. Na jej końcu znajdowały się dwa tunele. Jeden wyłożony ceglami, ten drugi... nie.

„To jest Wydrowy Tunel” – powiedział jej wcześniej tego samego dnia przyszywany ojciec. „Dawniej w całości wypełniała go woda i podobno kiedyś żyły tu wydry. Tak ze dwieście lat temu. Teraz mieszka tam kilka nietoperzy, może parę szczurów”.

Ciarki przeszły ją po plecach – wtedy, gdy to usłyszała, i teraz



też. Matty rzucił jej wymowne spojrzenie, więc dla niepoznaki potarła dłońmi ramiona, jak gdyby było jej zimno.

– To idę – powiedziała Faye, ruszając przed siebie. – Nie będę tak tu stać i się gapić.

Podążyła wzrokiem za Faye. Matty i Lee wymienili spojrzenia, a potem wzruszyli ramionami.

– Naprawdę wam nie przeszkadza, że dziesięciolatka wejdzie przed wami? – zapytała, tłumiąc drwinę. – Ale z was twardziele!

Matty i Lee spojrzeli na nią z irytacją i oburzeniem. Chociaż gdzieś na skraju tych spojrzeń dostrzegła również cień strachu. Czekali, aż Faye wyjdzie, ustawieni jedno za drugim niemal w równym rzędzie.

Ona weszła trzecia, po dwójce głupich dzieciaków. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby wejść wcześniej. Przecież to było po prostu głupie. Żadnych rozgorączkowanych wrzasków, żadnego przeraźliwego wycia. Szczerze powiedziawszy, nawet trochę nuda. Tunel musiał być dość krótki, tak przynajmniej sądziła na podstawie tłumionych okrzyków, które dobiegały z drugiej strony.

Teraz jej kolej.

Ruszyła w stronę tunelu, wyteżając wzrok, aby dostrzec jego drugi koniec. Wieczór nastał już na dobre, światło prawie całkiem przygasło. Powoli otulał ich mrok. Gdy ostatnie promienie słońca zniknęły, powietrze jakby zrzęzło i przestało żyć.

– Boisz się?

Odwróciła się do Matty'ego, który kołysał się z boku na bok.

– Nie, oczywiście, że nie.

– No to co tak stoisz? Twoja kolej!

– Nie chcesz iść pierwszy?

Matty odpowiedział jej uśmiechem. Tym perfidnym uśmiechem, którym zawsze kwitował swój triumf.

– Miałbym cię zostawić samą po tej stronie? To na pewno by ci się

nie spodobało. Po prostu idź. Za chwilę musimy wracać.

Nie wiedziała, która jest godzina, ale przypuszczała, że minął już ten magiczny moment, w którym przekroczona zostaje granica między „w porządku” a „stanowczo za późno”. Usiłowała sobie przypomnieć, ile czasu potrzebowali, żeby tu dotrzeć, ale teraz nic nie zdołała ustalić. Wrócić też chyba będą musieli przez tunel. Pewnie tym razem już we czworo. Spodziewała się, że chłopcy będą je próbowali przy okazji dodatkowo nastraszyć.

– No dalej. Idziesz czy nie? Zaczynam się nudzić.

– Idę, idę – odpowiedziała, a jej głos rozniósł się echem po milczącym lesie. – Przyznaj, że też się boisz. Chcesz, żebym się wycofała, żebyś sam nie musiał iść.

– Bzdura! Bez problemu poszedłbym pierwszy, gdyby tamta dwójka nie zapragnęła się popisywać.

– Jasne. Wierzę ci. Poważnie.

– Co o nich myślisz?

Spojrzała uważnie na brata. Dobrze wiedziała, co to znaczy, gdy on wpycha ręce do kieszeni i kopie ziemię. Chciał wiedzieć, czy wszystko będzie w porządku – czy należy się martwić o przyszłość.

Był od niej co prawda starszy, ale coraz częściej odnosiła wrażenie, że to ona powinna się opiekować nim.

– Ot, wkurzający kretyni z Wirral – odparła z prześmiewczym uśmiechem. – Po naszej stronie rzeki wytrzymałoby może pięć sekund. Ale są w porządku. Tak mi się wydaje. Poza tym nie musimy z nimi spędzać za dużo czasu.

– Mam nadzieję, że mama nie planuje się tam przeprowadzić. – Matty nie patrzył na nią, wzrok miał skierowany w ziemię. – Chyba bym tego nie zniósł.

– Bywało gorzej.

Rzucił jej pełne udręki spojrzenie, wykrzywił twarz i pokiwał głową.

– Nie wydaje mi się.

Tym razem podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się dokładnie ten uśmiech, na który liczyła.

– No dalej – powiedział, wyjmując ręce z kieszeni i wskazując w stronę tunelu. – Miejmy to z głowy.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Przeszła przez próg i znalazła się w tunelu. Z początku miała za plecami światło, więc widziała, dokąd idzie. To jednak się szybko zmieniło. Gdy światło zniknęło, a w tunelu zapanował mrok, zupełnie straciła orientację.

Wzdłuż ścieżki stała woda, znikąd nic nie było słychać. Skupiała się na tym, żeby iść przed siebie. Spoglądała w przód i mrużyła oczy, aby lepiej widzieć punkt, w którym spodziewała się dojrzeć wyjście.

Była w połowie drogi, gdy zaatakował ją smród.

Żołądek podszedł jej do gardła. Zatrzymała się i nachyliła, zasłaniając usta dłonią. Zapach był tak odstręczający, że aż jej w oczach stanęły łzy. Ruszyła przed siebie z zamiarem powiedzenia paru słów tej parze kretynów, która ich przed tym nie ostrzegła.

Wtedy coś usłyszała.

Lekki ruch, nic więcej. Cichy odgłos, którego z zewnątrz pewnie w ogóle nie było słychać. W środku jednak niósł się niczym potężny ryk.

Na chwilę straciła kontrolę nad własnym ciałem. Stanęła jak wryta, nie mogła się ruszyć. Serce przyspieszyło dziesięciokrotnie, w brzuchu coś się ścisnęło. Podmuch wiatru płynącego przez tunel połaskotał włosy zjeżone na karku.

Dźwięk rozległ się ponownie. Przeszedł w gwizd. W chrapliwą melodię.

Znała tę piosenkę.

„Kościuch nadchodzi. Kościuch prawdziwy”...

– Lee – powiedziała szeptem, bo nie miała odwagi odezwać się

głośniej. – Jeśli to ty, to nie żyjesz.

Gwizd ustał, ale zaraz potem pojawiło się coś innego. Warkot. Śmiech. Już sama nie wiedziała.

Tym razem ciało poddało się jej woli. Znów mogła się poruszać. Bez zastanowienia popędziła przed siebie, licząc na to, że obrała właściwy kierunek. Czuła, jak grunt mięknie jej pod stopami wraz z każdym kolejnym krokiem. Martwiła się, co będzie, jeśli się poślizgnie, ale nie mogła zwolnić.

Bała się myśleć, co by się stało, gdyby się przewróciła.

Wydawało jej się, że dźwięk podąża za nią, ale cały czas zmierzała w kierunku światelka na końcu tunelu, które stopniowo się powiększało.

Coś w tym tunelu było. Coś się czaiło w cieniu, coś z niego wyzierało. Teraz już biegła. Była niemal pewna, że to coś ją goni. Słyszała, jak pełźnie po ścieżce, jak się przygotowuje do ataku.

Wystrzeliła z tunelu i padła na ziemię. Nad nią stała dwójka innych dzieci. Odwróciła się, spodziewając się za chwilę zobaczyć w wyjściu z tunelu kogoś, kto próbuje ją złapać. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Co jest? – zapytał Lee, chwytając ją za ramię. – Czyżbyś się przestraszyła?

Nie była w stanie nic powiedzieć. Oddychała ciężko, wciągając do płuc świeże powietrze. Spojrzała tylko w stronę tunelu, ale nic nie potrafiła tam dojrzeć.

Chciała wykrzyczeć imię Matty’ego. Chciała go ostrzec. Dać mu znać, co słyszała, widziała, czuła.

Tyle że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Nie mogła mu powiedzieć, żeby się zatrzymał. Że tam coś jest.

Nie mogła go przestrzec, żeby tam nie wchodził.

Nie mogła go ostrzec, że tam nie jest bezpiecznie.

Miała go już nigdy nie zobaczyć.

**TERAZ**

*Można było odnieść wrażenie, że świat przeistoczył się  
we śnie i że jeden z jego koszmarów nagle się ziścił.*

Steve Mosby, *Black Flowers*

*Mity, w które ludzie wierzą, często się urzeczywistniają.*

George Orwell

*Mit to ostatecznie niekończąca się opowieść.*

Joan D. Vinge

## Rozdział 1

Louise Henderson odebrała telefon w samochodzie. Gdy zadzwonił, próbowała właśnie uspokoić oddech.

Nie wierzyła w przeznaczenie i nie miała zdolności proroczych, ale jej ciało zdawało się już wiedzieć, co się za chwilę wydarzy. Próbowoła wysłać jej ostrzeżenie. Może gdzieś w głębi duszy przeczuwała, co ją czeka.

Zobaczyła znak ostrzegający przed niebezpieczeństwem, na który zwykle nie zwracała uwagi.

W tym momencie myślała już tylko o tym, żeby dalej spokojnie oddychać. To niby proste. Dopóki człowiek nagle nie ztratzi tej umiejętności, robi się to zupełnie nieświadomie.

„Czy tak to jest, jak się umiera?”

W momencie, w którym z głośników samochodowych nagle przestała dobiegać piosenka, a jej miejsce zastąpił dzwonek telefonu, siedziała za kierownicą w aucie stojącym na poboczu. Silnik pracował na luzie. Słońce zniknęło właśnie za szarymi chmurami, zupełnie jak gdyby również odgrywało rolę w tym dramacie.

Louise rozmyślała o pożarze. To dlatego zjechała z drogi. Zapach dymu i popiołu nagle ją przytłoczył. Przed oczami zobaczyła błysk, potem czerwono-pomarańczową łunę, a wreszcie czern. Trwało to

tylko kilka sekund, ale ona nie mogła przez to oddychać. Zupełnie jak gdyby ktoś jej zacisnął ręce na gardle i położył się na klatce piersiowej. Ścisnęło ją w żołądku. Gdzieś obok przejeżdżały niewyraźne samochody, chodnikiem przeszły ze dwie osoby, ona postanowiła jednak zamknąć oczy i skupić się na oddychaniu. Wdech, wydech. Była bezpieczna. Nic jej nie groziło.

Nie teraz.

„Wszystko w porządku. Nic złego się nie dzieje”.

Kojący ton jej własnego wewnętrznego głosu trochę pomagał, ale ledwo go było słyszeć pośród tabunu innych myśli kołatających jej po głowie.

Sytuacja wcale się nie poprawiała. Napady lęku i trudności z oddychaniem pojawiały się coraz częściej. Poprzedniego wieczora Louise wpatrywała się w jasny ekran telefonu komórkowego, bo leżała w łóżku, ale nie mogła zasnąć. Przeglądała oferty terapeutów z okolicy.

Zupełnie jak gdyby potrzebowała pomocy.

Stwierdziła jednak, że pomocy nie potrzebuje. „Ludzie zawsze mogą sobie poradzić sami”, pomyślała, okłamując sama siebie. „Terapia to jedno wielkie oszustwo, nędzna sztuczka, mająca na celu wyciąganie pieniędzy. Pieniądzy za nic”. Zupełnie nie mieściło jej się w głowie, że to mogłoby cokolwiek w jej życiu zmienić.

Z jakiegoś jednak powodu zaczynała dochodzić do wniosku, że innego sposobu nie ma. Że w tym momencie nic innego jej nie pomoże. Że musi obcej osobie zdradzić swoje najgłębiej skrywane i najmroczniejsze uczucia. Że musi przywołać zapomniane i tłumione wspomnienia.

Nie!

W tym momencie wyłączyła telefon, spojrzała w mrok i potrząsnęła głową. Takie spotkanie upłynęłoby pod znakiem bezsensownych pytań. Terapeuta każe jej analizować własne



uczucia i takie tam.

Przecież jej to nie jest potrzebne.

Z drugiej strony, Louise nie bardzo mogła dłużej ignorować to, co się z nią działo. I to, co zawsze w niej tkwiło – gdzieś głęboko. Nie mogła nie zauważać, że jest coraz gorzej. Jeszcze trochę i ludzie w pracy też to zauważą. Niewykluczone zresztą, że już zauważyli. Louise nie wiedziała, co ludzie o niej opowiadają za jej plecami. Nie wiedziała, czy czasem nie stała się już obiektem plotek.

Domyślała się tylko, że gdyby tak było, to Shipley by jej powiedział.

Gdy wracała myślami do rzeczywistości, wewnątrz samochodu znów wypełnił odgłos dzwoniącego telefonu. Dotknęła ekranu, aby odebrać połączenie. Rzeczywistość nabierała z każdą chwilą coraz bardziej wyrazistych kształtów, a oddech wracał do normalnego rytmu. Żałowała tylko, że nie sprawdziła, kto dzwoni.

– Słucham?

– To ja – odezwał się głos po drugiej stronie. – Jedziesz już?

Louise przygryzła dolną wargę, a potem odpowiedziała detektywowi sierżantowi:

– A niby dokąd? – odparła, rzucając okiem w lusterko wsteczne. Skontrolowała sytuację na drodze i ponownie włączyła się do ruchu.

– Nikt jeszcze do ciebie nie zadzwonił? Jasna cholera...

– Co się dzieje? – zapytała Louise, przerywając wypowiedź, która zapowiadała się na długie pasmo narzekania.

– W Melling znaleziono kobietę. Szwendła się po okolicy. Nosi ślady ataku. Ratownicy medyczni się nią zajęli. Nie wygląda to dobrze. Musisz przyjechać i sama ocenić.

– Jaki adres?

Z ust detektywa sierżanta Paula Shipleya padła nazwa ulicy.

– Ile ci to zajmie?

Louise rozejrzała się wokół siebie, ale nie rozpoznała ulicy. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Próbowła sobie przypomnieć, dokąd jechała, zanim się zatrzymała, ale przychodziło jej to z trudem.

– Już jadę, proszę pana – powiedziała, po czym się rozłączyła.

Starła się jechać prosto przed siebie, licząc na to, że w końcu rozpozna jakiś charakterystyczny element krajobrazu albo trafi na jakiś drogowskaz. W końcu jednak dała sobie spokój i znów zjechała na pobocze. Wprowadziła adres do nawigacji i ponownie ruszyła w drogę.

Radio wróciło do życia, wydając z siebie jakąś piosenkę bez większej wartości tekstowej czy muzycznej. Louise puszczała te dźwięki mimo uszu, koncentrując się na trasie. Miejsce lęku szybko zajął gniew. Te dwie emocje zdawały się ostatnio bardzo mocno ze sobą przenikać.

Louise liczyła na to, że napastnik, który tę kobietę zaatakował, ciągle jeszcze będzie na miejscu, gdy ona tam dotrze. To by jej ułatwiło zadanie.

Pod podany adres dojechała po upływie dwudziestu minut. Przez ten czas po jej wcześniejszych myślach nie było już nawet śladu. Louise skupiała się tylko na pracy. Osobiste uczucia potrafiła odsunąć na dalszy plan, a całą jej uwagę pochłaniało czekające ją wyzwanie. Zatłoczona ulica, mnóstwo samochodów. Policyjna obstawa miejsca zdarzenia w pełnej krasie.

Praca, jej praca.

Dzielnica mieszkalna. Kilka sklepów rozsianych po okolicy. Tradycyjny sklep na rogu, który teraz należy do sieci Londis. Obok poczta. Przejście dla pieszych z zebra w starym stylu, kuliste latarnie po każdej stronie. Waddicar Lane. Louise z przyjemnością wyszeptała tę nazwę, kiedy jeszcze siedziała sama w samochodzie.

„Waddicar”.

Samochód zaparkowała przy jednej z bocznych uliczek, w połowie na jezdni, w połowie na chodniku. Gdy szła w kierunku centrum wydarzeń, sprzed domów witały ją pomruki niezadowolenia tamtejszych mieszkańców. Mocniej otuliła się płaszczem, bo wiatr się wzmógł i próbował ją okrążyć.

– Detektyw konstabl Louise Henderson – powiedziała do jednego z funkcjonariuszy ustawionych przy ciągle jeszcze rozciągniętej policyjnej taśmie. Mundurowy zgromił ją spojrzeniem, więc pokazała mu identyfikator. – Ofiara jeszcze jest?

Mundurowy skinął potakująco głową, a potem przeniósł wzrok na karetkę zaparkowaną w pobliżu.

– Ludzi w takim stanie zwykle zabiera się do szpitala.

Louise powstrzymała się od równie sarkastycznej riposty. Postanowiła nie wdawać się w dalszą rozmowę z funkcjonariuszem, który bez żadnej zewnętrznej przyczyny okazywał jej swoją wyższość. Skierowała się w stronę człowieka, który stał kilka metrów dalej.

– Sierzancie?

– Louise, w końcu jesteś – powiedział Shipley, na chwilę przenosząc na nią wzrok. Zaraz potem ponownie spojrzał w stronę ratowników medycznych, których ona teraz widziała zdecydowanie lepiej. – Zaczynaj od zbierania zeznań od najbliższych świadków. Nie zakładaj, że mundurowym udało się wychwycić wszystkie istotne szczegóły. No i zrób coś z całą tą hałastą, która filmuje naszą pracę.

Louise spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie zgromadziła się spora grupa gapiów. Kilku trzymało w górze telefony komórkowe wycelowane w jej kierunku. Instynktownie uniosła dłoń do twarzy, ale zaraz ją opuściła. Miała nadzieję, że Shipley nie dostrzegł tego gestu.

– Co my tu mamy? – powiedziała, usiłując wykonać zadanie

zgodnie z poleceniem. – Chcę wiedzieć, o co pytać.

Shiplej głośno wypuścił powietrze przez nos, po czym na chwilę wsparł dłonie na biodrach, aby zaraz potem, płynnym ruchem, skrzyżować muskularne ramiona przed sobą. Był wyższy od Louise – miał ponad metr osiemdziesiąt, a ona nieco mniej – ale nie dominował nad nią fizycznie tak jak jej poprzedni przełożeni. Był szczupły i jakiś taki niegroźny.

– Młoda kobieta, szła wzdłuż drogi. Jest w okropnym stanie. Karetka była na miejscu pierwsza. Ofiara przewróciła się chyba mniej więcej tutaj. Ktoś ją ostro potraktował. Wygląda, że została pobita i pokłuta nożem. Na drodze są ślady krwi. Ratownicy próbują ją ustabilizować.

Louise zaczęła się rozglądać po okolicy, wypatrując czegokolwiek, co by odstawało od normy, ale wszystko było aż do bólu zwyczajne. Zwyczajna droga, wzdłuż której stały domy. Na niższej kondygnacji dwudzielne wykuszowe okna, a wyżej zwykłe, też dwudzielne. Czerwona cegła. Przed większością budynków skrawek trawnika. W innych okolicznościach wyglądałoby to niemal bajkowo, teraz jednak spokój zakłócały policyjne radiowozy i furgonetki, karetka i grupa gapiów.

– Jak ona się nazywa?

– Nie mam pojęcia – odparł Shiplej, który najwyraźniej miał ochotę zająć się już innymi sprawami. Rozłożył ramiona i przeciągnął dłonią po włosach. Nieco je przez to rozczochrał i teraz przedziałek nie tworzył już linii prostej. – Nie zdołała nam się przedstawić.

„Znów sarkazm”, oceniła Louise, ale nie dała po sobie nic poznać. Norma. Ludzie skrywają swoje uczucia przed światem.

Oni jako gliniarze, jako detektywi, byli w tym szczególnie biegli.

Louise już nic więcej nie powiedziała. Ruszyła w stronę grupy ustawionej po drugiej stronie ulicy, po drodze przechodząc obok

ratowników, którzy udzielali pomocy kobiecie. Wiele nie udało jej się zobaczyć, ale zdołała dostrzec, że nie jest z nią najlepiej.

Ubranie miała podarte, poszarpane, niemal w strzępach. Widać było rozprysniętą krew, ale kałuży nie było – tylko kropki, kleksy. Oczy miała zamknięte, ale dało się zauważyć wznoszący ruch klatki piersiowej. Zupełnie regularny. Ratownicy klęczeli przy kobiecie i pracowali w zupełnej ciszy, którą tylko od czasu do czasu przerywały wypowiedziane jej szeptem do ucha słowa pocieszenia.

Louise odwróciła wzrok. Rozglądała się teraz wokół siebie, wypatrując czegokolwiek istotnego. Czegokolwiek, co mogłoby jej wyjaśnić, jak ta kobieta się tu znalazła. Okolica nie była jej zupełnie obca, ale też dobrze jej nie znała – a w tych okolicznościach taka wiedza mogłaby się akurat przydać.

Spojrzała na drogę, wyobrażając sobie, jaką trasę kobieta pokonała, zanim zabrakło jej sił. Widziała długie rzędy domów, które na sporym odcinku specjalnie niczym się od siebie nie różniły. Dopiero za nimi Louise dostrzegła pola. I drzewa.

Pomyślała, że to las.

Kobieta zapewne była wcześniej w lesie.

## Rozdział 2

Taśma policyjna rozciągnięta wzdłuż drogi powiewała lekko na wietrze. Louise przeszła na drugą stronę ulicy. Ludzi cały czas przybywało. Wśród gapiów zapewne nie brakowało przypadkowych przechodniów, którzy chcieli się dowiedzieć, co się stało. Część ludzi pewnie się jednak dowiedziała o całym zajściu i przyszła tu specjalnie, żeby obserwować wydarzenia rozgrywające się w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Louise przyłapała się na tym, że przechodząc na drugą stronę, rozejrzała się w prawo i w lewo, mimo że w tym momencie nic nie miało prawa tamtędy przejeżdżać. Cały przejazd blokowały wozy policyjne. Po kilku sekundach stanęła przed gęstniejącym tłumem. Ludzie zaczęli robić wrażenie zaniepokojonych. Dołączyła do niej znajoma funkcjonariuszka w mundurze.

– Dość już tego – powiedziała, unosząc ręce w kierunku kilku osób zgromadzonych przy drodze. – Proszę się cofnąć w tamtą stronę i zaprzestać filmowania.

– To chyba nasze prawo, co? – Dobięł ją głos z tyłu. – Nie zabronicie nam. Mamy swoje prawa. To miejsce publiczne.

– Proszę się po prostu zastosować do poleceń i pozwolić nam wykonywać naszą pracę – rzuciła policjantka, która towarzyszyła Louise. Nazywała się Robertson. Jej imię też Louise przypomniała

sobie bez trudu. Andrea. Wysoka, mocnej budowy kobieta po trzydziestce. Długie, ciemne włosy, związane w kitkę. – Nie róbmy zbędnego zamieszania.

Louise miała zamiar coś jeszcze powiedzieć, ale wtedy awanturnik odezwał się ponownie.

– Do niczego nie możecie nas zmusić. Nic złego nie robimy. Czego się niby boicie? Że zobaczymy, jak robicie coś, czego nie powinniście robić?

„Tak to już teraz jest”, pomyślała Louise. „Każdy ruch jest nagrywany i drobiazgowo analizowany. Ci ludzie się nie przejmują niczyją krzywdą. Zależy im tylko na tym, żeby nakręcić film albo zrobić zdjęcia. Chcą wrzucić coś atrakcyjnego do mediów społecznościowych, żeby jak najwięcej osób to udostępniło, polubiło, skomentowało i tak dalej. Nie interesuje ich, czym kosztem się to odbędzie”.

– Proszę tu podejść – powiedziała Louise. Spoglądała teraz groźniej. Wysoki chłopak trzymający się z tyłu rzucił kąśliwy uśmiech do swoich kumpli, po czym się od nich odłączył i wyszedł przed tłum, gdzie Louise już na niego czekała. – Proszę to na chwilę odłożyć.

Chłopak miał najwyżej dwadzieścia lat, co tłumaczyło jego buńczuczne i niepoważne zachowanie. Ubrany był w czarne dresowe spodnie, jedną nogawkę miał zatknął w zszarzałą białą skarpetkę. Telefon trzymał uniesiony ku górze, wycelowany prosto w Louise.

– A niby dlaczego miałbym to zrobić?

Louise się uśmiechnęła, co wywołało zamierzony efekt. Twarz chłopaka spłonęła różowym rumieńcem. Chłopak opuścił telefon, wyłączył go i schował do kieszeni.

– Proszę posłuchać, staramy się zapewnić ofierze minimum godności – powiedziała możliwie cicho, żeby nikt z pozostałych

gapiów jej nie usłyszał. – Rozumie to pan, prawda?

Chłopak się zawahał, szybko otaksował ją wzrokiem. Gdy ponownie spojrzął jej w oczy, na jego twarzy malował się już głupkowaty uśmiech.

– Całkiem pani zgrabna jak na policjantkę.

– Widział pan cokolwiek? Może powie mi pan coś pożytecznego?

– Zjawiłem się tu równo z karetką. – W jego głosie pobrzmiwały mocny akcent i wyraźne pretensje do świata. – Widziałem tylko tę laskę na chodniku, nic więcej.

Louise starała się puścić słowo „laska” mimo uszu. Zacisnęła zęby, żeby nie powiedzieć czegoś, czego by mogła potem żałować.

– Przestanie pan się wtrącać i wróci pan do swoich spraw?

– A co będę z tego miał?

Louise poczuła, że traci panowanie nad tą rozmową. Rzuciła okiem na drugą stronę drogi, gdzie toczyła się główna część policyjnej akcji. Oczami wyobraźni widziała, jak łapie chłopaka za gardło i powala go na ziemię. Jak uderza jego głową o chodnik i przygląda się, jak ze łzami w oczach błaga ją o litość. Obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Niekontrolowany wybuch agresji. Często zdawało jej się słyszeć, jak inni – zwykle jakieś szumowiny w pokoju przesłuchań – opisują to jako zstępującą czerwoną mgłę, ale sama doświadczała tego inaczej. To było bardziej jak mrok. Świat nagle tonął w ciemności, którą przenikały tylko plamy światła pełnego czegoś przerażającego.

– Powiem panu, co zrobię – powiedziała Louise, mruganiem oczu odpychając od siebie te obrazy i zachowując spokój. – Zrezygnuję z przeszukania pańskich kieszeni i w związku z tym nie znajdę w nich trawy ani niczego innego, co pan przy sobie ma.

– Ja nic nie mam...

– Może pan sobie darować. – Louise ucięła, podchodząc bliżej chłopaka. – Czuć od pana na kilometr. Niech pan wyświadczy nam



oboju przysługę, wsiada na ten swój motor i stąd spływa. Dość tu mamy spraw na głowie.

Chłopak zastanowił się przez chwilę, a potem sobie poszedł, po drodze przyzywając skinieniem głowy paru innych młodych mężczyzn, którzy uważnie obserwowali ich z oddali. Louise odczekała, aż znikną za rogiem, i wtedy mogła odetchnąć.

Wróciła do pozostałych ludzi, którzy kręcili się przy ulicy i usiłowali coś zobaczyć. Telefonów już nie było, ale należało się spodziewać, że za chwilę znów się pojawią. „I tak już za późno”, pomyślała. „Już mają dość, żeby sobie zapracować na te wszystkie upragnione lajki i retweety”.

– Możemy jakoś pomóc?

Louise odwróciła się do dwóch funkcjonariuszy w mundurach, którzy byli gotowi w każdej chwili ją wesprzeć. Zmierzyła ich wzrokiem, starając się ocenić, na ile skutecznie ta niemrawa para mogłaby jej faktycznie pomóc. Potrząsnęła głową.

– Pomóżcie Robertson cofnąć taśmę. Przynajmniej na tyle, żeby nie było widać karetki.

Odpowiedzi już nie usłyszała, bo nagle zainteresowała się sklepem po drugiej stronie. Karetka stała tuż obok, ale najwyraźniej nikt wcześniej nie zwrócił na niego uwagi. W drzwiach dostrzegła postać mężczyzny. Na chwilę nawiązała z nim kontakt wzrokowy, ale potem on się odwrócił i zniknął w środku. Louise zmarszczyła brwi i przeszła na drugą stronę, pozostawiając mundurowym rozwiązanie problemu gapiów. Kilka sekund później przekraczała już próg sklepu.

– Dzień dobry!

Nikt jej nie odpowiedział, więc weszła do środka. To był sklep wielobranżowy, dało się tu kupić wszystko, czego człowiek mógł nagle potrzebować. Taka alternatywa dla większych supermarketów, do których kawałek trzeba było stąd dojść. Louise

wyobrażała sobie, że chętnie zaglądają tu starsze panie, które zapewne stanowią całkiem spory odsetek mieszkańców okolicy.

– Dzień dobry! – spróbowała raz jeszcze, tym razem nieco głośniej. – Wiem, że pan tu jest. Widziałam pana w drzwiach. Mam kilka pytań, nic więcej.

Gdy dotarła do lady, usłyszała dochodzący zza niej ciężki oddech. Mężczyzna, którego wcześniej widziała w drzwiach, teraz stał na uboczu i krył się za sporych rozmiarów ekspozytorem ze zdrapkami.

– Dzień dobry – odparł mężczyzna, powoli podchodząc do lady.

Był starszy, niż się Louise wcześniej wydawało. Czas wyraźnie zapisał się zmarszczkami na jego twarzy. Skórę miał zgrubiałą, również na czole. Po bokach głowy pozostały mu jeszcze niesforne kępki siwych włosów. Gdy unosił ręce, żeby wskazać za witrynę, dłonie delikatnie mu drżały. Niemal niedostrzegalnie.

– Nie wiem, co się tam dzieje.

– Był pan tu całe rano? – zapytała Louise, jak gdyby w ogóle go nie usłyszała. – Widział pan, co się stało?

Mężczyzna pokiwał przecząco głową. Im dłużej Louise przyglądała się jego dłoniom, tym wyraźniej dostrzegała ich drżenie.

– Niech mi pani da spokój, ja naprawdę nic nie wiem.

Miał w sobie coś znajomego. Przypominał jej starszego pana, którego znała. Sprzedawcę ze sklepu na rogu. Też był taki zmęczony i rozczochrany.

– Proszę się nie martwić – powiedziała, pochylając głowę i lekko się uśmiechając. – Chcemy po prostu mieć pewność, że nic nam nie umknęło. Chcemy pomóc. Jestem detektyw Louise Henderson. A pan jak się nazywa?

– George – odparł mężczyzna. Ton jego głosu sugerował wyraźnie, że niczego więcej na razie od niego nie wydobędzie.

– W porządku, George. Chcemy pomóc tej kobiecie, która została skrzywdzona. To może...

– Ja nie mogę pomóc.

Louise przestała się uśmiechać. Musiała się powstrzymać, żeby nie potraktować go ostro i z buta.

– To może niech mi pan powie, co pan widział, zanim przyjechaliśmy. Co się wydarzyło?

Mężczyzna potrząsnął głową, tym razem jeszcze mocniej.

– Nie chcę się w to mieszać. Już im powiedziałem, że niczego nie widziałem. Wiem, jak to jest. Wy prosicie o pomoc, a potem się nagle okazuje, że jestem waszym szpiclem, kretem. W przyszłym tygodniu okna mi powybijają. Tylko mnie narażacie. Nie będę z wami rozmawiać.

– O czym pan mówi? Nie rozumiem...

Na tyłach sklepu dało się słyszeć jakiś ruch. Jak gdyby ktoś coś przesunął po jednej z półek.

– Kogoś pan tam ukrywa? – zapytała Louise, ale George nie odpowiedział. Louise rzuciła okiem na drzwi, a potem skierowała się w stronę, z której dobiegał dźwięk. Szła przed siebie, nasłuchując kolejnych odgłosów.

Zza drzwi wychyliła się głowa, która natychmiast potem zniknęła. Louise szła dotychczas pochyłona, ale teraz się wyprostowała.

– Możesz wyjść, widziałam cię.

Zza półek spojrział na nią mały chłopiec, miał może osiem, może dziewięć lat. Również i tym razem szybko się schował, ale jednak wolniej niż poprzednio.

– Ja nie gryzę – powiedziała Louise, zatrzymując się kilka kroków od niego. – Chcę się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

Chłopiec wyłonił się, szurając nogami i cały czas obserwując własne stopy. Dostrzegła pewne podobieństwo do George'a, który stał nieruchomo za ladą, ale cały czas bacznie ją obserwował.

– Jak masz na imię?

Chłopiec nie odpowiedział, więc Louise przykucnęła. Udało jej się skupić na sobie jego wzrok.

– Ja mam na imię Louise. Wszystko u ciebie w porządku?

Chłopiec chwilę się zastanowił, a potem kiwnął potakująco głową.

– Ty aby nie powinienesz być w szkole? – zapytała, starając się jednak uniknąć nauczycielskiego tonu.

– Nauczyciele są na szkoleniu – odparł chłopiec cicho. Mówił z lekkim akcentem, zdecydowanie jednak mniej wyraźnym niż chłopcy w tym wieku, z którymi się zadawała w przeszłości.

– W szkole potwierdzą – powiedział George, który teraz stał już tuż przy nich. – Powiedzą pani, że on nie opuścił ani jednego dnia. Pomagam córce, ot co. Ona go nie mogła zabrać ze sobą do pracy, więc przyszedł mi pomagać tutaj.

Louise nie zwróciła uwagi na te wyjaśnienia.

– Byłeś tu przez cały czas?

Chłopiec skinął głową.

– Stałem w drzwiach, gdy ta kobieta przechodziła.

– Widziałeś ją?

– Tak. Krew jej leciała.

– Zgadza się, ale teraz ktoś już jej pomaga. A widziałeś coś jeszcze?

– Nie – odparł chłopiec, kiwając głową. Był niski, ale przy tym dość masywny jak na swój wiek. Robił wrażenie twardego. – Śpiewała.

Louise poczuła, że nie wytrzyma już długo w pozycji kucającej. Na razie jednak nie mogła wstać.

– A co śpiewała?

Chłopiec popatrzył na dziadka, a w oczach stanęły mu łzy. Mrugnął powiekami. Louise przeniosła wzrok na George'a i zobaczyła, że piorunuje ją spojrzeniem. Skinieniem głowy dał

chłopcu znać, że może mówić.

– Znasz tę piosenkę? – Louise próbowała coś od niego wydobyć. – To jakaś piosenka z radia? Coś w tym stylu?

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie taka. Taka, którą chłopcy recytują w szkole, jak chcą kogoś wystraszyć.

Louise zmarszczyła brwi, zastanawiając się, w cóż to się znowu wpakowała. „Nie słuchaj dzieciaków”, usłyszała w głowie głos Shipleya.

– Co to za piosenka? – zapytała Louise, gotowa dać sobie spokój, wyjść ze sklepu i zająć się ważniejszymi sprawami.

– O Kościuchu – odpowiedział chłopiec.

Louise lekko zakołysała się na piętach, ale niczego nie dała po sobie poznać. Pamiętała tę piosenkę. Przywołała jej tekst z pamięci łatwo i bez trudu. Znajome rymy i dźwięk głosów, które je wiele lat temu wyśpiewywały. Przez lata jej nie słyszała, ale wystarczyło jedno hasło, aby wspomnienia znów ożyły.

– Piosenkę o Kościuchu? – powtórzyła, żeby się upewnić.

– Tak – potwierdził chłopiec, który teraz już nie odrywał wzroku od dziadka. Być może obawiał się jego reakcji, a być może zabiegał o uznanie. – Powtarzała ją w kółko, a potem się przewróciła. Tuż przed sklepem.

W głowie Louise rozbrzmiała piosenka, śpiewana przez fałszujący głos. Dziecięcy głos, w którym wyraźnie dało się słyszeć pogardę. Który chciał ją przestraszyć. Śpiewał ten paskudny wierszyk, w którym tyle jest śmierci i strachu.

– A czy powiedziała coś jeszcze?

Chłopiec znów wbił wzrok w podłogę i zaczął pocierać butami o linoleum.

– Powiedziała, że on po nią wróci. Że ją dopadnie. Uciekłem i schowałem się na tyłach sklepu.

Louise wstała, kolana jej przy tym zatrzeszczały. Odwróciła się do George'a, który stał teraz za nią. Ręce miał skrzyżowane na piersi, a na jego twarzy malował się strach. Spojrzała na chłopca, który teraz jeszcze bardziej się skulił.

– Świetnie sobie poradziłeś, mały – powiedziała. Nie wiedząc czemu poczuła potrzebę potarśnięcia go za włosy, ale zdołała się powstrzymać. – Dziękuję ci.

Odwróciła się do George'a i uśmiechnęła się do niego tak samo jak do chłopca. On jednak nie odwzajemnił uśmiechu.

– Proszę się nie martwić. Nikomu nie powiem, że się czegoś od pana dowiedziałam.

Gdy wychodziła, jej umysł zalewała już fala wspomnień. Dziecięcych głosów, rozśpiewanych i rozbawionych. Skrzypienie huśtawek i donośny śmiech chłopców. Dźwięki, które usłyszeć można tylko głęboko w lesie, gdzie drzewa stoją blisko siebie i gdzie wiatr przeciska się między nimi z trudem. Jedna myśl zdawała się jednak nad tym wszystkim dominować.

Dlaczego dorosła kobieta miałaby śpiewać tę piosenkę?

## Rozdział 3

Louise stała na szpitalnym korytarzu. Towarzyszył jej detektyw sierżant, na pierwszy rzut oka znudzony. Przechadzał się w tę i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem. Louise nie słyszała konkretnych słów, ale domyślała się, że raczej nie należą one do najmiłszych. Shipley sprawiał wrażenie poirytowanego. O ile go znała, raczej nie należało się spodziewać, żeby się miał w najbliższym czasie uspokoić. Byli w szpitalu dopiero od godziny, ale atmosfera była taka, jak gdyby minęło ich dziesięć. Nie mieli nic do roboty. Mogli tylko stać i podpierać ściany w oczekiwaniu.

To oczekiwanie było najgorsze.

– Celowo nam o tym nie mówią na szkoleniu – powiedział Shipley, spoglądając na zegarek po raz setny, odkąd się tu znaleźli.

– Całe to wystawanie bez sensu.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że ta robota to dziewięćdziesiąt pięć procent nudy, a tylko przez pięć procent czasu faktycznie się coś dzieje – odparła Louise, wspominając starszego inspektora, który sprzedał jej tę konkretną mądrość życiową. Nie żył już. Zmarł na zawał dwa lata po przejściu na emeryturę. Louise ciągle jeszcze miała przed oczami ten wyraz niedowierzania, który malował się podczas pogrzebu na twarzy jego żony. Ona najwyraźniej nie potrafiła pojąć, czym sobie zasłużyła na taki los. – Można by się

zastanawiać, czemu nam się tego nie mówi wcześniej.

– Pewnie po to, żeby ludzi nie zniechęcać. Chociaż ja bym się pewnie już na tym etapie nie wycofał.

– Ja też nie.

Louise nigdy nie wątpiła w słuszność decyzji o wstąpieniu do policji. Niewątpliwie miało to sens. Miała za sobą pokręcone dzieciństwo, jako nastolatka nie raz pakowała się w tarapaty. Wydawało się zatem dość logiczne, że w końcu znalazła swoje miejsce w szeregach policji.

Nikt jej nie uprzedził, że to świat równie dysfunkcyjny jak prawdziwe życie.

Teraz stała i gapiła się w ścianę, usiłując nazwać jej kolor. Za wszelką cenę starała się zająć czymś umysł, żeby nie myśleć o zapachu unoszącym się w powietrzu. Biała czy kremowa? A może to raczej złamana biel?

– Jak tak dalej pójdzie, to nie dotrę dzisiaj na siłownię – powiedział Shipley, splatając ręce przed sobą i wyciągając ramiona.

– Najwyższa pora zainstalować sobie sprzęt treningowy w mieszkaniu i przestać sobie wmawiać, że to jest praca, którą się wykonuje od dziewiątej do piątej.

– Ostatnio trochę się pan uzależnił od siłowni.

– Odpowiada mi to, jak wyglądam dzięki temu, że ćwiczę – odparł Shipley z uśmiechem.

Gdy Louise odwróciła wzrok, on raz jeszcze spojrzał na telefon. „Rzeczywiście lepiej od tego wygląda”, pomyślała. Nigdy nie miał nadwagi, ale w miarę jak odliczał kolejne lata po trzydziestych urodzinach, robił się jakby trochę misiowaty. W zeszłym roku zapisał się na siłownię, zrzucił kilka zbędnych kilogramów i prezentował się dzięki temu młodziej i ogólnie lepiej.

Problem polegał tylko na tym, że bez przerwy o tym gadał.

– Gdyby się nad tym zastanowić, to w sumie nawet nie wiem, po



co my się w to angażujemy – stwierdził Shipley, podchodząc do Louise powolnym krokiem. Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę. – Owszem, kiepsko to wygląda, ale jest zupełnie prawdopodobne, że to partner albo eks ją pobił i postanowił porządnie nastraszyć. I na tym sprawa się skończy. Zamiast tu przesiadywać do nie wiadomo której, zeznanie moglibyśmy przyjąć jutro rano.

– No tak, pewnie ma pan rację – odparła Louise, nie wierząc w ani jedno swoje słowo. – Tyle że już pan próbował szefa do tego przekonać i nic z tego nie wyszło. Instynkt dobrze panu podpowiadał na miejscu zdarzenia. Od początku było wiadomo, że wyładujemy tutaj.

Shipley nic nie odpowiedział. Wydał z siebie tylko jakiś gardłowy dźwięk i znów zaczął się przechadzać w tę i z powrotem. Jakby to miało cokolwiek dać... Bawił się telefonem, obracał ekran, na chwilę się zatrzymywał, żeby coś przewinąć, a potem znowu zaczynał chodzić.

– Może by się pan na chwilę zatrzymał?

– Źle się tu czuję, Louise – odparł, stając tuż przy niej. Louise spojrzała na telefon, który trzymał w dłoni, ponieważ jego ekran nagle się rozświecił. Shipley dostrzegł jej zainteresowanie i się uśmiechnął. – „Echo” jeszcze nic nie pisze, same podstawowe fakty. Uruchomili serwis do raportowania na żywo, ale na razie reporterowi udało się zrobić kilka zdjęć naszych wozów.

– Myślę, że temat szybko się rozejdzie po kościach. Wydarzy się coś ciekawego i dziennikarze zajmą się czymś innym.

Louise znów wpatrywała się w ścianę. Miała pełną świadomość, że gra na zwłokę. Nie dopuszczała do siebie tych słów, które usłyszała od chłopca w sklepie. Nie chciała, żeby te wszystkie myśli do niej wróciły.

Nie chciała, żeby przeszłość ją przytłoczyła.

Tyle że niewiele mogła na to poradzić. Mogła sobie powtarzać, że nie będzie się tymi myślami przejmować, ale one tkwiły gdzieś w jej głowie. Wyglądały zza starannie ustawionego muru. Ona ten mur budowała długo i z rozmysłem.

Teraz już była dorosła. Nie wierzyła już ani w bajki, ani w mity.

To były fałszywe wspomnienia, którym młody umysł nadał jakiś nieprawdopodobny wymiar, ponieważ pragnął zaznać magii – lub choćby uwagi. Nie mogła tym wspomnieniom ufać. Stojąc z plecami opartymi o ścianę, Louise poczuła, jak dłoń zamyka jej się w pięść i zaczyna uderzać o nogę. Rozprostowała palce i spojrzała na Shipleya, żeby sprawdzić, czy przypadkiem tego nie zauważył. On jednak stał do niej plecami. Potrząsając głową, wyjął z kieszeni telefon i spojrzał na ekran.

Louise przeniosła wzrok na przeciwległą ścianę. „Raczej beżowa niż biała”, pomyślała. Nic mądrzejszego już chyba nie wymyśli.

*To nie było prawdziwe.*

Dopiero godzinę później wpuszczono ich do pacjentki. Szpitale były, jakie były, ale jakoś jeszcze na razie nie odwieziono kobiety na oddział. Na oddziale ratunkowym największego szpitala w mieście udało się dla niej wygospodarować jednoosobowy pokój. W sali przebywała jeszcze pielęgniarka. Notowała coś na karcie, którą chwilę później powiesiła na łóżku.

– Nie jest jeszcze do końca przytomna – powiedziała do Louise po tym, jak zmęczonym wzrokiem zmierzyła Shipleya. – Nie wiem, czy uda wam się wydobyć od niej cokolwiek sensownego.

– Jak ona się czuje? – zapytała Louise, gdy już stało się jasne, że jej przełożony tego nie robi. – Jakie odniosła obrażenia?

– Jest w kiepskim stanie, tyle mogę powiedzieć. Jest porządnie pokiereszowana. Mocno posiniaczona, zebra ma poobijane... Ale w sumie nie to jest chyba najgorsze.

Louise zrobiła zatroskaną minę, licząc na to, że nie zdradzi w ten

sposób swoich prawdziwych myśli: „Idź już sobie, żebyśmy ją mogli zapytać, kto to zrobił”.

– A co jest najgorsze?

– Straciła dużo krwi. On ją nacinał – odparła pielęgniarka, z trudem cedząc słowa. – Zdejmował skórę z różnych części jej ciała, jak gdyby chciał ją żywcem obedrzeć ze skóry. To nie do wiary, że ktoś mógł zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi.

– Proszę się nie martwić, złapiemy sprawcę – powiedział Shipley, zbliżając się do łóżka i nachylając się nad kobietą. – Dziękujemy pani.

Louise spojrzała na pacjentkę, która powoli otwierała oczy. Zastanawiała się, ile z tej rozmowy udało jej się usłyszeć. Rozmawiali przecież o niej, jak gdyby w ogóle jej tam nie było.

Pielęgniarka chciała chyba jeszcze coś powiedzieć, ale ostatecznie ruszyła w kierunku drzwi. Gdy do nich dotarła, odwróciła się jeszcze na chwilę i ponownie odezwała się tylko do Louise.

– Lepiej, żeby wam się udało. Nie chciałabym się dowiedzieć, co ktoś taki jest w stanie zrobić w przyszłości.

Drzwi się za nią zamknęły. Louise ciągle jeszcze stała kilka kroków za Shipleyem, który nachylał się nad kobietą w łóżku. Na pierwszy rzut oka było widać, że personel szpitala próbował ją doprowadzić do porządku, ale na jej twarzy ciągle jeszcze pozostawały resztki zaschniętej krwi. Pokój straszył nijakością. Przez pojedyncze okno przysłonięte żaluzjami wpadały do środka tylko resztki światła. Na ścianach wisiało kilka ulotek, a przy umywalce znajdował się podajnik na mydło, chyba pusty. Przy łóżku stało krzesło dla odwiedzających, ale żadne z nich nie usiadło. Louise postanowiła ustawić się po drugiej stronie łóżka. Wycisnęła sobie na dłonie odrobinę alkoholowego preparatu z podajnika, który był umieszczony w nogach łóżkach. Roztarła go na dłoniach, uważając przy tym, aby przy okazji nie dotknąć

żadnego sprzętu.

– Technicy zabezpieczyli już wszystkie ślady – powiedział Shipley, przyglądając się Louise, która cały czas wcierała preparat w dłoń. Pokiwał głową. – Miejmy nadzieję, że coś im się uda znaleźć.

– Może jednak najpierw powinniśmy porozmawiać z nią – odparła Louise, przenosząc wzrok na kobietę leżącą w łóżku, która teraz wpatrywała się tępo w detektywa. Patrzyła jakby w dal. Zdawała się nie skupiać wzroku, jak gdyby w ogóle go przed nią nie było. – Byłoby znacznie łatwiej, gdyby to był ktoś, kogo zna.

– Słyszysz mnie pani? – powiedział Shipley, nachylając się nad nią jeszcze bardziej. Mówił nienaturalnie głośno, zważywszy na rozmiary pomieszczenia. Jego głos niemal odbijał się echem od ścian. – Jak pani się nazywa?

Kobieta cały czas wpatrywała się w detektywa, jak gdyby starała się domyślić, z kim ma do czynienia. I co ten ktoś do niej mówi. Shipley spojrzał na Louise, skinieniem głowy zachęcając, aby teraz ona spróbowała.

– Dzień dobry. Jestem detektyw Louise Henderson. To jest detektyw Paul Shipley – powiedziała Louise, odczekując chwilę, żeby kobieta miała czas obrócić głowę w jej stronę. – Jesteśmy tu, żeby pani pomóc, rozumie pani? Chcemy zadać pani kilka pytań i zaraz damy pani spokój, żeby mogła pani wrócić do siebie.

Louise usłyszała pociągnięcie nosem dobiegające z drugiej strony łóżka, ale postanowiła nic sobie z tego nie robić. Czasami zostawiała jej wolną rękę, żeby to ona znalazła sposób na nawiązanie kontaktu, ale z góry wiedziała, co usłyszy na ten temat po powrocie na komisariat. Mogła przewidzieć, jaką rolę w tym jego monologu odgrywać będzie hasło „kobiece podejście”.

Kobieta wpatrywała się teraz w Louise, mrugała powiekami w jej kierunku. Chyba dotarło do niej, z kim ma do czynienia, bo jakby

bardziej skupiła wzrok. Zdawała się tylko nie wiedzieć, co oni robią po obu stronach jej łóżka.

– Jak pani się nazywa?

Otworzyła usta, ale zaraz potem znów je zamknęła. Spróbowała ponownie.

– Caroline – odpowiedziała, wydobywając z siebie tylko szept. Najwyraźniej mówienie przychodziło jej z trudem, ale Louise była na to przygotowana. – Caroline... Rickards.

– Dzień dobry, Caroline – powiedziała Louise. Usłyszała co prawda wahanie, z jakim kobieta podawała swoje nazwisko, ale i tak starała się uśmiechnąć do niej pocieszająco. – Wie pani, czemu tu jesteśmy?

Caroline na chwilę zmarszczyła brwi, spojrzała jakby za Louise, rozejrzała się po pokoju.

– Ktoś mi zrobił krzywdę.

– Tak, zgadza się. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań na ten temat. Na razie kilka. Nic bardzo poważnego. Wrócimy do sprawy, jak poczuje się pani trochę lepiej. Możemy się tak umówić?

Caroline skinęła głową naprawdę bardzo lekko, ale cienka poduszka pod jej głową i tak zaszeleściła.

– Co pani pamięta sprzed chwili, gdy się tu pani znalazła?

– Hm... Nie wiem.

– Pamięta pani karetkę?

Caroline zaprzeczyła ruchem głowy.

– Biegłam.

– Pamięta pani, gdzie pani biegła?

– Drogą – odparła Caroline, odrywając wzrok od Louise i przenosząc go na sufit. – Stała mi się krzywda.

– Zgadza się. Właśnie na drodze panią znaleziono. A coś, co było wcześniej? Pamięta pani cokolwiek, co było wcześniej?

Twarz Caroline się wykrzywiła, ale z oczu nie pociekły jej łzy.

– Wokół mnie była trawa i błoto. Drzewa. To tam było. To coś robiło mi krzywdę.

– Kto panią krzywdził, Caroline? – odezwał się Shipley, lekceważąc proszące spojrzenie Louise, która chciała sama dalej pociągnąć ten wątek. Czasem gdy potrzebne było ciche pukanie, on od razu sięgał po taran. – Kto to pani zrobił?

– On, to był on! – odparła Caroline, która teraz już krzyczała. – On istnieje naprawdę.

– To był pani chłopak albo pani mąż, Caroline? – dociekał Shipley, kładąc jedną rękę na łóżku obok jej ciała. – Pani były albo ktoś taki? Jak on się nazywa?

Caroline zupełnie go zignorowała i znów spojrzała na Louise.

– On istnieje naprawdę. Wszystko, co mówią, jest prawdą. To coś tam żyje. W lesie.

– W porządku. Spokojnie, Caroline – powiedziała Louise, wyciągając do niej rękę. – Nie musi się pani spieszyć.

Prawa ręka Caroline wystrzeliła znad łóżka i mocno chwyciła Louise. Louise była zaskoczona siłą tego uścisku. Kobieta wykręciła jej skórę na nadgarstku do tego stopnia, że aż sprawiła jej ból. Caroline podniosła się z trudem, zgrzytając zębami z wysiłku. W pokoju powiało chłodem.

– To był Kościuch. To on mi to zrobił. On naprawdę istnieje. I wróci. I mnie znajdzie.

## Rozdział 4

Louise rozcierała nadgarstek, wpatrując się w zaczerwienienie, które jej pozostało na skórze. W duszy robiła sobie jednak wyrzuty. Caroline przeżyła koszmar, a mimo to miała dość sił, aby ją tak mocno chwycić i aż zostawić ślad.

Za wcześnie na to było. I oni powinni to wiedzieć. Ich pytania to na pewno nie było to, czego w tym momencie potrzebowała.

Z drugiej strony, mieli przecież zadanie do wykonania.

– Moim zdaniem to po prostu cholerna wariatka – powiedział Shipley, gdy jechali w kierunku północnym, niespecjalnie przejmując się innymi użytkownikami drogi. – Trafi do wariatkowa, a sprawcy nigdy nie znajdziemy.

– Może i nie – odparła Louise, opuszczając rękaw i starając się nie zwracać uwagi na pieczenie skóry. – A może coś tam się faktycznie wydarzyło. W tamtej okolicy są pola i lasy.

– Co ty mówisz? Chyba jej nie wierzysz? – powiedział Shipley, wzmacniając swój komentarz śmiechem. – Odbiło jej i tyle. Ktoś ją mocno poobijał i jeszcze pozdzierał z niej skórę.

– Dzieciak w sklepie...

– Chyba nie będziemy wierzyć w to, co mówił jakiś dzieciak?!? Cóż z tego, że śpiewała o jakimś potworze? Przecież nie można powiedzieć, żeby była przy zdrowych zmysłach...

– Nie twierdzę, że była, ale ten dzieciak nie kłamał. Ona też to potwierdziła. Jej się wydaje, że zaatakował ją... zaatakowało ją coś. Nie możemy tego tak po prostu olać. – Louise nie dawała za wygraną, chociaż z góry wiedziała, co powie Shipley.

– Owszem, możemy – odparł, a potem z całej siły nacisnął na klakson, ponieważ samochód przed nimi zbyt wolno ruszał ze światła. – To tylko paplanina obłąkanej kobiety. Nie daj się w to wciągnąć. Mało razy już coś takiego widzieliśmy? Okaze się, że to był jakiś palant, któremu puściły hamulce albo coś w tym stylu. Założę się, że jutro rano nam to zniknie z biurek.

Louise nie odpowiedziała. Myślała o strachu, który wyczuwała od Caroline bezradnie leżącej w szpitalnym łóżku. Cieszyła się, że żyje, ale nadal się o to swoje życie bała. Louise wcale nie była taka przekonana, że sprawa trafi w ręce jakichś nieszczęśników, którzy na co dzień prowadzą sprawy przemocy domowej.

– Na pewno już są nagrania z monitoringu miejskiego – mówił dalej Shipley, wrzucając wyższy bieg i wyprzedzając wolniejsze samochody na dwupasmowej drodze. – To nam pozwoli wyjaśnić parę spraw.

Shipley mówił dalej, ale Louise przestała słuchać jego wywodów. Wolą obserwować drogę przez boczną szybę od strony pasażera. W miarę jak oddalali się od centrum i zacierali w kierunku otwartych przestrzeni, o których istnieniu nikt w Liverpoolu nie wiedział, za oknem pojawiła się zieleń. Różnego typu lasy i pola uprawne. Szarość i biel miejskich budynków ustępowały miejsca zieleni i brązom.

– ... szkoda, że nie widziałas jego twarzy – mówił akurat Shipley, gdy znów zaczęła go słuchać. Kilka razy uderzył dłonią w kierownicę i roześmiał się jeszcze głośniejsze. – Naprawdę myślałem, że zaraz padnie trupem albo coś w tym stylu.

– Hmm – odparła Louise, zastanawiając się, co też ją ominęło.



– Dzieciaki to we wszystko uwierzą. Zwłaszcza jeśli historia jest tak dobra. Zdążyłem już o tym zapomnieć, a biedny chłopak aż zmoczył spodnie, tak się przestraszył. Mówię ci, że las to się do takich rzeczy nadaje.

– Do jakich rzeczy? – zapytała Louise, odwracając się do Shipleya.

– Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? – zapytał, kiwając głową. – Opowiadałem o tym, jak kiedyś wmówiliśmy jednemu takiego chłopakowi, który ciągle za nami chodził, że go dorwie Kościuch.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Wiesz, to przestaje być śmieszne, jak trzeba to powtarzać – stwierdził Shipley, niemalże dając się na nią za to, że go nie słuchała. To akurat w nim lubiła. To, że się czuł niesprawiedliwie potraktowany, gdy ignorowała jego rzenie. Przez to wydawał jej się bardziej ludzki. – Rzecz w tym, że jest taka jakby jaskinia, w głębi parku Sefton. Zabraliśmy tam tego dzieciaka i mu powiedzieliśmy, że to tam mieszka Kościuch. Żeby się dostać do środka, trzeba się było przecisnąć przez metalowe pręty. A w środku było całkiem ciemno. No i posłaliśmy go tam jako pierwszego, a potem uciekliśmy, krzycząc, że widzieliśmy Kościucha. Musiałabyś słyszeć, jak chłopak kwiczał. Pokładaliśmy się ze śmiechu.

Shipley się roześmiał, ale Louise do niego nie dołączyła. Myślała raczej o tym przerażonym chłopcu, który został sam w ciemnościach. Czowała, jak ściany się na niego wałą i jak się boi mroku i tego wszystkiego, co się w nim kryje. Tych wszystkich strachów, które się czają tam, gdzie nie sięga wzrok.

Nie zamierzała jednak mówić o tym Shipleyowi. Jemu się wydawało, że naigrywanie się z cudzych lęków to tylko taki niewinny dziecięcy żarcik.

Zdała sobie sprawę, że nagle przestał się śmiać i na nią spojrzał.

– O co ci chodzi? To był tylko żart, który zrobiliśmy jakiemuś tam chłopcu. Chyba nie zaczniesz z tego powodu płakać. Jeszcze tego

nam brakowało...

Uśmiechnął się głupkowato, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie mówi poważnie. W żaden sposób nie uciszyło to jednak uczuć, które teraz się w niej kłębiły. Louise już miała mu coś powiedzieć, ale poskromiła swoje pierwotne instynkty. Po chwili milczenia stwierdziła:

– Przepraszam, nie słuchałam uważnie. Myślałam o tej kobiecie ze szpitala. O tym, co ona przeszła.

– No tak – powiedział Shipley, ścisząc głos. Nagle jakby znów sobie przypomniał, z czym mają do czynienia. – Słuchaj, przecież zajmowaliśmy się już tego typu sprawami. To pewnie jest dokładnie to samo, co zawsze. Pewnie to jej chłopak, jakiś gnój ostatni, wyciął jej taki numer. Ona nie chce, żeby trafił do więzienia, więc wymyśla tę całą historię. Nie ma w tym nic nowego. Nie wydaje mi się, żeby to miało mieć związek z jakąś bajką, którą wszyscy sobie nawzajem opowiadaliśmy jako dzieci. Czyba się ze mną zgodzisz?

– Pewnie tak – odparła Louise bez przekonania. – To co w takim razie robimy? Po prostu to ignorujemy? Czy może jednak to sprawdzimy?

– Rozejrzemy się, ale z tego, co mi przekazali ludzie pracujący na miejscu, poza drogą nie znaleziono śladów krwi. Ani w lesie, ani nigdzie indziej – powiedział Shipley po krótkim zastanowieniu. – W sumie to teraz za wiele tam nie zobaczymy. Nie w tym świetle. Gdybyśmy nie przesiedzieli tyle czasu w szpitalu, to może jeszcze coś by się dało załatwić. Dam znać mundurowym, że ten teren nas interesuje. Rano przeprowadzimy porządne poszukiwania.

Louise znów odwróciła twarz w stronę bocznej szyby. Obserwowała znikające powoli latarnie. Droga się zwężała. Z porządnej dwupasmówki zmieniała się w typową drogę lokalną. Louise zdawała sobie sprawę, że krajobraz za oknem też stał się

ciekawszy – tyle że teraz nie mogła go podziwiać.

Myślała o tym, co powiedziała kobieta. O tym, jaka była przerażona. Zupełnie jak gdyby ktoś ją odarł ze wszystkiego tego, co kiedyś wydawało jej się rzeczywistością.

Louise dobrze знаła to uczucie.

– Czego dokładnie będziemy szukać? – zapytała, aby wypełnić ciszę, która między nimi zapadła. – Raczej nic tam nie zostało, jeśli ona mówi prawdę...

– Ona nie mówi prawdy – przerwał jej Shipley tonem, który w zamyśle miał zapewne poprawić trochę atmosferę, ale dla Louise zabrzmiał jako protekcyjny. – To niemożliwe.

– A co, jeśli mówi prawdę? Co, jeśli ktoś ją gdzieś przetrzymywał, a ona uciekła?

– To w takim razie napastnik pewnie spanikował. Zostawił wszystko, jak leci, i zwiął. A to oznacza, że coś znajdziemy. Gdziekolwiek się to odbywało... Będziemy szukać igły w stogu siana.

Louise wyjęła z kieszeni telefon i włączyła ekran, a potem cmoknęła z niezadowoleniem, widząc wskaźnik baterii. Przyłożyła palec do przycisku głównego, aby urządzenie mogło odczytać jej linie papilarne, a następnie dotknęła ikony Mapy.

– Chcesz prześledzić jej drogę?

– Coś w tym stylu – odparła, odnajdując na mapie miejsce, w którym Caroline została znaleziona. Potem przesunęła ją aż do miejsca, które wydawało jej się prawdopodobnym początkiem drogi.

– Sporo tu pól, ale tam raczej nie można liczyć na spokój. Pewnie powinniśmy szukać gdzieś w jakimś lesie. Drzewa zapewniają schronienie, które się przydaje, gdy się kogoś więzi.

– Równie dobrze mogła być przetrzymywana w ogródku za domem. Przecież nie możemy wykluczyć, że jednak coś jej się pomyliło.

– Tutaj – powiedziała Louise, powiększając fragment mapy przedstawiający zalesiony obszar położony najbliżej miejsca, w którym znaleziono Caroline. Miała rację. Trochę ponad kilometr od miejsca, w którym Caroline opadła z sił na ulicy. – W pobliżu kanału. Niech pan jedzie do końca Tithebarn Lane, w okolice pubu Bootle Arms. Stamtąd dojdziemy.

Gdy droga nieco się poszerzyła, Shipley zatrzymał samochód i spojrzął na ekran telefonu, który Louise wystawiła w jego stronę.

– Znam te okolice – powiedział po chwili zastanowienia, ponownie wjeżdżając na drogę. – Nie ma opcji, żebyśmy mieli przeszukać ten teren sami. Na pewno nie dalibyśmy rady zrobić tego sensownie. Będziemy musieli poczekać do rana i wysłać tam kilku mundurowych.

Louise nic nie powiedziała, tylko dla pozorów jeszcze przez chwilę przeglądała mapę. Ponownie zapadła między nimi cisza, którą w końcu przerwał Shipley.

– Nie masz nic przeciwko temu.

To było raczej stwierdzenie faktu niż pytanie, ale Louise i tak postanowiła odpowiedzieć.

– Nie, ma pan rację. To nie byłby najlepszy pomysł włóczyć się po okolicy w ciemnościach. Nic byśmy nie znaleźli, a jeśli coś tam jest, to pewnie byśmy to przegapili.

– Tak czy owak, to do ciebie niepodobne, żeby nie oponować w takiej kwestii.

Dłonie Louise lekko się trzęsły, gdy wyłączała ekran telefonu i wkładała sobie aparat między nogi, żeby nie spadł na podłogę.

– Jestem zmęczona, nic więcej. Nie przywykłam pracować do tak późnych godzin. Nic mi nie będzie.

– Podrzucę cię do domu – powiedział Shipley. Spojrzął w lusterko i zawrócił na środku drogi. – Jeśli jutro mamy się zajmować poszukiwaniem igły, powinniśmy się przez parę godzin przespać,

zanim nastanie ranek. Dam znać mundurowym, którzy są ciągle na miejscu, żeby rozpoczęli poszukiwania. Ty idź trochę odpocząć.

Louise przez moment miała ochotę się sprzeciwić, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Rozpoznała w jego głosie ton ostateczności, który oznaczał, że nie ma sensu dalej dyskutować. Spojrzała na niego kątem oka. Karnację miał ciemną, ale nie była to zasługa solarium ani samoopalacza, tylko jego wrodzona cecha. Skórę na szyi przecinała pięciocentymetrowa biała blizna, trzeba się jednak było przyjrzeć, żeby ją dostrzec.

Nagle jej się przypomniało, skąd się ta blizna wzięła. To wspomnienie często do niej wracało.

*Stukot kroków na betonie. Nogi, które odmawiały jej postuszeństwa, gdy z całych sił próbowała nadążyć za Shipleyem. Facet, którego ścigali, a który stale im uciekał. Zniknął za rogiem. Stracili go z oczu.*

*Chciała, żeby Shipley zwolnił i zaczekał na nią, zanim skręci w nieznaną, ale nic nie powiedziała. Po prostu biegła, usiłując go dogonić.*

*Krzyk.*

*Dźwięk. Łoskot. Ciało upadające na ziemię.*

*Zwolniła w końcowym odcinku uliczki i skręciła za róg, nie trzymając się ściany.*

*Shipley leżał nieruchomo na ziemi, jego klatka piersiowa z trudem się unosiła i opadała. Podejrzany majaczył gdzieś w oddali, był już tylko punktem na horyzoncie. Zdążyła jednak zaledwie rzucić na niego okiem, bo jej uwagę pochłonęła postać nachylona nad Shipleyem. Rękę trzymał przyłożoną do jego szyi, a do skóry przyciskał mu nóż. Krzyczał na niego, ale słów Louise nie słyszała. Widziała tylko ostrze, które przecinało skórę. Na szyi.*

*Gdy pojawiła się krew, Shipley zaczął się szamotać, ale to nie miało znaczenia.*

*Louise już dopadła drania.*

Louise dobrze zapamiętała ten strach, który czuła, gdy podbiegła do Shipleya i zobaczyła go na ziemi z nożem przystawionym do szyi.

Strach, a potem gniew. Ruszyli w pościg za przestępcą, a za rogiem czaił się jego brat. Najwyraźniej był na tyle wściekły albo głupi, że dźganie policjanta uznał za dobry sposób na wsparcie brata w ucieczce. Obaj ostatecznie trafili do więzienia z długimi wyrokami. Shipley dostał za to wszystko jakąś tam nagrodę, ale nie chciał już potem o tym wspominać. Louise odgoniła od siebie to wspomnienie i skupiła się na drodze, którą mieli przed sobą.

Dziesięć minut później stała już na skraju ścieżki wiodącej do jej domu i patrzyła, jak Shipley odjeżdża. Pomachała do niego, wyczuwając, że toczy sam ze sobą wewnętrzną walkę, bo do końca nie wie, czy powinien poczekać, aż ona wejdzie do środka, czy udać większą obojętność. Louise się odwróciła, ale po kilku krokach przystanąła. Usłyszała silnik wchodzący na wyższe obroty, a potem oddalający się samochód.

Nasłuchiwała, co się dzieje w jej otoczeniu. Słyszała własny płytki oddech. Miała ochotę zamknąć oczy i się na nim skupić, ale ciemność ją do tego zniechęciła.

Zastanawiała się, kiedy ostatni raz bała się wejść do własnego domu. To było absurdalne uczucie, którego jednak nie mogła się wyzbyć. Stała więc na ścieżce i słuchała własnego oddechu. Nic innego nie usłyszała, jeszcze tylko wiatr szumiący pośród liści niewielkiego żywopłotu otaczającego to, co dla żartu nazywała frontowym ogrodem.

Nie widziała, żeby w domu świeciło się jakieś światło. Zmusiła się do wykonania kilku kroków i poczuła się pewniej. Zdążyła już nawet wyjąć klucze. Gdy doszła do drzwi, wzięła jeszcze jeden oddech, a potem przekręciła klucz w zamku i obserwowała, jak

otwierają się do wewnątrz. Odczekała kilka sekund na progu, po czym weszła do środka.

Włączyła światło w korytarzu. Gdy tylko mrok ustąpił, od razu zrobiło jej się lepiej. Zdjęła buty i zrzuciła z siebie strój, w którym chodziła przez cały dzień. Wspięła się po schodach i wrzuciła ubrania do kosza na brudy, a potem weszła do łazienki i włączyła prysznic.

W domu panowała cisza, którą zakłócała tylko Louise.

Po zmyciu z siebie wszystkich wydarzeń tego dnia, Louise usiadła na skraju łóżka z telefonem w ręku. Jeszcze kilka miesięcy temu miałyby do kogo zadzwonić. Choćby tylko po to, żeby przez chwilę porozmawiać. Żeby ciszę jej małego domu zmaćcił głos drugiego człowieka, nawet jeśli dobiegający jedynie z telefonu.

Teraz była sama. Jej ostatnia przyjaciółka, która nie była policjantką, przestała odbierać jej telefony. I to była wina Louise. Udaowało jej się zbliżyć do ludzi, ale potem te relacje niszczyła.

Ślady po tych znajomościach pozostały już tylko na liście jej kontaktów.

Carla. Nie rozmawiały od dwóch lat. Pokłóciły się o to, która z nich zapłaciła w barze za więcej drinków. Louise ciągle się jeszcze irytowała, że Carla miała do niej o to pretensje. Przecież to ona na ogół płaciła za większość kolejek.

Harriet. Nie rozmawiały już ze cztery albo pięć lat. Louise powiedziała jej kilka słów prawdy o jej chłopaku. Opowiedziała o tym, jak próbował ją obmacywać pewnego razu w kuchni podczas domówki – i jak to się stało, że musiał leczyć złamany nadgarstek. Harriet jej nie uwierzyła i tak się skończyła kolejna przyjaźń.

Sarah. Sześć miesięcy. Nie spodobał jej się ton, którym Louise skomentowała manewr innego kierowcy wpychającego się przed nią na pas ruchu. Nie spodobało jej się też, gdy kilka minut później na światłach Louise wysiadła i uderzyła pięścią w maskę jego

samochodu. To nie była wina Louise, że Sarah miała na tylnym siedzeniu dziecko i że to dziecko rozplakało się na dźwięk podniesionych głosów.

Louise zastanawiała się, czy by nie należało wykasować tych wszystkich wspomnień z czasów, gdy nie była jeszcze sama, ale ostatecznie zablokowała tylko telefon i rzuciła go na łóżko. Teraz najbliższym jej człowiekiem był Paul Shipley. Smutne to. Rozmyślała o nim, gdy się wycierała i zakładała piżamę. Myślała o tym, jak czasem na nią patrzył i jakie dowcipy opowiadał w biurze. To była taka mieszanka starej szkoły i nowoczesnego człowieka. Ktoś, kto chciał postępować słusznie. Ktoś, kto bez oporów wstawiał but między framugę a drzwi, ale potem uważnie słuchał, co ma do powiedzenia człowiek po drugiej stronie.

Louise myślała również o innych ludziach z posterunku. O tym, że byli w pewnym sensie jak rodzina. Wszyscy nosili ten sam mundur, łączyły ich siostrzane i braterskie więzi.

Oczywiście to było tylko złudzenie, ale w tym momencie musiało jej wystarczyć.

Rodziny nie miała. Jej babcia, która zmarła jako ostatnia, nie żyła od trzech lat.

Teraz została już tylko ona.



## Rozdział 5

Następnego dnia wśród mundurowych panowała trochę inna atmosfera. Teraz przeczesywali obszar w pobliżu miejsca, w którym poprzedniego dnia została znaleziona Caroline. Louise zdawała sobie sprawę, że zapewne było to zadanie dość niewdzięczne, a do tego tym trudniejsze, że do jego wykonania oddelegowano bardzo niewielką grupę. Na razie Louise dostrzegła tylko trzech funkcjonariuszy, spodziewała się jednak, że kolejni mogą pracować już głębiej w lesie.

– Nie za wiele zdziałamy, jeśli nie uda nam się bardziej precyzyjnie określić miejsca poszukiwań – powiedział Shipley, podchodząc do niej ze styropianowym kubkiem. Louise liczyła po cichu, że w środku znajduje się kawa. – Tak naprawdę to mogłoby też być zupełnie gdzie indziej. Mogła gdzieś zawrócić i tylko bardziej się przez to pogubić. Oczywiście przy założeniu, że w ogóle była w lesie.

– Sprawiała wrażenie dość pewnej swego.

– No tak, kimże my jesteśmy, żeby wątpić w prawdziwość jej słów – odparł Shipley, zdejmując pokrywkę ze swojego kubka i dmuchając na jego zawartość. – Jesteśmy tylko detektywami, którzy przez lata nasłuchali się wielu tego typu historii. W sumie to nie wiem, czy to ma w ogóle jakieś znaczenie.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że relacja Caroline nie do końca pana przekonuje?

Shipley przechylił kubek i udawał, że się nie poparzył. Odwrócił się do Louise.

– Mnie to się wydaje dość proste, ale ta cała reszta... No nie. Wiesz, ja to wszystko rozumiem. Naprawdę. Młoda kobieta zostaje poważnie poturbowana. Nie raz już mieliśmy do czynienia z czymś takim. Tylko że sprawa się komplikuje, gdy ona zaczyna wymyślać różne historie. Czy naprawdę powinniśmy wierzyć we wszystko, co nam do tej pory powiedziała? Kościuch to nagle żywa postać i ona zdołała mu się wyrwać? Daj spokój!

Louise się nie odzywała. Trzymała w dłoniach kubek i wpatrywała się w pole. Doskonale zdawała sobie sprawę, że już niedługo będą musieli znów pojechać do Caroline. Niech sobie Shipley na razie gada. Przyjechał po nią tego ranka, bo jej samochód został wczoraj na miejscu zdarzenia. Nawet nie musiała go o to prosić. Ostatnio dość często mu się zdarzało, że zatrzymywał się pod jej domem w drodze do pracy.

Nie narzekała ani nie sprzeciwiała się temu, choć miała pełną świadomość, że tak do końca „po drodze” to to nie jest.

– Poza tym to chyba nie jest jakieś strasznie skomplikowane, co? – ciągnął Shipley, odwracając się lekko i ponownie dmuchając na kawę. – Wszyscy wiemy, jak się takie sprawy na ogół kończą. Zatrzymamy jakiegoś palanta, który będzie twierdził, że sama się prosiła albo coś w tym stylu. Wiesz to tak samo dobrze, jak ja. Skąd w tobie to przekonanie, że ta sprawa jest jakaś inna?

– Nie twierdzę, że jest – odparła Louise, unosząc swój kubek do ust. Postanowiła zaryzykować i skosztować jego zawartości. – Moim zdaniem trzeba po prostu wszystko dokładnie sprawdzić.

Shipley tylko prychnął, już nic więcej nie powiedział. Louise się z tego cieszyła. Jakoś nie miała akurat ochoty dalej się spierać.

Próbowała powstrzymać się od ziewnięcia, po cichu licząc, że Shipley nie zwróci na to uwagi.

– Nie wyspałaś się?

„Nie udało się”, pomyślała Louise.

– Nie, nie za bardzo. Rozmyślałam o różnych rzeczach... o tym wszystkim.

– Ile my lat już razem pracujemy?

Louise spojrzała na Shipleya. Uniosła brwi i czekała na puentę. Ponieważ nic więcej nie powiedział, udzieliła odpowiedzi:

– Trzy. Albo dłużej.

– No właśnie, trzy – odparł, kiwając głową. – Dobrze nam się razem pracuje, prawda?

Pytanie było na tyle niezwykle, że na chwilę zbiło Louise z tropu. Zostali do siebie przydzieleni kilka lat wcześniej, gdy Louise w końcu uzyskała tytuł detektywa. On był od niej starszy stopniem, ale nigdy nie dawał jej tego odczuć. Raczej się nią opiekował. Choć pewnie sam nawet sobie tego nie uświadamiał, to pomagał jej zachować zdrowy rozsądek.

Louise zdawała sobie sprawę, że Shipley będzie na nią rzucać okiem od czasu do czasu i że w jego myślach przewijać się będą różne scenariusze. Nie raz już takie spojrzenie widziała, ale tylko bardzo sporadycznie pozwalała, aby coś z tego wynikło.

Czasem jednak miała ochotę poczuć się normalnie.

– Powiedziałabym, że się dopełniamy – stwierdziła w końcu, gdy cisza nadmiernie się przeciągała. – Ja staram się pracować dokładnie, pan preferuje chodzenie na skróty. W końcu wybieramy jakieś rozwiązanie pośrednie i na ogół dobrze to wychodzi.

Shipley przez chwilę milczał, a potem się uśmiechnął.

– W tej kwestii pewnie masz rację.

– A dlaczego pan pyta?

Przyglądała mu się i usiłowała dociec, o czym teraz myśli.

Westchnął i wziął kolejny łyk kawy.

– W sumie to nic o tobie nie wiem – powiedział w końcu, odwracając się do niej plecami. – No wiesz, o twoim życiu poza pracą. O twojej rodzinie, o twoich znajomych. Mogłoby się wydawać, że po takim czasie chociaż coś powinienem wiedzieć.

– Nie za bardzo jest co opowiadać – odparła Louise, spoglądając w dal, w pole. – Nie wydaje mi się, żeby miało to pana zainteresować.

– Interesuje mnie. O to mi właśnie chodzi. Pracujemy ramie w ramie już od co najmniej trzech lat, a ja zupełnie nic nie wiem o twoim życiu. No może poza tym, że mieszkasz sama i że nigdy nie wspominasz o tym, co robisz po pracy, o rodzinie ani o niczym innym.

– Może po prostu nie mam nic do powiedzenia.

– Jakoś w to wątpię. – Temu stwierdzeniu towarzyszył lekki śmiech. – Każdy z nas ma coś do powiedzenia. Ja na przykład pochodzę z dużej rodziny. Ty sporo wiesz o moich braciach, o ich żonach i dzieciach. Wiesz, że moi rodzice się starzeją i robią się coraz bardziej irytujący. A twoi?

– Może nie mam nic do powiedzenia, bo ich już nie ma i nie mogą mnie irytować – spróbowała ponownie, licząc na to, że on wreszcie odpuści. Gdy jednak wypowiadała te słowa, było już dla niej jasne, że nic z tego.

– Straciłaś rodziców?

Louise przez chwilę się zastanawiała, czy to aby dobry moment, żeby mu o tym opowiadać. W sumie miał rację. Przez te wszystkie lata tyle ich łączyło na płaszczyźnie zawodowej, a ona faktycznie rozmawiała z nim tylko i wyłącznie o pracy. Z drugiej strony, przecież go słuchała, gdy godzinami rozwodził się o swojej rodzinie.

– Tak, oboje nie żyją. Wychowywali mnie dziadkowie.

– A rodzeństwo?

– Nie – odpowiedziała Louise, rozpoznając znany ciężar w piersiach: to jakby napięcie i ograniczenie ruchów grożące uduszeniem. Wokół niej nagle zaczęło brakować powietrza, atmosfera wyraźnie zgęstniała. Louise przygryzła dolną wargę, aby ból pomógł jej się wyrwać z tej mgły.

Na krótką chwilę zapłonął wokół niej ogień. Louise zamknęła oczy, aby je zaraz potem otworzyć i znowu zobaczyć otaczającą ją rzeczywistość. Powietrze znów było lekkie, znów mogła bez trudu oddychać.

– Nie mam rodzeństwa – powiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę, że odpowiedź padła po zaledwie sekundzie czy dwóch. Dla niej były to jednak wieki. – Jestem tylko ja.

– Ty w zupełności wystarczysz – odparł Shipley, uśmiechając się do niej. – No i co? Czy to nie fajne, tak w końcu coś o sobie opowiedzieć?

– Może wcześniej po prostu pan nie pytał.

Shipley wzruszył ramionami. Wbił wzrok w trawiastą przestrzeń rozciągającą się między nimi i uśmiech powoli zszedł mu z twarzy.

Louise jeszcze przez chwilę przyglądała się jego profilowi, a potem również spojrzała w stronę pola. Na całe szczęście nikt im nie kazał dołączyć do ekipy poszukiwawczej. Nie była do końca pewna, czy w tym stanie dałaby radę włączyć się po lesie.

Wiedziała przecież, co tam może na nią czekać.

Odczekała stosownie długą chwilę, po czym odciągnęła Shipleya na bok i powiedziała, że chyba byłaby pora znów pojechać do Caroline.

Dyżurna pielęgniarka sprawiała wrażenie zmaltretowanej, jak to one mają w zwyczaju. Zdawała się sugerować, że ona i Louise mają ze sobą coś wspólnego – choć nigdy wcześniej nie rozmawiały. Chyba chodziło o przekonanie, że wykonują tę samą robotę.

Wydawało się, że pielęgniarka traktuje w ten sposób wszystkich przedstawicieli służb ratunkowych.

Louise powstrzymywała głos, który miał ochotę krzyczeć: „To nieprawda! Ty nawet nie masz pojęcia, z czym ja się stykam poza szpitalem. Jakich ludzi spotykam. Z jakim złem mam do czynienia!”.

– Zostawiliśmy ją w tej samej sali – poinformowała pielęgniarka, jednocześnie coś notując w karcie. – Uznaliśmy, że pobyt na oddziale jej się nie przysłuży. Biedaczka ciągle jeszcze bardzo cierpi. Nocna zmiana informowała, że nie mogła zasnąć i że pomogła jej dopiero morfina. Dzięki temu mogła choć przez parę godzin odpocząć.

– Powiedziała coś jeszcze?

Pielęgniarka uniosła brwi i przeniosła wzrok z Louise na Shipleya.

– Coś innego niż to, że potwór ją dopadnie? Nie, właściwie nic więcej. Z drugiej strony, ja tam rzadko bywam. Tylko od czasu do czasu do niej zaglądam. Ona potrzebuje przede wszystkim spokoju. Biedna dziewczyna przeżyła koszmar, co do tego nie ma wątpliwości.

Louise musiała się naprawdę mocno ugryźć w język, żeby nie powiedzieć nic na temat tego całego opowiadania o „biedaczce”.

– Wejdziemy tylko na chwilę – powiedział Shipley w ich imieniu, schodząc z drogi ludziom idącym korytarzem. – Mamy jedynie kilka dodatkowych pytań.

Pielęgniarka nie miała nic do dodania, więc wpuściła ich samych do pokoju. Louise odniosła wrażenie, że było tam ciemniej niż poprzednio i że postać w łóżku jakby się skurczyła.

– Dzień dobry, Caroline – powiedziała Louise, nieco wbrew sobie wchodząc głębiej do pokoju. – Pamięta nas pani, byliśmy tu wczoraj? Detektyw Louise Henderson i detektyw sierżant Paul

Shipley.

Caroline odwróciła głowę w ich kierunku, ale potem wróciła do poprzedniej pozycji. Wzrok miała wbity w sufit i tylko od czasu do czasu mrugała powiekami.

– Tak, pamiętam. Znaleźliście go już?

– Kogo? – zapytał Shipley, wykorzystując przestrzeń, którą Louise zwolniła, gdy przeszła na drugą stronę łóżka.

– No wie pan...

– Może zacznijmy od początku – powiedziała Louise, zanim Shipley zdążył jeszcze cokolwiek powiedzieć. – Czy teraz przypomina pani sobie coś więcej z tego, co się wydarzyło?

Caroline skinęła głową, więc Louise mówiła dalej.

– Kiedy to się zaczęło?

– A jaki mamy dzisiaj dzień?

Louise rzuciła wymowne spojrzenie Shipleyowi. Chciała mu w ten sposób przekazać krótką wiadomość: „Ani słowa!”.

– Wtorek.

– W takim razie dwa dni temu – powiedziała Caroline, nie odrywając wzroku od sufitu. – W niedzielę. Szłam gdzieś, już teraz nie pamiętam po co. Pewnie bez powodu. Czasami tak robię. Nie pamiętam, czemu wybrałam akurat tę drogę. Pewnie chciałam sobie popatrzeć na kanał.

Louise miała rację. Caroline mówiła o tym samym lesie, który ona poprzedniego wieczoru pokazała Shipleyowi na mapie. To był ten sam teren, który teraz przeczesywali funkcjonariusze.

Louise uznała jednak, że to nie jest najlepszy moment, żeby się obnosić z „A nie mówiłam?” przed przełożonym.

– A co pani pamięta z tego spaceru?

Caroline na kilka chwil zamknęła oczy, a potem je otworzyła i spojrzała na Louise.

– Ściemniało się. W sumie nie widziałam już za dobrze, dokąd idę.

Ścieżka nad kanałem nie jest oświetlona. Oddalałam się od drogi, więc postanowiłam zawracać. I wtedy coś wyczułam.

– Co pani usłyszała?

– To nie był dźwięk, w każdym razie nie na początku. Najpierw poczułam zapach. Nie potrafię tego opisać. To było straszne. Niedobrze mi się od tego zrobiło. Śmierdziało jakby zepsutym mięsem. Zgnilizną albo czymś w tym stylu. Nie wiedziałam, skąd się ten zapach bierze. Pomyślałam, że może gdzieś leży jakaś padlina. Lis albo coś. Wracałam po własnych śladach, gdy nagle usłyszałam swoje imię.

Louise starała się nie reagować. Wystarczył rzut oka na Shipleya, żeby stwierdzić, że bacznie jej się przygląda. Louise postanowiła nie zwracać na to uwagi.

– Imię? Ktoś panią zawołał?

Caroline skinęła głową, dłonie złożone na łóżku zaczęły jej się trząść. Zaraz potem zadrżała również dolna warga. Trzęsła się, zupełnie jak gdyby Caroline nie miała nad nią żadnej kontroli.

– Na początku to był szept, ale go usłyszałam, bo było bardzo cicho. Odwróciłam się, ale nikogo nie było. Pomyślałam, że się przesłyszałam, więc szłam dalej przed siebie. Wtedy znów coś usłyszałam. Tym razem głośniejsze. I gdy tym razem się odwróciłam, to coś tam było.

– Mężczyzna?

Caroline nie odpowiedziała. Nie musiała. Louise i bez tego się domyśliła, że podąża właściwym tropem. A jednocześnie niewłaściwym. Warga drżała teraz jeszcze mocniej, a w oczach Caroline stanęły łzy.

– Tak... ale ja jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nie było ciemno, ale nie potrafiłam stwierdzić, na co tak naprawdę patrzę. To nie wyglądało, jak by było prawdziwe. To było po prostu... czarne.



– Czarny facet? – zapytał Shipley zdecydowanie głośniejszym głosem, niż rozmawiały ze sobą kobiety. Najwyraźniej się jednak zorientował, że się niepotrzebnie wtrącił, bo ściszył głos. – To był czarny mężczyzna?

Caroline cały czas patrzyła na Louise, ale gwałtownie pokręciła głową na poduszce.

– Nie, nie. Nie wiem. To nie była istota ludzka. To był tylko mrok. Czarny, straszliwy mrok. Jak czarna dziura, tylko że prawdziwa.

– A co się stało, jak go pani zobaczyła, Caroline? – zapytała Louise, nieco bardziej się nad nią nachylając.

– Chciałam uciekać, ale... nie mogłam się ruszyć. Jak gdyby mnie wmurowało. Nogi mi odmówiły posłuszeństwa. Zrobiło się jakby ciemniej i przestałam cokolwiek widzieć. Coś się do mnie zbliżało i...

– Proszę mówić dalej, Caroline – zachęcała Louise, gdy Caroline urwała, a jej pierś wstrząsnął szloch. Najwyraźniej owładnęły ją wspomnienia tamtych wydarzeń, bo łzy płynęły jej teraz po policzkach równymi strumieniami. – Jest już pani bezpieczna.

– To wszystko. Nic więcej już dobrze nie pamiętam. Poza tym tylko... urywki. Ból, taki straszny ból. Żadnych słów, nic. No i widziałam oczy. Nigdy ich nie zapomnę. Takie bez życia, bez duszy. Nic więcej nie wiem.

Louise wychwyciła pewien charakterystyczny moment, jakby błysk w oku Caroline, gdy ta potrząsała głową. Rozpoznała to – chwilę pojawienia się wspomnienia, które nagle staje przed oczami, ale które człowiek od siebie odpycha. Umysł się broni i odsyła je w nicość. Louise dostrzegła też ruch na skraju swojego pola widzenia. To Shipley się od nich oddalał. Spojrzała na niego i zobaczyła, jak wycofuje się z pokoju. Postanowiła nie zwracać na to uwagi i mówiła dalej.

– A co jest w tych urawkach, Caroline? Co pani pamięta?

– Drzewa, las. Że związana leżałam na ziemi. Albo że stałam. W sumie nie pamiętam. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Usta miałam czymś zasłonięte.

Louise już wiedziała, że Caroline jeszcze wiele sobie przypomni. Przez kolejne miesiące będzie przywoływać z pamięci najdrobniejsze szczegóły i w ten sposób powstanie w jej głowie obraz wydarzeń, które rozegrały się w czasie jej dwudziestoczworgodzinnej niewoli. Te wspomnienia same wypłyną na wierzch albo też ona będzie przez wiele lat walczyć o to, aby się nigdy nie pojawiły. Louise się jednak cieszyła, że Caroline nie wszystko dokładnie pamięta.

Z czasem wspomnienia będą coraz bardziej bolesne. Bezradność, bezsilność wobec krzywdy. Utrata całej dotychczasowej kontroli nad sytuacją. To wszystko będzie się tylko kumulować.

Tak to już jest. Louise wiedziała o tym lepiej, niż by chciała.

– Jak się pani udało uciec, Caroline? – zapytała Louise, przez cały czas uważnie obserwując kobietę w łóżku. – Jak to się stało, że się pani znalazła na tej drodze?

Caroline potrząsnęła głową, a spod mrugających powiek popłynęły jej kolejne łzy.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Po prostu nagle byłam... wolna. Najwyraźniej jakoś się wydostałam z tego miejsca, gdzie mnie trzymał.

Na kilka chwil zapadła cisza. Louise zastanawiała się, jak dopytać o ten element historii.

Nie wierzyła w to, co usłyszała. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Przede wszystkim nie do końca rozumiała, jak Caroline w ogóle znalazła się w lesie. Jakoś nie robiła na niej wrażenia kobiety, która po prostu sobie spaceruje nad dziwnym kanałem. To nie był ktoś, kto chodzi sam w miejsce, którego za dobrze nie zna. Louise sądziła, że Caroline to kobieta aktywna zawodowo. I że na

pewno ma jakąś rodzinę, która się o nią martwi.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Caroline odezwała się sama.

– Tego czegoś tam nie było. Tyle wiem.

– Nie widziała go pani? Zostawił tam panią?

– Nie – odparła Caroline, ponownie przenosząc wzrok na sufit. Mówiła mocniejszym głosem, jakby z większym przekonaniem. – Nie o to chodzi. Jestem absolutnie pewna, że to mnie zamierzało zabić. Nie ma opcji, żeby miało mnie puścić. Od czegoś takiego nie da się uciec.

– Caroline – podjęła wątek Louise po kilku chwilach milczenia. Przygotowywała się na odpowiedź, której nie chciała usłyszeć. Na pytanie, którego nigdy nie lubiła zadawać. – Czy on pani zrobił coś jeszcze? Coś...

– Seksualnego? – dokończyła za nią Caroline niemal szeptem. – Nie, nic z tych rzeczy. To było coś innego. W każdym razie tak mi się wydaje. Czułam głaskanie, po ramieniu, po brzuchu, ale nic więcej.

– Od wczoraj na pewno ktoś panią odwiedzał – powiedziała Louise, zmieniając temat tak szybko, jak tylko się dało. – Dużo osób się o panią martwi? Może partner?

– Nie mam nikogo...

– To może mama albo tata? Bracia, siostry, znajomi?

Caroline potrząsnęła głową, ale nic nie powiedziała.

– Możemy kogoś poinformować, jeśli pani sobie życzy – ciągnęła Louise, którą to pragnienie samotności zgłoszone przez Caroline nagle zbiło z tropu. – Szpital już zresztą powinien był to zrobić...

– Nie – powiedziała Caroline, tym razem zdecydowanie i z przekonaniem. Louise instynktownie odsunęła dłoń, nadal mając w pamięci to, jak mocno poprzedniego dnia palce Caroline zacisnęły się na jej nadgarstku. – Nie chcę, żeby ktokolwiek

wiedział, że tu jestem. Poradzę sobie sama.

– Na pewno? – spytała Louise, zastanawiając się, jak mocno powinna naciskać. – Nie powinna pani przez to przechodzić sama.

– Dobrze się czuję, naprawdę. Wolę dość do siebie i zapomnieć, że to się w ogóle kiedykolwiek wydarzyło. Nie chcę nikogo martwić.

Gromadzili informacje o Caroline i niewiele udało im się ustalić. W policyjnej bazie danych nie znaleźli nic, co by wskazywało, że miała wcześniej kontakt z policją. Żadnych niepokojących sygnałów, żadnych kłopotów – ani w domu, ani w innych sferach. Ot, normalna kobieta prowadząca normalne życie. Louise postanowiła sprawdzić, czy ktoś już rozmawiał z jej kolegami z pracy. Właśnie miała otwierać usta, żeby jej zadać kolejne pytania, ale przerwał jej odgłos głośnego plaśnięcia w drzwi. Szybkim ruchem uniosła głowę i dostrzegła w progu Shipleya, który przywoływał ją wzrokiem. Caroline również na niego spojrzała. Louise wymamrotała kilka przepaszających słów, po czym podeszła do przełożonego.

– Znaleźli coś – powiedział Shipley, gdy stanęła obok niego. W jego głosie pobrzmiwało coś jakby radosne uniesienie. – Wygląda na to, że miałaś rację. Nie bez powodu padło na ten las.

– A jaki to powód? – zapytała Louise, przewidując odpowiedź.

– Ciało.

## Rozdział 6

Louise i Shipley wrócili do lasu w ciągu pół godziny, ale policja z Merseyside najwyraźniej ich ubiegła. Na miejscu roiło się od policjantów po cywilnemu, a oznakowane radiowozy stały w nieładzie na niewielkim parkingu za pubem Bootle Arms. Samochody zajmowały również fragment Rock Lane na zwężającym się odcinku prowadzącym do kościoła.

Gdy wysiadali, na miejsce podjechała kolejna furgonetka wydziału kryminalistyki. Obecność dużych sił policyjnych wzbudziła zainteresowanie niewielkiego tłumu gapiów, którzy starali się podejść teraz nieco bliżej, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Louise przywołała najbliższego policjanta w mundurze i wskazała miejsce na poboczu drogi.

– Proszę rozciągnąć taśmę policyjną aż do tamtego miejsca.

Policjant skinął potakująco głową. W jego zmarszczonych brwiach połyskiwały kropelki potu.

– Co my tu mamy? – zapytał Shipley innego policjanta, który się obok niego pojawił, gdy Louise poszła przestawić samochód.

– Ciało w płaskim grobie – odparł policjant z wyraźną fascynacją, którą z trudem próbował ukryć. – Psy je znalazły. Jeden z mundurowych je dość szybko zidentyfikował.

W oczach Shipleya pojawił się błysk.

– Naprawdę? To przynajmniej o tyle mamy szczęście.

– Chociaż ogólnie dość dziwnie to wygląda – wyjaśniał dalej policjant, spoglądając w kierunku, w którym zmierzała kolejna jednostka techników. – Można odnieść wrażenie, że ktoś przygotował to miejsce, nie wiadomo po co. Jeśli była tam ta kobieta, którą wczoraj znaleźli, to miała szczęście, że udało jej się uciec.

– Do kogo należy to ciało? I jak to się stało, że się je udało tak szybko zidentyfikować?

– Nathan Coldfield. Ten mundurowy miał z nim kilka razy do czynienia. Na przedramieniu miał tatuaż przedstawiający twarz matki, stąd było wiadomo, że to on. Pies, jak zaczął kopać, to najpierw znalazł ramię. Nie wiem, czy w tym przypadku można mówić o szczęściu, ale na pewno ułatwi nam to zadanie.

– Gdzie to jest? – zapytała Louise, która właśnie wróciła. Policjant spojrzał na nią pytająco.

– Jakieś dwieście metrów za linią drzew, w tamtą stronę – powiedział, wskazując na las. – Po obu stronach są gospodarstwa, oddziela je ten las. Z drogi go nie widać.

Louise nie była tym zaskoczona. Na terenie miasta są setki takich miejsc, może tysiące. Ukryte przed światem. Każdy może tam zniknąć i już go nikt nigdy nie zobaczy ani nie znajdzie. Na samą myśl o tym, że w mieście też może się coś czaić, przeszedł ją zimny dreszcz. Że można zniknąć i nigdy nie zostać znalezionym.

„Zachowa kości”.

– To może chodźmy tam i sami zobaczmy – powiedział Shipley i ruszył przed siebie, nie czekając na Louise. – Technicy i tak nas pewnie za blisko nie dopuszczą.

– To nie problem – odparł policjant, który wskazywał im drogę. – Zdecydowanie jest na co popatrzeć.

Przez pole przeszli dość szybko, Louise przez cały czas uważnie

patrzyła pod nogi. Zastanawiała się, w którym kierunku mogłaby uciekać Caroline, gdy się uwolniła. Wyobrażała sobie, że w przeciwnym do tego, w którym oni teraz szli, w stronę budynków wyraźnie rysujących się w oddali. Zdezorientowana kobieta z pewnością wypatrywałaby światła. Oznak życia. Droga, którą teraz Louise przemierzała wraz z dwoma mężczyznami, wydawała się mroczna i mało zachęcająca nawet we wczesnych godzinach wieczornych.

Caroline na pewno nie poszłyby w nieznane.

Zbliżało się do nich kilku mundurowych, którzy jednak zdawali się nie zwracać na nich uwagi. Skupiali się na tym, co mieli przed sobą. Na tym, co czekało na nich między drzewami. Na tym, czego nie było widać.

Kilka minut później Louise pochylała się, żeby przejść pod gałęzią. Rozglądała się za ścieżką, ale niczego nie znalazła.

– Ludzie tu zwykle nie wchodzi – powiedział policjant, zrównując krok z Louise. – Nie ma tu ścieżek ani niczego takiego. Staraliśmy się chodzić mniej więcej tą samą drogą, tak na wszelki wypadek.

– W takim razie prowadź – powiedziała Louise, zatrzymując się i pozwalając mu pójść przodem. Sama ustawiła się jako ostatnia w rzędzie. Gdy szli pośród gęstniejących drzew, spoglądała raz na jedną, raz na drugą stronę.

– Będziemy tu musieli zaczekać, ale chyba stąd dobrze widać?

Shipley zajął miejsce, które mu zwolnił policjant. Odsunął nieco nisko wiszącą gałąź, odsłaniając w ten sposób widok na małą polanę. Całą wolną przestrzeń wypełniali ludzie w ochronnych strojach typowych dla techników kryminalistyki. Ich prace trwały już w najlepsze.

– Na co właściwie patrzę? – zapytał Shipley, zwracając się do policjanta. Louise nie potrzebowała odpowiedzi. Już zdążyła dostrzec znaki na drzewach po drugiej stronie polany.

Na pniach dwóch czy trzech drzew zobaczyła odwrócone krzyże. Po chwili dostrzegła kolejne. Wstrzymała oddech, a serce waliło jej jak młotem. Przed sobą miała polanę, a na niej straszliwy widok.

– On naprawdę istnieje – wyszeptała. Shipley rzucił jej pytające spojrzenie, ale ona tylko potrząsnęła głową. – Co to za znaki? – zapytała, wskazując mu odpowiednie miejsce. Shipley podążył wzrokiem za jej ręką.

– Nie wiem, wygląda jak jakiś krąg.

Louise nieświadomie potarła dłonią o górną część uda. Nie potrafiła oderwać wzroku od tych znaków.

– W środku tego kręgu coś jest – ciągnął Shipley, ponownie odwracając się w jej stronę. – Co to, do licha, jest?

– Nic dobrego, proszę pana – odparł policjant, który teraz stał obok Louise. – Jest w tym coś znajomego. Mnie to wygląda na jakiś kult satanistyczny.

Louise chciała się z nim nie zgodzić. Chciała mu powiedzieć, że się myli. Ona widziała już kiedyś takie znaki. Wryte na szkolnych ławkach, rysowane na okładkach zeszytów ćwiczeń. Gdy była mała, spotykało się je na każdym kroku. Założyła jednak, że Shipley też je w końcu rozpozna, bo też na pewno już je widział. Ostatecznie tylko podeszła krok bliżej, żeby mieć lepszy widok na polanę. Na pniach drzew rosnących wokół polany dostrzegła kolejne znaki. Ziemia w środku była błotnista i przekopana, ale dobrze udeptana.

– Kiedy będą usuwać ciało?

Shipley i policjant zaczęli rozmawiać, a Louise nadal wpatrywała się w polanę w poszukiwaniu czegoś, co przegapiła. Jakiś ślad po tym, że on tam był. Coś więcej niż tylko te znaki. Jakieś resztki zapachu. Wracała myślami do relacji Caroline, która wspominała o zapachu gnijącego mięsa. Wyobrażała sobie, że on się utrzyma w glebie i na korze drzew. Że zostanie wchłonięty i stanie się integralną częścią otoczenia.



Tylko że go nie było.

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Zawołam któregoś z techników.

Louise podeszła trochę bliżej, ale nic to nie dało. Żeby zobaczyć coś więcej, musiałyby wejść na teren, który został już wydzielony jako miejsce zbrodni – a wtedy naraziłyby się na gniew techników.

– Louise, idziesz?

– Tak – odparła, niechętnie odrywając wzrok od polany i wszystkiego tego, co się na niej znajdowało. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy – odparł łagodnym tonem Shipley, gdy szli z powrotem w kierunku większego pola. – Sprawa przybiera dość nieoczekiwany obrót. Wygląda na to, że mamy do czynienia zupełnie z czymś innym, niż mi się wydawało.

– Pewnie tak. Najwyższy czas, żeby się pan w jakiejś kwestii pomylił.

– Często się to nie zdarza – odparł Shipley ze śmiechem. – Bierzmy się do pracy, zanim się w to wszystko wmieszają ludzie od zbrodni. Jak się w końcu pojawią, nie będziemy mieli zbyt wiele do gadania. Sama wiesz, jacy oni są.

Louise wymruczała coś na potwierdzenie, zastanawiając się, czy jest jej to na rękę, czy nie. Nie bardzo wiedziała, czy będzie się cieszyć, jak zostanie odsunięta od tej sprawy, czy też raczej wolałaby się nią dalej zajmować. Czy chce wiedzieć, co się będzie działo na kolejnych etapach śledztwa? Już teraz sprawy toczyły się w dość zaskakującym dla niej kierunku. Ni stąd, ni zowąd pojawiło się ciało. Wszystko zaczęło się od pokiereszowanej kobiety, którą znaleziono na drodze i która w kółko powtarzała to samo imię, a teraz nagle wychodziło na to, że to będzie śledztwo w sprawie zabójstwa.

Louise była niewątpliwie zafascynowana. Wreszcie miała okazję naprawdę czegoś dokonać.

– Będziemy informować rodzinę? – zapytała Louise, gdy wyszli

z lasu i ponownie znaleźli się na polu. – Na podstawie nie do końca wiarygodnej identyfikacji przez jednego tylko funkcjonariusza?

– Oficerowie łącznikowi już jadą pod znany policji adres – powiedział Shipley, napinając szczękę. – Możemy też tam pojechać. Jeśli dotrzemy na miejsce przed nimi, może uda nam się czegoś dowiedzieć.

– Dobra, jadę z panem.

– Te znaki... Już wiem, gdzie je wcześniej widziałem!

Louise wstrzymała oddech, czekając, aż przełożony sobie przypomni.

– Tak?

– Te krzyże i te kręgi – mówił, zatrzymując się na skraju pola. – To miały być rzekomo jego znaki, nie? On miał je po sobie zostawiać...

– Tak mówi legenda – odparła Louise, wzruszając ramionami. W jej głowie kłębiły się jednocześnie myśli pełne ekscytacji i przerażenia. – Jedna i ta sama historia.

– Może jest w tym więcej prawdy, niż mi się wydawało. Nie twierdzą, że potwór istnieje naprawdę, ale zaczyna to wyglądać tak, jak gdyby ktoś nam próbował coś takiego zasugerować.

Louise nie odpowiedziała. Postanowiła pozwolić Shipleyowi zastanowić się nad tym w spokoju. Ruszyła przed siebie, wiedząc, że on pójdzie za nią. Gdy znów stanęli na drodze, odnaleźli jeszcze policjanta, który rozpoznał ciało, i zebrali od niego szczegółowe informacje. Potem wsiedli do samochodu. Radio co rusz się odzywało, ponieważ wieść o poczynionym odkryciu szybko się niosła. Można było odnieść wrażenie, że nic innego się w mieście nie dzieje i że wszyscy mówią tylko o tym, co się wydarzyło na tym małym kawałku zadrzewionej przestrzeni.

Louise zastanawiała się, czy to aby nie dopiero początek. Czy kolejne ciała czekają na odkrycie? To samo pytanie malowało się

zresztą na wszystkich twarzach, które widziała w lesie. Ten sam strach i ta sama fascynacja. Te same uczucia towarzyszyły teraz Shipleyowi. Wszyscy myśleli o tym, że być może na coś trafili.

Louise zastanawiała się, jak długo uda się to utrzymać w tajemnicy – kiedy ludzie ze świata zewnętrznego zaczną nagle postrzegać miejscową legendę jako źródło realnego zagrożenia.

Pół godziny później stanęli przed niczym niewyróżniającym się szeregowcem, znajdującym się na komunalnym osiedlu odległym od centrum o dwadzieścia minut jazdy. To było drugie oblicze Liverpoolu, które Louise rzadziej miała teraz okazję oglądać – odkąd już nie chodziła w mundurze i przeprowadziła się bardziej na północ, zamieszkiwaną generalnie przez nieco zamożniejszych ludzi. Wszystkie mury wymalowane graffiti i skrawki zaniedbanej zieleni. Uliczki zamknięte metalowymi bramami, pod którymi ludzie ustawiają na stertach połamane meble. Firanki uchylające się na widok nieznanomych samochodów.

Zaparkowali za radiowozem, przed którym stał inny nieoznakowany samochód policyjny. Louise go rozpoznawała.

– Szybcy są – powiedziała, odpinając pas w momencie, gdy Shipley zaciągał ręczny. – Nie marnują czasu.

Miał jej odpowiedzieć, ale ich uwagę przykuł krzyk, który dobiegł z drzwi najbliższego domu.

– Domyślam się, że ktoś właśnie otrzymał smutną wiadomość.

Louise skinęła tylko głową. Shipley się skrzywił, a potem znów spojrzał w stronę tego domu.

## Rozdział 7

Louise bujała się na stopach w przód i w tył, czekając, aż nieorientowany we wszystkich szczegółach policjant w końcu sobie pójdzie. Gdy wyszedł, odetchnęła przeciągle. Zapanowała cisza. Matka mężczyzny, którego znaleziono w lesie, została zawieziona do kostnicy. Tak w każdym razie przypuszczała Louise. Tam miała czekać na swojego syna. Louise stwierdziła nagle, że rozmyśla o tym, jak się ta kobieta będzie czuła w tym momencie. W pewnym stopniu się z nią utożsamiała. Przez lata wielokrotnie zdarzało jej się pukać do drzwi z wiadomością o śmierci kogoś bliskiego, ale nadal nie potrafiła zdefiniować „normalnej” reakcji.

Zdawała sobie sprawę, że każdy to przyjmuje inaczej. Dwie takie same reakcje jeszcze jej się nigdy nie zdarzyły.

Niektórzy zanosili się płaczem. Inni krzyčili. Jeszcze inni zamykali się w sobie. Jeszcze inni zwracali się do Boga i prosili o zmianę decyzji lub o wewnętrzny spokój.

Zdarzali się też ludzie, którzy próbowali w ogóle nie myśleć o danym zdarzeniu i o losie, który spotkał ich bliskich. Nie chcieli znać prawdy. Woleli udawać, że nic z tego nigdy się nie wydarzyło. Że ten człowiek, którego kochali i którego stracili, po prostu nigdy nie istniał. Że ta strata w żaden sposób ich nie dotknęła.

Spokój panujący w pokoju dopełniały promienie słońca

przenikające przez firany zdobiące wykuszowe okno. Louise zrobiła kilka kroków w stronę światła i zdjęła z parapetu fotografię. Gdy po nią sięgała, firana niespodziewanie się poruszyła. Louise dotknęła palcami twarzy młodego chłopca, którego zobaczyła na zdjęciu. Zastanawiała się, czy należy do tego samego człowieka, którego ciało jest właśnie wydobywane z ziemi.

Dostrzegła niewinność twarzy, jeszcze nienadszarpniętą upływem czasu.

– Dobre chociaż to, że to nie nam przyszło przekazywać złe wieści.

Louise podskoczyła na dźwięk głosu Shipleya. Odstawiła zdjęcie na miejsce. Odwróciła się i uśmiechnęła się bez przekonania.

– Marna to pociecha.

– Ona ma jeszcze jedno dziecko – powiedział Shipley, nie bacząc na jej reakcję. – Ma na imię Anna, ma trzydzieści lat. Domyślam się zatem, że większość tych zdjęć przedstawia naszą ofiarę.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Louise, a potem zaczął się rozglądać się po pokoju. Louise podążyła za nim wzrokiem. Właściwie na każdej półce znajdowały się zdjęcia. Cztery wisiały też na ścianie nad skórzaną sofą. Kilka kolejnych stało na komodzie. Jeszcze dwa na kominku. Każde przedstawiało inny etap jego życia. Były wśród nich fotografie z czasów szkolnych, na których chłopiec miał na sobie mundurek – na początku roku zapewne dobrze dopasowany, ale z czasem coraz ciaśniejszy.

– Za dobrze tego nie przyjęła.

– Dziwi pan się? – odparła Louise nieco ostrzejszym tonem, niż planowała. Shipley chyba nie zwrócił na to uwagi, więc mówiła dalej. – Na pierwszy rzut oka widać, że był jej pupilkiem. Córki prawie na zdjęciach nie ma. Założę się, o co pan chce, że on się wiecznie pakował w jakieś kłopoty, że ona go miała za swojego uroczego hultaja. Córka pewnie była uprzejma i normalna. Na tyle normalna, że nigdy nikomu nie podpadła i nie zwracała na siebie

uwagi. Mundurowi, którzy tu byli jako pierwsi, twierdzą, że on tu pomieszkiwał. Pojawiał się bez zapowiedzi i zostawał na kilka dni. A potem znowu znikał – dokończyła myśl. – Znamy takich. Hulaszczy tryb życia w połączeniu ze świadomością, że jak się zrobi za ciężko, to zawsze można wracać do domu.

– Pewnie dlatego nie było zgłoszenia o zaginięciu. Ona nie wiedziała, że coś mu się stało. To nam utrudni kreślenie osi czasu wydarzeń. Jeśli nie znajdziemy jakiegoś jego kumpla, który zechce z nami porozmawiać, nie będziemy w stanie ustalić, kiedy zniknął lub został uprowadzony. Ani kiedy zmarł... W każdym razie dopóki nie będzie wyników sekcji.

– Miał swój pokój?

Shipley skinął potakująco głową. Wyciągnął rękę w stronę drzwi, wskazując znajdujące się za nimi schody. Louise poszła przodem, pokonując po dwa stopnie jednocześnie. Potrzebowała zaledwie kilku sekund, żeby dostać się na górę. Zaczekała na Shipleya, a potem otworzyła najbliższe drzwi. Za nimi znajdowała się łazienka, więc zaraz potem otworzyła kolejne. Shipley stał już obok niej na piętrze. Drzwi do głównej sypialni były lekko uchylone. Szybko i bez trudu stwierdzili, że ten pokój zajmuje starsza pani. Louise wyjęła z kieszeni rękawiczki i nasunęła je na blade dłonie.

– Kobieta mówiła, że on tu trzyma jakieś rzeczy osobiste, ale jej zdaniem nie będzie to nic przydatnego – powiedział Shipley, przyglądając się, jak Louise sprawdza kolejny pokój. – Ona już to wszystko kiedyś przejrzała. Zawsze jednak istnieje możliwość, że znajdziemy tu coś, na co ona nie zwróciła uwagi. Pewnie by trzeba założyć rękawiczki.

– Oczywiście – odparła Louise, odwracając się do Shipleya i pokazując mu dłonie ukryte pod ochronną warstwą. – Zawsze wybiegam myślami w przyszłość, proszę pana.

Shipley uśmiechnął się do niej, prezentując dwa rzędy niemal

idealnych zębów (tylko dwa na dole były lekko ukruszone).

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tak do mnie nie mówiła? Czuję się od tego jak mężczyzna w średnim wieku, a przecież jestem od ciebie tylko kilka lat starszy.

„Co najmniej pięć albo sześć”, pomyślała Louise, ale nie powiedziała tego na głos.

– A jak niby mam mówić? Po nazwisku? To nie wypada.

– To może będziesz do mnie mówić Paul, jak już cię zresztą prosiłem milion razy – odpowiedział Shipley. Jego twarz rozluźniła się, gdy zniknął z niej uśmiech. – W końcu tak mam na imię. Pracujemy ze sobą na tyle długo, że mogłabyś mi mówić po imieniu.

Louise wymamrotała jakąś odpowiedź, a potem odwróciła się do niego plecami.

– W takim razie niech będzie Paul – powiedziała, otwierając kolejne drzwi. Wypuściła głośno powietrze, dając w ten sposób wyraz swojemu zaskoczeniu.

– Jezus, Maria! Właśnie odbyliśmy podróż w czasie.

– Tu jest jak w muzeum.

Na ścianie wisiał z jednej strony już trochę odlepiony – bo widać masa mocująca, która go trzymała, w końcu postanowiła rozprawić się z duchem – plakat przedstawiający braci Gallagherów w typowej manchesterskiej pozie. Obok wisiało zdjęcie drużyny Everton sprzed ponad dwudziestu lat. Na przeciwległej ścianie wisiał plakat z filmu *Trainspotting*.

– Ile on tak dokładnie miał lat? – zapytała Louise, wchodząc do pokoju. – Teraz mnie oświeciło, że powinnam nieco wcześniej zadać to pytanie.

– Podobno trzydzieści dwa – odpowiedział Shipley, który stał w progu z rękami na bokach. Rozglądał się po wnętrzu, przez cały czas kiwając głową. – Patrząc na ten pokój, można by przypuszczać, że wyprowadził się stąd w latach dziewięćdziesiątych i od tamtej

pory już go nie było. Normalnie Britpop w pigułce.

– Najwyraźniej nigdy się nie zabrał za remont tego pokoju. A może był po prostu nostalgiczny? Może to mu pomagało wspominać lepsze czasy?

– To mógłby być mój pokój – stwierdził Shipley, podnosząc z szafki przy łóżku płytę Stereophonics. Zaraz potem odłożył ją na miejsce, obok zegarka z budzikiem, który wyświetlał cyfry na czerwono i wskazywał czas, który był poprawny jakieś dziewięć godzin wcześniej. – Zaczynaj od tamtych szuflad. Zobacz, czy coś się tam znajdzie.

Louise się odwróciła i podeszła do komody z szufladami, która stała naprzeciwko łóżka. Z okolicy stolika stojącego przy łóżku dobiegł ją dźwięk otwieranej szuflady, a zaraz potem krótki okrzyk, Louise jednak skupiała się na własnych poszukiwaniach. Nachyliła się, wyjęła dolną szufladę i położyła ją na podłodze. Opadła na kolana i zaczęła przeglądać jej zawartość. Znalazła stare recepty, egzemplarz magazynu „Loaded” sprzed ponad dwudziestu lat i skrawki papieru z najróżniejszymi zapiskami. Były na nich numery telefonów, które oczywiście trzeba będzie sprawdzić, ale które zapewne już nie działają. To były numery stacjonarne, jeszcze z czasów, gdy się tak powszechnie nie korzystało z komórek.

Znalazła kilka pożółkłych ze starości bibulek do tytoniu, pudełko filtrów, rozgniecione tanie cygaro i parę starych monet.

– Masz coś? – zapytał Shipley.

Louise zaczęła rozkładać swoje znaleziska na stosiki.

– Chyba tylko góra śmieci.

– Ja tu mam tylko starą bieliznę i koszulki. W sumie mniej więcej tego się spodziewałem. Czyli nic o Kościuchu nie znalazłaś?

W jego tonie dało się słyszeć lekkość. Próbował dać jej do zrozumienia, że żartuje, ale ona wiedziała, że przełożony teraz już na poważnie wątpi w słuszność swojego pierwotnego instynktu.



– Na razie nic tu na mnie nie wyskoczyło.

– Powiedziałbym, że był w odpowiednim wieku, kiedy ta historia cieszyła się największą popularnością – powiedział Shipley, ścisząc głos, zupełnie jak gdyby właśnie sobie przypominał swoje doświadczenia z tą lokalną legendą. – Pod koniec lat osiemdziesiątych i potem jeszcze w dziewięćdziesiątych to był wielki hit. W sumie ciekawe, czy ciągle się jeszcze o tym mówi.

– Wyobrażałam sobie, że tak – odpowiedziała Louise, która wcześniej to sprawdziła i potwierdziła w internecie. Miała zamiar skłonić Shipleya, żeby sam to sprawdził. Na razie nie bez satysfakcji obserwowała, jak do tego dojrzeła. – Dzisiejsze dzieciaki specjalnie się od tamtych nie różnią. Dalej szukają sposobów na to, żeby innym napędzać stracha.

– Prawda, ale to jest stara historia. Można by przypuszczać, że od tamtej pory zdążyły sobie już znaleźć coś nowego.

– Te stare historie są najlepsze. Większość ludzi w naszym wieku pewnie już zdążyła opowiedzieć tę historię swoim dzieciom.

– A ty kiedy ją pierwszy raz usłyszałaś?

Louise zamilkła na chwilę, wracając myślami do momentu, w którym jej brat po raz pierwszy wspomniał o potworze.

*Mówią o nim Kościuch. Chowa się w lesie i porywa ludzi. Pamiętasz Dennisa, który mieszkał kawałek od nas?*

*Przeprowadzili się, nie?*

*Dorośli by chcieli, żebyśmy tak myśleli, Lou. On zaginął i nigdy nie wrócił, a oni się tak bardzo bali, że się przeprowadzili, żeby uciec od Kościucha. On w następnej kolejności miał się zająć właśnie nimi.*

*Bujasz.*

*No to może idź sama do lasu. Jeśli ci się wydaje, że kłamię, to idź i sama się przekonaj.*

Louise uśmiechnęła się sama do siebie, wspominając łobuzerski

uśmiech, z którym brat wciskał jej tę historię. Tak niewiele miała wspomnień, które by się z nim wiązały – więc kurczowo trzymała się tych nielicznych. Ostatecznie nigdy nie poszła sama do lasu. Nawet gdy już była starsza.

Nigdy nie widziała takiej potrzeby.

– Pewnie jakoś w szkole – powiedziała w końcu, nie odwracając się do Shipleya, żeby jej przypadkiem nie przyłapał na kłamstwie.

– Tak samo jak wszyscy. Coś żyło w lesie. Coś zabierało ludzi i oni przez to znikali, zupełnie jak gdyby nigdy ich nie było. Ciało miał zdejmować pasmami, a kości zostawiać. Znana historia. Miał się zbliżać bezszelestnie, jak duch.

– Albo potwór – powiedział cicho Shipley, a potem wzruszył ramionami, jak gdyby wspominał właśnie czasy, gdy takie rzeczy traktował poważnie.

– Właśnie. Tylko że my przecież nie wierzymy ani w duchy, ani w potwory. W żadne stwory, które się kryją po lasach i porywają ludzi. Dorastamy i uświadamiamy sobie, że to były tylko historie, które dzieciaki opowiadały, żeby napędzać sobie nawzajem stracha. To tylko historia.

– Te znaki na drzewach. To pewnie dzieciaki, nie?

– To by był niesamowity zbieg okoliczności. Przecież w tym samym miejscu znaleźliśmy ciało...

Shipley nic więcej nie powiedział, więc Louise wyjęła kolejną szufladę i kontynuowała poszukiwania. Słońce w końcu zdecydowało się zaprezentować swoje oblicze. Zaświeciło przez jednodzielne okno, a jego promienie wpadły pomiędzy Louise a Shipleya. W przestrzeni między dwojgiem policjantów tańczyły teraz kłęby kurzu, tym liczniejsze, im więcej różnych rzeczy zdołali już poruszyć.

Zawartość drugiej szuflady była nieco inna. Louise znalazła kilka wydań rocznych różnych publikacji (komiksu *Beano* i magazynu

„Match”), a także Księgę rekordów Guinnessa i kilka zajęchanych elektronicznych zabawek. „To pewnie szuflada z nieudanymi prezentami gwiazdkowymi”, pomyślała Louise sama do siebie i lekko się uśmiechnęła, ponieważ sama miała taką jako nastolatka. Na ogół trafiały tam tanie prostownice do włosów, marne wody perfumowane i różne inne drobiazgi, które zdaniem dziadków mogły jej się spodobać. Przeszukiwali pokój jeszcze przez pół godziny, ale nic ciekawego nie znaleźli.

– Mówię ci, że jednego dnia odpowiedź będzie na nas czekać wypisana pisakiem na białej tablicy – powiedział Shipley, gdy wstawał od niewielkiego grzejnika, za który przed chwilą zaglądał.  
– To by nam znacznie ułatwiło sprawę. Choćby dlatego, że nie trzeba by przeglądać cudzych szuflad z bielizną.

– Mnie się kiedyś coś takiego przytrafiło.

Shipley przerwał pracę i odwrócił się do Louise. Spojrzał na nią z uniesionymi brwiami.

– Serio?

– Tak – odparła, rozglądając się po pokoju i sprawdzając, czy aby czegoś jeszcze nie należałoby sprawdzić. – Chociaż tablica nie była biała. Pracowałam wtedy jeszcze w mundurze i sprawdzałam dane dotyczące ubezpieczenia społecznego. To była młoda dziewczyna, miała co najwyżej siedemnaście lat. Mieszkała ze starszym mężczyzną, który się nie podobał jej rodzicom. Późniejsze wydarzenia potwierdziły, że rodzice mieli rację. Już teraz nie pamiętam, jak ona się nazywała, ale dotarliśmy pod ostatni znany adres i nikt nam nie otworzył. Sierżant kazał nam wejść do środka siłą, ale drzwi udało nam się sforsować po cichu. W korytarzu stała czarna tablica, oparta o schody. Widniał na niej napis: „Ona jest w stodole. Nie chciała przestać się kłócić. Proszę, pochowajcie nas razem”.

– Proszę, jakie to miłe z jego strony.

– Spodziewaliśmy się, że znajdziemy jego ciało, ale on leżał na podłodze w łazience z żyłką w dłoni. Nie potrafił się zdobyć, żeby to zrobić... Potem się okazało, że jej też nie zabił. Tylko ją zamknął w stodole, najpierw narzucając na nią koc. Myślał, że ją zabił podczas kłótni, ale w rzeczywistości tylko jej rozbił czaszkę.

– Zdarza ci się czasem pomyśleć, że gdyby nie przemoc domowa, to nasza praca byłaby nudna? Że właściwie nie mielibyśmy nic do roboty.

– Zawsze zostawałoby nam to... Tu chyba nie może być mowy o tym, że dwoje ludzi się pokłóciło i w rezultacie on ją załatwił.

– No chyba że Nathan spotykał się z Caroline, a jej się po prostu wszystko wymieszało w głowie.

– No tak, to zwykle tak właśnie wygląda. Ludzie się kłócą, a potem człowiek popełnia samobójstwo i sam siebie zakopuje gdzieś w lesie.

– A może było na odwrót?

– Czyli że Caroline się pocięła po tym, jak zakopła swojego chłopaka w lesie? Można by to wziąć pod uwagę, gdybyśmy znaleźli między nimi jakiś związek, ale coś mi mówi, że tych dwoje nigdy się nie spotkało.

Shipley nie bardzo mógł się nie zgodzić, więc odwrócił się do niej plecami. Odstawił od ściany komodę, z której Louise przed chwilą wyjmowała szuflady. Ona usunęła mu się z drogi, cały czas rozmyślając o licznych przypadkach incydentów domowych, które miała okazję badać przez te wszystkie lata pracy. Planowała kiedyś znaleźć czas i ustalić, jaki odsetek wszystkich spraw brał się z tego, że kłótnia „wymknęła się spod kontroli” (zdecydowanie nie lubiła tego określenia).

Spodziewała się, że to będzie duża liczba.

Louise była ciekawa, jak to się dzieje, że ktoś się posuwa aż tak daleko. Jak to możliwe, że miłość w jednej chwili przeradza się

w nienawiść? Skąd się bierze to przemożne pragnienie wyrządzenia krzywdy drugiemu człowiekowi, za sprawą którego życie obojga na zawsze się zmienia? Jak wiele trzeba mieć w sercu trucizny, aby w jednej chwili stać się kimś innym i pragnąć skrzywdzić kogoś, kogo się teoretycznie kocha najbardziej na świecie?

Myślała o frustracji, która narasta i przeradza się w przemoc.

Czy zabójcy mają w sobie coś wyjątkowego? Czy może każdy z nas ma gdzieś w sobie tę brutalność?

– Nic ciekawego nie ma za tą komodą – stwierdził Shipley, przerywając ciąg jej myśli. Louise w sumie się cieszyła, bo na chwilę oderwała się od ponurych rozważań, w których pograżył się jej umysł. – W ogóle nic tu nie ma.

– W dolnej szufladzie była cała masa różnych drobiazgów, ale chyba nic nie ma wartości dowodowej. Pomóż mi odsunąć łóżko. Zobaczymy, czy może tam się coś znajdzie.

Shipley potrząsnął głową i coś wymamrotał pod nosem, ale ostatecznie podszedł jej pomóc. Pewnie robił sobie wyrzuty, że sam tam wcześniej nie zajrzał. Podnieśli łóżko i przemieścili je w stronę drzwi, odsłaniając wszystko, co się znajdowało pod spodem. Stare czasopisma ustawione w stosiki, ale podtrzymywane przez łóżko, teraz rozsypały się po podłodze. Wystarczyło zerknąć na okładkę, aby stwierdzić, że są nieco bardziej dosłowne niż „Loaded”, które Louise znalazła wcześniej w szufladzie. Razem z gazetami na podłogę posypały się też pozbijane w kulki stare chusteczki, wcześniej wepchnięte za łóżko. Louise postanowiła ich już dalej nie przesuwac.

Nieświeży zapach uniósł się spod łóżka i powoli zaczął się rozprzestrzeniać na cały pokój.

Shipley wyprostował się i zmarszczył nos.

– Dość to normalne w przypadku pokoju nastolatka, ale ten facet był znacznie starszy. Nic go nie usprawiedliwia. Z drugiej strony,

przynajmniej się to wpisuje w ogólny obraz tego wnętrza.

Louise nic nie odpowiedziała. Przykucnęła i podniosła kilka czasopism, żeby obejrzeć ich okładki.

– Tyle że to nie są „Razzle” czy „Playboy” – powiedziała, pokazując Shipleyowi jeden z egzemplarzy. – To po holendersku albo po niemiecku, albo w jakimś innym języku, którego nie znam, ale tak czy owak nie sądzę, aby u nas w kraju dało się kupić coś takiego.

Odczekała chwilę, aby Shipley mógł się zorientować, co mu pokazała. Humor jej się poprawił, gdy przełożony pokiwał głową z odrazą.

– *Bloedchande*. Ja wiem, co to znaczy.

– Co takiego?

– Kazirodztwo. Zresztą moim zdaniem te dziewczyny nie wyglądają, jakby osiągnęły wiek uprawniający do uprawiania seksu. Moim zdaniem te materiały nie zostały tu legalnie sprowadzone.

Louise skinęła głową potakująco i przejrzała kilka kolejnych egzemplarzy. Znalazła w nich podobne zdjęcia. Ułożyła gazety na stercie i całość odsunęła na bok. Potem przeszła do kolejnych rzeczy i w rogu dojrzała coś, co zapewne zmieniło położenie, gdy odsunęli łóżko. Zdjęcie. Uniosła je w górę i uważnie mu się przyjrzała. Rozpoznała miejsce, w którym zostało zrobione.

– Co tam masz?

Louise nie odpowiedziała, tylko jeszcze uważniej spojrzała na zdjęcie. Na odwrocie dostrzegła napis. Gdy odczytywała jego treść, serce zaczęło jej szybciej bić. Starła się zapanować nad oddechem, ale ręce zaczęły jej się trząść i nic nie była w stanie na to poradzić.

– No mów, na co tam patrzysz? – powtórzył Shipley, tym razem ostrzej. Kucnął obok niej, więc już nie mogła schować przed nim zdjęcia.

– Wygląda jak ten sam chłopak, co na zdjęciach na dole – powiedział, przejmując od niej fotografię. – Chociaż oczywiście trochę starszy. Zdjęcie chyba zrobiono całkiem niedawno.

Louise nadal milczała. Czekwała, aż Shipley zajrzy na drugą stronę.

– Miejsce wygląda znajomo, ale do końca nie wiem...

– To na południu miasta – wyszeptała Louise, a potem odchrząknęła. – W sumie to pewnie może być wszędzie.

– Wydaje mi się, że masz rację – powiedział Shipley, przysuwając zdjęcie bliżej twarzy. – Nie bardzo wiem, co jest w tym takiego istotnego.

Potem odwrócił fotografię i zamarł.

Louise czekała, aż Shipley przeczyta napis i na nią spojrzy.

– No cóż. To dość znacząco zmienia postać rzeczy.

Na drugiej stronie zdjęcia pospiesznie nabazgrołono „Kościuch”. Pod spodem jeszcze „RD” i jedno słowo.

„Istnieje”.

## Rozdział 8

To było na moment przed tym, zanim to się stało. Krótka chwila, tuż przed tym, jak został porwany, która mogła całkowicie odmienić bieg wydarzeń. Gdyby mógł zmienić jeden moment w swoim życiu, to właśnie ten by wybrał. Być może odmieniłby w ten sposób swój los. Być może uchroniłoby go to przed bólem i śmiercią w męczarniach.

Nie tak miał umrzeć. Nie w bólu. Nie tak szybko.

Carl Groves doskonale wiedział, co ludzie o nim myślą. Że jest pasożytem. Że tylko tlen się na niego marnuje. Że jest zakałą społeczeństwa. Należał do tych ludzi, na których inni starają się nie zwracać uwagi. Cokolwiek się w jego życiu wcześniej wydarzyło, ludzie oceniali go tu i teraz – i nic nie mógł na to poradzić. Coraz mniej mu to przeszkadzało. Niech sobie inni myślą, co chcą. Nie są lepsi ani od niego, ani od tysięcy innych ludzi, którzy się znajdują w takiej samej sytuacji. Każdego tylko jedna zła decyzja dzieli od momentu, w którym się siada przy bankomacie albo pod sklepem i zebrze o drobniaki. Tyle wystarczy, żeby każdy z tych ludzi skończył tak samo jak on.

W przypadku Carla to się jednak nie ograniczało do jednego złego wyboru. Ogólnie o jego losie zadecydował cały szereg fatalnych decyzji podejmowanych przez ludzi, którzy teoretycznie mieli się



nim opiekować.

Tak oto, mając lat dziewiętnaście, Carl starał się za wszelką cenę zdobyć kilka groszy na papierosy, żeby się pozbyć tego głodu, który go nękał od samego rana. W schronisku, w którym mieszkał, dostawał wodę i jedzenie (o ile to tak można nazwać), a ponieważ cały zasilek rozszedł się już w ciągu kilku pierwszych dni, Carl był zmuszony robić to, co zwykle. Zawsze się dziwił ludziom, że takie rzeczy wyrzucają. Spiesząc się, żeby wsiąść do nadjeżdżającego autobusu, bez zastanowienia gasili do połowy tylko wypalonego papierosa. Potrafili też wyrzucić w połowie jeszcze pełną butelkę soku albo nawet czegoś mocniejszego. Dzięki temu Carl był w stanie jakoś wytrzymać do posiłku, który serwowano w schronisku.

Szwendał się po ulicach i marnował czas. Poza czasem jednak nic innego nie miał. Godzina za godziną – i nic do roboty. Żadnych planów. Żadnego miejsca, do którego musiałby pójść. Żadnych przyjaciół, z którymi mógłby się spotkać. Nic do roboty, poza chodzeniem. Chodził zatem. I chodził.

Czasami znajdował w sobie dość energii, aby iść gdzie go nogi poniosą, na ogół jednak pokonywał tę samą trasę. Schronisko znajdowało się w gęsto zabudowanej okolicy, ale wystarczyło iść przez pięć czy dziesięć minut w dowolną stronę, żeby nagle znaleźć się na wiejskiej ścieżce, prowadzącej wśród pól i lasów. Rzadko kiedy mijał go jakiś samochód, gdy się tak włóczył noga za nogą wzdłuż połaci trawy. Jeśli już coś przejeżdżało, Carl schodził z jezdni.

Ten sam spacer wypełniał mu dzień po dniu. Wychodził ze schroniska o dziewiątej, a wracał o piątej albo szóstej po południu. Potrzebował czegoś, co by mu wypełniło czas między tymi dwoma punktami.

Miał zaledwie dziewiętnaście lat, a jego przyszłość już malowała

się w nieciekawych barwach. „Zawsze mogło być gorzej”, myślał, gdy tak sobie szedł tą samą trasą, co zwykle. Mógł już nie żyć. W końcu uciekł od agresji i przemocy. Jego mama nie miała tyle szczęścia. Na pogrzeb nie poszedł. Przerosło go to. Nikt nie powinien oplakiwać swoich rodziców w wieku czternastu lat.

Nie do końca wiedział, jaki wyrok dostał ojciec. Nie interesowało go to. Wyjechał z miasta, w którym się urodził. Przeprowadził się na południe, do Liverpoolu. Miał tam szukać lepszego życia, a skończył oczywiście na ulicy, bo przecież z przeszłością wcale nie tak łatwo jest się rozstać.

Wokół panował całkowity spokój, jeśliby nie liczyć tego jednego momentu, w którym jakby coś się obok niego zmieniło. To było tuż przed tym, jak nastąpiła ciemność. Wcześniej nic nie mógłby zmienić, choćby się nie wiadomo jak starał. Bieg jego życia był wytyczony od chwili jego narodzin. Może coś by to dało, gdyby się cofnął w czasie i zapobiegł swojemu przyjściu na świat, ale w to wątpił. Potem już nic nie dało się zrobić.

Carl mógł być w tym momencie w innym miejscu. W dowolnym innym miejscu. Może gdyby miał lepszy refleks, to by się szybciej zorientował, co się dzieje. Ostatecznie jednak gdy słońce zniknęło za chmurami w swojej wędrówce na drugą stronę globu, on nawet nie zauważył tego mroku, który miał go za chwilę pochłonać.

Poczuł tylko tępe uderzenie. W tym momencie nie było bólu, nie krzyknął z przerażenia. W jego świecie na chwilę rozbłysło światło, a potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wszystko się rozmasało. Coś go ciągnęło, bo oddalał się od drogi. Jego ciało znikało w krzewach i przestrzeni za nimi.

Próbował podnieść głowę, ale nic z tego nie wyszło. W jego pamięci zapisały się kolejne rozbłyski i kolejne uderzenia. Czuł powolne pulsowanie w tylnej części głowy. Bólu na razie nie.

Ból miał się pojawić dopiero później.

Przytomności wyrzekł się bez oporu, mrok przyszedł niespodziewanie. Gdy wrócił do siebie, nie mógł się ruszyć. Wszystkie kończyny mocno go bolały, gdy próbował nimi poruszać. Każdy ruch głowy wywoływał przeszywający ból.

Głowa gwałtownie opadła mu do przodu. Kaszel przynosił niewypowiedziane cierpienie. W gardle nagromadziła się gorycz, która wylewała się z jego ust bez ostrzeżenia. Całe ciało zwijało się z bólu. Otworzył oczy i próbował się rozejrzeć wokół siebie, ale odnotował tylko, że zrobiło się ciemno i zimno.

Zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Nic z tego nie rozumiał. Co się stało? Gdzie jest? Gdy trochę oprzytomniał, próbował sobie przypomnieć, jak się tu właściwie znalazł. Miał z tym o tyle problem, że nie bardzo wiedział, gdzie właściwie jest owo *tu*.

Niebo nad jego głową jeszcze bardziej szerniało. Carl sobie jednak uświadomił, że padł na niego jakiś cień. Nie do końca mu się to zgadzało, bo przecież było ciemno. Był wieczór. Skąd cień, skoro nie ma słońca?

Wtedy poczuł zapach.

Znał tę woń. Poznał ją na ulicach centrum miasta. W środku nocy, gdy szukał jakiegoś miejsca, z którego by go nie usunięto. W małej uliczce, w pobliżu klubów, które późną porą wreszcie ściszały muzykę. Z tych klubów wychodzili niczego niepodejrzewający młodzi ludzie. Szwendali się potem w poszukiwaniu taksówki albo nocnego autobusu, który by ich zawiózł do domu. Nawet nie wiedzieli, że obok czegoś takiego przechodzą.

Ten zapach czaił się w alejce. Pochodził z ciała człowieka, który w końcu się poddał, a którego po śmierci nikt nie znalazł. Carl przetrząsnął wszystkie kieszenie ubrania, zabierając z nich, co się tylko dało. Spodziewał się, że ciało będzie sztywne, ale okazało się miękkie i giętkie. „Pewnie kilka dni już tu leży”, pomyślał. Ten

odór wkrótce ściągnie tu ludzi, ale on był pierwszy.

Dwa funty i pięć papierosów.

To był zapach śmierci. Ten zapach teraz nad nim stał. Carl nie widział jego twarzy ani żadnego nawet zarysu. On leżał bezradny na ziemi, a z góry spoglądał na niego i spływał mrok.

Ziemia. Twarda. Na dworze. Wiatr szeleścił pośród liści, więc to pewnie gdzieś w pobliżu pól, domyślił się. Tereny wiejskie ukryte gdzieś w dużym północnym mieście.

Nawet jeśli zacznie krzyczeć, nikt go tu nie usłyszy. Zresztą i tak nie dałby rady krzyczeć. Uświadomił sobie, że oddycha płytko i że coś mu utrudnia nabieranie powietrza do płuc.

Usta miał czymś zatkane.

„Dlaczego ja?“, zastanawiał się Carl. „Tylu jest innych ludzi, którzy bardziej niż ja zasłużyli sobie na to, żeby ich coś takiego spotkało“.

Majaczący nad nim cień lekko się poruszył, więc jego oczy zyskały kolejną szansę, aby się trochę rozejrzeć wokół. Carl przymrużył powieki, żeby coś widzieć w ciemności. Nasłuchiwał jakiegoś ruchu, ale wokół panowała całkowita cisza. Tylko od czasu do czasu wiatr poruszał liście gdzieś w pobliżu.

Głos, gdy się w końcu odezwał, brzmiał zupełnie zaskakująco. Zaskoczył go, plując mu wilgocią do ucha. Szeptał z wielkim zapamiętaniem. Był nieludzki. Pozbawiony jakichkolwiek charakterystycznych cech.

Nieprawdziwy. Nie mógł być prawdziwy.

– Czekałem na ciebie.

W jego głosie rozbrzmiała piosenka. W schronisku sporo się o tym mówiło... O tym czymś, co żyje w lesie. O innych bezdomnych, którzy znikali i których nikt już potem więcej nie widział.

To była miejscowa legenda o czymś, co czekało na nich w ciemności.

„Kościuch nadchodzi. Kościuch prawdziwy. Nieposkromiony. Na nic wrażliwy”.

Wraz z pierwszym nacięciem z oczu popłynęły mu łzy. Rana powstała na brzuchu i z każdą chwilą piekła coraz bardziej. Carl otworzył usta, żeby krzyczeć, ale coś tłumilo jego głos. Próbował się uwolnić, ale był mocno przytwierdzony do ziemi. Tylko oczami mógł poruszać. Dostrzegął w ten sposób tylko urywki.

„Płacz nie pomoże. Porwie cię w złości”.

Carl słyszał w głowie słowa innych sierot i przybłądów ze schroniska, jak późną nocą ściszym głosem rozmawiali o duchu, który między nimi żyje. Jak opowiadali sobie historię, którą znali z dzieciństwa. Zdawali się mówić swobodnie, ale on doskonale wiedział, jak bardzo się boją.

Oni wiedzieli, że trzeba się bać tego, co tam się czai. Co na nich czyha.

„Pokroi ciało. Zachowa kości”.

## Rozdział 9

W pomieszczeniu było zimno. Jedyne grzejnik z jakiegoś niewiadomego powodu nie grzał. Shipleyowi to najwyraźniej nie przeszkadzało. Siedział przy stole i z obojętną miną coś sobie w milczeniu notował. Louise oparła się o ścianę i przyglądała mu się z boku, uważnie studiując jego profil.

Darzyli się wzajemnie zaufaniem. Łączyła ich więź. Tak to już jest w policji. Nie trzeba o tym mówić. Zawsze sobie pomagali, bez względu na wszystko. Byli jedną drużyną, jedną pokreconą rodziną.

A może nie rodziną. Przecież w rodzinie ludzie mają przed sobą tajemnice.

Oni nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

Louise zastanawiała się, czy on w tej chwili coś przed nią ukrywa. Każdy ma jakieś tajemnice. Jakie tajemnice może mieć Shipley? Coś się działo w tej ciemnowłosej, niemal śródziemnomorskiej głowie. Przyjemnie się na niego patrzyło. Twarz miał wyrazistą, a każda z blizn i rys na jego twarzy opowiadała własną historię. Louise wypatrywała jakichś wskazówek. Czekwała na moment, w którym on coś jej zdradzi. Na olśnienie, dzięki któremu będzie mogła lepiej zrozumieć, co się tam w środku w jego głowie dzieje.

Oczywiście nic takiego się nie pojawiło. Czytać w myślach przecież nie umiała.

Louise z jednej strony się zastanawiała, czy Shipley coś przed nią ukrywa, ale z drugiej przecież sama też miała swoje tajemnice. Taka już ludzka natura, że się nigdy nie mówi całej prawdy. Kłamstwa przyplątują się do nas niemal same z siebie i stają się normą.

– Znowu się na mnie gapisz – powiedział Shipley, nie podnosząc wzroku znad notatek. – Powoli mnie to zaczyna rozpraszać.

– Przepraszam, moje myśli gdzieś błądzą – odparła Louise, odpychając się od ściany i podchodząc do małego okna. Odwróciła głowę, licząc na to, że Shipley nie zauważy rumieńca na jej policzkach. – Masz jakiś pomysł na to, jak poruszyć ten temat z matką?

Dobiegł ją dźwięk odsuwanej krzesła, a potem zobaczyła Shipleya przed sobą.

– No cóż. Potwierdziła tożsamość zwłok, więc teraz musimy chyba zająć się tym, co zwykle. Zostawmy na razie tę kobietę...

– Caroline.

– Louise, przecież wiem, jak ona ma na imię – odparł Shipley nieco oschle. Gdzieś w jego tonie Louise usłyszała jednak zadziorny uśmiech. – Byliśmy u niej w domu, przyjrzeliliśmy się jej życiu. Nie znaleźliśmy nic, co by ją łączyło z Nathanem Coldfieldem. Można by wręcz odnieść wrażenie, że jej z nikim nic nie łączy. Wygląda na to, że prowadzi samotniczy tryb życia i przypadkiem się na coś natknęła. Chciałem po prostu powiedzieć, że powinniśmy traktować tę sprawę jak każde inne morderstwo. Zidentyfikować najbliższych znajomych, ustalić, gdzie ostatnio widziała go matka i tak dalej. Potem możemy się zająć innymi aspektami tej sprawy.

Matka Nathana Coldfielda czekała na ciało swojego syna w kostnicy położonej na obrzeżach centrum miasta. Powiedziano im, że rozpoznała go w zasadzie od razu. Usłyszeli również, że odtąd sprawa zostaje zakwalifikowana jako śledztwo w sprawie

morderstwa, co też ich nie zaskoczyło. Louise domyślała się, że wkrótce do sprawy włączą się ludzie z wydziału kryminalnego. Policja w mieście dysponowała raczej skromnymi zasobami, więc Louise spodziewała się, że nie zostaną całkowicie odsunięci od śledztwa. Od Shipleya jednak wyczuwała napięcie.

Nie chciał zostać zepchnięty na boczny tor.

Matka Nathana miała się do nich za chwilę zgłosić na kolejne przesłuchanie. Louise już nie raz prowadziła takie przesłuchania, ale tym razem atmosfera była jakby inna. Bardziej napięta, mniej rodzinna. Tłumaczyła sobie, że po prostu trochę czasu minęło, odkąd ostatni raz prowadziła sprawę potencjalnego zabójstwa.

Majająca w tle miejscowa legenda oczywiście w niczym nie pomagała.

Louise wyjęła telefon i zaczęła przeglądać wiadomości. Znalazła wśród nich zdawkowe informacje na temat zdarzeń, których akurat była uczestnikiem. Miejscowa prasa wykazywała jako takie zainteresowanie, ale na stronach ogólnokrajowych pojawiały się tylko krótkie artykuły zawierające niewielką liczbę szczegółów. Coś jej podpowiadało, że to się wkrótce zmieni. Nacisnęła przycisk główny, po czym przyłożyła palec do jednej z ikon na głównym ekranie i włączyła aplikację społecznościową. Konto miała zarejestrowane na fałszywe nazwisko, jak to często robili teraz policjanci. Szukała na Twitterze wzmianek o znalezieniu ciała. Przejrzała kilka tweetów, po czym wróciła do wyszukiwarki.

Wpisała „Kościuch” i znów zaczęła przeglądać wyniki.

– Szybko poszło – powiedziała cicho sama do siebie, ciągle jeszcze wpatrując się w ekran, ale już czując na sobie wzrok Shipleya. – Temat już się pojawił na Twitterze.

– Nie znoszę tego paskudztwa – powiedział Shipley, nie podnosząc wzroku z nad notatek. – A co piszą?

– Kilka osób wspomina, że to może być sprawka Kościucha.



Ludzie się zastanawiają, czy facet zginął w lesie dlatego, że trafił na jego kryjówkę, czy z jakiegoś innego powodu. Jest trochę dowcipów. Trochę memów. Dużo tego nie ma.

– To się zmieni, jak wyjdzie na jaw, że ofiary o nim wspominały.

Rozmowę przerwało im stukanie do drzwi. Gdy się otworzyły, Shipley skoczył na równe nogi. Louise schowała telefon do kieszeni. Policjant w mundurze bez słowa wprowadził matkę Nathana Coldfielda. Wiedział, że oni już na nią czekają. Kobieta miała wychudzoną twarz i posturę człowieka, którego nigdy nic dobrego w życiu nie spotkało. Pod farbowanymi na jasny kolor włosami dało się dostrzec siwe odrosty. Niebieskie, życzliwe oczy otaczały zmarszczki.

Wymienili uprzejmości, a potem przeszli do sedna sprawy. Louise nie miała wątpliwości, że kobieta nie otrząsnęła się jeszcze z szoku, jakim dla większości ludzi jest wiadomość o dramatycznej śmierci kogoś bliskiego. Szeroko otwarte oczy bacznie obserwowały otoczenie, choć po kilku godzinach z tego spotkania pozostanie jej zapewne tylko mgliste wspomnienie. Louise bez zaskoczenia przyjmowała najróżniejsze reakcje, w końcu każdy człowiek jest inny. Na razie można było odnieść wrażenie, że Barbara Coldfield zachowuje się względnie normalnie. Była blada, ręce jej się trzęsły, ale niemal niezauważalnie. Nie była w stanie – albo nie chciała – skupić na nich wzroku. W końcu wbiła wzrok w ścianę obok nich i zdawała się całkowicie tonąć we własnych myślach.

Louise ten typ reakcji preferowała, w każdym razie w większości przypadków. Gdy bliscy zmarłych zanosili się płaczem i zaczęli obwiniać wszystkich dookoła, sprawy na ogół bardziej się komplikowały. Trudniej też było, gdy rodzina miała całe mnóstwo różnych pytań, na które policja na ogół nie mogła im udzielić odpowiedzi. Louise czuła się w takich przypadkach bardzo niekomfortowo.

– Jest pani w stanie odpowiedzieć nam na kilka pytań, pani Coldfield? – zapytała Louise, nachylając się w stronę starszej kobiety. – To już nie potrwa długo.

– Przecież ja i tak nie mam dokąd iść – odparła Barbara, powoli przenosząc wzrok na Louise. – No i nie nazywam się Coldfield. Już nie. Może pani mówić do mnie po imieniu.

– Dziękuję, pani Barbaro – ciągnęła Louise swoim wystudiowanym kojącym tonem, który zawsze dobrze działał na ludzi w pewnym wieku. – Pamięta pani, kiedy pani ostatni raz widziała Nathana?

– Kilka tygodni temu. On wpada i wypada, jak mu wyjdzie. Pod koniec września, tyle mogę powiedzieć. Gdybym wiedziała, że się z nim widzę ostatni raz... Sama nie wiem. Może bym zwróciła większą uwagę na to, jaki to był dzień.

Louise wychwyciła łagodny liverpoolski akcent. Zastanawiała się, czy kobieta jest stąd, czy spędziła dzieciństwo gdzie indziej. Trudno jej to było rozstrzygnąć.

– I nie zgłosiła pani zaginięcia? On się tak normalnie zachowywał?

– Tak, właśnie tak – odpowiedziała Barbara, na chwilę przenosząc wzrok na ścianę za plecami Louise, a potem ponownie na policjantkę. – On zawsze tak robił. Nie wiem, czy potrafiłabym stwierdzić, że on zaginał. Na pewno nie przez kilka miesięcy. Chociaż... Nie przyszedł na moje urodziny. W zeszłym tygodniu. To mu się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nawet jak się pakował w tarapaty.

Shipley rzucił Louise wymowne spojrzenie, które ona odczytała jako sugestię, że powinna pociągnąć dalej ten wątek i że on się na razie nie będzie wtrącać. Taki mieli plan. Ona miała załatwić wszystkie drobiazgi, a on się potem skupi na kwestii problematycznej. Louise zadawała kolejne pytania, ale już niewiele

więcej udało jej się dowiedzieć. Nadeszła jego kolej.

– Czy wydarzyło się coś jeszcze, co pani zdaniem mogłoby tłumaczyć brak kontaktu z jego strony? – zapytał Shipley, tonem, który w założeniu miał być kojący. Z Louise nie mógł się pod tym względem równać, ale akurat zawsze było tak, że on sobie radził lepiej z innymi scenariuszami.

Ona z kolei też nie raz pokazała, co potrafi.

– Żaden z jego znajomych się z panią nie kontaktował? – wypytywał Shipley, jednocześnie robiąc notatki. – Żaden z członków rodziny? Nikt taki?

Barbara potrząsnęła głową, wkładając w to odrobinę więcej wysiłku, niż można by się spodziewać.

– Nie, zupełnie nic. Ja tak naprawdę niewiele wiem o jego znajomych. Z nikim z rodziny też się nie kontaktował. Nic w tym jednak dziwnego, bo on z nikim z rodziny nie utrzymywał bliższych kontaktów.

– Jak się zachowywał ostatniego dnia, kiedy go pani widziała? Zauważyła pani coś nietypowego?

– Nic mi nie przychodzi do głowy – powiedziała Barbara, z trudem zaczerpując oddech. Przełknęła ślinę, ale nadal trzymała się dzielnie. – Zachowywał się tak samo jak zwykle, to znaczy tak jak przez ostatnich kilka lat. Pojawił się w domu kilka dni wcześniej, najadł się i napił, dużo spał. Przypuszczam, że wcześniej przez kilka tygodni spał raczej kiepsko.

– Często mu się coś takiego zdarzało? Że znikał na jakiś czas, a potem po prostu się pojawiał?

– Tak, taki już był. Nie widywałam go całymi tygodniami, czasem nawet miesiącami. Potem pojawił się ni stąd, ni zowąd, jak gdyby nigdy nic. Nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałam, ale może należało...

Louise odniosła wrażenie, że czas im się kończy. Do Barbary

powoli zaczyna docierać, co się stało. Nagle przyjmuje do wiadomości te straszne fakty, w które nie chciała uwierzyć. Louise postanowiła wykonać zasadniczy krok, zanim będzie za późno.

– Wcześniej mówiła pani, że się pakował w tarapaty. Co pani miała na myśli?

– Nie interesowałam się tym za bardzo. Dla mnie liczyło się tylko, żeby był bezpieczny.

– Ale wiedziała pani, że nie raz stawał się obiektem zainteresowania policji, prawda? – zapytał Shipley, wykorzystując grunt przygotowany przez Louise. Po raz pierwszy, odkąd Barbara weszła do pomieszczenia, przewrócił stronę leżącą przed nim dokumentacji. – Wielokrotnie, z powodu najróżniejszych występków.

– To był dobry chłopak. Za młodu nie pakował się w tarapaty. Potem popadł w złe towarzystwo.

Shipley przejrzał daty aresztowań Nathana Coldfielda, raz po raz o czymś wspominając. Louise zauważyła, że ton jego głosu się zmienił. Wiedziała, że powstrzymuje się przed powiedzeniem tego, co naprawdę chciał powiedzieć.

Rzeczy oczywistej. Że dwadzieścia lat łamania prawa raczej trudno usprawiedliwić złym towarzystwem.

– Wie pani, jakie zarzuty mu stawiano przez te wszystkie lata?

Barbara utkwiała w nim intensywne spojrzenie.

– Panie detektywie, ja nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, co się stało z moim dzieckiem.

– Przykro mi, pani Barbaro, ale musimy wszystko dokładnie przeanalizować.

Z jej ust wydobyło się przeciągłe westchnienie. Spojrzała na Shipleya i pokiwała głową.

– Czasami do mnie dzwonił, ale nigdy mi nie pozwolił przyjść do sądu ani nic z tych rzeczy. Zawsze powtarzał, że znalazł się po

prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Że jak się już ma pewnego rodzaju opinię, to potem się wiecznie jest na celowniku. I jest się łatwym celem.

Stąpali już teraz po bardzo niepewnym gruncie, a mimo to Shipley postanowił naciskać dalej.

– Część zarzutów dotyczyła drobnych spraw, ale na liście znalazło się też kilka spraw bardziej poważnych. Czy jest możliwe, że on się wpakował w coś, co go przerosło?

– Wydaje mi się, że tak można by sądzić, skoro właśnie przed chwilą musiałam dokonać identyfikacji jego zwłok – odparła Barbara. Teraz w jej głosie pobrzmiwał już chłód. Louise uświadomiła sobie, że Barbara niczym się nie różni od większości innych rodziców, z którymi wcześniej miała do czynienia. On nie był *złym chłopcem* ani *przestępcą*. On sam tych wszystkich czynów nie popełniał świadomie, po prostu przytrafiały mu się różne złe rzeczy.

„Czyli jest normalna”, pomyślała Louise. „Typowa”.

– Ktoś zabił mojego syna – powiedziała Barbara, teraz już spokojniejszym tonem. – Nie wiem, czy to z powodu tych wszystkich kłopotów, w które się od czasu do czasu pakował, czy też dlatego, że ktoś inny, tak samo jak państwa koledzy w mundurach, też uznał go za łatwy cel. Chciałabym, żebyście się tego dowiedzieli.

– Czy Nathan utrzymywał z kimś szczególnie zażyłe relacje przed tym, jak zniknął? – zapytała Louise, zmieniając temat, żeby nie składać obietnicy, której mogłaby nie dotrzymać.

Na twarzy Barbary pojawił się cień, coś jakby smutek, może nawet gniew.

– Był jeden facet. Nathan twierdził, że on się nazywa Rhys czy jakoś tak. W kółko o nim gadał. Zaczął na kilka miesięcy przed tym, jak go widziałam po raz ostatni. Nie podobało mi się to, jak on

o nim mówił. Próbowałam dać to Nathanowi do zrozumienia, ale nie chciał mnie słuchać. Powiedział, że poznał tego faceta jednego dnia na ulicy. I że ten facet mu pomaga. Że go wprowadzi z powrotem na właściwą drogę.

– Widziała go pani kiedyś?

Nastąpiła chwila ciszy. Po krótkim zawahaniu Barbara powiedziała:

– Raz, ale tak tylko przelotnie. Stał na dworze, na skraju ścieżki. Rozmawiał z Nathanem podczas jednej z jego wizyt w domu, ale nie wszedł do środka ani nic. Nathan dobrze wiedział, że ma nie sprowadzać żadnych ludzi do mojego domu.

– Nie rozmawiała z nim pani?

Barbara potrząsnęła głową.

– Nie musiałam. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby stwierdzić, co to za jeden.

– A co to za jeden?

– Miał w oczach pustkę. Patrzyło się w nie jak w ciemne tunele. Nic tam nie było.

Louise przygryzła dolną wargę tak mocno, że aż poczuła piekący ból.

Oczy jak tunele. Ciemne, bez duszy. Bez życia.

Widziała już kiedyś takie oczy.

To się nigdy dobrze nie kończyło.

## Rozdział 10

Val wysłuchiwała wiadomości i czas się dla niej zatrzymał.

Zawsze tak się działo, gdy w jej mieście znaleziono ciało. Zwłaszcza jeśli nie podawano nazwiska.

Przez cały dzień wyczekiwała na pukanie do drzwi. Miała poczucie, że już za moment je usłyszy. To była tylko kwestia czasu. Nic więcej. Teraz go właśnie znajdują, identyfikują. Stwierdzają, że to jej dziecko. Jej syn.

Z czasem pojawiły się kolejne szczegóły. Powiedziano, w którym lesie ciało zostało znalezione. Na drugim brzegu. Przeciwnym w stosunku do tego, gdzie zniknął jej syn. To był inny las, ale dla niej to już nie miało znaczenia. Każde ciało znalezione w mieście to była szansa. Te znalezione poza Liverpoolem zresztą też. Jeździła już do Manchesteru i do Preston identyfikować ciała, ale to nigdy nie był jej syn.

Jej dziecko.

Zbliżała się dwudziesta rocznica jego zaginięcia. Wszyscy przewidywali, że ten dzień będzie szczególnie okropny, ale mylili się. Kilka tygodni później przypadłyby bowiem jego trzydzieste czwarte urodziny.

To właśnie te dni były najgorsze.

Boże Narodzenia, urodziny, sylwestry. To właśnie w takie

*święteczne* dni ona najbardziej dotkliwie odczuwała swoją stratę. Tak to już jest z żałobą. Człowiek żałuje, że tego kogoś bliskiego z nim nie ma. Że nie mogą spędzić tego czasu jak rodzina.

Teraz byli rodziną rozbitą. Niepełną.

Nikt nie zapukał do drzwi. Żadne odpowiedzi się nie pojawiły.

Nie zaznała spokoju. Niczego się nie dowiedziała.

Val zmuszała się do dalszego śledzenia biegu sprawy. Miejscowa gazeta uruchomiła specjalną stronę, na której na żywo relacjonowała tę historię. Val wyczekiwała każdej nowej informacji, wstrzymując oddech, gdy strona się przeładowywała – aby na ogół nie wyświetlić nic nowego. Tak samo rzecz się miała z różnymi wpisami na Facebooku i Twitterze, co jednak nie powstrzymywało jej przed poszukiwaniem dodatkowych informacji, których dziennikarze nie przekazywali. Można było odnieść wrażenie, że odnajdywane są związki między dwoma wydarzeniami – między sprawą kobiety znalezionej na ulicy w Melling a ciałem odkrytym w pobliskim lesie.

Większość ludzi zdawała się sądzić, że ciało należy do napastnika, który zaatakował tę kobietę. Że wolał popełnić samobójstwo niż stanąć przed wymiarem sprawiedliwości.

„Gdybyśmy mieli karę śmierci, być może moglibyśmy go w tym wyręczyć”.

„Zaoszczędził nam wydatków. Zło wcielone”.

Ludzie publikowali komentarze, nie mając pojęcia, co się tak naprawdę wydarzyło.

Val nie po raz pierwszy dziękowała opatrności, że w czasie zaginięcia jej syna nie było jeszcze mediów społecznościowych. Chyba by sobie nie poradziła, gdyby czytała te wszystkie komentarze obcych ludzi. Od tamtej pory sporo się naczytała o różnych przypadkach zaginięć dzieci i doskonale wiedziała, jak jadowita krytyka spada na rodziców. Wiedziała, że ona by czegoś



takiego nie przeżyła.

Te wszystkie słowa działałyby jak zwierciadło, w którym odbijają się jej własne uczucia. Jej własne poczucie winy. Wydumane spostrzeżenia niedoinformowanych mas byłyby dla niej ciężarem ponad siły. Co do tego nie miała wątpliwości. Zaginięcie syna spowodowało rozpad jej małżeństwa, jej rodziny. Gdyby jeszcze wszyscy ci odważni, bo anonimowi komentatorzy zaczęli dyskutować o tej sprawie, nigdy by się nie podniosła.

Dobrze wiedziała, że zdaniem niektórych jej syn uciekł z domu, a ona doskonale wiedziała, gdzie go szukać. I że cała ta sprawa z zaginięciem to była tylko przykrywka. Że to był tajemny plan, który miał odwrócić uwagę od poważniejszej zbrodni. Nie było w tym ani krzty prawdy, ale nikogo to nie obchodziło. Gdy pewnego dnia tę samą kwestię poruszył jej mąż, jego pytanie stało się gwoździem do trumny, której budowa zaczęła się już wiele miesięcy wcześniej. Ta trumna była już wtedy nawet lekko opuszczona do grobu, a on po prostu zakończył sprawę nieco wcześniej, niż Val się spodziewała.

Ponownie sięgnęła po telefon. Pomyślała o tym, żeby zadzwonić do córki, ale wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Ich ostatnia rozmowa, którą odbyły wiele lat temu, miała w sobie coś ostatecznego.

Val tkwiła w odkształconej rzeczywistości. W jednej chwili od dwudziestu lat zatrzymanej w czasie. Pokój jej syna, znajdujący się na piętrze, pozostał w nienaruszonym stanie. Wchodziła tam mniej więcej raz w tygodniu, żeby odkurzyć stare zabawki i sprzęt elektroniczny, z którego on i tak nie mógłby już korzystać – nawet gdyby wrócił – tak bardzo był technologicznie przestarzały. Przez cały ten czas leżał nietknięty niczyją ręką poza ręką Val.

Val utrzymywała w tym pokoju nieskazitelną czystość. W oczekiwaniu na jego powrót.

Czasami po prostu zapominała, co się stało. Wczesnym rankiem przyłapywała się czasem na tym, że jeszcze na wpół śpiąca otwiera drzwi do tego pokoju, spodziewając się zobaczyć go w łóżku. Jak czeka, aż ona obudzi go do szkoły. Przenosiła się wówczas do prostszych czasów, kiedy musiała się martwić co najwyżej tym, że on jest trochę małowówny i czasem pakuje się w jakieś drobne kłopoty.

Potrzebowała wtedy dobrych kilku sekund, żeby sobie wszystko znów przypomnieć. Że jest dwadzieścia lat starsza i że jej syn zniknął bez śladu.

Teraz ona sama z lubością zniknęła, zatapiając się w świecie dostępnym na ekranie laptopa.

Pochłaniało ją śledzenie lokalnych serwisów informacyjnych, które odświeżała co kilka minut, żeby poznać nowe fakty w sprawie, która – co z każdą chwilą stawało się bardziej oczywiste – nie miała nic wspólnego z zaginięciem jej syna...

Dopóki nie pojawił się pierwszy materiał filmowy.

Rozmazana kobieca postać, chwiejnym krokiem idąca środkiem nieznannej jej drogi. Obraz chwiał się i obracał, ponieważ autor nagrania usiłował podejść bliżej. A zarazem jakby tego nie chciał. Jak gdyby nie chciał podejść za blisko, żeby nie stać się w jakimś sensie częścią tych wydarzeń.

Liczył się jednak dźwięk.

Val usłyszała, jak kobieta śpiewa, a właściwie skrzeczy. Można było odnieść wrażenie, że wydaje z siebie głos ostatkiem sił, a potem padła na ziemię. Val знаła tę piosenkę. To była stara piosenka znana większości mieszkańców miasta.

„Kościuch nadchodzi. Kościuch prawdziwy”.

Dłoń Val powędrowała do ust, aby powstrzymać dźwięk, który chciał się z nich wydobyć.

Te wszystkie pytania, która chciała zadać.

Ten cały strach, który pragnął znaleźć ujście.

## Rozdział 11

Louise stała przy stole z dowodami i przyglądała się skrawkom papieru, które znalazła w szufladzie w pokoju Nathana Coldfielda. Wszystkie paragony i wszystkie pogniecione śmieci nabrały nagle doniosłości.

Zastanawiała się, co by sobie ludzie pomyśleli o tym, z jakim uporem ona gromadzi wszystkie paragony, gdyby ktoś kiedyś jej rzeczy w taki sposób analizował. Gdyby jakiś biedny detektyw miał się przekopać przez stos paragonów i znalazł liczący sobie pięć lat dowód zakupu suszarki do włosów, która już trzy lata temu się zepsuła. Tym razem to Louise przypadło w udziale taką analizę przeprowadzić. Starła się w całym tym bałaganie znaleźć coś ważnego, coś wartościowego.

W środku leżało zdjęcie, które znalazła pod łóżkiem. Wydawało jej się najbardziej istotne.

– Cokolwiek? – powiedział Shipley, unosząc w górę bilet na autobus i oglądając go z obu stron. – Mamy już imię, ale to w tej chwili zupełnie nic dla nas nie znaczy.

– Moglibyśmy dotrzeć do wszystkich Rhysów w całym mieście. Zapytać ich, co robili dwa dni temu.

Shipley się nie roześmiał, ale na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Wyobrażasz sobie, że ktoś by zatwierdził taką liczbę nadgodzin, jakiej by to wymagało?

– Coś się znajdzie tu, na tej stercie – powiedziała Louise, która powoli rozpoczynała proces porządkowania skrawków papieru zgromadzonych na stole. Streszczenie współczesnego życia, pomięte skrawki zapomnianych podróży i różnych rzeczy, które człowiek kupił i zjadł.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytał Shipley raczej mało optymistycznie. – Jakoś w to wątpię.

Louise spojrzała na niego i pokiwała głową, a potem wróciła do przeglądania zawartości pokoju Nathana Coldfielda, która teraz leżała przed nią na stole.

– To tu jest. Coś się tu znajdzie.

– Dość łatwo można stwierdzić, na czym to polegało. Wraciał raz na kilka tygodni i wyrzucał z kieszeni swoich jedynych dzinsów wszystko, co w nich miał, żeby mamusia mogła mu je wyprać, a potem znów puszczał się w długą. Nic z tego nie będzie.

– Może, ale przecież nie możesz tego wiedzieć na pewno – odparła Louise, doskonale zdając sobie sprawę, że reakcje Shipleya to wynik jego poirytowania. – Udało nam się czegoś dowiedzieć na temat Caroline? Czegoś o jej rodzinie?

– Nie, jeszcze nic nie wiadomo. Ma mieszkanie, ale mundurowi nie znaleźli tam nic istotnego. Dosłownie nic. Wnętrze było nieskazitelne. Ktoś nawet stwierdził, że wyglądało to na mieszkanie pokazowe. Ani jednego osobistego akcentu.

– Słowem nadal nie dowiedzieliśmy się niczego, na podstawie czego można by oceniać, czy za całą jej sprawą kryje się coś jeszcze?

– Wychodzi na to, że nie.

Louise pomyślała o kobiecie, która teraz leżała w szpitalnym łóżku kilka kilometrów stamtąd. O tym, co przeszła i co musiała czuć. Na myśl o człowieku, który jej zrobił coś takiego, zaczął

wzbierać w niej gniew. Każdy kolejny jej oddech był cięższy od poprzedniego.

Zacisnęła szczękę i skupiła się na uspokojeniu oddechu. Próbowała przenieść uwagę na to, co miała przed sobą.

Coś tu musiało być.

I oni to w końcu znajdą.

Louise stała przed na pozór normalnym półblizniakiem, na ulicy w południowej części miasta. Garston, przedostatnia dzielnica przed granicą Liverpoolu. Kilka kilometrów dalej znajdowało się Speke, czyli ostatni przystanek na trasie podróży do Runcorn i Widnes. To była boczna uliczka. Na tabliczce z nazwą widać było ślady po graffiti, które ktoś z niej usunął.

Po obu stronach stały rzędy domów, które zdawały się na nią walić. Wszystkie miały podobny kształt, podobną konstrukcję. W każdym z nich spotkać można było ludzi trochę innych niż w lepiej znanych policji budynkach komunalnych. Mieszkali tu przedstawiciele klasy robotniczej. W środku dnia przy ulicy stały tylko nieliczne samochody. Tablice rejestracyjne miały nowsze niż w tych innych okolicach. Domy były od zewnątrz zadbane. Niewielkich rozmiarów podjazdy miały nową kostkę, a przed każdymi drzwiami znajdował się dobudowany mały ganek. Przed nielicznymi domami z frontowym ogródkiem rosły starannie przyszczyżone krzewy.

W ciągu godziny udało im się odnaleźć to, czego szukali – nazwisko tajemniczego Rhysa. Nazywał się Durham. Na jednym ze skrawków znajdowało się jego imię i numer dawno już nieaktywnego telefonu.

Kluczem do rozwikłania zagadki okazały się litery RD na odwrocie zdjęcia. Gdy udało im się je skojarzyć z Rhysem i numerem telefonu, potem już poszło jak z płatka. Na podstawie

numeru telefonu szybko doszli do osoby Rhysa Durhama, mimo że karta SIM już od dawna nie była wykorzystywana. Louise czasami z przerażeniem myślała o tym, jakie dzisiaj mają możliwości – jak łatwo można dotrzeć do informacji na podstawie bardzo skąpych wskazówek.

– To naprawdę jego jedyna krewna?

– Może ujmijmy to tak: poza nią nikogo innego w okolicy nie ma – odparł Shipley, zatrzymując samochód przy ulicy. – Podał ją jako osobę kontaktową, gdy ostatni raz miał kontakt z władzami.

Próbowali go zastać pod ostatnim znanym adresem, ale obecny lokator mieszkania nic nie potrafił o nim powiedzieć. Nieco więcej dowiedzieli się podczas krótkiej rozmowy z właścicielem nieruchomości, ale wynikało z tego tylko tyle, że Rhys nie mieszka tam już od kilku lat.

Louise zaczynała podejrzewać, że Rhys Durham nie chce zostać znaleziony.

Shipley wysiadł z samochodu i czekał, aż ona zamknie drzwi – a potem zamknął auto pilotem. Gdzieś w pobliżu przejechał pociąg, w związku z czym Louise i Shipley jak na komendę spojrzeli najpierw w górę, a potem na siebie.

– Coś takiego szybko by mnie zaczęło irytować – powiedziała Louise, czekając, aż Shipley okrąży samochód i do niej dołączy. – Gdzie tu jest najbliższa stacja?

– West Allerton, w tamtą stronę – powiedział Shipley, wskazując w kierunku, z którego przyjechali. – Liverpool South Parkway w drugą. Nie było ich, jak mieszkałem tu w okolicy. Wtedy najbliższą stacją było Hunts Cross. Zresztą w sumie nadal jest, jeśli się chce iść ze stacji kolejowej w stronę Speke. Strasznie to było uciążliwe, te powroty pociągiem z miasta. Ze stacji kolejowej do domu szło się czterdzieści pięć minut. Nam, dzieciakom, wydawało się, że to trwa ze trzy godziny.

– Lepiej było jeździć autobusem?

– Owszem, jeśli akurat jeździły zgodnie z rozkładem. Tyle że w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych różnie z tym bywało. Dlatego na ogół w ogóle się stąd nie ruszaliśmy. Też i nie mieliśmy po co.

– Czyli dość długo tu mieszkałeś?

– Zaledwie jakieś dwadzieścia lat – odparł Shipley z uśmiechem, który jakoś wyjątkowo ją ujął. – Już ci o tym zresztą opowiadałem. Zwykle kręciliśmy się gdzieś na obrzeżach osiedla. Udawaliśmy, że nie jesteśmy z tych okolic. Moja mama uważała, że jesteśmy lepsi od tych ludzi z osiedli komunalnych, ale w sumie niczym się od nich nie różniliśmy.

– To trochę tak jak moja – odparła Louise, usiłując odwzajemnić uśmiech. Szybko doszła do wniosku, że chyba kiepsko jej to wyszło. – Ona też chciała, żebyśmy mieli lepiej od niej.

– Jaka była twoja mama?

Louise udawała, że nie usłyszała pytania. Zmieniła temat.

– Jaki mamy plan? Ile jej powiemy o tym, co nas tu sprowadza?

– Zobaczymy, jak wyjdzie – odparł Shipley, ustawiając się pół kroku za nią i pozwalając jej zainicjować rozmowę. – Oczywiście zbyt wielu sekretów nie ma co zdradzać, ale też z drugiej strony sami za wiele nie wiemy.

– To akurat prawda. – Louise podążała już w stronę wejścia, wyprzedzając go o kilka kroków. Jej pukanie do drzwi rozbrzmiało echem po ulicy. Można się było spodziewać, że co bardziej wścibscy sąsiedzi już uchylają zasłony. Shipley stał kilka kroków za nią. Zerknęła na niego. Wpatrywał się w górne piętro domu. Potem skierował się nieco na bok i zajrzał do niewielkiego ogródka, z którego można było wyjść przez furtkę w płocie.

– Pewnie należało zabrać wsparcie, żeby ktoś zabezpieczył tyły – powiedział Shipley, chyba do siebie. – Są tam tylko tory kolejowe,



ale jednak...

– Wydaje ci się, że tu się ukrywa ktoś, kto zabił Nathana Coldfielda i zaatakował Caroline?

Shipley wzruszył ramionami i cofnął się na ścieżkę. Ponownie na niego zerknęła, a potem zwróciła się w stronę drzwi. Myślała o ciele, które znaleźli w lesie, o Caroline, która leżała w szpitalu, i o mroku w oczach Rhysa Durhama.

„Pewnie należało zabrać wsparcie”.

Louise zignorowała ten wewnętrzny głos. Wyprostowała plecy, przygotowując się na to, co na nią czekało po drugiej stronie drzwi.

Długo na to nie musiała czekać. Otworzyła jej starsza kobieta, która z trudem uchyliła drzwi, odciągając jednocześnie biegnącego w ich stronę psa.

– Do środka, Rufus! Jak ty się zachowujesz?

Louise odsunęła się nieco na bok, a Shipley instynktownie się cofnął przed otwierającymi się drzwiami i szczekaniem, które z każdą chwilą się nasilało.

– Siadaj! Co ty wyprawiasz?

Louise spojrzała na Shipleya i kpiąco pokręciła głową, po czym odwróciła się ponownie w stronę drzwi i pokazała kobiecie legitymację.

– Pani Hazel Durham? Jestem detektyw konstabl Louise Henderson, a ten człowiek uciekający sprzed drzwi to detektyw sierżant Paul Shipley. Czy możemy z panią porozmawiać?

Pies chyba się trochę uspokoił, ale Hazel Durham nadal mocno go trzymała, żeby się nie mógł wyrwać.

– Macie nakaz?

– A powinniśmy mieć?

– To zależy, czego szukacie.

Louise zastanowiła się przez chwilę, po czym postawiła na rozbrajający uśmiech.

– Mamy tylko kilka krótkich pytań dotyczących pani siostrzeńca, Rhysa. Nie zajmiemy pani dużo czasu.

– Lata całe go nie widziałam. Zupełnie nie rozumiem, czemu przyjechaliście w tej sprawie do mnie.

Uśmiech nie zadziałał, co jednak jakoś szczególnie nie zaskoczyło Louise. Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta miała już wcześniej do czynienia z policją. Być może nie raz.

To akurat nie działało na ich korzyść.

– Tak czy owak, mielibyśmy kilka pytań, gdyby nie miała pani nic przeciwko temu – ciągnęła Louise, stawiając tym razem na zupełnie inną opcję i wykonując zauważalny krok w kierunku progu. – Chcielibyśmy wyjaśnić kilka spraw związanych z naszym dochodzeniem.

Hazel Durham nawet nie drgnęła, ale w końcu ustąpiła i wpuściła ich do środka. Louise weszła pierwsza, Shipley powoli podążył za nią. Przyspieszył nieco, gdy Hazel Durham otworzyła kolejne drzwi wychodzące na korytarz i wepchnęła za nie psa. Zamknęła najpierw te drzwi, a potem drzwi frontowe, i dopiero potem wskazała Louise drogę do salonu.

– Jak już mówiłam, całe lata go nie widziałam. Nie bardzo jestem wam w stanie pomóc.

– Jeszcze pani nie wie, o co chcemy zapytać – powiedziała Louise, pospiesznie rozglądając się po pokoju. Shipley zatrzymał się w wejściu, pozwalając, aby Hazel go minęła. Potem niepostrzeżenie przemknął się do korytarza. – Kiedy go pani ostatni raz widziała?

– To pewnie było już ponad dwa lata temu. Ogólnie na większość spraw mieliśmy różne zapatrywania, ale on w pewnym momencie po prostu przesadził.

– Z czym przesadził?

Hazel stanęła po drugiej stronie pokoju. Oparła się o kominek i założyła ręce na piersiach. Louise uznała, że świetnie gra swoją

rolę.

– Przykładnym obywatelem to on nie był. Wydawało mu się, że ja tego nie widzę, ale widziałam. Wszystko sobie uporządkowałam w głowie. Tym razem zabrał za dużo.

Louise zaczynała tracić cierpliwość, ale wzięła jeszcze jeden oddech i zapytała ponownie.

– Co on pani zabrał?

– Wszystko – odparła Hazel, opuszczając ręce i uderzając dłońmi o uda. – Wszystko mi zabrał. Zabrał mojego syna.

Louise już miała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, ponieważ w drzwiach do salonu pojawił się Shipley.

– To cię powinno zainteresować.

Louise słyszała psa, który ujadął gdzieś za plecami Shipleya, ale wzrok miała skupiony na przełożonym.

Jej uwagę przykuł wyraz jego twarzy.

## Rozdział 12

Louise potrzebowała kilku sekund, żeby zrozumieć, co zrobiło na Shipleyu takie wrażenie. Potem jednak weszła do pokoju i dostrzegła rysunek na ścianie. Kolor tuszu był głęboki, a całość niemal wychodziła z płaszczyzny. Artystycznie dobre, a przy tym przerażające. Zamknęła na chwilę powieki, ale obraz cały czas stał jej przed oczami.

Nathan Coldfield mógłby mieszkać w tym pokoju, gdyby się urodził dziesięć lat później. Hazel Durham dbała o dom nieco bardziej niż Barbara, matka Nathana. To wnętrze było chyba częściej sprzątane i odkurzone. Starannie zadbana świątynka. Mimo wszystko jednak w powietrzu dało się wyczuć stęchliznę. Typowy zapach pomieszczenia, do którego od jakiegoś czasu nikt nie wchodził. Charakterystyczny chłód powietrza i brak życia.

Nie na to jednak zwracało się uwagę w pierwszej kolejności po przekroczeniu progu tego pokoju. Na jednej ścianie, wyłożonej wyblakłą tapetą, wisiały stare plakaty. Na drugiej... No cóż... Nawet jeśli Shipley nie potrafił tego do końca zdefiniować, Louise nie miała wątpliwości.

- To musiało zająć trochę czasu. Jak myślisz, co to dokładnie jest? Shipley ciągle jeszcze był blady, ale powoli odzyskiwał kolory.
- Nie wiem dokładnie, ale wrażenie robi piekielne.

- Czyżby celowe określenie?
- Powiedziałem tak przypadkiem.

Twarz człowieka do złudzenia przypominała diabelską maskę. Ogromnych rozmiarów rysunek został nakreślony bezpośrednio na ścianie czarnym pisakiem, który tylko gdzieś tam nieco wyblakł. Okolice oczu i ust zostały podkreślone na czerwono. Od twarzy odchodziły pasma pozwijane w sprężynki jak roślinne wąsy. Prowadziły od paskudnej maski do innych fragmentów ściany, a z ich końców zwisały inne rysunki o podobnym charakterze.

Nad obrazkiem widniał napis „Kościuch”, który zdawał się spływać krwią ze ściany. Pod spodem znajdowała się diabelska postać i napis: „On istnieje”.

– To dzieło Rhysa? – zapytała Louise, odwracając się w kierunku drzwi, w których teraz stała Hazel Durham. Nie patrzyła na nich. Wzrok miała wbity w podłogę.

– Nie, oczywiście, że nie. On by czegoś takiego nie potrafił narysować. Nie ma takiego talentu artystycznego. Pewnie nie potrafiłby nawet naszkicować ludzika, o czymś takim nawet nie wspominając. To narysował mój syn.

– A jak on ma na imię?

– Jon – odparła Hazel cicho, jak gdyby przyszło jej to z trudem. – Miał na imię Jon.

Louise zauważyła, że coś się zmieniło. Zwróciła uwagę na czas przeszły.

– Miał?

Hazel potrząsnęła głową i uśmiechnęła się krzywo, po czym się zachmurzyła.

– Zmarł rok temu. Ja... Ja tu raczej rzadko wchodzę. To dla mnie za trudne.

– A co pani o tym wie? – zapytał Shipley, wskazując na ścianę. – Co to ma oznaczać?

– Nie wiem, ale wiem, że to nie było nic dobrego. On twierdził, że to dzieło sztuki. Nie mogłam się nie zgodzić. Wciągnął się w coś takiego, w jakiś taki temat, i właściwie nie dało się go od tego oderwać. Jeśli w ogóle się odzywał, to o niczym innym nie chciał mówić. Ciągle przesiadywał w swoim pokoju, pracował na komputerze, spisywał różne rzeczy.

– Co to jest? – zapytała Louise, podchodząc bliżej do rysunku i innych znaków na ścianie.

– To Diabeł – odpowiedziała Hazel, zupełnie jak gdyby pytanie uważała za całkowicie absurdalne. – Nie widać?

– Oczywiście – odparł Shipley przez zaciśnięte zęby. – Po prostu zwykle się czegoś takiego nie widuje na ścianach w mieszkaniach. Dlaczego on to narysował?

– Na kilka miesięcy przed... ogarnęła go obsesja na punkcie takiej jednej historii. Opowiadał o tym, jak by to było prawdziwe. Chodzi o tę głupią historię, którą wszyscy znamy z dzieciństwa. O jednym z tych potworów, którymi nas straszono. O Kościuchu. – Hazel potrząsnęła głową i spojrzała gdzieś w dal. – Myślę, że jakieś dzieciaki wykorzystały jego specyficzną naturę i nakładły mu do głowy różnych bzdur. On sobie z tym nie potrafił poradzić. Nie rozumiał, że to tylko historia, że to nie jest prawda. Godzinami przesiadywał przed komputerem i grał w gry. Tak naprawdę to wcale nie wychodził z domu. To znaczy, jak wreszcie skończył szkołę. Tak do końca to go nie potrafiłam zrozumieć. A potem zafascynował się tą durną historią.

– O Kościuchu... – nawiązał Shipley z głębokim westchnieniem. Louise wpatrywała się w ścianę, ale wyobrażała sobie, jak w tym momencie kiwa głową i opiera dłonie na biodrach. Znow to samo niedowierzenie.

– Tutaj jest kilka notatek, w których jest mowa o tym, że ktoś go widział – powiedziała Louise, chcąc zdążyć wydobyć jeszcze coś od

Hazel, zanim ta zupełnie przestanie z nimi współpracować. Wskazała na kartki papieru, które leżały na komodzie w pobliżu rysunku. – Tu są wymienione miejsca, w których się pojawiał i w których go widziano. Różne wersje historii. To wszystko tu jest. Czy on coś o tym opowiadał, Hazel?

– Na okrągło – odparła Hazel, uśmiechając się leciutko. – On miał obsesję na jego punkcie, chciał go odnaleźć. Tam jest kilka segregatorów na ten temat. On nie potrafił odpuścić. Chciał go znaleźć i go powstrzymać. Pamiętam, jak oglądał jakieś filmy o superbohaterach i jak robił notatki. Zupełnie jak gdyby miał zamiar podjąć walkę z nieistniejącym potworem. A Rhys to wykorzystał.

Shipley ruszył w jej kierunku, ale szybko się zatrzymał, bo Hazel cała się skuliła.

– A co konkretnie zrobił Rhys?

– Właśnie w tym momencie sprawy przybrały bardzo zły obrót – powiedziała Hazel po kilku sekundach milczenia. – Jak on się w to wmieszał, to już nie było tylko kiepsko. Zrobiło się tragicznie. To moja wina, bo w ogóle nie należało się do niego z tym zwracać.

– Z czym?

– Żeby spróbował go z tego wyciągnąć – powiedziała Hazel, opierając się o framugę. – Wydawało mi się, że on go od tego oderwie. Jako dziecko Jon widział w nim autorytet, a ja nie potrafiłam do niego dotrzeć. On był... inny. Inny niż pozostali chłopcy w jego wieku. Nikt nigdy nie ustalił, co właściwie było z nim nie tak, ale różnił się od reszty nastolatków. Był ciągle jeszcze bardzo niedojrzały, tak emocjonalnie. Wyglądał niby na osiemnaście lat, ale tak naprawdę był ciągle małym chłopcem. Rhys miał go skłonić do wychylenia się choć odrobinę z tej jego skorupy. W wieku Jona też miał problemy, co w sumie nie jest specjalnie zaskakujące, zważywszy na to, przez co przechodził.

– A przez co przechodził?

– Myślałam, że wiecie. Jego rodzice zmarli w odstępie roku od siebie. Podobno przez narkotyki. Jego matka, a moja siostra, bo nosił jej nazwisko, bardzo się zmieniła za sprawą znajomości z jego ojcem. Nigdy go nie lubiłam. On ją sprowadzał na manowce, ale też ona chętnie się na to godziła. Umarła pierwsza, przedawkowała heroinę. On zginął jakoś rok później. Uciekał przed policją, bo miał przy sobie narkotyki, i wpadł pod pociąg. Można było odnieść wrażenie, że Rhys jakoś sobie z tym poradził, więc pomyślałam, że Jonowi też będzie mógł pomóc. Jon nigdy nie znał swojego ojca i czasem brakowało mu w życiu mężczyzny. Tak mi się w każdym razie wydawało. W rzeczywistości sprawy przybrały od tego jeszcze gorszy obrót. No i teraz został mi już tylko ten pokój.

– A Jon... – zaczęła Louise, po czym przeszła przez pokój, żeby znaleźć się bliżej Hazel. – Czy Rhys miał coś wspólnego ze śmiercią Jona?

– Mój Jon był dobrym chłopcem. W końcu by wyrósł z tej... z tej swojej obsesji. Znalazłby sobie coś innego. Coś by ze swoim życiem zrobił. Szkoda go było na to.

Louise wyczuwała, że Hazel lada moment zamknie się w sobie i zatonie w swoich wspomnieniach.

– Hazel, proszę nam pomóc to lepiej zrozumieć. Musimy znaleźć Rhysa. Jeśli on coś zrobił Jonowi...

– On go zabił. Dla mnie to się do tego właśnie sprowadza. Nakładł mu do głowy tych różnych bzdur, od których Jon się nie potrafił uwolnić. Znaleźli go w pobliżu Oggie Shore.

Louise wzdrygnęła się, słysząc nazwę starego nabrzeża u ujścia rzeki Mersey. Kolejny ślad prowadzący na południe miasta.

– Co się stało?

– Powiedzieli mi, że to było samobójstwo. Tak w każdym razie głosiła oficjalna wersja. Ja w to nigdy nie wierzyłam. Znaleźli go



z pustą buteleczką tabletek i listem. Im to wystarczyło, ale wiem, co się stało naprawdę.

– A co się stało naprawdę, Hazel?

– Rhys go do tego zmusił. Jakoś. Nakładł mu do głowy tych wszystkich bzdur i proszę, co z tego wyszło. Mój syn, mój Jon... To był dobry chłopak. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił, gdyby nie Rhys. Ten to potrafił mu namieszać w głowie. Potrafił mu wmówić różne nieprawdziwe rzeczy.

Louise przeniosła wzrok na rysunek na ścianie, z której patrzyły na nią czarne oczy diabelskiej maski. W jednej z wersji historii Kościuch miał diabelską maskę, czasem też był *po prostu* Diabłem.

To była jedna i ta sama historia, tyle że z różnymi ozdobnikami, nawiązująca do różnych wspomnień.

Zaczęła robić zdjęcia telefonem, dbając o to, aby uchwycić każdy szczegół. Robiła to zupełnie bez zastanowienia, bez żadnej refleksji. Nie słuchała głosu, który krzyczał do niej w środku.

„Ile z tej historii to prawda?”

Shipley ciągle jeszcze rozmawiał z Hazel, ale Louise wiedziała, że nic z tego więcej nie będzie. Ona będzie nadal coś mówić, ale to już nie będzie miało sensu. W każdym razie nie dla kogoś, kto nie zna języka żałoby... albo straty.

Louise przysłuchiwała się, jak Shipley próbuje się czegoś jeszcze dowiedzieć. Miała ochotę położyć mu dłoń na ramieniu i powiedzieć, że już tylko marnuje czas.

– Hazel, a co się stało z Rhysem? Gdzie on się podział?

– Nie wiem – odparła Hazel, spływając po ścianie aż na samą podłogę. Obie dłonie wsunęła między włosy, chwytając pojedyncze kosmyki i lekko ciągnąc. – Już go więcej nie widziałam. Od pogrzebu. Nie był tu mile widziany i doskonale o tym wiedział. Nie po tym, co powiedział.

Louise widziała, że Shipley czuł konieczność dopytywania, ale

dostrzegła też, że coraz bardziej go irytują te coraz krótsze odpowiedzi i kolejne niedopowiedzenia.

– Co takiego powiedział? – pytał, usiłując ukryć zniecierpliwienie.

– Powiedział, że to go w końcu dopadło. Że Kościuch zawsze dostaje to, czego chce. A potem tylko stał z takim okropnym uśmiechem na twarzy. Jak gdyby go to wszystko cieszyło. Nawet nie potrafiłam mu już nic więcej powiedzieć. Zatkąło mnie. Mówiłam o tym policji, ale usłyszałam, że nie ma żadnych dowodów. Nic nie wskazywało na to, że to nie było samobójstwo. Ale ja zawsze wiedziałam. Nawet jeśli Rhysa przy tym nie było, to przecież mógł mu załatwić te tabletki i wepchnąć do gardła. To była wszystko jego wina.

Louise odwróciła się w kierunku ściany, a Shipley próbował dalej. Równie dobrze mógłby jednak mówić po prostu do ściany, o którą opierała się Hazel. Ona już nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Szlochała coraz głośniej, wypełniając niewielki pokój swoją rozpaczą.

Louise zapoznała się z treścią notatek, które znalazła na komodzie pod rysunkiem. Zrobiła kilka zdjęć, ale i tak zakładała, że to ze sobą zabiorą.

– Żyje wśród nas, skąpany w śmiertelnym blasku – powiedziała cicho sama do siebie, odczytując notatkę leżącą na wierzchu. Potem spojrzała ponownie na ścianę i na rysunki znajdujące się obok maski. Większość z nich nie miała dla niej sensu. To były przypadkowe słowa i symbole, których ona nie potrafiła zinterpretować. W całej tej gmatwaninie dostrzegła jednak kilka znaków, które się wyróżniały.

Coś było w tych symbolach i w tym, jak zostały wkomponowane w przestrzeń wokół maski. Kolorów było wiele, ale dominowały czarny i czerwony. Louise utkwiała wzrok w jednym z rozmazanych obrazków, który wydał jej się znajomy.

Rozpoznała go już po krótkiej chwili. To był taki sam las jak ten na zdjęciach znalezionych w pokoju Nathana Coldfielda. Na obrzeżach miasta, zaledwie kilka mil od miejsca, w którym się znajdowali.

Louise czekała, aż Shipley odprowadzi Hazel Durham na dół i do niej wróci. Cały czas robiła zdjęcia. Wyjęła też segregatory. Przeglądała je i fotografowała zawartość.

Będą je musieli ze sobą zabrać. Za dużo jest w nich informacji, żeby można to było obejrzeć i się w tym odnaleźć tu, na miejscu. Większość zdawała się stanowić rozwinięcie bardziej zwięzłych i skrótowych haseł wypisanych na ścianie. Znalazła też kolejne rysunki. Różne lasy, mapy, punkty zakreślone na czerwono.

Zastawiała się, czy te sprawy rzeczywiście coś łączy. Kobieta, która uniknęła śmierci, i ciało znalezione w lesie, z którego uciekła. Stara legenda przekazywana przez lata z ust do ust, które teraz mogła się okazać kanwą tych wszystkich wydarzeń.

To było absurdalne.

Z drugiej strony, nacięcia na ciele obu ofiar miały w sobie coś rytualnego. Louise nie miała wątpliwości co do tego, że Caroline skończyłaby tak samo jak Nathan Coldfield. Z jakiegoś jednak powodu udało jej się uciec.

„Jak to się stało? Czy nagle coś odwróciło jego uwagę? Tak w trakcie cięcia jej ciała? To bez sensu”.

Louise potrząsnęła głową, odpychając od siebie tę myśl.

– Zadzwoń do specjalisty od kontaktów z rodzinami – rzucił Shipley z progu, a potem wszedł do pokoju i stanął tuż obok niej. – Nie bardzo wiedziałem, co innego miałbym zrobić. Jest dość roztrzęsiona.

– Przypuszczam, że rozdrapaliśmy stare rany.

– Zaczynam myśleć, że te rany się nigdy nie zabiły. Znalazłaś tu coś, co by nas mogło doprowadzić do Rhysa Durhama?

Louise ponownie zajrzała do segregatora, na kartki wypełnione czernią i czerwienią. Z tych stron lały się przemoc, nienawiść i przerażenie.

– Nie wiem. Myślę, że Jon miał swoje problemy i został jakoś w tę historię wplątany. Możemy to ze sobą zabrać i to obejrzeć. Może coś tu znajdziemy, ale wątpię.

Shipley wpatrywał się w jedną ze stron, potrząsając głową, jak gdyby zupełnie nic z tego nie rozumiał. Louise wiedziała jednak, że chodzi o coś innego. Nagle się bowiem okazało, że mają do czynienia z czymś znacznie poważniejszym, niż się spodziewał.

– Jak gdyby cała ta sprawa od początku nie była dość dziwna... – stwierdził, wzdychając głośno. Być może chciał w ten sposób zasugerować, że nic tu już więcej nie trzeba dodawać.

Louise nie odpowiedziała i raz jeszcze przeniosła wzrok na ścianę, na ciemne i martwe maski. W tych oczach kryło się coś strasznego, czaiło się w nich zło.

– To tylko historia – wyszeptała w końcu. – To coś nie istnieje.

## Rozdział 13

Tych spotkań było tyle, że Louise nawet nie zadawała sobie trudu, żeby je wszystkie zapamiętać. Na ogół się nie odzywała i tylko słuchała, co mówią inni.

Dzisiaj miało być inaczej.

Sprawa przybrała nietypowy obrót i Louise nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić. Segregatory z pokoju Jona Durhama, podobnie zresztą jak rysunek na ścianie, w sumie niewiele wniosły – w każdym razie dodatkowego ponad to, co stwierdzili jeszcze na miejscu. Louise nie zdołała odwrócić uwagi Shipleya od kwestii, która w tej chwili zdawała się istotniejsza, to znaczy ciała Nathana Coldfielda i nieudanej próby morderstwa Caroline.

W żaden sposób nie byłaby w stanie naprowadzić nikogo na ścieżkę, którą według jej intuicji w końcu będą musieli wyruszyć.

Na horyzoncie czaił się już wydział kryminalny, wyczekujący na właściwy moment, aby przejąć niewielkie śledztwo dotychczas prowadzone przez nią i Shipleya. Na spotkaniu pojawiło się dwóch jego przedstawicieli. Sprawiali wrażenie zarozumiałych, z całą pewnością po cichu oceniali dotychczasową pracę Louise i Shipleya.

„A niech sobie oceniają”, pomyślała Louise.

– Proszę o spokój – powiedział Shipley, który stał i z wyraźnym trudem opierał się pokusie kilkakrotnego stuknięcia długopisem

o kubek z kawą. – Jak wszyscy wiecie, spotkaliśmy się, żeby omówić ostatecznie ustalenia w sprawie Coldfielda.

– Więc to będzie krótkie spotkanie...

Shipley przeniósł wzrok na oblaną rumieńcem twarz policjanta w mundurze, który stał gdzieś i z tyłu i zapewne wypowiedział te słowa nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. Należało jak najszybciej dać wszystkim do zrozumienia, że to jest poważna sprawa mająca do czynienia.

– Jak już wspominałem – powiedział Shipley, świdrując wzrokiem policjanta, który mu przerwał – ciało Nathana Coldfielda zostało odkryte w lesie w pobliżu ulicy, na której znaleziono młodą kobietę, Caroline Rickards, ofiarę brutalnego ataku. Ciało zostało pozytywnie zidentyfikowane przez członka rodziny, a wstępne wyniki sekcji wskazują, że przyczyną zgonu było prawdopodobnie wykrwawienie. We wstępnym raporcie znalazła się informacja, że śmierć nastąpiła mniej więcej dwadzieścia cztery godziny przed tym, jak Caroline pojawiła się na ulicy.

Louise zmieniała zdjęcia, które wyświetlały się za jego plecami w trakcie prezentacji. Kurczowo trzymając w dłoni pilota, starała się nie patrzeć na ciało widoczne na kolejnych fotografiach.

Śmierć zwykle nie wywoływała u niej poczucia dyskomfortu.

Tym razem jednak było inaczej.

– Louise przedstawi nasze dotychczasowe ustalenia, żebyście byli ze wszystkim na bieżąco.

Shipley usiadł i przejął pilota od Louise, która teraz wstała. Obrócił go w dłoni i położył kciuk na odpowiednim guziku, po czym spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

– Rozmawialiśmy z matką Nathana Coldfielda. Nie widziała ofiary od kilku tygodni – powiedziała Louise, przejmując po nim pałeczkę. – Jako jednego ze znajomych ofiary wskazała niejakiego Rhysa, którego zidentyfikowaliśmy wstępnie jako Rhysa Durhama.

Ten człowiek stanowi obecnie jeden z głównych wątków naszego śledztwa.

Louise czekała, aż Shipley naciśnie guzik. Na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie – stara, bo pochodząca sprzed mniej więcej pięciu lat, fotografia Rhysa Durhama z kartoteki policyjnej. Louise spojrzała za siebie, żeby się upewnić, że na ekranie wyświetla się właściwe zdjęcie. Zobaczyła szczupłą twarz dwudziestokilkulatka o zapadniętych policzkach. Niespecjalnie się różnił od wszystkich innych łysych kolesi, którzy musieli się zmierzyć z dorosłym życiem wcześniej, niż chcieli. Zupełnie więc niewykluczone, że przechadza się buńczucznym krokiem po ulicach miasta, chowając twarz pod daszkiem czapeczki.

Wyglądał normalnie.

– Rhys Durham, trzydzieści lat. Był znajomym ofiary, której matka przypisuje mu zły wpływ na jej syna, chociaż osobiście nigdy go nie poznała. Ogólnie można powiedzieć, że nie darzyła go sympatią, zapewne nie bez powodu. Mężczyzna ma kartotekę policyjną.

Z jednego z krzeseł przed Louise wystrzeliła w górę ręka.

– A za co go przyskrzynialiśmy?

Louise starała się udawać, że to pytanie nie wybiło jej z rytmu. „Przecież już mówiłam”.

– Za wiele różnych rzeczy, przez wiele lat. Chodzi głównie o działania z użyciem przemocy. Poza tym jako siedemnastolatek zgwałcił czternastolatkę, za co dostał wyrok w zawieszeniu, bo łagodny sędzia uznał rację obrony, która twierdziła, że to ona go uwiodła. Rozmawiałam z tamtą kobietą i jej rodziną. Po procesie już go nigdy nie spotkali. Jeśli chodzi o jego rodzinę, to udało nam się dotrzeć tylko do ciotki. Nazywa się Hazel Durham. Jego rodzice byli oboje narkomanami i zmarli, zanim Rhys osiągnął pełnoletniość. On już wcześniej wykazywał skłonność do

agresywnych zachowań, ale po śmierci rodziców zdarzały mu się one częściej... aż dwa lata temu, jak się wydaje, ustały. Ciotka również nie widziała go już od dłuższego czasu, co jednak może mieć związek z tym, co się stało z jej synem.

Louise wyjaśniła, co razem z Shipleyem zastali w domu Hazel Durham, a w szczególności w pokoju jej syna Jona. Shipley zaprezentował serię zdjęć ściany nastolatka, wykonanych poprzedniego dnia. Miny uczestników zebrania nagle się zmieniły.

– Rysunki wykonał Jon, kuzyn Rhysa. Kto pochodzi z okolic, ten zapewne bez trudu stwierdzi, co przedstawiają.

Policjanci zgromadzeni w sali zaczęli szeptać między sobą. Na kilku twarzach dostrzegła wyraz zaskoczenia, ale większość rzeczywiście rozpoznawała tę postać.

– Większość z was będzie się zapewne zastanawiać, co mają wspólnego gryzmoły młodego i niestabilnego psychicznie nastolatka z naszą sprawą. Otóż rzecz w tym, że ta historia przewija się w naszym śledztwie nie po raz pierwszy.

– Czyli co? Kościuch istnieje i zabija ludzi?

Louise rzuciła wymowne spojrzenie policjantowi w mundurze, który wcześniej przerwał Shipleyowi, a teraz stał gdzieś z tyłu z głupawym uśmiechem na twarzy.

– A co? Boisz się?

Policjant coś wymamrotał w odpowiedzi, ale Louise już mówiła dalej.

– Niezorientowanym wyjaśniam, że Kościuch to postać z miejscowej legendy. Opowieści na jego temat krążą już od dawna, ale nigdy nie udało się potwierdzić ich prawdziwości. To miejscowe straszdyło, o którym opowiada się różne historie. Zwykle przedstawiają go jako coś, co mieszka w lesie i co porywa ludzi, którzy potem po prostu znikają.

– Ogólnie wszystkie zaginięcia, do których doszło na terenie



miasta w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, kojarzone są właśnie z tym... mitem – powiedział Shipley, nieco poluzowując krawat. – Ale nigdy nie udało się znaleźć nic konkretnego, co by się z tą historią wiązało.

– Jest też piosenka – odezwał się ktoś, kto zaraz potem zaczął śpiewać. Louise uciszyła ten głos gestem dłoni.

– Dziękuję, ale to nie jest konieczne. Wszyscy znamy te historie. One krążą już od kilkudziesięciu lat. Ludzie znikają, nikt ich nigdy nie znajduje. Zawsze za to znajdzie się ktoś, kto będzie twierdzić, że ostatnio widziano ich w pobliżu lasu... I w ten sposób legenda utrzymuje się przy życiu. Nikt nigdy nie widział nikogo ani nic, co by sugerowało, że chodzi o coś więcej niż o zwykłe zaginięcie. Oczywiście uwzględniamy teraz ten wątek w naszym śledztwie, ale jako jeden z wielu.

Louise mówiła dalej, ale stało się dla niej jasne, że nie dociera z przekazem do swoich słuchaczy. Dla tych ludzi to była ciągle tylko legenda. Oni nie potrafili dostrzec w tym schematu. Jeszcze nie...

– Oprócz wątku Kościucha mamy jeszcze jedną historię śmierci, która się wiąże z Rhysem Durhamem. Na razie jednak nie wiemy, jaki on ma konkretnie z nią związek. Przyjrzelśmy się bliżej śmierci Jona i wszystko wskazuje na samobójstwo. Ciało zostało znalezione przy Oggie Shore, w południowej części miasta. Znalazł go przypadkowy przechodzień wyprowadzający psa. Chłopak miał przy sobie kilka opakowań tabletek, a także list. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci było przedawkowanie leków.

Shipley nacisnął guzik, który trzymał w dłoni, ale nie udało mu się wyświetlić zdjęcia listu. Na ekranie wciąż widniał to Oggie Shore.

Louise jednak nie obejrzała się za siebie.

– W liście był napisane: „Kościuch w końcu mnie znalazł”.

Czekała na reakcję swoich słuchaczy, którzy w tym momencie zaczęli wreszcie pojmować, po co wcześniej wspomniała o miejscowej legendzie.

– Koroner nie zdołał potwierdzić zamiaru targnięcia się na własne życie, więc rozstrzygnięcie nie miało ostatecznego charakteru. Najprawdopodobniej było to samobójstwo. Jon był w kiepskim stanie psychicznym. Zmagał się z depresją, lękami i tak dalej. Przed śmiercią miał obsesję na punkcie Kościucha. Na etapie badania przyczyn zgonu wskazano na poważny epizod depresyjny.

Louise znów dostrzegła pośród swoich słuchaczy uniesione brwi. Najwyraźniej bieg wydarzeń stanowił dla nich zaskoczenie. Znów udało jej się zbić ich z tropu.

– Rhys Durham spędzał sporo czasu z Jonem, na prośbę jego matki, a swojej ciotki – tłumaczyła Louise, zaglądając do notatek. – Miał mu pomóc uwolnić się od wszystkiego tego, co go dręczyło. Hazel twierdzi jednak, że ten kontakt przyniósł skutki odwrotne do zamierzonych, to znaczy podsycił lęki Jona.

– Rhys Durham maluje nam się zatem jako mało ciekawa postać – powiedział Shipley, nie wstając z miejsca. – Właśnie dlatego tak bardzo nam zależy na tym, aby zlokalizować miejsce jego pobytu i go odnaleźć.

– Ale od ponad roku nikt go nie widział? – dopytywał policjant, z którym wcześniej rozmawiali w lesie. Louise dopiero niedawno udało się ustalić, jak on się nazywa: Stuart Cavanagh. – Nie ma żadnych informacji?

Też już się nad tym zastanawiali. Nie raz.

– Matka Nathana Coldfielda wydaje się pamiętać, że go widziała mniej więcej miesiąc temu, ale poza tym faktycznie nie mamy żadnych informacji. Widocznie musimy poszukać dokładniej. Nikt nie zgłosił zaginięcia ani nic z tych rzeczy. On nam po prostu

zniknął z radarów, więc teraz musimy go wykurzyć z kryjóWKi. Informacja na temat Rhysa Durhama zostanie dziś rano przekazana prasie. Dotychczas media ogólnokrajowe nie poświęcały zbyt wiele uwagi odkryciu ciała Nathana Coldfielda, ale to się lada moment zmieni. Miejmy nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto tego człowieka rozpozna, i że wkrótce będziemy go mieć w swoich rękach. Na razie wszyscy zajmiemy się sprawdzaniem wszystkich dotychczasowych znajomości Rhysa Durhama. Musimy sprawdzić wszystkie, choćby najbardziej niepozorne powiązania. On jest teraz głównym obiektem naszego zainteresowania. Miejmy nadzieję, że gdy go znajdziemy, to wszystko się skończy.

– A co z tą kobietą?

– Przyjrzelismy się jej życiu – odparł Shipley, rzucając okiem na Louise, a potem ponownie przenosząc wzrok na pozostałych. – Można odnieść wrażenie, że znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nie zgadza się na żadne odwiedziny w szpitalu, ale podejrzewamy, że to przez wstyd lub może w celu ochrony prywatności. Rozmawialiśmy z jej przełożonym, który twierdzi, że przychodzi do pracy, robi to, co do niej należy, a potem idzie do domu. Nigdy nie miała żadnych problemów. W naszych kartotekach nic na jej temat nie mamy, nie znaleźliśmy żadnych związków z Nathanem Coldfieldem. Wygląda więc na to, że miała pecha i trafiła na coś, co się źle dla niej skończyło. Nic więcej na razie nie potrafimy powiedzieć.

Shipley rozdzielał zadania między uczestników zebrania. Każdy z nich dobrze wiedział, czym ma się zająć. Louise obserwowała, jak na ich ramiona opada powoli ciężar wielkiej odpowiedzialności związanej ze stojącym przed nimi wyzwaniem.

Znalezienie jednego człowieka. Kogoś, kogo od dłuższego czasu nikt nie widział. Kto ma tylko jednego członka rodziny i – jak się zdaje – nie ma żadnych bliższych znajomych. Może nie było

najtrudniejsze zadanie na świecie, ale... zdecydowanie jedno z tych trudniejszych.

Louise i Shipley czekali, aż pozostali wyjdą z sali zebrania i kurz opadnie. Na ekranie ciągle jeszcze wyświetlało się zdjęcie Rhysa Durhama, który teraz patrzył prosto na nich. Oceniał wyniki ich pracy. Oceniał jakby ich samych.

Matka Nathana miała rację. W jego oczach był mrok. Bił ze zdjęcia i świdrował umysł Louise.

Louise zaczęła sobie wyobrażać, jak on wygląda naprawdę. Ta myśl wywołała u niej napięcie.

– Myślisz, że to jego szukamy? – zapytał Shipley, wrywając ją z zamyślenia, za co akurat tym razem była mu wdzięczna. – Myślisz, że to on zaciągnął Caroline w to samo miejsce, gdzie dzień wcześniej kogoś zabił?

– Wydawało mi się możliwe, że Caroline go zaskoczyła, gdy wracał na miejsce zbrodni. Tyle że nadal nie mamy żadnych fizycznych dowodów, które by go pozwalały z tym miejscem zbrodni powiązać – odparła Louise, unikając jego wzroku. Schowała dokumenty do teczki, którą następnie zamknęła. – On nam odmówi składania jakichkolwiek wyjaśnień i będziemy mieli kłopot.

– Jeszcze nie mamy pełnego raportu z sekcji – odparł Shipley, niejako na zgodę. – Poza tym dowodów poszlakowych powinno nam wystarczyć.

– Nie jestem co do tego przekonania. Już mocniejsze sprawy upadały później w sądzie.

– Ale przynajmniej już nie będzie się szlajać po ulicach – odparł Shipley, podążając wzrokiem za Louise, która stała teraz przy zamkniętych drzwiach do sali.

Louise, z teczką pod pachą, rękę miała już na klamce, ale nagle się zatrzymała.

– A co z tymi wszystkimi wskazówkami, które mają związek

z Kościuchem? – zapytała, siląc się na swobodny ton. Taki ton w stylu: „tak tylko pytam”. – Jest ich już kilka, ten wątek ciągle się przewija. Możemy to tak po prostu zignorować?

– A co proponujesz? Że zaczniemy łapać ludzi w diabelskich maskach? Zbliża się Halloween, szybko byśmy zapełnili cele.

Shipley czekał na odpowiedź, ale Louise tylko uparcie na niego spoglądała. W końcu potrząsnęła głową i się odwróciła.

– Słuchaj, zaczekaj – powiedział, ruszając w kierunku otwierających się drzwi i zagradzając jej drogę. – Przyznaję, że to jest bardzo dziwne, że oto nagle raz po raz pojawia się ta sama historia, którą opowiadaliśmy sobie jako dzieci. Tylko że ja na razie nie widzę, jak to wszystko miałoby się łączyć. Ty zresztą też nie, bo w przeciwnym razie już dawno byś mi powiedziała. Strach robi z ludźmi dziwne rzeczy. Może Rhys chodził i opowiadał ludziom, że jest Kościuchem, ale to przecież tylko zgrywa. Możliwe, że jest po prostu chorym facetem z upodobaniem do zabijania. Nathan był zapewne jego pierwszą ofiarą. Caroline mu przeszkodziła i dlatego o mało co jej nie zabił.

– Przecież wiedział, jak ona ma na imię. Pamiętasz? Ona twierdziła, że zanim ją zaatakował, zawołał ją po imieniu.

– Myślę, że ona mogła też coś źle zapamiętać. Na razie mamy jedną ofiarę i jedną osobę, która być może jest za ten czyn odpowiedzialna. Jak znajdziemy Rhysa Durhama, to go o to zapytamy, dobra?

Wyszli razem z sali zebrań. Louise skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Zastanawiała się, czy niniejszym Rhys Durham awansował z obiektu zainteresowań policji na podejrzanego o morderstwo.

Uznała, że faktycznie lepiej będzie znaleźć konkretnego winnego niż legendarnego. Zatrzymała się i raz jeszcze odwróciła do Shipleya.

– Proszę pana...

– Co ja ci mówiłem? – przerwał jej Shipley. – Masz tak do mnie nie mówić.

Louise otworzyła usta, jak gdyby chciała powiedzieć coś jeszcze. Chciała mu opowiedzieć o swoich lękach. Chciała wspomnieć o tym, że być może chodzi tu o to coś, czego nawet nie są w stanie pojąć. Ostatecznie się jednak na to nie zdobyła, nie w tych okolicznościach. Teraz zabrzmiałoby to po prostu jak wyraz jej osobistych lęków. Ta myśl tylko ją dodatkowo zaniepokoiła. Dobrze знаła już to uczucie. Strach powoli zaczynał zżerać ją od środka. Gdy zastanawiała się nad tym, czy by mu o tym wszystkim opowiedzieć, ściany pomieszczenia zaczęły się na nią walić.

Potrzaskała tylko głową.

– A nie, nic... Przepraszam.

## Rozdział 14

Gdy Shipley zatrzymał samochód pod jej domem, ulicę spowijał już mrok. Shipley nie wyłączył silnika. Louise mocowała się trochę z pasem, nie mogąc znaleźć zapięcia, które ukryło się gdzieś pod jej torebką.

– Czekaaj! – powiedział Shipley, po czym włączył jej lampkę nad suficie. – Inaczej będziesz szukać do jutra.

– Dzięki – odparła Louise, której w końcu udało się uwolnić. Już miała otworzyć drzwi, gdy poczuła na ramieniu dłoń Shipleya.

– Louise, co się dzieje?

Nie spojrzała na niego, ale też nie odwróciła głowy. Zapadła chwila ciszy, którą przerywały jedynie ich oddechy.

– Nic – powiedziała w końcu Louise, obracając się do niego z wymuszonym uśmiechem na twarzy. – Jestem po prostu zmęczona, to wszystko.

– Wyraźnie wyczuwam, że coś jest nie tak – ciągnął Shipley, zupełnie jak gdyby jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. – Cały dzień jesteś jakaś drażliwa. Nie oburzaj się, nie o mnie chodzi. Tak w stosunku do innych.

– Nie ma się czym przejmować. Po prostu ta cała sprawa tak się rozrosła z dnia na dzień, a ja nie mogę przestać myśleć o Caroline, która leży w tym szpitalu zupełnie sama.

Shipley opadł na oparcie swojego fotela, zdjął rękę z jej ramienia.

– Wiem, to w sumie dość zaskakujące. Przecież w takim momencie człowiek chyba chce mieć jakieś towarzystwo.

Louise doskonale rozumiała Caroline. Potrafiła sobie wyobrazić, że zapewne odczuwa wstyd i że próbuje sama sobie wymierzyć karę za działania innych ludzi.

– Znalazła się o krok od śmierci. Któż wie, jak niewiele brakowało – ciągnął Shipley, podczas gdy Louise zbierała się na odwagę. – Jak jej się udało uciec? To mnie interesuje. On najpierw zabija kogoś innego w tym samym lesie, a potem przypadkiem ją wypuszcza? Jakoś mnie to nie przekonuje.

Louise wymamrotała coś, co miało sugerować, że się z nim zgadza. Też się zastanawiała nad tym, jak Caroline udało się uciec. Jak to się stało, że on jej *pozwolił* uciec. W tym momencie tak to właśnie widziała. To nie mogło być inaczej. Inaczej to nie miało sensu.

– Powiedziałaś mi, gdyby cię coś gnębiło, prawda? – dodał Shipley z wyraźnie zmartwioną miną.

– Oczywiście.

– Jesteś dla mnie ważna. Wiesz o tym, prawda? – powiedział jeszcze, jakby łagodniejąc na twarzy. Ona nadal dostrzegła na niej napięcie, które jednak stanowiło jego cechę charakterystyczną. – Poza tym nie chcę, żebyśmy coś zawalili... to znaczy ze sprawą.

– Nic się takiego nie stanie – odarła Louise, spoglądając mu głęboko w oczy i licząc na to, że on dostrzeże szczerą jej przekonania. – Znajdziemy go.

Shipley jeszcze raz na nią spojrzął, a potem otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale po chwili ponownie je zamknął. Odwrócił głowę i wyjrzał na tonącą w mroku ulicę.

– Mam nadzieję. Lepiej już idź do domu. Nie wydaje mi się, żeby jutrzejszy dzień miał być spokojniejszy od dzisiejszego.



To właśnie w tym momencie Louise nieomal wystosowała zaproszenie. To byłoby lekkie zachwianie i wielki skok w nieznaną. Ugryzła się w język w ostatniej chwili. Uśmiechnęła się tylko i pożegnała z Shipleyem, żeby już się więcej nad tym nie zastanawiać.

Louise tak bardzo by chciała, żeby wszystko było normalnie. Żeby jej życie było inne.

– Widzimy się jutro! – powiedziała, wysiadając z samochodu i zdecydowanie zbyt mocno zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zatrzymała się jeszcze na końcu ścieżki. Spojrzała w stronę samochodu i krótko pomachała. We wnętrzu pojazdu było ciemno, więc nie widziała już twarzy Shipleya. Wiedziała jednak, że intensywnie się jej przypatruje, usiłując rozwikłać dręczącą go zagadkę.

Samochód nagle ożył i odjechał od krawężnika. Kilka chwil później już go nie było. Louise spojrzała na pole, które znajdowało się po drugiej stronie w stosunku do jej domu. Na jego skraju rosły rzadko niewysokie drzewa. Wydawało jej się, że coś między nimi przemknęło, ale odgoniła od siebie tę myśl. Odwróciła się w stronę domu i pewnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi.

Ciągle jeszcze czuła wokół siebie delikatną woń jego wody po goleniu, która otaczała ją jak mgiełka.

Zwykła rzecz. Byłoby normalne, gdyby go zaprosiła do swojego domu. Do salonu. Do kuchni.

Do sypialni.

Nie mogła tego zrobić. Nie teraz. Teraz gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Zbyt wiele było do stracenia. Louise weszła więc do pustego domu, który powitał ją chłodem zastanego powietrza. Ciszę przerywało tylko dobiegające z oddali tykanie kuchennego zegara.

„Normalne. Ja tylko chcę być normalna. Nic więcej”.

Zdejmując kurtkę i buty, a potem wchodząc do kuchni, przez cały

czas ignorowała głos, który się odzywał w jej głowie. Zajął się poszukiwaniem czegoś do jedzenia, usiłując przy tym odpędzić od siebie wspomnienie dotyku jego dłoni na jej ramieniu – a także wzrok leżącej w szpitalnym łóżku Caroline, która spojrzała na nią z dołu.

Ignorowała te wszystkie myśli, tak samo jak ignorowała gniew, który wzbierał w niej na myśl o Caroline. I o Nathanie Coldfieldzie. I o tym, skąd się wzięli w jej głowie. O tym, dlaczego zna ich nazwiska. Od lat nie musiała już myśleć o tym, za sprawą którego teraz oni się w jej życiu pojawili.

O Kościuchu.

To w niej automatycznie budziło wstręt i odrazę. Ta nazwa. Ta legenda. Ta opowieść.

Spojrzała na zbiegające kłykcie swojej ręki, z całej siły zaciśniętej na rączce od lodówki. Puściła uchwyt, ale jego odcisk na dłuższą chwilę pozostał jej na dłoni. Przyglądała się, jak z czasem znika i jak wszystko wraca do normy.

Ktoś sobie tę nazwę przywłaszczył i tyle. Jakiś zły, pokręcony zabójca postanowił się podszyć pod lokalnego potwora i teraz udawał kogoś, kim tak naprawdę nie był.

To wszystko.

Potwór przecież nie istniał.

Stojąc w kuchni swojego domu, Louise nagle podjęła decyzję.

Nie musiała przecież być sama.

Na szpitalnych korytarzach panował większy spokój niż podczas ich poprzedniej wizyty w ciągu dnia. Rzadziej słychać było odgłosy kroków, mniej osób się kręciło. Światła sprawiały wrażenie mniej intensywne, zupełnie jak gdyby ktoś postanowił, że na noc lepiej je będzie przygasić.

Louise zatrzymała się przy drzwiach, bo nie była do końca pewna,

czy postępuje słusznie. Ostatecznie postanowiła nie przejmować się tymi wątpliwościami. Nacisnęła na klamkę i weszła do środka. Pokój tonął w ciemności, za to ciszę przerywał cichy dźwięk telewizora wiszącego na ścianie.

Podeszła bliżej łóżka, tak na wszelki wypadek starając się zachować ciszę. Coś jej jednak podpowiadało, że nie jest to konieczne.

– Dobry wieczór – powiedziała Caroline, unosząc się na łóżku z wyrazem bólu na twarzy. – Nie spodziewałabym się tu pani o tak późnej porze. Czy coś się stało? Znaleźliście coś?

– Przykro mi, ale nie to mnie tu sprowadza – powiedziała, przyciągając krzesło do łóżka i siadając na nim. – Po prostu pomyślałam, że może pani mieć ochotę na towarzystwo.

– A, no tak – powiedziała Caroline, wyraźnie zbита z tropu. Po chwili jednak lekko się uśmiechnęła. – Dziękuję. Rzeczywiście zaczynam się tu trochę nudzić.

– Wcale się nie dziwię. Wieczorny program telewizyjny jest strasznie kiepski. Tym bardziej, że pewnie setki kanałów do wyboru tu nie ma.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że tak bardzo będę tęsknić za Netflixem – powiedziała Caroline. Roześmiała się lekko, sprowadzając na siebie dolegliwy ból, który dało się rozpoznać po tym, jak gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Przepraszam, ale raczej na rozrywkę nie może pani w moim towarzystwie liczyć. Leki co prawda łagodzą dolegliwości, ale ciągle jeszcze jestem dość obolała. Pewnie najlepiej by było, gdyby mnie pani nie rozśmieszała.

– Specjalnych talentów komediowych nie mam – odparła Louise, nachylając się nad szafką nocną Caroline i podając jej stojącą tam butelkę wody. – Czuje się pani już trochę lepiej?

– Może to dziwne, ale znacznie – odpowiedziała Caroline, szybko

biorąc łyk wody z butelki. Dokręciła zakrętkę, po czym odłożyła ją obok siebie na łóżku. – Można to na pierwszy rzut oka tak nie wygląda, ale szczerze powiedziawszy, wydawało mi się mało możliwe, żebym miała kiedykolwiek wrócić do normalnego życia, a tymczasem wracam, choć powoli. Lekarze twierdzą, że skóra się zagoi. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, żadne przeszczepy nie będą potrzebne.

– Na pewno zostaną jakieś niezwykle blizny. Do końca życia będzie pani miała o czym mówić.

– To prawda. Już nigdy nikt o mnie nie pomyśli, że jestem nudna. Chociaż pewnie wolałabym osiągnąć ten efekt, ucząc się zonglerki albo czegoś w tym stylu.

Louise przeniosła wzrok na telewizor. Przez chwilę wpatrywała się w mrugające obrazy, których nie rozpoznawała.

– W ogóle pani sypia?

Caroline potrząsnęła głową.

– Parę godzin tu, parę godzin tam. Trochę to trudne, jak co pięć minut ktoś tu zagląda. Już się nie mogę doczekać, kiedy stąd wyjdę i w końcu się porządnie wyśpię.

– Rozumiem panią.

– Z drugiej strony, nie wiem, czy to będzie takie proste. Ciągłe się przenoszę myślami do tamtego... miejsca.

Louise nic nie powiedziała. Rzuciła okiem na Caroline i stwierdziła, że znów się wpatruje w sufit. Siedziała teraz znacznie bliżej i wyraźnie widziała ciemne kręgi wokół jej oczu.

– Nie sądziłam, że można się tak bardzo bać i to przeżyć – powiedziała Caroline, lekko drżącym głosem. – Wydawało mi się, że serce mi się po prostu w pewnym momencie zatrzyma. Nigdy czegoś takiego nie czułam.

– Z moich doświadczeń wynika, że człowiek jest w stanie znieść znacznie więcej, niż mu się wydaje. Każdy z nas ma w sobie

instynkt przetrwania.

– W tym właśnie rzecz – odparła Caroline, odwracając głowę tak, że teraz patrzyła na Louise. Jej zielone oczy zaczęły znikać za kroplami łez. – Ja nie chciałam przeżyć. Ja chciałam, żeby to się skończyło. Cały ten ból, ta agonია... Tak bardzo się bałam. Ja chciałam, żeby to się skończyło, a to się nie chciało skończyć. Byłam gotowa umrzeć.

Louise nic nie mówiła, więc słowa Caroline płynęły swobodnie. Postanowiła pozwolić jej się wygadać, choć tak naprawdę najbardziej miała ochotę wyciągnąć do niej rękę i jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Że oni znajdą tego, kto jej to zrobił.

– Pani się już na pewno kiedyś z czymś takim spotkała – powiedziała w końcu Caroline, poskramiając emocje. – W swojej pracy pewnie spotyka się pani z czymś takim na co dzień.

– Trochę takich różnych rzeczy jest – skłamała Louise. Niech się Caroline pociesza myślą, że nie tylko ona jedna przeszła przez coś tak strasznego. – Chociaż to nie oznacza, że w tym przypadku postępujemy jakoś inaczej. Traktujemy tę sprawę tam samo jak każdą inną.

– Wcale nie chciałam sugerować...

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała Louise, nie pozwalając jej dokończyć myśli. – Po prostu chciałabym panią zapewnić, że robimy, co w naszej mocy, aby znaleźć sprawcę i aby on już nigdy niczego takiego się nie dopuścił.

– Dobrze wiedzieć – odparła Caroline, opadając swobodnie na poduszkę. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby mnie pierwszej się to przydarzyło. Ani też, żebym miała być ostatnia. To coś było zbyt spokojne. Jak gdyby to wszystko zostało zaplanowane. Pamiętam tylko drobiazgi, nie widziałam twarzy. Tylko czułam jego obecność. Przykro mi, że nic więcej nie potrafię powiedzieć.

– Proszę się tym nie przejmować. Proszę się skupić na powrocie do zdrowia.

– Zdaję sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie. Myślę o tym, co wam powiedziałam na temat tego sprawcy, i to brzmi... głupio.

– Sporo pani przeszła – powiedziała Louise, zastanawiając się, na ile Caroline sama wierzy w to, co mówi. Na ile jest pewna tego, co widziała i co ją tak naprawdę spotkało w tym lesie. – Proszę się nie przejmować tym, jak to brzmi. To tylko pani doświadczenie. Proszę sobie próbować przypominać różne rzeczy. Każdy szczegół może się okazać kluczowy dla powstrzymania tego kogoś albo *tego czegoś*.

– Postaram się.

– Zastanawiała się pani może jednak nad tym, żeby się z kimś skontaktować? Żeby kogoś poprosić o odwiedziny? Towarzystwo ludzi mogłoby pani dobrze zrobić.

– Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie oglądał w takim stanie. Potem zawsze by mnie już taką widzieli. Nie chcę... Nie chcę być postrzegana jako ofiara. Czy pani to rozumie?

Louise dobrze to rozumiała, siedziała więc przy łóżku Caroline, mimo że z coraz większą siłą wzbierał w niej gniew. Myśl o tym kimś – tym czymś – co jej tę krzywdę wyrządziło i co posłało ciało Nathana Coldfielda do ziemi, a mimo to stale pozostaje na wolności, nie dawała jej spokoju. W końcu przed oczami miała już tylko mężczyznę bez twarzy, który leżał na ziemi u jej stóp. Ona zaś trzymała w ręku ostrze i nacinała jego skórę.

Ta wizja dodawała jej sił.

WCZEŚNIEJ

Świat się kręcił, a ona mu się przyglądała. Leżąc na ziemi. Czekała.

Czuła się tak, jak gdyby to był sen. Nad głową miała czarnopomarańczowe niebo. Gdy próbowała się poruszać, widok przesłaniały jej białe pasemka.

Jej obolałe ciało trwało zaś w bezruchu.

Niewiele pamiętała z tego, co się działo wcześniej. Dziecięcy umysł nie był w stanie uporządkować wydarzeń. Nie rozumiała, co się właściwie stało. Do czego ona dopuściła.

Powietrze zgęstniało, a jej ciało w końcu zdobyło się na reakcję i kaszlnęło w próżnię. Usiłowała zmusić kończyny do jakiegokolwiek ruchu, ale nic jej się nie udało osiągnąć. Nogi, niepomne jej woli, jakby tylko bardziej w czymś grzęzły.

Jak gdyby wiedziały, że jeśli będą tak leżeć, tak zupełnie nieruchomo, to ona będzie mogła udawać, że ludzie wokół niej nie umierają i że ona nie jest tego bezradnym świadkiem.

Leżała więc dalej na miękkiej, zimnej i nieprzyjaznej ziemi. Na obrzeżach jej pola widzenia majaczyły jakieś zniekształcone przedmioty. Nieludzkie.

„Tego chciałaś”.

Głos był niski, szorstki, warkliwy. Wydawało go coś podobnego do



zwierzęcia, co wyłoniło się z krzaków i teraz skradało się gdzieś, gdzie nie mogła tego dostrzec.

„Przecież chciałaś, żeby nie żyli?”

Nie mogła się poruszyć, nie mogła nic odpowiedzieć. Ten głos był jej tak dobrze znany, a z drugiej strony tak obcy, tak odległy. Wydawał się całkowicie oderwany od tego wszystkiego, co się teraz działo wokół niej.

„Zobacz, oto tutaj się rodzisz”.

Miała ochotę krzyczeć. Unieść się z ziemi. Coś zrobić.

Chciała uwierzyć w ten głos i iść w jego stronę. Chciała się na niego otworzyć i mu podporządkować.

„Oni nie żyją i to jest twoja wina. Chciałaś tego. Potrzebowałaś tego”.

Gdzieś w głębi serca знаła prawdę, ale nie chciała jej przyjąć do wiadomości – że te słowa nic nie znaczą, że to kłamstwa, które mają ją zepchnąć z drogi.

Albo może pchnąć na tę drogę, którą od początku powinna podążać.

„Teraz musisz ze mną pójść. Musimy stąd iść. Chodź ze mną do lasu, zaczniesz nowe życie. Staniesz się taka jak ja”.

Postanowiła się nie ruszać. Kiwała przecząco głową. Patrzyła, jak świat wokół niej się wali. Jak wszystko ginie w płomieniach, jak się obraca w pył. Jak życie do niedawna tak prawdziwe teraz znika i zostaje zniszczone.

Jak się kończy.

Została tylko ona. Leżała na ziemi. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła podążyć w ciemność za tym głosem. Czekwała, aż się przestanie cokolwiek dziać. Aż jej życie się skończy, tak samo jak się skończyło dla innych.

Czekwała, aż przestanie być sama.

Zamknęła oczy. Słyszała własny krzyk wydzierający się z jej

gardła w kierunku nocnego nieba.

„Nie, nie chciałam tego. Nie chciałam, żeby to się wydarzyło. Chcę umrzeć. Nie chcę z tym żyć. ZOSTAW MNIE!”

Głos zniknął gdzieś pośród jej krzyków, a ona została sama na ziemi, ślepa na rzeczywistość. Poczowała na piersi ciężar, który pozbawił ją świadomości. Prawda ulatywała od niej w kłębach dymu i wiatru.

Wiedziała, że to koniec. Że już nigdy nie przeżyje tego dnia i tej nocy. One już zniknęły, już się przeistaczały w mgliste wspomnienie. Ona sobie tego nigdy dobrze nie przypomni. Zamknie te wydarzenia w pudełku, które odstawi gdzieś w kąt pamięci, aby się nimi już nigdy nie zajmować.

W ostatnich chwilach przytomności, gdy czekała, aż jej życie również się zakończy, usłyszała piosenkę.

Piosenkę śmierci.

**TERAZ**

## Rozdział 15

Trzy godziny.

Tyle zdołała przespać Louise po tym, jak w końcu wyszła od Caroline ze szpitala. Oczy zamykała o czwartej nad ranem. Wydawało jej się, że już nigdy nie zmruży oka, ale zmęczenie okazało się silniejsze.

Ciało potrafi nam płać najróżniejsze sztuczki.

Louise rozmyślała o lesie. O tym, który widziała na zdjęciach w sypialni Jona Durhama. O tym, jak wydawał jej się znajomy. O tym, że niemal czuje pod palcami korę drzew. To było niewyraźne wspomnienie, któremu nie mogła do końca ufać.

Poza terenami gospodarstw i tam, gdzie akurat nie było gęstych zabudowań, pośród sieci krzyżujących się miejskich dróg i drózek, raz po raz można było spotkać niewielkie skrawki lasu. Przez lata nie raz takie miejsca odwiedzała. Żeby zanurzyć się w ciszy. Żeby poszukać odpowiedzi na pytania, których nie potrafiła sobie przypomnieć.

Te wszystkie myśli kłębiły jej się w głowie, gdy usiłowała spać.

Las i ogień.

Z oczami czerwonymi ze zmęczenia wjechała na parking. Zatrzymała się i utkwiała wzrok w ceglastej ścianie, którą miała przed sobą. Bez oporu patrzyła, jak granice między czerwienią

a brązem zacierają się i znikają.

Wyczuwała, co się dzieje. Ucisk w klatce piersiowej się nasilał, oddech był coraz bardziej rwany. Coraz krótszy. Coraz płytszy. Jej ciało zaczynało się trząść, a świat wokół niej znikał. Nie mogła oddychać, mimo że intensywnie wydychała powietrze do wnętrza samochodu.

Dyszała i z trudem wciągała tlen do płuc, jak gdyby ten miał się lada moment wyczerpać. Pole widzenia zaczęło jej się zawężać.

Świat tonął w mroku. W coraz większym mroku. Louise mocno zamknęła oczy, chwyciła kierownicę i skupiła się na oddechu.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Powoli się rozluźniała. Przez jej głowę płynęła rzeka myśli, ale żadna z nich nie wydawała jej się ważna. Louise starała się oczyścić z nich umysł.

Myśli do końca nie zniknęły, ale udało jej się skupić na oddychaniu.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Nic na siłę.

Wydawało jej się, że to trwa całe wieki, ale gdy w końcu otworzyła oczy, okazało się, że upłynęło zaledwie parę minut. Miewała już znacznie dłuższe ataki, za to ostatnio panika dopadała ją częściej.

Oczy ją piekły, lada moment miała ją też rozboleć głowa. Louise zawlekła się do budynku, w którym mieścił się jej wydział. Przed wejściem do biura zajrzała jeszcze do łazienki, a gdy stwierdziła, że nikogo tam nie ma, weszła do środka, żeby rzucić okiem na swoje odbicie w lustrze. Nie zaprzętała sobie uwagi worami pod oczami i ziemistością cery. To akurat nikogo nie zdziwi. Wypatrywała raczej czegoś nietypowego.

Zajrzała sobie głęboko w oczy i do nozdrzy. Otworzyła usta i obejrzała zęby. Wypatrywała czegoś, co mogłoby ją zdradzić, co mogłoby wskazywać na jej oderwanie od rzeczywistości.

Teraz przecież musiała się skupić na sprawie. Nie mogła sobie pozwolić na rozkojarzenie.

Musiała wiedzieć.

Nic nie zauważyła. Z drugiej strony, niespecjalnie wiedziała, czego miałyby szukać. Przecież nie wypisała sobie niezmywalnym pisakiem na czole: „Nie wiem, czy dam radę”.

Uznała, że wygląda tak samo, jak zawsze.

Wkroczyła w otwartą przestrzeń biurową, udając się bezpośrednio na swoje miejsce. Zdjęła kurtkę. Wsunęła torebkę pod biurko i włączyła komputer. Shipley już był. Siedział po drugiej stronie sali. Louise widziała, że się jej przygląda. Postanowiła nie zwracać na niego uwagi, a wzrok utkwiała w ekranie komputera, który właśnie się włączał.

W tym samym rzędzie siedziało paru innych detektywów konstabli, ale żaden nie próbował nawiązywać z nią kontaktu. Nigdy tego nie robili, a jej to nie przeszkadzało. Zawsze najlepiej się czuła sama ze sobą.

Im była starsza, tym bardziej się to nasilało.

W jej głowie, pomimo jej woli, pojawiały się strzępki pomysłów, jakieś rozważania, słowa czy obrazy. Louise wbiła paznokcie w uda i skrzywiła z bólu usta, jednocześnie ciesząc się, że to zadziałało – udało jej się uciec z własnej głowy. Na coś takiego nigdy nie ma dobrego momentu, ale dłużej już nie mogła zwlekać.

Pomysł pojawił się w jej głowie w nocy. Las i jego sekrety. Tak prawdę powiedziawszy, to było raczej przeczucie. Nie wzięło się zupełnie znikąd i miało jakieś podstawy w faktach, ale to nadal było tylko przeczucie.

Musiała to odpowiednio rozegrać.

Nie mogła po prostu wspomnieć o tym w rozmowie, jak gdyby chodziło o coś zupełnie nieistotnego. Shipley nie potraktowałby tego poważnie. Na pewno nie teraz, gdy z każdym dniem poważniał

coraz bardziej. Musiał się liczyć z ingerencją wydziału kryminalnego, więc zachowywał ostrożność aż do przesady. Louise potrzebowała dobrego planu.

Wpatrywała się w monitor i otwierała jakieś przypadkowe wiadomości, z każdej odczytując po kilka pierwszych linijek. Sama przed sobą udawała, że zachowuje się normalnie, mimo że w ogóle się tak nie czuła. Czuła się zupełnie nienormalnie.

To było ryzykowne zagranie. Gdyby się nie udało, po włączeniu się do akcji ludzi z wydziału kryminalnego, Shipley zapewne już by jej nie angażował do dalszej współpracy. Ona by była spalona. Byłaby kimś, kto z powodu jakiegoś absurdalnego pomysłu marnuje ich cenny czas.

Coś w tych lasach było. Ona nie miała co do tego wątpliwości. Coś musiało być.

Louise przyglądała się, jak zegar na ekranie monitora odlicza kolejne minuty. Pomyślała, że pięć wystarczy, że pięć to normalna liczba.

Te pięć minut ciągnęło się w nieskończoność.

A ona nadal nie miała planu.

Minęły trzy minuty. Spodziewała się, że Shipley teraz już tak często nie spogląda w jej stronę. Przez noc nie pojawiły się żadne nowe informacje, więc Louise domyślała się, że od wczoraj w śledztwie nic się nie zmieniło. Wszyscy się kręcą i udają ciężko zajętych, ale nadal specjalnie nic nie osiągają.

Każda odpowiedź, którą udało im się znaleźć, stawała się tylko źródłem kolejnych sześciu nowych pytań.

Teraz skupiali się przede wszystkim na Rhysie Durhamie. Chcieli go znaleźć. Liczyli na to, że na tym ich poszukiwania się zakończą.

– Louise, czy wszystko w porządku?

Louise nie podskoczyła, choć Shipley niewątpliwie lekko ją zaskoczył. Uświadomiła sobie, że gapi się w monitor już od co

najmniej dwóch minut. A być może nawet trzech.

Nadal się zresztą gapiała.

– Tak, przepraszam, po prostu błędę myślami daleko stąd – odparła Louise, na chwilę nawiązując kontakt wzrokowy z Shipleyem, a następnie odwracając wzrok. Miała ochotę wbić sobie w udo jeszcze jeden paznokieć, ale ostatecznie tego nie zrobiła. – Co słyszać? Coś nowego?

– Nie, nic. Nadal staramy się namierzyć tego całego Rhysa Durhama, ale na razie bez powodzenia. Widziałaś coś w wiadomościach?

– Tak, ale temat nie chwyta aż tak bardzo, jak się spodziewałam.

– Pewnie z powodu tożsamości ofiary – powiedział Shipley, zakładając ręce na piersi. – Gdybyśmy mogli zwrócić nieco większą uwagę na Caroline...

– Nie wydaje mi się, żeby ona była na to gotowa – wtrąciła szybko Louise, przypominając sobie, w jakim stanie zastała ją poprzedniego wieczora. Caroline nadal z dużym lękiem myślała o tym, przed czym udało jej się uciec z tego lasu.

– Pewnie masz rację, ale myślę, że prędzej czy później będzie się musiała ujawnić. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się wydaje, że nasz typ jest dobry. Nie ulega wątpliwości, że facet miał na pieńku z Nathanem Coldfieldem, że się pokłócili albo coś, i że to właśnie z tego powodu ten drugi wylądował w ziemi w lesie. Caroline znalazła się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. I tyle. Wkrótce będzie trzeba do niej pojechać, żeby się przekonać, czy rozpozna nazwisko albo twarz ze zdjęcia. Miejmy nadzieję, że to nam coś wyjaśni.

– No tak. To można odnieść wrażenie, że jest już właściwie po sprawie.

– Hm.

Ton głosu Shipleya odzwierciedlał poziom jego przekonania.



Zdawał się z niecierpliwością czekać na jej inicjatywę.

– Mimo wszystko na razie pewnie należałoby pracować nad wszystkimi wątkami.

– Owszem. Właśnie przeglądamy to, co znaleźliśmy w pokoju Nathana Coldfielda.

Louise wiedziała, że musi zachować ostrożność.

– A co z Jonem Durhamem?

– Co z nim?

Louise wzięła głęboki oddech, zastanawiając się nad najlepszym sposobem na przedstawienie własnego poglądu.

– Tak sobie po prostu myślę, że nie zaszkodziłoby sprawdzić, czy na tej jego ścianie nie ma niczego istotnego. Nawet jeśli nic innego się nie znajdzie, to może chociaż naprowadzi nas to jakoś na Rhysa?

– Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Moim zdaniem to przypadkowe wytwory chorego umysłu, nic ponadto.

– Mimo wszystko coś się tam może znaleźć – odparła Louise, starając się nadać swojej wypowiedzi ton zaangażowania. – Dużo czasu by to nie zajęło, gdybyśmy się do tego zabrali we dwoje. Przecież właśnie w ten sposób trafiliśmy na nazwisko Rhysa. Teraz chyba należałoby zrobić to samo.

Shiplej z początku nic nie powiedział. Spojrzał tylko na nią z góry, ponieważ ona cały czas jeszcze siedziała, odchyłona do tyłu wraz z oparciem. Wydawało jej się, że będzie to z jej strony wymowny przejaw nonszalancji. Po prostu starała się pomóc, ot co.

– Zobacz, co znajdziesz – powiedział w końcu Shiplej, który rozplótł ramiona i zaczął stukać długopisem w jej biurko. – Tylko nie marnuj na to za dużo czasu. Zależy mi na tym, aby jak największe siły zaangażować w konwencjonalne poszukiwania Rhysa Durhama.

Gdy odszedł, Louise westchnęła z ulgą.

Zdobyła przyczółek.

Chwilę później miała już na ekranie zdjęcia, które zrobili poprzedniego dnia. Powiększała różne szczegóły i robiła zrzuty ekranu. Była przekonana, że rozpoznaje to miejsce. Teraz musiała tylko zadbać o to, aby Shipley również te zdjęcia zobaczył. Aby też je rozpoznał. To był jej klucz do przebicia się z tym wątkiem.

Nie mogła mu po prostu powiedzieć. On musiał uwierzyć, że sam to miejsce odkrył.

Postanowiła, że po godzinie może już iść do niego z jakąś banalną sprawą. Nie zamierzała robić za dużo szumu, planowała jakieś szybkie pytanie. Chciała się przekonać, czy chwyci przynętę, i dopiero potem przykręcić nieco śrubę. Wymagało to trochę finezji. Normalnie tak się tego nie załatwiało.

Tyle że cała ta sytuacja zupełnie nie była normalna. Przecież nie codziennie trafiały im się morderstwa. Takie sprawy nie zdarzały się nawet raz w tygodniu. W tym przypadku wszystko wyglądało zdecydowanie inaczej niż zwykle.

Louise na chwilę zamknęła oczy i nachyliła się nad monitorem tak, aby nikt jej nie widział. Wykonała kilka świadomych wdechów i wydechów, żeby ukoić nerwy, po czym wstała i poszła do Shipleya.

– Masz chwilę?

„Tylko lekko i swobodnie, Louise”.

– Tak, a o co chodzi? – odparł Shipley, nie odrywając wzroku od monitora.

– Przeglądam zdjęcia ściany z pokoju Jona Durhama – powiedziała, kładąc przed nim kilka zdjęć. – Czy to ci wygląda znajomo? Ja jestem prawie przekonana, że już to gdzieś widziałam.

Shipley spojrział na pierwsze zdjęcie z góry, zmarszczył brwi, a potem przybliżył je do twarzy, aby lepiej mu się przyjrzeć.

– Sam nie wiem. To w sumie mógłby być dowolny las.

„No, dalej, Paul”, pomyślała Louise, usiłując drogą telepatyczną

naprowadzić go na właściwą odpowiedź.

– A to? Coś ci przychodzi do głowy? – Podsunęła mu następne zdjęcie z pełną świadomością, że doda dwa do dwóch. Drugi obrazek był bardzo podobny do pierwszego, tyle że zawierał drobną wskazówkę. Ona by jej nie zauważyła, gdyby jej tam nie szukała.

W prawym górnym rogu, niemal ukryte za wszystkim tym, co się znajdowało na pierwszym planie, dało się dostrzec szare drewniane sztachety, stanowiące dolną część niewielkiego budynku. Teraz Louise już wiedziała, co to jest, gdyby jednak nie znała okolicy z własnego doświadczenia, to nie wpadłaby na to, aby tego szukać.

Liczyła na to, że Shipley też to rozpozna. Że w jego głowie pojawi się wspomnienie. Na pewno znał te okolice, skoro tam dorastał.

Shipley zmrużył oczy jeszcze bardziej, po czym położył na zdjęcie palec wskazujący i powoli go przesunął.

– Coś w tym jest wybitnie znajomego – powiedział cicho, intensywnie wpatrując się w fotografię.

Louise czuła, jak serce jej wali, ale na zewnątrz zachowywała stoicki spokój. Musiała stłumić swoje naturalne instynkty, ale na razie świetnie sobie z tym radziła. Miała ochotę krzyknąć i pokazać mu palcem odpowiedni punkt na zdjęciu, ale mimo wszystko czekała. Wstrzymując oddech...

– Chwila...

„Właśnie, pomyślała Louise, no, dalej!”

– To nie może być to, co myślę. Przecież minęło już tyle lat.

– A o co chodzi? – zapytała, licząc na to, że udało jej dobrze zagrać zainteresowanie. – Rozpoznałeś coś?

– Tak mi się zdaje – powiedział Shipley, wolną ręką drapiąc się po głowie. – Musiał być możliwie blisko, ale jednocześnie pozostać niewidoczny. Właśnie się przeniósł z innej części miasta. I tyle.

Shipley triumfalnie uderzył dłonią w biurko tak mocno, że Louise aż podskoczyła.

– Kościucha nie ma, Louise – powiedział w końcu, spoglądając prosto na nią z szerokim uśmiechem na twarzy – ale ktoś w tych lasach mieszka pod gołym niebem. I pewnie straszy dzieciaki, a kto wie, co tam jeszcze wyczynia.

– W jakich lasach?

Shipley przestał się uśmiechać, za to lekko wypiął pierś.

– Słyszałaś kiedyś o Wielkiej Mamuśce w Speke?

Louise miała ochotę odetchnąć z ulgą, ale postanowiła jednak zachować spokój.

Dostaną tego gościa. On jest w tych lasach. Żeruje na starej historii.

Teraz już wiedziała, że go dopadną.

## Rozdział 16

Wokół ciała Carla Grovesa zebrała się kałuża krwi. Jego skóra została pocięta i podarta.

Jego życie pochłonął już las, jego ciało leżało już nieruchome, martwe.

Przez korony drzew przecisnął się promień słońca, który padł na zmaltretowanego człowieka i na ostrze, być może stanowiące część noża, które tańczyło i odbijało się od powierzchni nieruchomego ciała.

Dla Carla było lepiej, że już nie żył. Że nie czuł bólu w każdym plasterku swojego ciała.

Las pograżył się w ciszy, jak gdyby oddawał mu cześć. Jak gdyby wiedział, co się właśnie dzieje w jego ostępach.

Jak gdyby zdawał sobie sprawę, co nim zawładnęło.

Gdyby ktoś w tym momencie szedł przez ten las i doświadczał tej sceny śmierci z zamkniętymi oczami, ogłuszyłyby go odgłosy przyrody. Każdy najdrobniejszy ruch w poszyciu i każdy podmuch wiatru pośród liści rozbrzmiewał jak fala uderzająca o brzeg. Jak tajemnicze, zapomniane szepty.

Ciało Carla Grovesa miało się odtąd powoli w tym lesie rozkładać, aby ostatecznie stać się jednym z elementów ekosystemu. Jego bezduszna obecność wypełniała, zagęszczała atmosferę.

Charakterystyczny zapach stał się integralną częścią tego miejsca. Wkrótce miał się z nim zjednoczyć, zespolić.

Ostatnie tchnienia wydawał z siebie w straszliwych męczarniach. Szczękę miał zaciśniętą, próbował krzyczeć w mrok. Wszystko na próżno. Ratunek nie miał nadejść. Ratunek *nie mógł* nadejść.

Życie potraktowało go surowo i okrutnie. To samo zrobiła śmierć.

Ten las zawsze stanowił dom dla dzikiej przyrody. Od wieków schronienie znajdowały tam również zwierzęta.

W dzisiejszych czasach pełnił jednak jeszcze inną funkcję.

Młodzi ludzie przychodzili tu, żeby przeżyć chwile grozy. Ostatnio bywali tu rzadziej niż kiedyś, ale nadal się pojawiali. Ich głośny śmiech niósł się echem pośród konarów i gałęzi, mącąc ciszę.

Od dziś pewnie nie będą tu jednak tak często przychodzić.

Dźwięki roztaczające się wokół polany, na której znaleziono ciało Carla Grovesa, nagle się zmieniły. Odgłosy przyrody zastąpiło coś nie stąd. Deptanie opadłych liści, które trzaskały jak drewno w kominku.

Ktoś odkrył sekret, który krył w sobie las.

## Rozdział 17

Shipley zatrzymał samochód na skraju pola, z którego wchodziło się do lasu. Louise w tym czasie już walczyła z zapięciem od pasa, żeby jak najszybciej wyruszyć w drogę. Kilka minut później szli już przez pole w kierunku drzew.

– To spacer na jakieś dziesięć, piętnaście minut, jeśli dobrze zapamiętałem.

Louise wymruczała coś na potwierdzenie, usiłując sobie przypomnieć swoją ostatnią wizytę w tym miejscu. Ledwo to pamiętała, bo obrazy zlewały się z wieloma innymi podobnymi wyprawami z późnego dzieciństwa. Uciekała wtedy z domu dziadków, żeby napić się taniego cydru wraz z grupą przyjaciół, którzy potem nigdy niczego specjalnego w życiu nie osiągnęli.

– Jest znacznie większy, niż by się mogło wydawać – ciągnął Shipley ściszym głosem.

Kąpieli słonecznych może się nie dało zażywać, ale z pewnością było jaśniej niż w ostatnich dniach. Z rana chmury jakby się rozplynęły, uwalniając ich od wrażenia wszechobecnej mgły. Ziemia była jednak grząska, za sprawą deszczu padającego przez cały poprzedni tydzień. Dopiero po przekroczeniu linii drzew i odnalezieniu ścieżki Louise zwróciła uwagę na eteryczny charakter światła. Wszystko wokół wyglądało tak, jak gdyby ktoś

tchnął życie w sepiową fotografię.

W lesie panowała większa cisza. Dobiegały ich co prawda odgłosy z pobliskiej ruchliwej drogi, ale poza tym było zupełnie spokojnie. Drzewa były stare, ciemnobrązowe, miejscami prawie szare. Gdyby Louise dotknęła jednego z nich, w dłoni pozostałby jej kawałek suchej kory. Szła dalej za Shipleyem, który cały czas podążał naprzód.

– Aby zrozumieć, skąd się wzięła nazwa Wielka Mamuśka, trzeba wejść bardzo głęboko albo spojrzeć na ten las z lotu ptaka – powiedział Shipley jeszcze ciszej niż wcześniej. Louise już go prawie nie słyszała. Można było odnieść wrażenie, że on dostosowuje ton swojego głosu do atmosfery otoczenia. – Dość łatwo można się tu zgubić. Na pewno w końcu byś znalazła wyjście, ale mogłabyś czasem zupełnie niepostrzeżenie wylądować w Hale, ale jeszcze gorzej, w Widnes.

– Aż tak daleko się ciągnie? – zapytała Louise, patrząc pod nogi, ponieważ ścieżka się skończyła i teraz przedzierali się przez morze pożółkłych i zbrązowiałych liści.

– Tak, chociaż wydaje mi się, że jeszcze najpierw przechodzi w pola. Dość to w sumie dziwne, zważywszy na to, gdzie się znajdujemy.

– Często tu bywałeś, jak byłeś młodszy?

Shipley zamilkł na chwilę. Louise podejrzewała, że zastanawia się na odpowiedzią. Nie spodziewała się, żeby miał jej powiedzieć prawdę, ale była ciekawa, jak dużego rąbka tajemnicy jej uchyli.

– Niezbyt często. Teoretycznie nie wolno mi tu było przychodzić. Nasi rodzice też słyszeli te wszystkie historie. Przeprowadziliśmy się tu, jak miałem pięć czy sześć lat. Nawet gdy już byłem trochę starszy i odważniejszy, to i tak raczej się tak daleko nie zapuszczałem. To był spory kawałek ode mnie z domu.

– Jakie historie masz na myśli?



Shipley wspiał się na gruby obalony pień, wzdychając przy tym ciężko. Drzewa były stare. Louise przypuszczała, że mocniejsza burza mogłaby przewrócić niejedno z nich. Nie byłoby to pewnie nic nowego.

– *O nim*. No wiesz...

Louise nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wiedziała, co Shipley ma na myśli, ale nie potrafiła ocenić, na ile mocno powinna na niego naciskać.

– A, no tak.

Shipley się zatrzymał, przez co Louise prawie w niego weszła. Odwrócił się twarzą do niej, lekko przechylając głowę i marszcząc brwi.

– Słuchaj, ja wiem, że to brzmi absurdalnie, ale byliśmy wtedy dziećmi. Teraz już w to nie wierzę, niezależnie od tego, co się mówi w ostatnich dniach.

– Rozumiem – odparła Louise, jak gdyby przyjmowała jego wyjaśnienia. On chyba jej uwierzył. – A jaka wersja tu wtedy krążyła?

Shipley na chwilę utkwiał wzrok w jej twarzy, a potem się odwrócił i ruszył przed siebie.

– Miał mieszkać w tych lasach. W małej szopie, gdzieś głęboko pośród drzew. Nawet nie wiedziałem, że ona tam w ogóle jest, dopóki jej jednego dnia nie zobaczyłem.

– Przyszedłeś szukać Kościucha – stwierdziła Louise, a jej szept porwał wiatr. – Co znalazłeś?

– Nic – odparł Shipley kpiącym tonem. – Niby co miałbym znaleźć? Ale oczywiście dobrze się przy okazji nakręciliśmy. Byliśmy przecież tylko dzieciakami, mieliśmy nie więcej niż jedenaście czy dwanaście lat. Każdy chciał nastraszyć pozostałych. Połowa związała, jeszcze zanim tu dotarliśmy. Tylko kilku z nas ostatecznie doszło do celu. Przyszedł z nami taki starszy chłopak,

miał na imię Eddie. Był dla nas autorytetem, bo uprawiał amatorsko boks, a my wtedy wszyscy chcieliśmy zostać bokserami. Albo ewentualnie piłkarzami. W każdym razie to on nas tu przyprowadził. On nam powiedział, że możemy zajrzeć przez okno do środka i zobaczyć, gdzie mieszka Kościuch. To była niesamowita okazja, którą szkoda by było przegapić.

– Domyślam się, że tutaj ta historia była silniej obecna niż tam, gdzie ja dorastałam. Mieszkaliście przecież niemal na skraju lasu. To musiało być w pewnym sensie ekscytujące. Jak jakaś przygoda.

– Tak, zdecydowanie – odparł Shipley, któremu odrobinę brakowało tchu. Opowiadał o tym wszystkim z nieskrywaną satysfakcją w głosie. Nagle wydał się Louise niesamowicie uroczy.

– Wszystkim nam się wydawało, że jesteśmy jak bohaterowie *The Goonies* albo jak Kapitan Hak. Na pewno pamiętasz te filmy. To były lata dziewięćdziesiąte, więc te stare filmy przygodowe dla dzieci to był cały nasz świat. Do wyboru mieliśmy jeszcze zabawy w pogromców duchów na Damwood Road. Obserwowaliśmy samoloty podchodzące do lądowania na Speke Airport i udawaliśmy, że przylatują nimi duchy i inne takie potwory. Byliśmy dziećmi, wymyślaliśmy różne historie.

– A co się stało, jak już tu przyszliście?

– Nic ostatecznie nie widzieliśmy. Pewnie nie podeszliśmy dostatecznie blisko. Widzieliśmy to miejsce tylko z daleka, ale tak nas ten widok przeraził, że uciekliśmy. Chociaż oczywiście potem opowiadaliśmy wszystkim wokół, że go widzieliśmy i że próbował nas złapać.

Louise niejedną taką historię już słyszała. Znał ją chyba każdy, kto dorastał w Merseyside. To był swego rodzaju lokalny rytuał przejścia. Ta sama opowieść odmieniana przez wszystkie przypadki. Taki miejscowy potwór. Coś, co miało pomagać dyscyplinować dzieci i wzbudzać w nich lęk. Gdzież to wygląda

jakoś inaczej?

Jedyna różnica polegała na tym, że ta legenda nagle stała się narzędziem w rękach zupełnie prawdziwego człowieka.

– A ty? Szukałaś kiedyś Kościucha?

– Nie, w sumie nie – odparła Louise, nie chcąc się przyznawać do tego, że tak naprawdę nie pamięta. Że właściwie nie ma wspomnień z dzieciństwa. – Może raz, może dwa. Staralam się nie zwracać na to uwagi. To chyba było trochę zbyt straszne jak dla mnie.

– Jesteśmy już blisko – powiedział Shipley, istotnie zwalniając.

Louise nie bardzo wiedziała, czego się powinna spodziewać. Można było odnieść wrażenie, że on chce jeszcze raz przeżyć tamtą przygodę z dzieciństwa. Doświadczyć tamtego zagrożenia, tamtej fascynacji. Gdy postanowił, że się tu wybiorą, żeby sprawdzić, co tu zastaną, zachowywał się niemal trzpiotowato. Louise miała wątpliwości, czy słusznie idą tam sami. Wolałaby spróbować namówić na tę wyprawę większe grono mundurowych i detektywów.

– Chyba wybraliśmy tę trudniejszą drogę, przepraszam – powiedział, zatrzymując się na dnies niewielkiego rowu. Przed sobą mieli wał ziemi, który ciągnął się po kilka metrów w każdym kierunku. Na górze rosły drzewa, za którymi Louise dostrzegła tylną ścianę niewielkiej chatynki lub szopy. – To tam, blisko – ciągnął Shipley, dotykając pasa, aby sprawdzić, czy na pewno ma łatwy dostęp do sprzętu, który koniecznie chciał ze sobą zabrać. Oboje przyjechali z teleskopowymi pałkami i kajdankami. W głowie Louise pojawiła się prorocza myśl, że nie będzie im dane tego użyć.

Przypomniało jej się, jak ostatni raz była w tym lesie. W jej żyłach krążył strach, przesycając całe jej ciało trwogą i lękiem. W powietrzu unosił się otumaniający zapach siarki. Z boku słyszała oddech innego nastolatka, który dyszał z niepokojem, ale usiłował

maskować strach. Robił dobrą minę do złej gry, żeby nie dostrzegła tego, co było zupełnie oczywiste – że bardzo się boi.

Przeszłość to potężna siła, która potrafi człowieka pochłonać. Nostalgia to zamaskowany zabójca. Louise nie mogła ich jednak do siebie dopuścić. Utkwiła wzrok w ziemi i ruszyła przed siebie.

Szła jako pierwsza, wspinając się na niewielki wał, który w praktyce okazał się bardziej stromy, niż jej się wydawało. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu bez trudu by pod coś takiego podeszła, ale teraz dostojniejszy wiek nieco ją spowalniał. Starannie ustawiała stopy i pracowała ciałem dla zapewnienia sobie równowagi. Nie chciała się podpierać rękami, żeby się nie ubrudzić wilgotną ziemią.

Shipley szedł za nią, głośno dysząc. Z trudem wciągał masę swojego ciała po błotnistym zboczu.

Louise wspięła się na szczyt, skąd pomiędzy drzewami dostrzegła szopę. Na jej widok stanęła jak wryta. Kątem oka dostrzegła Shipleya, ale nie potrafiła już oderwać wzroku od tego, co miała przed sobą.

Dziecięce wspomnienia ożyły. Rozmyte obrazy, które przez lata krążyły jej po głowie, nagle nabrały realnych kształtów.

– No i jest – powiedział Shipley niemal z podziwem. – Rany, nic się tu nie zmieniło.

Louise powoli przesunęła rękę po udzie i dotknęła dłonią pałki. Nagle w jej głowie pojawiła się myśl, że coś jest poważnie nie tak. Jak gdyby dała się ściągnąć w pułapkę. Ślepo, zupełnie bez oporu. Jak gdyby zgodziła się na to, aby jakaś niewidzialna siła ją tu sprowadziła.

To był błąd.

To była jej wina, że się tu znaleźli.

– Ktoś tam jest – wyszeptał Shipley. Skulił się nieco, po czym powoli ruszył przed siebie. – Słyszę coś.

Po chwili ciszy również Louise usłyszała jakieś odgłosy. Szuranie, coś jakby szum wody. W ich stronę płynął też coraz bardziej wyrazisty zapach. Louise czuła, jak narasta w niej strach. Oddychała z coraz większym trudem. Starła się skupić na oddechu, ale woń śmierci zdawała się nasilać wraz z każdym kolejnym wdechem.

– Musimy podejść bliżej – powiedział Shipley, odwracając się do niej przez ramię. Nadal był nachylony. W rękę trzymał pałkę i zdawał się nic sobie nie robić z wszechobecnego smrodu. – Jest z przodu. Musimy się rozdzielić i zająć go z dwóch stron. Zablokować go.

– Może powinniśmy wezwać wsparcie?

– Nie ma czasu – odparł Shipley, sprawnie przemieszczając się w pobliże rogu szopy. Szare deski miały już swoje lata i lepiej je było widać. Były kruche i połamane. Czas na każdej z nich odcisnął swoje piętno.

Louise podążyła w stronę drugiego rogu. Usłyszała kolejny dźwięk i spojrzała w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Shipley. Ten jednak zdążył jej już zniknąć z oczu.

Gdzieś z lewej strony dobiegł ją cichy dźwięk, ale potem kolejne odgłosy napływały już z przodu. Słyszała łamiące się gałęzie i odpychane na bok liście. Mimo wszystko postanowiła postąpić tak, jak uzgodniła z Shipleyem. Ruszyła wzdłuż ściany szopy w kierunku frontu.

Odgłosy się nasilały, a wraz z nimi wzmacniał się zapach. Trzaski – tak rozpoznała to, co odebrały jej zmysły.

Płomienie.

Przed oczami na chwilę stanęło jej wspomnienie, a przynajmniej jego zarys. Z boku coś się poruszyło, ale ona nadal koncentrowała wzrok na chatce i dźwiękach dochodzących z zewnątrz. Zauważyła, że powietrze stało się cieplejsze.

Ogień.

Szopa płonęła.

## Rozdział 18

To był błąd.

Że tam poszli, że chodzili po tych lasach.

Że dali się ściągnąć do pożaru.

Gdy oni mijali rogi budynku, ogień właśnie rozpałał się na dobre. Bił od niego żar, który przypiekał jej twarz. Płomienie wypełniały dymem całą przestrzeń wokół nich. Poczowała zapach płonącego ciała, a potem zmysły odmówiły jej posłuszeństwa. Do głosu doszły wspomnienia, granica między przeszłością i teraźniejszością się zatarła.

„Szopa stoi w płomieniach. Teraz! To się dzieje teraz, a ty tu jesteś”.

Louise na razie słuchała tego głosu.

– Wzywaj wsparcie – rzucił Shipley, przekrzykując trzaskające drewno i ryk ognia. – Ktoś tam jest.

Louise bez chwili wahania wyjęła radio z kieszeni i wezwała strażaków. Spojrzała na Shipleya, który właśnie usiłował zbliżyć się do budynku.

– Nie rób tego! To nie ma sensu – krzyknęła, ale z jej gardła wydobył się rozpaczliwy pisk. – Stój. Jest za późno.

– Nie możemy tak tu stać i patrzeć, jak płoną – zaczął, ale potem spojrzał na Louise przez ramię i już więcej nic nie powiedział. Ona

szybko się odwróciła, bo jej świat nagle zaczął się chybotać i tonąć w mroku.

Musiała stamtąd uciekać. Byle dalej. Byle dalej od ognia.

To było dla niej nie do zniesienia.

Z trudem łapała oddech, na piersi czuła coraz większy ciężar. Louise wdrapała się na wał, przeciskając się przez połamane gałęzie i znikając wśród drzew. Pędziła dalej naprzód, mimo że brakowało jej tchu. Paprocie łamały się pod jej stopami. Nie zastanawiała się, dokąd właściwie zmierza. Myślała tylko o tym, żeby stawiać nogę za nogą.

„Raz, dwa”...

Wydawało jej się, że słyszy łamiące się gałęzie i poruszane liście. Aż się przez to potknęła. Straciła równowagę i świat wokół niej zawirował. Wszystkie linie się rozmyły, zapanował nieład. Louise zgięła się wpół i dysząc ciężko, usiłowała złapać oddech. Nadal słyszała te odgłosy, zupełnie jak gdyby w gęstwinie lasu znajdowało się coś jeszcze oprócz niej.

Ruszyła przed siebie. Nie tracąc rytmu, wskoczyła na obaloną kłodę. Ciszę zakłócały teraz już tylko odgłosy jej kroków i ciężkiego oddechu.

– Stój!

Jej głos, umęczony i bezdźwięczny, rozniósł się echem. Zatrzymała się na chwilę w miejscu, w którym drzewa się przerzedzały. Przechyliła głowę i nasłuchiwała.

Nic.

Znów ruszyła biegiem, tym razem szybciej. Chciała pokonać jak największy dystans. Wyobrażała sobie, że już za chwilę go dopadnie, że on się kryje w leśnych gęstwinach zaledwie kilka kroków stąd. Pod wpływem adrenaliny przez oczami stanął jej obraz udanego finału tego pościgu.

Przedarła się przez warstwę gęstych gałęzi i znalazła się



w pobliżu pola, przez które przeszli zaraz po przybyciu na miejsce.

Rozglądała się wokół siebie w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów po człowieku, który by żył w tym lesie. Liczyła na to, że dostrzeże choćby zarys uciekającej sylwetki.

Powietrze wokół niej stało jednak zupełnie nieruchomo.

Louise zatrzymała się na skraju pola. Oddychała już prawie normalnie. Znów spoglądała w kierunku lasu. Z tego miejsca nie wyglądał już tak imponująco. Można było odnieść wrażenie, że zajmuje zaledwie kilka akrów – a przecież w rzeczywistości przemierzali przed chwilą znacznie większą powierzchnię, bo las ciągnął się jeszcze daleko poza horyzontem.

Louise próbowała wymyślić jakieś dobre usprawiedliwienie. Zastanawiała się, co powie Shipleyowi i wszystkim pozostałym, kiedy pojawią się pytania. Dlaczego go tam zostawiła?

Tak dużo czasu minęło, odkąd poprzednio była w tym lesie, a tymczasem była niezmiennie tą samą osobą. Ciągłe wyraźnie odczuwała tamten strach i tamten gniew. Mechanizm walki lub ucieczki odzywał się w niej ciągle tak samo silnie jak całe lata temu. Pamiętała, że to samo miejsce po ciemku robiło jeszcze większe wrażenie. Te wszystkie zakamarki i kryjówki. Wyobrażała sobie, jak by to było przesiadywać godzinami wśród paproci z myślą, że już nigdy nie znajdzie wyjścia z tej gęstwiny drzew i krzewów.

Pole przy drodze. Na skraju łąci trawy linia drzew, a za nią ze setka akrów lasu. Potem znów pola. Ruch samochodowy był głośniejszy, niż zapamiętała, ale z drugiej strony wiedziała, że we wnętrzu lasu już go zupełnie nie słyszc.

Szli za szybko, żeby się mogła zorientować, z czym ma do czynienia. Czego właściwie doświadczyła. Tego mroku, od którego dzieliło ją zaledwie kilka kroków.

– Mówiłaś, że jak się to miejsce nazywa? – odezwał się Cavanagh, zamykając za sobą drzwi od strony pasażera i zza samochodu podchodząc do Louise. Sprawiał wrażenie zdeorientowanego, nawet bardziej niż wcześniej. Był niskim, przysadzistym człowiekiem. Musiał być mniej więcej w wieku Louise, ale wyglądał zdecydowanie młodziej.

– Shipley mówi na to miejsce Wielka Mamuśka – odparła, uśmiechając się na ułamek sekundy. Potem sobie przypomniała, co oni tam właściwie robią. – Po drugiej stronie Speke, bliżej lotniska, jest Wielki Tatuś. Shipley twierdzi, że teraz zaglądają tam tylko ludzie z psami. Dzieciaki na motorach crossowych jeżdżą raczej po polach.

Po drugiej stronie drogi zatrzymał się kolejny samochód. Zanim zdążył zaparkować, wysiadł z niego jeszcze jeden detektyw. Dołączył do nich Shipley, który właśnie chował telefon do kieszeni, ale nie zdradził nikomu, do kogo dzwonił.

– Proszę nam powiedzieć coś więcej o tym miejscu. – Cavanagh zwrócił się do Shipleya. – Louise twierdzi, że pan je dobrze zna.

– W końcu tu dorastałem – odparł Shipley, odpowiadając Cavanaghowi z cynicznym uśmiechem. – Jestem przecież z Merseyside, nie to co ty.

– Ja tam się cieszę, że pochodzę z Cheshire. Tam nie było takiego ryzyka, że ktoś mi zwinie samochód.

Shipley puścił tę uwagę mimo uszu i po chwili obaj mężczyźni zaangażowali się w rozmowę.

– Jest kilka miejsc, które zna każdy, kto dorastał w Speke – powiedział. – Oczywiście mówię głównie o dzieciakach, bo to one najczęściej z tych miejsc korzystały. To jedno z nich. Wielka Mamuśka. Wielki Tatuś jest po drugiej stronie. Dzielą je dwie główne drogi, które tędy biegną.

– O jakich drogach mowa?

– Damwood Road i Hale Road. Wielki Tatuś jest bliżej lotniska. Nazwa w sumie dość głupia. Dziecinna taka. No ale wydaje mi się, że to właśnie dzieci ją wymyśliły.

– Wielka Mamuśka... Jakoś mi wcale na taki duży ten las nie wygląda.

– Pozory mogą mylić – odparł Shipley i wyraźnie się zachmurzył.  
– Pewnie nie jest tak duży jak te na północy miasta. Formby i te inne. Albo ten ciągnący się w kierunku Skem. Koledze z Cheshire wyjaśnię, że chodzi o Skelmersdale.

– Może zostawmy Cheshire w spokoju...

Shipley nic sobie nie zrobił z tego protestu i mówił dalej.

– Były też inne miejsca, które się często odwiedzało. Na przykład Venny. To był nasz plac zabaw pełen przygód, choć w praktyce atrakcje sprowadzały się do sprzętu wspinaczkowego. Dzisiaj to by już nie przeszło żadnej kontroli bezpieczeństwa. Wszystko było pomalowane jaskrawymi kolorami, żeby potęgować złudzenie. Chodziliśmy też na parady i na rynek. Albo spędzaliśmy czas na ulicach, albo grając w piłkę na jakimś skrawku trawy. Graliśmy też w piłka-krawężnik na bocznych drogach. Wymyślaliśmy sobie różne zabawy i tak dalej. Pewnie pod tym względem nie różniliśmy się specjalnie od dzieciaków, które nie mieszkały na jednym z najbiedniejszych osiedli komunalnych w kraju.

Louise dostrzegła w tych opowieściach coś, czego sama nigdy tak naprawdę nie doświadczyła: wspólnotę. Zobaczyła grupę dzieciaków z komunalnego osiedla, które dla zabicia czasu wymyślają sobie różne zajęcia, bo w telewizji mają do wyboru tylko cztery kanały, a popołudniowe programy dla dzieci kończą się już po dwóch godzinach.

– Dobrze się domyślam, że idziemy w stronę dymu?

Louise spojrzała za plecy Cavanagha, na dym wznoszący się nad drzewami. Za późno przybyli na miejsce, nie zdołali zapobiec

całkowitemu zniszczeniu szopy. Louise zastanawiała się, dlaczego widok spalonego i zniszczonego budynku nie wywołuje u niej takich samych reakcji jak kontakt z żywym ogniem.

– Mała gaśnica samochodowa na niewiele się zdała. Mogliśmy tylko wezwać wsparcie i czekać. Louise prawie złapała tego drania, ale zwiął na długo przed tym, jak wyszliśmy z lasu.

– On nadal może gdzieś tam być – powiedział cicho Cavanagh. Potem się wyprostował, bo nagle do niego dotarło, co próbował mu zasugerować Shipley. – Ale to dla was na pewno nie jest żadne odkrycie.

– Mundurowi właśnie przeczesują teren – odparła Louise, ratując w ten sposób Shipleya przed koniecznością wymyślenia jakiejś ciętej riposty. – Usłyszałam coś i bez zastanowienia ruszyłam w pościg. Dość szybko znalazłam się na polu. Gdyby tu nadal był, na pewno bym go zauważyła.

Była o tym przekonana. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Potem przez pół godziny wracała przez las, nasłuchując najsubtelniejszych dźwięków.

Teraz już nikogo w tym lesie nie było.

„Wcześniej, to co innego. Gdybyś tylko nie była taka pochłonięta kontrolowaniem oddechu”...

– No to mamy wsparcie z powietrza – powiedział Shipley, osłaniając twarz i spoglądając w górę. Nad nimi pojawił się helikopter, a odruchowe szczekanie psów szybko ucichło.

Gdy Louise w końcu wróciła do szopy, niewiele już z niej zostało. Shipley stał w odległości dwóch kroków, a na jego twarzy malował się ból. Dłonie miał czarne, oddychał płytko i z trudem.

Był sam.

Czym prędzej opuścili las, żeby nie zatrzeć żadnych śladów. Teraz to było miejsce przestępstwa.

W tym dziele mieli ich już wkrótce wyręczyć strażacy.

Louise postanowiła nie pokazywać Shipleyowi śladów na drzewach. Uznała, że pozwoli mu je odkryć samodzielnie.

Po jej lewej stronie stał na luzie wóz strażacki, który miał w razie potrzeby włączyć się do akcji w charakterze wsparcia. Przez pole biegły ślady opon. W oddali znajdowała się kolejna furgonetka.

– Dajmy im skończyć. Powiedzą nam, czy w środku ktoś był.

Dość szybko stało się jasne, że coś na miejscu znaleziono. Spośród drzew wyłoniło się dwóch policjantów w mundurach, którzy zostali wysłani do pomocy przy pożarze i zapewne nie spodziewali się tam zastać niczego nadzwyczajnego. Teraz zmierzali w ich kierunku. Shipley skinął głową na Louise, aby ta razem z nim wyszła im naprzeciw.

– Co się dzieje? – zapytał głosem, który niósł się w dzielącej ich przestrzeni stu metrów. Skracał ten dystans szybciej niż Louise, mimo że ona z całych sił próbowała za nim nadążyć. Nie chciała niczego przegapić. – Co znaleźli?

– Ja... nie wiem... – powiedział policjant po prawej, kiwając głową. Być może na co dzień też był taki blady, ale Louise wydawało się to raczej mało prawdopodobne. Już wiedziała, że cokolwiek znaleziono w okolicach szopy, to na pewno nie było nic dobrego. Ani normalnego. – Nic dobrego.

– Co to ma znaczyć?

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak pan sam to zobaczy – powiedział drugi mundurowy, drżącymi dłońmi usiłując poprawić mundur. – Nie wydaje mi się, żeby nasza relacja mogła być w jakimkolwiek stopniu pomocna.

Louise poszła dalej za Shipleyem, a policjanci ruszyli w stronę pozostałych detektywów, którzy również zmierzali do lasu. Po przekroczeniu linii drzew napotkali trzech strażaków, z których min nic nie zdołali wyczytać.

– Co tam się dzieje? – zapytała Louise, której serce waliło już

teraz jak młotem. Z każdą chwilą oddychała z coraz większym trudem. Mocno też mrugała powiekami, żeby zachować ostrość widzenia.

Nie teraz. Nie teraz! Odwróciła się lekko w bok i zaczęła intensywnie myśleć o oddechu. Nie widziała, co Shipley do niej mówi. W tym momencie myślała tylko o tym, żeby przetrwać najbliższe dziesięć sekund.

– Co tam się stało?

– My już swoją robotę zrobiliśmy, teraz wasza kolej – powiedział jeden ze strażaków, który w przeciwieństwie do pozostałych zatrzymał się, żeby porozmawiać z Shipleyem.

Louise kilkakrotnie przełknęła ślinę i poczuła się nieco normalniej. Odwróciła się z powrotem w stronę rozmawiających mężczyzn. Uważnie przyglądała się strażakowi. Mundur jakby wpijał mu się w ciało, zapewne pozostawiał odciski na skórze. Facet wyglądał tak, jak gdyby pracował nad fugowaniem łazienkowych płytek, ale z jakiegoś powodu całą masę wtarł sobie w twarz. – Ja bym powiedział, że w środku było ciało, ale to tylko domysły. Ogień trochę się rozprzestrzenił, ale je wydobyliśmy. Kto tu dowodzi?

– Detektyw sierżant Shipley, do usług.

Louise uznała, że niech Shipley ma swoje pięć minut. Już długo nie będzie tu dowodzić, co do tego nie miała akurat żadnych wątpliwości. Skoro zostały znalezione kolejne zwłoki... To będą dla niego za wysokie progi. Sprawę przejmie wydział kryminalny.

– Jasne... Chociaż akurat to pan nie mnie będzie służyć. To teraz pański cyrk. Naszego sierżanta znajdzie pan tam. Gdyby pan czegoś potrzebował, oczywiście chętnie pomogę.

Strażak został, a oni ruszyli dalej w głąb lasu. Tym razem atmosfera była tu inna. Było więcej ludzi i Louise miała poczucie, że bardziej panuje nad sytuacją. To było oczywiście tylko złudzenie, ale ona kurczowo się go trzymała.

Swąd nasilał się z każdym krokiem, powietrze coraz bardziej wypełniało się zapachem dymu i spalenizny. Poza tym dało się wyczuć coś jeszcze. Louise dobrze ten zapach знаła, ponieważ w przeszłości miała już do czynienia z takimi sprawami. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że tego zapachu nie da się pomylić z niczym innym. Tak pachnie ciało, zmaltretowane i spalone. Ten zapach krył się gdzieś pośród innych, ale Louise wyraźnie wyczuwała jego obecność.

Shipley zatrzymał się przy znakach wyrytych na pniach drzew.

– Jak byłem dzieckiem, tego tu nie było – powiedział ściszym głosem. Brzmiało to niemal tak, jak gdyby podziwiał znalezisko, a nie analizował materiał dowodowy. – To pewnie jego sposób na zaznaczanie własnego terytorium.

Szli dalej, byli już coraz bliżej szopy. Z boku ciągle jeszcze unosiła się niewielka strużka dymu, ale budynek zupełnie szerniał i zawalił się z jednej strony. Louise widziała już, że w środku znajdują się zwęglone zwłoki, prawie na pewno ludzkie.

To jednak najwyraźniej mogło poczekać.

Największe zainteresowanie wszystkich zgromadzonych budził bowiem fragment terenu, na który oni wcześniej nie dotarli. Ich przybycie zauważył jeden z mundurowych, który gestem przywołał ich na miejsce. Shipley ruszył biegiem, a potem przypomniał sobie, że znajduje się na terenie miejsca zbrodni. Zwolnił i zaczął na Louise.

– Co my tu mamy?

– Płytki grób, proszę pana – powiedział mundurowy z wyraźnymi wypiekami na twarzy i podnieceniem w głosie. – Jest ciało.

Louise spojrzała na trzech innych policjantów w mundurach, którzy stali nieco dalej.

W tym miejscu polany drzewa rosły nieco gęściej, ale i tak bez

trudu dało się dostrzec, co odkryli. Louise odwróciła się i spojrzała na grunt po swoich stopach. Ziemia w tym miejscu wyraźnie różniła się od tej w pozostałej części lasu. W jej głowie nagle pojawiła się pewna myśl. Louise próbowała ją od siebie odpędzić, ale bez skutku. Już wiedziała, że ma rację.

Stali na cmentarzu.



## Rozdział 19

Louise ogarnęło nagle uczucie, które określiłaby jako połączenie odrazy i podziwu. Doświadczała czegoś takiego już wcześniej, ale nigdy w takich okolicznościach. Wszystko, na co teraz patrzyła, było z jednej strony zatrważające, ale miało też w sobie coś imponującego. Ileż czasu i wysiłku trzeba było włożyć w stworzenie czegoś na tak wielką skalę.

Należało temu położyć kres. Co do tego nikt nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Naliczyłem osiem – powiedział Shipley, niemal nie ruszając się z miejsca, w którym stał. – Jeśli oni wszyscy tam są, w prosektorium będą mieli co robić.

Louise nic nie odpowiedziała. Nie potrafiła oderwać wzroku od tego, co miała przed sobą. Usiłowała dostrzec w tym jakiś sens.

To była niewielka polana, ale wydawało jej się, że ją pamięta. Wspomnienie majaczyło gdzieś na horyzoncie jej pamięci.

„To przez pożar. Umysł płata ci figle”.

– To tylko daty – odparła Louise, mrugając intensywnie, żeby wrócić do rzeczywistości. Mówiła o cyfrach wrytych na jednym z drzew. – To może oznaczać cokolwiek.

– Sama powiedziałaś, że to może być cmentarz.

– Czyli co? Mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

Zamiast cokolwiek powiedzieć, Shipley ruszył przed siebie, ostrożnie stawiając kroki. Odesłał do samochodów większość mundurowych, żeby nie poczynili dodatkowych szkód na miejscu zdarzenia. Zostawił tylko dwóch. Zostali też technicy, którzy wykonywali tę ciekawszą część roboty.

Pośród drzew zdarzały się większe, bardziej puste przestrzenie, ale Louise przypuszczała, że dzieci wolały miejsca takie jak to. Może akurat nie to konkretnie, bo byli bardzo głęboko w lesie, ale właśnie takie otoczone drzewami, które na tyle blokowały światło, że miejsce zyskiwało nieco upiorny charakter. Czarne pnie i konary wyraźnie odcinały się od otaczających je żółknących liści. Jesienne kolory kontrastowały z mrokiem polany. Lekki wiatr szumiał pośród gałęzi, jak gdyby za wszelką cenę starał się przez nie przedrzeć.

– Na miejsce jadą kolejny technicy – usłyszeli zza pleców głos Cavanagha, który powiedział to na tyle głośno, aby specjaliści od kryminalistyki też mogli go usłyszeć. Zatrzymał się poza obrębem właściwej polany. – W sumie to by należało powiedzieć, że wszyscy jadą. Na posterunku nikt chyba nie zostanie. Z drugiej strony, tak chyba powinno być, zważywszy na to, jak tu wygląda.

– Czy miejsce zbrodni zostało prawidłowo zabezpieczone? – zapytał Shipley, jednocześnie sam sobie odpowiadając skinieniem głowy. Louise przypuszczała, że on bez trudu potrafi przewidzieć dalszy rozwój wypadków. I że doskonale zdaje sobie sprawę, że już za chwilę to nie on tu będzie podejmować decyzje.

– Oczywiście – odparł Cavanagh, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. – Za chwilę tu będą tłumy. Czy do tego czasu coś możemy zrobić?

Louise spojrzała na Shipleya, który pokręcił przecząco głową, opuścił wzrok i schował dłonie do kieszeni.

– Niech technicy robią, co do nich należy. Ja tymczasem

chciałbym spisać te daty. Od tego zaczniemy.

– Czyli pracujemy dalej? – powiedziała Louise z pewnym wahaniem w głosie, ale po cichu licząc na potwierdzenie z jego strony. Chciała w tym uczestniczyć. Bardzo jej na tym zależało.

– No pewnie, że tak – odparł Shipley, uśmiechając się szelmowsko, jak to tylko on potrafił. – Dopóki rozkazy się nie zmieniają, to jest ciągle nasza sprawa. Poza tym to my ją przecież doprowadziliśmy do tego punktu.

– Jeśli faktycznie coś tu znajdziemy – powiedziała Louise, spoglądając na ziemię pod swoimi stopami. – To może być tylko wyszukana zagrywka. W końcu to odwróciło naszą uwagę od biedaka w szopie. Może się okazać, że to jest zupełnie nieistotne.

– A to ciało, tam?

Louise nic nie powiedziała, spojrzała tylko na płytki grup, który znajdował się kilka kroków dalej. Miał może rok, najwyżej półtora. Ciało powoli przestawało już istnieć, ale nadal było widać nakrapianą plamami skórę w kolorze, który zupełnie się nie kojarzył z człowiekiem. Najwyraźniej ktoś próbował zapakować je w worki na śmieci, ale chyba nie do końca mu się to udało.

Kobieta miała najwyżej dwadzieścia lat. Tak w każdym razie domniemywała Louise, patrząc na to, co zostało z jej twarzy. Włosy miała ciemne, zmierzwiłone. Krew zaschła na skórze ciemnymi plamami, mieszając się w niektórych miejscach z ziemią i przybierając czarny kolor.

– Mam wrażenie, że trafiliśmy na coś znacznie poważniejszego, niż nam się jeszcze dwa dni temu wydawało – powiedział Shipley, powoli rozglądając się wokół siebie. Zachowywał się trochę tak, jak gdyby coś usłyszał i teraz starał się zlokalizować źródło dźwięku. – Ludzie tu raczej często nie przychodzą. To zbyt głęboko w lesie, a teren jest dość trudny. Pewnie można sobie tu spokojnie przebywać i przez dłuższy czas nie spotkać żywej duszy, chyba że jakiś

energiczny pies trochę za daleko się zapuści.

– Tam jest cały szereg domów – powiedział Cavanagh, wskazując kierunek, z którego przyszli. Chodziło mu o domy stojące przy drodze. Z tego miejsca nie potrafili stwierdzić, czy one się znajdują kilka, czy raczej – jak to było faktycznie – kilkaset metrów za drzewami. – Kawałek mają i trudno powiedzieć, czy mogli coś stamtąd widzieć, ale zapytać nie zaszkodzi. Może wyślę ludzi, że zaczęli chodzić od drzwi do drzwi?

– Dobra, idź! – zgodził się Shipley. Gdy Cavanagh odszedł i na miejscu zostali już tylko on i Louise, ponownie zwrócił się twarzą w stronę polany. – Spróbujmy przeprowadzić logiczną analizę...

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz...

– Nie bądź taka mądra! – odparł Shipley, ponownie racząc ją swoim szelmowskim uśmiechem. – Przyprowadziły nas tutaj dwie odrębne wskazówki. Nathan Coldfield i zdjęcie znalezione w pokoju Jona Durhama. Tylko że to jest miejsce, o którym wiedzą jedynie miejscowi. Na mapach Google pewnie go nawet nie ma.

– Nie ma, sprawdzałam.

– No właśnie – powiedział Shipley, po czym przeniósł na nią wzrok. Louise wstrzymała na chwilę oddech i czekała, co Shipley dalej powie. – Czyli – ciągnął – to oznacza, że w sprawę zamieszany jest ktoś, kto zna okolicę. Na temat Rhysa Durhama wiemy tylko tyle, ile mogliśmy wyczytać z policyjnej kartoteki, ale nie znaleźliśmy tam nic, co by go wiązało z tym miejscem. Nic go nie wiąże z terenami wysuniętymi aż tak daleko na południe miasta.

– Poza ciotką.

– Ona mieszka wiele mil stąd. A to jest coś, o czym wiedzą tylko ludzie z okolicy. Kluczem do rozwiązania zagadki jest ustalenie, skąd Rhys wiedział o tym miejscu.

– Na razie nawet dobrze nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Pewnie wybiegamy trochę za bardzo w przyszłość.

Shiplej wymamrotał coś w charakterze potwierdzenia, ale wyraźnie bez przekonania.

On dokładnie wiedział, z czym mają do czynienia.

Minęła kolejna godzina, która jednak ciągnęła się w nieskończoność. Tak to już jest, jak się tylko stoi i właściwie nic nie robi. Louise poczuła coś jakby głód, ale starała się nie przyjmować tego do wiadomości. Uznała, że wystarczy sobie przypomnieć o szerniałym i zwęglonym cieie, które zostało znalezione kilkaset jardów stąd na polanie. To obraz, który ciężko będzie wymazać z pamięci. A oprócz tego była jeszcze ta młoda kobieta w płytkim grobie.

Zdążyli się dobrze rozejrzeć po okolicy, zanim na miejsce przybyli kolejni technicy i przyszła pora, aby pozwolić im spokojnie pracować. Louise się cieszyła, że mogą już iść. Że może na chwilę opuścić to miejsce.

Przedtem nie wierzyła, że miejsca mają immanentnie mroczny charakter. Że są złe. Teraz zaczynała zmieniać zdanie. Linia drzew wokół nich nadawała tej polanie wrażenie niepokoju, tworząc jakby kurczącą się do środka granicę. Wytyczała teren świętego miejsca, zupełnie jak gdyby wiedziała, co ono w sobie skrywa.

– Ile to może potrwać, zanim się dowiemy, czy ktoś tu jeszcze został pochowany? Tego się chyba nie da szybko ustalić.

Louise spojrzała na Shipleya, który za jej plecami przechadzał się raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Mam nadzieję, że nie za długo – powiedziała pocieszającym tonem, doskonale wiedząc, że on już przeczuwa chwilę, w której zostanie mu odebrane kierowanie tym śledztwem. – Oni przecież mają do dyspozycji różne technologie. Na pewno szybko ustalą, czy tam się gdzieś znajdują następne ciała.

– Ja nawet nie wiem, czy chcę to wiedzieć – odparł Shipley,

zatrzymując się i spoglądając w jakiś punkt za jej plecami. – Ale chyba zaraz się czegoś dowiemy.

Louise się odwróciła, aby spojrzeć w tym samym kierunku co on. Ruszyła ponownie w stronę linii drzew i zmierzającego do nich technika w pełnym stroju ochronnym.

– Co mamy?

– Jeszcze przez kilka godzin nie będziemy wiedzieli, czy tam w ziemi znajduje się coś więcej niż to jedno ciało – powiedział do Shipleya, zatrzymując się kilka stóp od niego. Louise rozpoznawała jego twarz, chociaż spod maski niewiele było widać. Strój zasłaniał większość głowy, ale dało się go rozpoznać.

Z drugiej strony, Louise i tak nie miała pamięci do nazwisk, więc to nie miało większego znaczenia.

– Co na razie zdołaliście ustalić? – zapytała, licząc na to, że dowie się czegokolwiek przydatnego. Że usłyszy coś, co na kilka kolejnych godzin zajmie uwagę Shipleya. – Poprzednie ciało udało się rozpoznać w ciągu kilku minut. Liczyłam na to, że i teraz nam ułatwicie zadanie.

Louise czekała na informacje od technika, ale ten najwyraźniej postanowił wykorzystać swoje pięć minut. Oczyma duszy widziała, jak go dusi – jak chwyta go gołymi rękami za gardło i wyciska z niego życie. Mrugnęła powiekami i wizja, niestety, zniknęła. Louise czasami lubiła przeżywać takie chwile w wyobraźni.

– Ciało tam leży co najmniej od roku, ale wydaje nam się, że właśnie było przenoszone. Ten grób jest płytki, więc tak samo może to wyglądać w przypadku ewentualnych innych, które się tu znajdują. Nie chcemy zniszczyć żadnych dowodów, więc nie będziemy się spieszyć. Oczywiście będziemy pracować tak szybko, jak się tylko da. Miejmy nadzieję, że w dość krótkim czasie uda nam się coś ustalić. Ona jest w całkiem niezłym stanie, zważywszy na okoliczności.

– W niezłym stanie? – odezwał się Shipley, zanim Louise zdążyła powiedzieć coś mniej więcej w tym samym stylu. Ona by pewnie dodała do tego jeszcze jakiś mało cenzuralny ozdobnik.

– Wie pan, co mam na myśli.

– Tak, oczywiście – odparł Shipley przez zaciśnięte zęby.

Technik właściwie odczytał sygnał i się oddalił.

Wrócili na drogę, bo nie mieli już specjalnie nic do roboty. Policja przepuszczała trochę samochodów, bo miejsce zdarzenia znajdowało się spory kawałek od szosy, ale wszystkie oznakowane i nieoznakowane wozy policyjne zajmowały już tyle przestrzeni, że należało się przygotować do poszukiwania rozwiązania alternatywnego. Shipley wyszedł trochę do przodu, a Louise zatrzymała się i stała teraz na polu sama. Zatoczyła koło, zastanawiając się nad tym miejscem i jego historią. W jedną stronę roztaczał się widok na wysunięte na skraj miasta domy południowego Liverpoolu. Gdyby jednak spojrzeć tylko w drugą stronę, trudno byłoby stwierdzić, który to konkretnie fragment starego angielskiego krajobrazu. To miejsce mogło się znajdować w dowolnej części północnego zakątka Wielkiej Brytanii. W oddali majaczyło Hale. Znajdowało się zaledwie kilka mil od Liverpoolu, ale stanowiło odrębne miasto. Louise odnosiła niemal wrażenie, jak gdyby miasto znajdowało się na wzgórzu, a ona patrzyła na nie z dna doliny.

Powietrze wokół niej się uspokoiło. Niemal mogła w nim usłyszeć śmiech dzieciaków, które przychodziły się tu bawić. Okrzyki podniecenia, wzajemne drwiny. Tak by to tu normalnie wyglądało.

Zastanawiała się, gdzie one się wszystkie podziały. Te dzieci, które opowiadały sobie nawzajem historie i wypełniały pustą teraz przestrzeń pola swoim śmiechem i żartami. Gdy była młodsza, ulice bardziej tętniły życiem. Zastanawiała się, czy takie miejsca odtąd już zawsze będą jej się źle kojarzyć. Lasy, pola, parki... Te

wszystkie przestrzenie, które w dzieciństwie miały dla niej tyle uroku, a teraz nagle stały się symbolem czegoś zupełnie innego.

Ona nawet nie zdawała sobie sprawy, że w każdym cieniu czai się zło. Trudno jej było sobie wyobrazić, że ktoś mógł wykorzystywać takie miejsca w celach innych, niż to robiły dzieci. W imię zła. Ponownie spojrzała w kierunku drzew, w stronę leśnej gęstwiny. Teraz już rozumiała, jak to wszystko mogło wyglądać. Jak łatwo można nocą na zawsze zniknąć w mroku. Jak przez całe lata można mieszkać w lesie w roli legendy i dlaczego nigdy nie znalazł się nikt na tyle odważny, aby odkryć prawdę. I jak łatwo byłoby się ukryć, gdyby ktoś taki jednak się znalazł.

„Mieszkał w lesie? Zwariowałaś? To niemożliwe”.

Shipley powoli cofał się w jej stronę i rozglądał po ziemi wokół.

– Na takie miejsce nie można się po prostu natknąć – zagadnęła Louise, ciągle jeszcze spoglądając w stronę drzew. – Tak przypadkiem nikt tu nie jeździ. Tu się jedzie w konkretne miejsce albo do konkretnego człowieka. Ewentualnie można też znać to miejsce z dzieciństwa.

– Zgadzam się, choć niewiele nam to daje – powiedział Shipley, który stał teraz obok niej i wpatrywał się w tę samą pustą przestrzeń co ona. – Ja poznałem to miejsce dopiero, jak byłem trochę starszy. Miałem może dziewięć, może dziesięć lat. Jakoś nikt o nim specjalnie nie mówił.

– Takich miejsc w tym mieście nie brakuje. To takie małe ostoje przyrody. Większość ludzi nawet nie zwraca na nie uwagi i dlatego to dobra kryjówka dla kogoś takiego, jak nasz koleś. To takie małe oazy.

– W sumie całkiem tu ładnie, gdyby nie brać pod uwagę tych trupów, które się znajdują kilkaset jardów stąd.

– Czy myślisz, że to jest Rhys Durham? To do niego należy to spalone ciało? Nie miałam okazji dokładnie się przyjrzeć, więc



w sumie nie wiem, kogo albo co dokładnie goniłam. To przecież mógł być lis albo coś innego równie banalnego – powiedziała Louise, wyrażając tym samym na głos przypuszczenia Shipleya. Domyślała się, że on nie chciał tego powiedzieć głośno. Lubił doprowadzać dochodzenia do końca. Cieszył się, gdy mógł przesłuchać podejrzanego i się dowiedzieć, co go sprowokowało do popełnienia przestępstwa.

– Nie wiem – odparł z ciężkim westchnieniem. Louise zauważyła, jak przeciera palcami zamknięte powieki. – Musimy je jak najszybciej zidentyfikować. To spalone ciało może być ważne. Ktokolwiek się w tych lasach ukrywa, wzniecił pożar po to, aby nam utrudnić zadanie.

– To może być też kobieta – rzuciła Louise, pociągając nosem i przeciągając butem po trawie. Zachowywanie pozornego spokoju, nawet gdy w środku wszystko się chciało buntować, szło jej coraz lepiej. Chciałaby móc liczyć, że więcej się z tym buntem nie będzie musiała zmagać, ale wiedziała, że to tylko pobożne życzenia. – Na podstawie tego, co widzieliśmy, niewiele można powiedzieć. Trochę się spóźniliśmy. Nie można chyba liczyć na to, że uda się te zwłoki szybko rozpoznać. On pewnie wzniecił pożar po to, żeby dać sobie szansę ucieczki. Żeby odwrócić naszą uwagę.

Shipley skinął potakująco głową, a potem się odwrócił i ruszył w kierunku drogi, pozostawiając Louise z tyłu. Wyjęła telefon z kieszeni, żeby sprawdzić, czy nic do niej nie przyszło. Brak wiadomości specjalnie jej nie zdziwił. Któż miałby do niej dzwonić? Znowu poczuła ucisk w klatce piersiowej i lekkie drżenie rąk. Skóra jej się spociła, więc telefon wrzucany do kieszeni przedwcześnie wyslizgnął jej się z dłoni. Poczuła też krople potu nad brwiami, więc przetarła czoło rękawem. Na chwilę zamknęła oczy, żeby nie zacząć krzyczeć. Żeby nie paść na ziemię i nie zacząć wymachiwać rękami. Chciała walić rękami i nogami w ziemię i poczuć ból

przeszywający kości.

Ostatecznie jednak otworzyła oczy i ruszyła w kierunku Shipleya i pozostałych.

Przed wszystkim czuła się bezsilna.

To zdecydowanie nie było przyjemne uczucie.

## Rozdział 20

Pukanie do drzwi.

Val zawsze myślała, że będzie potrafiła rozpoznać ten moment. Że poczuje, w którym momencie on odszedł. Kiedy przestał istnieć. Że to kwestia matczynej intuicji i tego wszystkiego. Ona przecież powinna umieć stwierdzić, że coś się stało jej dziecku.

Przez dwadzieścia lat czuła jednak tylko pustkę. Wydawało jej się, że w jej świecie coś się zepsuło i że to nigdy nie zostanie naprawione. Nawet gdyby on się znów pojawił, po tylu latach.

Dwie dekady. Naprawdę już aż tyle czasu minęło? Dla niej czas się zatrzymał w chwili, w której on zniknął. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że nie ma go już dłużej niż tylko od kilku godzin. Te godziny przechodziły w dni, a potem w tygodnie, miesiące i lata. I tak dalej, i tak dalej. Każdego dnia bolało to tak samo.

Przeżywała chwile strachu już nie raz, gdy był młodszy. Zdarzało się, że zniknął jej z oczu w sklepie albo w pobliskim parku. Przez kilka sekund odczuwała wtedy ścisk w żołądku, ale zaraz potem on znów przy niej stał. Każdy rodzic przeżył coś takiego.

Rodzic ma tylko jedno zadanie. Zapewnić dziecku bezpieczeństwo do czasu, kiedy samo będzie potrafiło o to zadbać.

Ona się z tego zadania nie wywiązała.

Teraz pozostawało jej czekać. Na to, aż ktoś przyjdzie i jej powie, że go znaleźli. Nie wyobrażała sobie, że miałyby robić cokolwiek innego. Teraz już tylko to jej pozostało. Niekończące się czekanie na prawdę o tym, co się stało.

Jej córka chyba radziła sobie z tą stratą lepiej, przynajmniej na pozór. Val w głębi duszy wiedziała jednak, że cierpi tak samo jak ona. Że tak samo mocno to przeżywa. Że jej życie też się dramatycznie zmieniło wraz z zaginięciem brata. Pamiętała małą dziewczynkę sprzed tamtego dnia. Pamiętała, jak rosła na jej oczach. Nastolatka w ciele dorosłej kobiety. Za chwilę miała wylecieć spod jej skrzydeł i odkryć własną drogę.

Zaginięcie brata zakłóciło ten naturalny proces. Musiała z dnia na dzień dorosnąć. Przedwczesne dojrzewanie pozostawiło po sobie niezatarte piętno. Jej córka nie była tą samą kobietą, którą by się stała, gdyby to wszystko się nie wydarzyło. Mieszkała z matką, która poświęciła całe swoje życie na poszukiwania jej zaginionego brata. I z ojczymem, który zniknął, gdy padł na nich pierwszy cień podejrzenia.

Biologicznego ojca nigdy przy niej nie było. Nawet wtedy, gdy jego syn zaginał. Pojawiał się z zatroskaną miną na pięć minut, ale potem uciekał do swojego wygodnego życia, jak gdyby nigdy nic.

Ona musiała się z tym uporać sama.

Val była ciekawa, jak jej córka teraz wygląda. Czy czas był dla niej łaskawy, czy nie. Czy na jej twarzy ciągle się jeszcze maluje ta strata, czy jest dla niej jak druga natura?

Czy którakolwiek z nich sobie poradzi, jeśli się kiedykolwiek dowiedzą, co się tak naprawdę stało?

Słyszała kroki pod drzwiami, ale mimo to siedziała pogrążona we własnych myślach, wpatrując się w ekran telewizora ustawionego w rogu pokoju.

Rozmyślała, zastanawiała się.

Czy to teraz?

Czy teraz się dowie?

Nagle stwierdziła, że nie chce wiedzieć. Że chce dalej żyć tym samym życiem, co dotychczas. Chce pozostać w otchłani. Chce być matką zaginionego dziecka. Niekompetentnym rodzicem. Jego nie ma. Tak czy owak go nie ma.

Tego już nic nie zmieni. Cokolwiek oni teraz znajdą, ona tak czy owak będzie niekompetentną matką. Matką, która się nie wywiązała ze swojego zadania.

Pukanie rozległo się ponownie, ale Val nie wstała, żeby otworzyć. Siedziała wbita w kanapę i nie miała siły wstać.

Cały czas gapiła się w ekran. Patrzyła na pasek wyświetlający się u dołu ekranu.

#### NA POŁUDNIU LIVERPOOLU ZNALEZIONO CIAŁA.

Nie chciała wiedzieć. Nie teraz. Niewiedza jednak *jest* błogosławieństwem.

Znów pukanie, tym razem bardziej uporczywe. Val schowała twarz w dłoniach. Potrząsała głową i raz po raz jęczała: „nie”, zupełnie jak gdyby to ich miało odstraszyć.

Nie tak sobie wyobrażała powrót do rzeczywistości. Chciała nadal żyć w swojej otchłani. Nie chciała poznać prawdy. Jakakolwiek ona jest, niech oni ją zachowają dla siebie. Ona sobie będzie dalej spokojnie żyć i nie musi się nigdy dowiadywać, co się stało z jej dzieckiem. Będzie sobie bezpiecznie trwać w przekonaniu, że nigdy się nie dowie, jak wyglądały jego ostatnie chwile.

Nic nie chciała wiedzieć. Już nie.

Nie w takich okolicznościach.

Teraz dobiegło ją pukanie w okno. Właściwie nie pukanie, tylko natarczywe walenie.

Val wstała i zerknęła w lustro, a potem przeszła przez salon do

korytarza. Wyciągnęła rękę w stronę klamki, gotowa otworzyć drzwi.

Gotowa wpuścić prawdę, jakkolwiek ona będzie, i dać się jej pochłonąć.

## Rozdział 21

Nastrój na posterunku się zmienił. Wieści o tym, co zostało znalezione w lesie – a właściwie co jest tam cały czas znajdowane – dotarły już do wszystkich. Dobitne spojrzenia wszystkich policjantów, których mijała pod drodze do gabinetu szefa, mówiły same za siebie.

„Lepiej ty niż ja”.

Wszyscy doskonale wiedzieli, jak to dalej będzie wyglądać dla osób związanych z tą sprawą.

Zaczął się od kobiety, która uciekała przed bliżej nieokreślonym zagrożeniem, a teraz były już co najmniej trzy ciała. Jej zdaniem zbyt gładko to poszło. Dość się naczytała o seryjnych mordercach, żeby wiedzieć, co to oznacza.

To było słowo, które budziło w niej jeszcze większy wstręt niż „wilgoć”.

Eskalacja.

Louise dotarła do gabinetu detektywa inspektora. Zapukała i od razu weszła. Była już spóźniona, bo za długo zabalowała w łazience, usiłując wziąć się w garść. Usiadła obok Shipleya, który na chwilę na nią spojrzał, ale potem szybko przeniósł wzrok na uczestników już toczącej się rozmowy.

– Nie wiemy, czy te sprawy są ze sobą powiązane – powiedział

detektyw inspektor Hardy, niemal nie zwracając uwagi na przybycie Louise. Został wykołegowany ze swojego miejsca. W jego fotelu siedział teraz ktoś inny. Louise oczywiście tę postać znała.

To był starszy detektyw inspektor Peter Sisterson z wydziału kryminalnego. Pracował w najlepszej jednostce w mieście i to było po nim widać. Srebrne nitki w brwiach, nienagannie odprasowany garnitur i buty, które musiały kosztować więcej, niż wynosiła jej miesięczna rata kredytu hipotecznego. Oczy miał niebieskie, przesywające na wylot każdego, na kogo spjrzały.

Hardy usiłował być opanowany, ale dla Louise było zupełnie jasne, że jego to tempo rozwoju wydarzeń też przerasta.

– Powtarzamy tu sobie bajeczki.

– To by musiał być niesamowity zbieg okoliczności – odparł Shipley, od którego bił niesamowity spokój. Louise pomyślała, że na pewno się na to spotkanie przygotowywał. To była jego szansa. – Ktokolwiek to zrobił, wie, że się zbliżamy – ciągnął, kierując słowa wyjaśnienia do Sistersona. – Był w tym lesie. Prawie go mieliśmy. Nie mógł daleko uciec. Teraz już nie bardzo ma gdzie iść.

– A jak idzie z identyfikacją?

– Ciała są właśnie poddawane badaniom – powiedziała Louise, którą Shipley zachęcił spojrzeniem do zabrania głosu. – To nie powinno długo potrwać, jeśli to były osoby zgłoszone jako zaginione. Nie określiliśmy jeszcze, czy zwęglone zwłoki należą do Rhysa Durhama, czy też do kogoś innego. Mamy również listę dat wyrytych na drzewie, ale nie udało nam się z całą pewnością ustalić, czy one mają coś wspólnego ze znalezionymi dotychczas ciałami. Ostatnia na liście jest data wczorajsza, co miałyby sens, jeśli to właśnie wtedy zginął człowiek, którego ciało spłonęło w pożarze.

Hardy westchnął głośno. Louise uznała, że pretensjonalnie. Ewidentnie mu się nie podobało, że jego detektywi podają wszystko



na tacy starszemu detektywowi inspektorowi z większej – i ważniejszej – jednostki.

Polityczne rozgrywki. Louise nigdy tego nie lubiła.

Sisterson splótł dłonie i oparł łokcie na biurku. Detektywa inspektora zignorował, za to cały czas uważnie wpatrywał się w Louise i Shipleya.

– Z czym my tu mamy do czynienia? Ta historia jest prawdziwa?

Shipley rzucił okiem na Louise, ale ona akurat patrzyła w okno. Przez rolety niewiele było widać, jedynie zarys nowo powstałego budynku, który dopiero czekał na zagospodarowanie. Louise doskonale wiedziała, że starszy detektyw inspektor ma u siebie w centrum taki sam widok. Często nie jeździła do miasta, ale gdy już jej się zdarzało, zawsze trafiała na jakiś nowy budynek lub trwającą budowę.

– Myślę, że historia to tylko historia – powiedział w końcu Shipley, co skłoniło Louise do powrotu myślami do rozmowy. – Ktoś ją po prostu wykorzystuje. Można powiedzieć, że pisze własną legendę. To wszystko jest ze sobą powiązane. Rhysa Durhama wciąż szukamy jako osoby powiązanej ze śledztwem. Nadal jednak wierzymy, że to jest osoba, a nie coś innego. Jak go znajdziemy, to będziemy mieli odpowiedzi.

– Jeśli zechce coś powiedzieć...

– Ależ zechce – szybko zripostował Shipley, zaciskając dłonie na oparciach fotela. Louise zastanawiała się, co on chciał przez to powiedzieć. Czyżby tkwił w nim gniew taki sam jak ten, który ona tłumiała w sobie?

– Powinniśmy bardziej tę sprawę nagłośnić, co teraz chyba nie powinno być trudne.

– Nie. Trzy ciała w ciągu kilku dni powinny wzbudzić zainteresowanie opinii publicznej.

Louise spojrzała na Hardy'ego, który najwyraźniej złożył

tymczasowe śluby milczenia. Poległ szybko, bez walki. Ona go nigdy specjalnie nie lubiła. Należał do ludzi, którzy oczekiwali od innych bezwzględnego posłuszeństwa. Teraz odnosiła wrażenie, że ciężar oczekiwań wyraźnie go przygniata. Zbliżał się do sześćdziesiątki i to zdawało się mieć wpływ na wszystkie jego decyzje. Na gruncie zawodowym niezmiennie wykazywał się dużą ostrożnością. Zawsze uważał, żeby sobie przypadkiem nie zaszkodzić. To był chuchrowaty człowiek o szczupłej twarzy. Louise trudno było sobie wyobrazić, jak on sobie radził w mundurze.

Nie po raz pierwszy obiecała sobie, że nigdy nie weźmie na siebie więcej niepotrzebnej odpowiedzialności. Praca na obecnym poziomie zaszerogowania w zupełności jej odpowiadała. Większa odpowiedzialność to więcej nieprzespanych nocy i poważniejsze konsekwencje ewentualnych niepowodzeń.

No chyba że by się dało od razu osiągnąć odpowiednio wysoki poziom.

– Wykorzystamy prasę, żeby pozyskać więcej informacji na temat tego całego Rhysa Durhama – stwierdził Sisterson, przesuając dłonią po starannie zaczesanych włosach, lekko tylko siwych na skroniach, za to niemal nienaturalnie ciemnych wszędzie indziej (zupełnie jak gdyby farbował je tylko na czubku głowy). Wyglądał jak wysoko płatny specjalista w swojej dziedzinie, co zresztą niespecjalnie ją dziwiło, ponieważ wraz z awansem można było liczyć na większe pieniądze. – Wiem, że już tego próbowaliście, ale teraz chciałbym, żeby jego twarz była wszędzie – ciągnął dalej.

– Czyli odbiera nam pan sprawę – nie tyle zapytał, ile raczej stwierdził Hardy. Nie było przecież sensu pytać.

– Nie widzę innej opcji – odparł Sisterson, tym razem zaszczycając Hardy'ego spojrzeniem. – Mnie to wygląda na zbrodnię, a to już moja działka.

– Czyli mamy go wykurzyć – stwierdził Shipley, rozplatając nogi

i pochylając się do przodu. – Jeśli nie liczyć matki pierwszej ofiary, od bardzo dawna nikt go już nie widział. Z innych posterunków w całym kraju też nie mamy żadnych wieści, więc jeżeli się przeprowadził, to najwyraźniej się nie wychyla. Wydaje mi się wszakże możliwe, że skoro go tutaj nie widywano, to przez jakiś czas faktycznie przebywał w innym miejscu na terenie kraju.

– A teraz wrócił?

– Właśnie – powiedział Shipley, wystawiając palec wskazujący w kierunku Sistersona. Potem swobodnie opadł na oparcie krzesła, jak gdyby coś rozważał. Louise też brała ten scenariusz pod uwagę. Zastanawiała się, kiedy on sobie uświadomi, że nie znajduje on potwierdzenia w rzeczywistości. – Tylko dlaczego właśnie teraz?

Louise odniosła wrażenie, że on się przy tym doskonale bawi. Dawno już nie miał okazji prezentować swoich przemyśleń komuś wyższemu stopniem od siebie. Jako detektyw sierżant pracował z nią, ale wobec tych z wydziału kryminalnego pełnił głównie rolę chłopca na posyłki.

– Musiał dowiedzieć się z mediów o tym, jak szybko znaleźliśmy ciało Nathana Coldfielda. Pewnie pomyślał, że ta kobieta też coś o nim powiedziała. Tylko że na tym etapie nie wskazywaliśmy miejsca zdarzenia.

– No tak, ale „Echo” wspomniało o pubie – szybko dodała Louise, włączając się w dociekania Shipleya. – On wie, że odkryliśmy to miejsce. A teraz jeszcze pokrzyżowaliśmy mu szyki w innym lesie.

– Teraz będzie uciekać.

Sisterton uniósł rękę, aby zatrzymać tę wymianę zdań.

– Nie wiemy, jak on się o tym wszystkim dowiedział. Chociaż rzeczywiście to wszystko wydaje się dość oczywiste. Jeśli faktycznie dotychczas się ukrywał, to teraz znów jest aktywny. Tyle że absolutnie nie można powiedzieć, żebyśmy go mieli na wyciągnięcie ręki. Najpewniej mieszka w jakiejś szopie w środku lasu. O ile,

oczywiście, te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Tak czy owak, trzeba się liczyć z tym, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Musimy się pogodzić z myślą, że możemy nigdy nie poznać prawdy. Że ktokolwiek to zrobił, spłonął w tamtej szopie w środku lasu.

Louise postanowiła nie komentować jego wątpliwości dotyczących związku między tymi dwiema sprawami. Wiedziała, że wszyscy grają w tej samej drużynie. Każdy rozsądny człowiek, gdy tylko się nad tym zastanowi, odrzuci opcję zwykłego zbiegu okoliczności.

– Ja to widzę tak – powiedział Shipley, który ewidentnie czuł się w tym momencie panem sytuacji (Hardy znalazł się przez to na marginesie, co nie mogło mu się podobać) – że wszystkie drogi prowadzą do tej jednej historii, do legendy o Kościuchu. Caroline, która została znaleziona jako pierwsza i która ocalała, powtarzała tę nazwę...

– A ta cała Caroline, co o niej właściwie wiemy?

Shipley spojrział na Louise, zachęcając ją w ten sposób do udzielenia odpowiedzi na pytanie starszego inspektora.

– Wydaje się być czysta. Wszystko wskazuje na to, że nigdy wcześniej nie miała kontaktu z policją. Znalazła się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Mundurowi byli u niej w domu, ale sąsiedzi nie wiedzieli nawet, jak ona się nazywa. Wydaje się bardzo dbać o swoją prywatność. Pracuje w jakiejś organizacji charytatywnej, która działa na rzecz bezdomnych. Szefer nie miał do niej żadnych zastrzeżeń. Żadnej rodziny nie udało nam się zlokalizować, bo jeśli o to chodzi, nie była raczej skora do współpracy. Jako osoba kontaktowa podana została sąsiadka, pani w starszym wieku, która nawet nie znała jej nazwiska. Caroline chce być sama. Nie przyjmuje odwiedzin, nic w tym stylu. Wszystko wskazuje na to, że prowadzi raczej samotniczy tryb życia.

– Bądźcie z nią w kontakcie. Może sobie przypomni coś, co nam się przyda.

– Przyjrzelśmy się też bliżej rzeczom znalezionym w pokoju Nathana Coldfielda – powiedział Shipley, ponownie zabierając głos.

– Znaleźliśmy zdjęcie podpisane z tyłu literami RD. Naszym zdaniem przedstawia las w Speke. Potem na skrawku papieru znaleźliśmy nazwisko Rhysa Durhama i stary numer telefonu. Można by zatem sądzić, że przez jakiś czas pozostawali w kontakcie. Na ścianie w pokoju Jona Durhama znajdował się natomiast mural nawiązujący do postaci Kościucha, a także zdjęcia zrobione w lesie w południowej części miasta. Teraz ktoś podpalił ciało, a drugie ciało znaleźliśmy w pobliżu w ziemi. Na drzewach stwierdziliśmy takie same znaki jak w miejscu odkrycia pierwszego ciała. Trudno w takim razie powiedzieć, żeby on się próbował z tym kryć. On coś próbuje osiągnąć.

– Wyznać nam coś?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Chciałbym, żebyście wy dwoje dołączyli do naszego zespołu na czas rozwiązywania tej sprawy – powiedział Sisterson tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeśli oczywiście Hardy nie ma nic przeciwko temu.

– Dorośli są, mogą sami podejmować decyzje.

Louise zastanawiała się, czy Sisterson zareaguje jakoś na tę jawną wrogość ze strony ich przełożonego, ale ten najwyraźniej postanowił po prostu nie zwracać na to uwagi.

– Pracujecie nad tą sprawą od początku i w związku z tym dobrze by było, gdybyście z nami zostali. Chciałbym, żebyście pracowali w terenie, szukali tropów. Spodziewam się, że znajdziecie coś przydatnego. Choćbyśmy musieli rozpytywać w tej sprawie po całym kraju, koniecznie chcę wiedzieć, czy ktoś gdzieś nie widział Rhysa Durhama. Interesuje mnie, co on robił przez ten cały czas. Musimy się dowiedzieć, czy to spalone ciało należy do Rhysa Durhama, czy nie. Musimy się rozprawić z tą historią.

Sisterson odesłał ich do pracy i został w gabinecie Hardy'ego sam z ich przełożonym. Gdy wyszli, Shipley rzucił Louise porozumiewawcze spojrzenie. Kiwnął głową i lekko się uśmiechnął. Przynajmniej dostał to, czego chciał. Louise nie była pewna, czy jest się z czego cieszyć. Dla wszystkich było jasne, że nie będą już odgrywać wiodącej roli w tym śledztwie. Będą ludźmi od brudnej roboty, będą wydeptywać chodniki – zupełnie jak wtedy, kiedy jeszcze służyli w mundurze. Shipley najwyraźniej w ogóle o tym nie myślał. Domyślała się, że dla niego liczy się przede wszystkim sam udział w tym śledztwie. Chciał trafić do biura w centrum miasta, usiąść przy stole z najlepszymi.

Stwierdziła, że koniecznie powinna o tym pamiętać, gdy następnym razem będzie miała ochotę rzucić się na niego, gdy ją będzie wieczorem odwozić do domu.

Na ich widok Cavanagh zeskoczył z biurka, na którym wcześniej siedział.

– Czekałem na was – powiedział, powiewając kartką papieru. – Pomyślałem, że powinniście się o tym dowiedzieć jako pierwsi.

Shipley wyciągnął dłoń po kartkę. Cavanagh mu ją przekazał, po czym skrzyżował ramiona na piersi w oczekiwaniu na reakcję. Louise stała w milczeniu obok swojego przełożonego. Czekala na dalszy rozwój wypadków. Shipley zapoznał się z treścią dokumentu i przeklął pod nosem.

– To nie jest Rhys Durham. To nie jego ciało.

Louise zmarszczyła brwi.

– To w takim razie kto?

– Sama zobacz – powiedział. Wręczył jej pojedynczą kartkę, a sam usiadł przy biurku. – Najwyraźniej nie jesteśmy aż tak blisko, jak nam się wydawało.

Louise przeczytała raport i od razu wiedziała, na czym polega problem.

– To jest ciało mężczyzny przez dwudziestką, maksymalnie dwudziestolatka. Mało tego, ogień strawił co prawda większość korpusu, ale twarz zachowała się na tyle, że można było na tej podstawie jednoznacznie wykluczyć Rhysa Durhama. Nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł go pomylić z kimś tak młodym. Ile ma lat na ostatnim zdjęciu z kartoteki policyjnej?

– Dwadzieścia kilka.

– On już wtedy wyglądał, jak gdyby był dziesięć lat starszy.

– To nie wszystko – powiedział Shipley, włączając komputer i wpisując hasło. – Spójrz na wyniki wstępnej sekcji kobiety.

– Kawalki zdartej skóry, odcinanej i zdejmowanej z ciała – powiedziała Louise, przelękając ślinę z obrzydzeniem. – Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Nie do końca – stwierdził Shipley, obracając się na krześle w stronę Louise. – Znamy jego nazwisko i wiemy, jak on wygląda. Jesteśmy krok dalej niż zwykle w przypadku tego typu dziwnych zabójstw.

Louise też chciała by się tym wszystkim fascynować tak jak Shipley, ale jakoś nie potrafiła. Rhys Durham jako główny podejrzany nie do końca jej pasował.

– Jaka była najwcześniejsza data wyryta na drzewie?

– Chyba 2001 rok – powiedział Shipley. Chwilę później z jego twarzy zniknął szelmowski uśmiech. – On miał wtedy z czternaście albo piętnaście lat. Czyli teoretycznie był już w takim wieku, że mógłby coś takiego zrobić...

– Sam przyznasz, że był wtedy dość młody. Poza tym potem raz po raz dopuszczał się jakichś drobnych występków. Dość to dziwne jak na seryjnego mordercę.

– Zdziwiłabyś się – powiedział Shipley, ale Louise nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że udało jej się zasiać ziarno niepewności.

– No nie wiem...

– Słuchaj, nic lepszego na razie nie mamy. Nawet nie wiemy, czy tam w ziemi się znajdują aż takie stare ciała. To mogą być kolejne wymysły szaleńca.

Louise skinęła głową, mimo że się z tym wytłumaczeniem nie zgadzała. Nie przekonywała jej teoria o wymysłach szaleńca. Jej zdaniem to wszystko tam to jeszcze nie wszystko.

Na tym jeszcze nie koniec.



## Rozdział 22

Normalni ludzie. Normalne życie. Wszyscy ściśnięci za taśmą, w możliwie najmniejszej odległości od miejsca, które policja uznała za miejsce zbrodni.

Wymiana informacji. Teorie dotyczące tego, co się właściwie wydarzyło – tu, na progu ich domu. Przecież mają prawo wiedzieć, w tej akurat kwestii wszyscy się zgadzają. Od czasu do czasu warknięcie, ostre słowo od jednego z policjantów w mundurze, którzy ich pilnują.

Miejscowi szybko przekazują sobie informacje, co najmniej jak gdyby cokolwiek wiedzieli. Sporych rozmiarów kobieta z papierosem między serdelkowatymi palcami zaciąga się, po czym wskazuje rozżarzoną końcówką w kierunku lasu.

– Założę się, że jakiś pedofil. Albo ćpun. Diabli wiedzą, co tam się dzieje po nocach w tych lasach. Ja się tam nawet nie zbliżam.

– Ja bym chciała wiedzieć, co tam się kryje – mówi inna kobieta, bez papierosa, bez nadmiaru ciała. Jest chorobliwie chuda, kości policzkowe niemal przebijają jej się przez skórę. – Po co tu aż tyle policji. Zwykle w takich sprawach chodzi o narkotyki. Tam jest pewnie jakaś fabryka metaamfetaminy albo czegoś takiego.

Przy taśmie policyjnej stoi już teraz ze dwadzieścia albo trzydzieści osób. Wszyscy wpatrują się w puste pole. Normalni

ludzie, prowadzący normalne życie – tyle że o trzeciej po południu niemający akurat nic lepszego do roboty.

Każdy z nich mógłby być ofiarą.

Młoda dziewczyna, najwyżej dwudziestoletnia. Szczupła twarz, przerażenie w oczach. To jej ospowaty brzuch mógłby zostać ponacinany nożem. Na jej twarzy wymalowałyby się zdumienie. Krew spływałaby po jej skórze i kościach.

Starszy mężczyzna, który ledwo wyczuwalnie pachnie tanią whisky i wilgocią. Ze wszystkich otworów w głowie wyrastają mu kępki włosów. Szarych i kręconych. Ubrania może by dobrze na nim leżały, gdyby sobie odpuścił kilka posiłków. Wałeczki ze skóry na jego szyi można by zlikwidować. Oczy by mu wyszły na wierzch, gdyby w pewnym momencie nie był już w stanie zaczerpnąć następnego oddechu.

Coś było wśród tych ludzi niezwykłego.

– To pewnie nic takiego – powiedział młody chłopak o bladej cerze i wystających przednich zębach. – Jak zwykle tylko marnują kasę. No chyba że znaleźli obozowisko jakichś imigrantów.

Wśród ludzi dało się słyszeć odgłosy zniecierpliwienia, ale zainteresowanie nie ustawało.

Nawet nie zdawali sobie sprawy, że coś ich obserwuje. Coś nienormalnego, coś wypaczonego.

Coś, czego by nie rozpoznali.

Wydawało im się, że wiedzą, co to zło.

Tak naprawdę jednak nie mieli o nim pojęcia.

## Rozdział 23

Dotarli do szpitala około trzeciej po południu. Pojechali tam dla porządku, tak to oceniała Louise. Nie spodziewała się usłyszeć od Caroline niczego odkrywczego, ale nowy szef kazał im tam pojechać, więc nie było wyjścia.

Louise zastanawiała się, jak długo to potrwa. Czy zostaną odsunięci na margines, gdy tylko wydział kryminalny na dobre przejmie tę sprawę. Na pewno znajdzie się wielu innych – bardziej doświadczonych – detektywów, którzy chętnie przejmą po nich schedę.

Oni zostaną wtedy odesłani z powrotem do włamań, awantur domowych i napadów. Louise lepiej by się w tym czuła. Z drugiej strony, coś jej mówiło, że teraz powinna się zajmować właśnie tą sprawą.

– Ciągle myślę o tym biednym chłopaku, który spłonął żywcem – powiedział Shipley, obracając kierownicę i skręcając na parking przy szpitalu. – Gdybym tam dotarł wcześniej albo gdybyśmy... sam nie wiem.

– Nic nie mogliśmy zrobić. Było za późno. Tam na sto procent został użyty jakiś przyspieszacz. Byliśmy bez szans, a poza tym on przecież mógł już nie żyć.

– Czyli tak naprawdę nie wierzysz, że w tym lesie to było tylko

jakieś przypadkowe zwierzę? Myślisz, że ścigałaś między drzewami człowieka? Być może nawet Rhysa Durhama?

– A ty co myślisz? – powiedziała Louise, uśmiechając się do niego szelmowsko. Shipley tylko się zachnął. – Nie wiem, co właściwie słyszałam. To się działo tak szybko. Po prostu starałam się niczego nie zaniedbać. To było jeszcze zanim poznaliśmy prawdopodobny wiek ofiary.

– Chcę w tym uczestniczyć – powiedział Shipley do Louise, gdy już zatrzymał samochód. – Wiemy, że ona już nam nic więcej nie powie, a ja chciałbym być w centrum na pierwszym briefingu.

– Zdecydowanie nie będę się sprzeciwiać.

– Powinno pójść jak z płatka. Raz jeszcze pokażemy jej zdjęcie policyjne Rhysa, a ona powie nam to samo, co wcześniej: „Nic nie pamiętam, było ciemno”.

– Tak czy owak, nie zaszkodzi sprawdzić, czy przypadkiem coś jej nie oświeciło.

Shipley rzucił jej wymowne spojrzenie, krzywiąc się na samą myśl, ostatecznie jednak przytaknął ruchem głowy.

– Wiem, wiem... Po prostu sędzę, że ona nam już powiedziała wszystko, co wie. Gdyby coś jeszcze miała okazję zaobserwować, to już byśmy o tym wiedzieli.

– Zgadzam się, ale rozkazy są, jakie są.

To akurat nie ulegało wątpliwości. Sisterson stanowczo stwierdził, że chce pozyskać dodatkowe informacje, zanim wprowadzi śledztwo w kolejną fazę. Louise nie bardzo wiedziała, na czym ta kolejna faza ma polegać, ale na tym etapie po prostu płynęła z prądem. Niemal bezwiednie.

Całe jej życie toczyło się teraz jakby bezwiednie.

Coś w niej bardzo by chciało, żeby te ostatnie dni to był tylko zły sen. Żeby to z tego wynikała upiorność jej wizji. Żeby to wszystko nie działo się naprawdę i było tylko majakiem chorej kobiety –

u której sny przeplatają się z prawdziwymi wydarzeniami, tworząc zupełnie nową rzeczywistość.

Tak by było łatwiej.

Na to, co się teraz działo, ona zupełnie nie czuła się gotowa.

Podążała za Shipleyem, który wysiadł z samochodu i udał się w stronę wejścia do szpitala. Windą wjechali na piętro, na którym przez kilka ostatnich dni leżała Caroline. Dotarli na miejsce i po kilku sekundach oczekiwania zostali wpuszczeni na oddział przez jedną z pielęgniarek. Zajrzeli na listę pacjentów, żeby się upewnić, że znajdują Caroline w tym samym pokoju, a następnie ruszyli w znanym kierunku.

W ciągu kilku ostatnich dni Louise przebywała wśród szpitalnych korytarzy stanowczo za długo. Szpital bynajmniej nie był dla niej obcym miejscem, bo z racji wykonywanego zawodu bywała tu dość często. Nadal dobrze pamiętała, ile godzin spędziła w różnych szpitalach w całym kraju, gdy jeszcze pracowała w mundurze.

– Zdradzę ci, że podanie o awans na stanowisko detektywa złożyłam między innymi po to, żeby tak często nie bywać w szpitalach – powiedziała.

– Mundurowi zdecydowanie zbyt dużo czasu muszą spędzać w szpitalach – zgodził się z nią Shipley. – Przez co mają poczucie, że nie robią nic ważnego.

– Jak gdyby zaklejali pęknięcia w suficie taśmą klejącą.

– Ja to zawsze porównywałem do ćwiczenia z talerzami na patykach. Człowiek tylko patrzy, co mu zaraz spadnie. Stale tylko reaguje, stara się utrzymać wszystko pod kontrolą.

Louise skinęła lekko głową.

– A ty chciałeś się w większym stopniu przyczynić do wymierzania sprawiedliwości.

– Właśnie. A jak to było w twojej rodzinie? Miałaś gliniarzy wśród bliskich?

– Nie, nic mi na ten temat nie wiadomo – odparła Louise, popadając w jeszcze gorszy nastrój. – Wydaje mi się, że jestem pierwsza.

– Nigdy nie mówisz o swojej rodzinie. Dlaczego?

– Bo nie o czym mówić – odparła Louise, licząc na to, że on odczyta aluzję. – Już mi nie został nikt, o kim mogłabym mówić, więc nie mówię. Miałam dobre dzieciństwo, a potem się wygłupiałam jak typowy nastolatek, ale to się szybko skończyło. Teraz staram się o nich za dużo nie myśleć.

– To jest dla ciebie za trudne?

– Tak naprawdę... Tak naprawdę to nie za dobrze ich pamiętam. Byłam jeszcze dość mała, gdy się przeprowadziłam do dziadków.

– Po tym, jak to się stało.

Louise przez chwilę wpatrywała się w Shipleya, zastanawiając się, czy grzebał w jej przeszłości. Czy ciekawość w końcu wzięła górę? Czy on poznał przeszłość, której ona nie pamiętała i której nie chciała pamiętać?

– Właśnie, po tym, jak to się stało.

Ich oczy na chwilę się spotkały, ale potem ona odwróciła wzrok.

– Przepraszam, nie powinienem o tym wspominać – powiedział w końcu z westchnieniem. – Czasami nie potrafię utrzymać języka za zębami.

– Nie ma sprawy – odparła Louise, która miała ochotę dalej rozmawiać.

Chciała mu opowiedzieć o swojej przeszłości i o tym, jak niewiele z niej pamięta. Chciała mu powiedzieć różne rzeczy, których nigdy nikomu wcześniej nie powiedziała. Niczego bardziej nie chciała, jak porozmawiać z nim o tym – tu i teraz. Chciała z nim gdzieś pojechać, w jakieś spokojniejsze i bardziej dyskretne miejsce, w którym mogłaby mu to wszystko po prostu powiedzieć. Mówiłaby godzinami, a potem mogłaby zrobić to, co chciała zrobić, odkąd go

poznała.

Wiedziała, że on odwzajemnia jej uczucia. Niewykluczone, że żywi je tak samo długo jak ona.

Czar jednak szybko prysł.

W sali było jaśniej niż poprzednio. Rolety były podciągnięte, a przez odsłonięte okna lały się do środka promienie słońca. Louise mogła się dzięki temu przekonać, że powietrze stoi tu niemal nieruchomo. Inaczej niż w większości innych pomieszczeń, tutaj nic w powietrzu nie wirowało. Caroline też sprawiała wrażenie bardziej pogodnej niż podczas ich nocnej rozmowy, chociaż nadal leżała płasko w łóżku. Sińce na jej twarzy zaczynały nabierać kolorów – stały się wściekle czarne i fioletowe, miejscami tylko widać było żółte plamy. Szczękę miała mocniej zapuchniętą, niż to zapamiętała Louise – która jednak mogła powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że wcześniej się nie skupiała na wyglądzie Caroline.

– Dzień dobry, Caroline – powiedział Shipley, również i tym razem robiąc pierwszy krok. – Obiecuję, że nie zajmiemy pani dużo czasu.

– Prawdę powiedziawszy, cieszę się, że mam towarzystwo – odparła Caroline. Uniosła się lekko, co jednak sprawiło jej wyraźny ból. Gdy się podnosiła, na jej twarzy pojawił się lekki grymas, potem jednak zajęła dość wygodną, lekko siedzącą pozycję. – Trochę już mnie nudzi oglądanie telewizji całymi dniami. Nic się nie zmieniło, puszczają dalej różne stare programy.

Louise spojrzała na nią wymownie, licząc na to, że Caroline odczyta sygnał. „Nie mów o tym, że tu byłam poprzedniej nocy”.

– Mamy tylko kilka dodatkowych pytań, nic więcej.

– Słucham – powiedziała Caroline, uśmiechając się przy tym znacząco do Louise.

Shipley ustawił się z boku. Louise go minęła i podeszła bliżej do

Caroline. Stała przy łóżku i jakby się na chwilę zawahała, a potem rozejrzała się dookoła i przyciągnęła sobie krzesło. Usiadła i wyjęła notatnik.

– Przypomniała sobie pani coś nowego, odkąd rozmawiała z nami pani ostatnio?

Caroline potrząsnęła głową.

– W każdym razie nic ważnego. Mam różne sny, ale chyba niezbyt wiarygodne. Przede wszystkim dlatego, że on mnie w nich zawsze łapie.

– A czy on tam był, kiedy pani uciekła?

– Nie wiem – odparła Caroline, wykrzywiając twarz i usiłując sobie coś przypomnieć. – Tego akurat tak dobrze nie pamiętam. Pamiętam przebłyski, jak on nade mną stał, jak mi robił krzywdę... Przepraszam, po prostu trudno jest mi o tym myśleć.

Louise dała Caroline chwilę na uspokojenie się. Zajęło jej to mniej czasu, niż się spodziewała.

– A co pani pamięta z tego pobytu w lesie? – zapytała, gdy łzy przestały tak mocno płynąć. Nie chciała za mocno naciskać, ale przecież mieli rozkaz dowiedzieć się jak najwięcej.

– Przykro mi, ale niewiele. Myślałam, że po paru dniach coś sobie przypomnę, ale to mi się nadal wszystko rozmazuje. Pamiętam fragmenty, ale żadnej sensownej całości to nie tworzy.

– Dopiero za kilka dni się dowiemy, czy podano pani jakieś narkotyki – powiedział Shipley, sięgając po kartkę, która leżała na szafce obok łóżka. Odłożył ją, po czym spojrzął na Louise i potrząsnął głową. – Możliwe, że to dlatego nie wszystko pani pamięta.

– Myśli pan, że mi podano narkotyki?

Louise przez chwilę się wahała, a potem postanowiła zmienić temat.

– Ktoś już panią odwiedzał?



– Dostałam kartkę z pracy.

– A rodzina?

Caroline potrząsnęła głową.

– Nikogo nie mam... To znaczy nie utrzymuję z nikim kontaktu.

„To nowa informacja”, pomyślała Louise. Wcześniej twierdziła, że nie chce, żeby ją ktokolwiek widział w takim stanie. Teraz podała inny powód.

– A co się stało? Jak to się stało, że nie ma pani nikogo, kogo teraz chciałaby pani widzieć?

Z jej oczu popłynęły łzy. Caroline zdołała ich jednak zaskoczyć, ponieważ spojrzała na Shipleya i powiedziała stanowczym tonem:

– Po prostu nikogo takiego nie ma, to wszystko. To chyba nie jest niezgodne z prawem?

– Tak tylko pytałem.

– Nie chcę mieć do czynienia z tymi ludźmi.

– Pokłóciliście się?

– A jakie to ma znaczenie? – powiedziała Caroline tym samym, zdecydowanym tonem. – To nie ma żadnego związku z tym, co mi się przytrafiło.

– Pozwoli pani, że sam to osądzę.

Caroline wbiła w niego wzrok i przez kilka sekund się nie odzywała.

– Pokłóciliśmy się już dawno temu. Na pewno nie potrzebuję, żeby ktoś z nich tu teraz przychodził i mnie osądzał. Doskonale radzę sobie sama. Nie widziałam się z nimi od lat. Nawet bym nie wiedziała, jak się z nimi skontaktować. Mieszkają daleko stąd. Wystarczy? Musi wystarczyć.

„Temat zamknięty”, pomyślała Louise. W pewnym sensie to rozumiała, ale postanowiła, że jeśli jeszcze kiedyś odwiedzi ją sama, to spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o jej rodzinie. Być może one dwie mają ze sobą więcej wspólnego, niż jej się pierwotnie

wydawało.

– Przepraszam, ja po prostu... To wszystko było bardzo trudne – powiedziała Caroline, zwracając się do Louise i uśmiechając się do niej łagodnie, ale jakoś tak bez życzliwości. – Nie chcę bez powodu otwierać drzwi, które dawno za sobą zamknęłam. Powiedziano mi, że niedługo będę mogła wrócić do domu.

– Po co pani tam chodzi, Caroline? – zapytał Shipley, zanim Louise zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. – Często pani chodzi w to miejsce?

– Powiedziałabym, że od czasu do czasu – odparła Caroline, przenosząc wzrok na Shipleya. Chłodny uśmiech zdążył już zniknąć z jej twarzy. – Ładnie tam jest, a w każdym razie było. Nie spodziewam się, żebym tam miała w najbliższym czasie wracać. Tam jest spokojnie. Można się wsłuchać we własne myśli. Dzisiaj niewiele jest już takich miejsc. Wszędzie ludzie i samochody. Hałas. A ja lubię ciszę.

Louise zmarszczyła brwi, słysząc tę odpowiedź. Coś jej w tej odpowiedzi nie pasowało, ale jeszcze nie wiedziała, co.

– I nigdy wcześniej nikogo tam pani nie spotkała? – dociekał Shipley, podchodząc nieco bliżej do Caroline. – Nigdy na nikogo pani nie wpadła ani nic takiego?

– Spotykałam tylko ludzi z psami, od czasu do czasu jakiegoś biegacza. Nic nadzwyczajnego. To nie jest chyba jedno z tych miejsc, w które się chadza. Jak powiedziałam, zwykle jest tam cisza i spokój.

– Nigdy nie miała pani poczucia, że ktoś panią obserwuje albo śledzi?

Caroline potrząsnęła głową.

– Nic z tych rzeczy. Sądzi pan, że ktoś mnie obserwował albo coś w tym stylu?

Shipley wyciągnął rękę, chcąc ją w ten sposób uspokoić.

– Po prostu nie chcemy niczego pominąć, dlatego pytam. Staramy się zgromadzić wszystkie możliwe informacje.

– A czy to prawda, co się mówi?

Shipley nic nie powiedział, ale usta mu się nie zamknęły. Po kilku chwilach ciszy temat podjęła Louise.

– Czy co jest prawdą, Caroline?

– Że znaleziono ciała? Pewnie powinnam powiedzieć: że znaleźliście ciała... Czy to ma jakiś związek z tym, co mi się przytrafiło?

– Na razie nic konkretnego nie możemy powiedzieć – odparła Louise bez wahania. To było jedno z tych zdań, które wypowiadała już niemal automatycznie. Powtarzała je już tyle razy, że niemal całkowicie zatraciło dla niej znaczenie. – Wszystko, co pani nam powie, może nam bardzo pomóc, Caroline. Tylko pani go widziała.

– Przykro mi, ale ja po prostu nie pamiętam – odparła Caroline, mocno zamykając oczy i odwracając głowę. – Żałuję, ale nie pamiętam. Nie chciałabym, żeby kogoś jeszcze coś takiego spotkało. Albo jeszcze coś gorszego. Z tego, co słyszę, to ja akurat miałam wielkie szczęście. Mogłam przecież... wiadomo.

Louise rzeczywiście wiedziała i Shipley też. Wszystko wskazywało na to, że ta kobieta w łóżku była jedyną ofiarą, której udało się uciec. Nie było żadnych innych doniesień o sprawcy, który by siebie nazywał Kościuchem i który by się dopuszczał takich czynów. Nie było innej żywej ofiary, która by o nim opowiadała.

To oznaczało, że ten przypadek był z jakiegoś powodu wyjątkowy. Jemu przecież nikt nie miał prawa się wymknąć.

## Rozdział 24

Gdy dotarli do pierwszego domu, był już prawie wieczór. Louise wyobrażała sobie, że podobne wizyty odbywają się teraz na terenie całego miasta. Para przypadkowych detektywów puka do drzwi i w jednej chwili zmienia bieg życia ludzi, którzy im je otwierają.

Tego popołudnia w lesie wydobyto z ziemi kolejne trzy ciała.

Louise spodziewała się, że wkrótce znajdą się następne.

Dwa z nich udało się już wstępnie zidentyfikować. Jedno należało do zaginionego mężczyzny z Northumberland. Louise zastanawiała się, co zawiodło tego człowieka tak daleko od domu, ale szybko sobie uświadomiła, że było to dość typowe w tego typu sytuacjach. W przypadku zaginionych, którzy znajdowali się później w grobie. Nikt nie angażował dużych sił do poszukiwań. Świat po prostu o nich zapominał.

Stali teraz na obrzeżach centrum miasta, w Bootle. Czekali, aż im ktoś otworzy drzwi. Przyjechali w związku z drugim ciałem, którego zostało wstępnie rozpoznane tego dnia. Stali przed zaniedbanym szeregowcem gdzieś pośród komunalnego osiedla. Sąsiad obok najwyraźniej próbował sprzedawać coś z bagażnika swojego samochodu, ale nie znajdował na to żadnych chętnych. Przy płocie stała poplamiona skórzana sofa bez jednej z poduszek siedziskowych. Obok leżała przewrócona pralka, a wokół

porozrzucane dziecięce zabawki. Stał tam też fioletowy pojemnik na odpady, ze wszystkich stron pomalowany przez grafficiarzy.

Dom z drugiej strony miał ganek dobudowany przed drzwiami, a przed nim starannie wypielegnowany trawnik.

Między nimi znajdował się zaś ten dom, przed którym ciągle stali w oczekiwaniu. Był zaniedbany, ale nie aż tak bardzo. Okna osłaniały białe daszki. Miejscami odchodziła z nich farba, która potem zatrzymywała się na czerwonej cegle poniżej. Przy drzwiach znajdowała się szafka z licznikiem gazu. Małe drzwiczki otwierały się przy każdym podmuchu wiatru.

– Nie cierpię tego – powiedział Shipley, kołysząc się na piętach. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Do przekazywania najgorszej z możliwych wiadomości. Czy do czegoś takiego w ogóle można się przyzwyczać?

– Moim zdaniem – odparła Louise, palcami odsuwając sobie włosy znad oczu – człowiek liczy na to, że nigdy się nie przyzwyczai.

– Próbujemy raz jeszcze czy dajemy sobie spokój?

Louise wzruszyła ramionami, a potem zrobiła kilka kroków przed siebie i zastukała parę razy w okno. Tak na wszelki wypadek stuknęła też w skrzynkę na listy.

Zza drzwi usłyszeli przekleństwo. Potem dobiegł ich szczęk zamka i drzwi się w końcu otworzyły.

– William Scarrow?

– A kto pyta?

Shipley uniósł legitymację w taki sposób, aby starszy mężczyzna oparty o drzwi mógł ją sobie obejrzeć.

– Detektyw sierżant Paul Shipley. To jest moja koleżanka, detektyw konstabl Louise Henderson. Czy możemy wejść?

– Macie nakaz?

– Przychodzimy w zupełnie innej sprawie, panie Scarrow – powiedziała Louise, dając mu czas, żeby mógł jej się przyjrzeć.

Niemal czuła na sobie jego obleśne spojrzenie. – Chcemy porozmawiać o pańskiej córce.

Williamowi Scarrowowi najwyraźniej się spodobało to, co zobaczył. Odsunął się na bok i wpuścił ich do środka. Zaraz po przekroczeniu progu Louise poczuła wyraźną woń wilgoci i pleśni, od której zrobiło jej się niedobrze. Natychmiast potem poczuła zapach, którego w pierwszym momencie nie rozpoznała, ale który już po chwili potrafiła idealnie zidentyfikować: mdląco słodki zapach jednego z narkotyków klasy B. Shipley nie zdołał powstrzymać się od kaszlu, z czego Louise wywnioskowała, że nie tylko na niej ten zapach robi wrażenie.

– Proszę wybaczyć bałagan – powiedział gospodarz, podnosząc gazety z podniszczonej sofy i zapraszając ich gestem do zajęcia miejsca.

Gazety rzucił na podłogę zaraz obok. Wzbił w ten sposób w powietrze kłęby pyłu, który równie dobrze mógł być kurzem, jak i prochami człowieka.

Shipley spojrzał wymownie na Louise. Oboje wiedzieli, że tego typu wiadomości powinno się przekazywać na siedząco. Żadne z nich nie miało ochoty siadać, ale i tak zajęli miejsce na kanapie. Opadali na nią jednak powoli niemal harmonijnie.

– Proszę mi powiedzieć, która z moich córek tym razem napytała siebie biedy? Domyślam się, że Angela? Ale może jednak nasza Julie? To musi chodzić o jedną z nich.

– Obawiam się, że mamy złe wieści, panie Scarrow...

– Proszę mi mówić Bill – powiedział, nonszalancko machając głową. – To proszę powiedzieć, co się stało. Wnioskuje, że jedna z moich dziewczyn wpakowała się w jakieś tarapaty?

– Chodzi o Eleanor.

Bill Scarrow na pewno nie to imię spodziewał się usłyszeć. Na chwilę zamarł w bezruchu, a potem opadł na oparcie fotela.

– Znalezliście ją?

– Tak – potwierdziła Louise, lekko szturchając Shipleya, żeby się przesunął, ponieważ chciała się nachylić w stronę Billa. – Z przykrością muszę poinformować, że prawdopodobnie znaleźliśmy jej ciało. Odciski palców pobrane z ciała pasują do tych, które mamy w naszej bazie. Tych należących do Eleanor. Naprawdę bardzo mi przykro.

Bill nie zareagował, tylko wpatrywał się w Louise. Uniósł dłonie i splótł palce, po czym założył je za głowę. Powoli wypuścił z ust powietrze.

– Chcielibyśmy, żeby ją pan zidentyfikował – odparł Shipley. Otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach, i wyjął z niej pojedynczą kartę. – Mamy ze sobą zdjęcie, ale będziemy potrzebowali formalnej identyfikacji.

Bill spojrzał na zdjęcie, które zostało wydrukowane w wysokiej rozdzielczości. Przedstawiało tylko twarz, na której na szczęście widać było tylko minimalne oznaki rozkładu, co miało związek z faktem, że ciało zostało owinięte niczym mumia w worki na śmieci.

„Innym to nie pomoże, pomyślała Louise, jeśli daty na drzewie są prawdziwe”. Niektóre ciała znajdowały się w ziemi już od wielu lat. Louise wolała nie myśleć o wysiłku, który czeka w najbliższych dniach specjalistów od kryminalistyki.

– To ona – powiedział Bill, ciągle trzymając zdjęcie w ręce. Jeszcze przez chwilę mu się przyglądał i dopiero potem oddał je Shipleyowi. – Co się stało?

– Ciągle jeszcze badamy szczegóły okoliczności związanych z jej śmiercią, Bill.

– Czy to ma coś wspólnego z ciałami, które zostały znalezione w Speke?

Louise spojrzała na Shipleya, który skinął potakująco głową.

– Śledztwo w tej sprawie nadal trwa, ale jej ciało faktycznie jest jednym z tych, które zostały niedawno odkryte.

– Nie bardzo wiem, co ona miałyby robić tak daleko na południu miasta – powiedział Bill, mlaskając z niezadowoleniem i kiwając głową. – Ale cóż ja tak naprawdę wiem o jej życiu? Nigdy nic nie wiedziałem i pewnie już się teraz niczego nie dowiem.

– Pan wybaczy tę uwagę, panie Scarrow – zaczął Shipley, ostrożnie dobierając słowa – ale nie robi pan wrażenia szczególnie zaskoczonego.

Bill potrząsnął głową, a potem lekko wzruszył ramionami.

– Tak prawdę powiedziawszy, to już od jakiegoś czasu czekałem na ten dzień. Nie... Nie mogę powiedzieć, żebym był zaskoczony, że ona się dała zabić. Zawsze się spodziewałem, że to się tak dla niej kiedyś skończy. Pozostałe dziewczyny też się pakowały w różne tarapaty, nie powiem, ale Eleanor była inna. Ona jakby się sama prosiła.

– Kiedy ją pan widział ostatni raz?

– Z pięć lat temu, może nawet sześć. Tak czy owak, dawno temu. Nie pamiętam już dokładnej daty. Ona się zawsze pojawiała na chwilę, a potem zniknęła. I pewnego dnia po prostu już nie wróciła.

– A co się stało, jak zniknęła?

– Była trochę narwana – powiedział Bill, a na jego twarzy na chwilę pojawił się smutny uśmiech. – Znaczy jak jeszcze była młoda. Wszystkie nasze dziewczyny zresztą takie były. Późno mieliśmy dzieci, a ich matka zmarła młodo. To pewnie wiele tłumaczy. Eleanor jakby... przestała być obecna. Była najstarsza i pewnie trochę od niej więcej wymagałem, to znaczy, jeśli chodzi o opiekę nad młodszymi siostrami. Jej to chyba za bardzo nie odpowiadało.

– Ile ma pan córek, Bill?

– Cztery, syna żadnego. I do tego żadna nie lubi piłki nożnej, to aż



nie do wiary! Takie już moje szczęście – zaśmiał się pod nosem Bill, ale jakoś tak sztucznie. Dla Louise było oczywiste, że tłumi w sobie emocje. Jego szeroka klatka z każdą chwilą unosiła się i opadała coraz szybciej.

– A ile lat miała Eleanor, gdy jej matka umarła?

Bill udawał, że się nad tym zastanawia, ale Louise przypuszczała, że doskonale zna konkretną odpowiedź na to pytanie.

– Pewnie miała ze trzynaście, czternaście lat. Trzy lata później już jej nie było. Jako szesnastolatka czy siedemnastolatka uznała, że sama się o siebie zatroszczy.

Zawsze jest inaczej. Kto zaczynał pukać do drzwi i informować o śmierci, szybko się o tym przekonywał. Nie było czegoś takiego, jak normalna reakcja na wiadomość o tym, że ktoś bliski już nigdy nie wróci do domu. Mimo to Bill zdawał się być na ten moment przygotowany lepiej niż większość osób, z którymi Louise miała okazję tę rozmowę prowadzić.

Bynajmniej nie czuła się od tego lepiej. Jej gniew wcale od tego nie słabł.

– Czy może nam pan powiedzieć cokolwiek o tym, gdzie ona była, zanim zaginęła?

– Nie bardzo – odparł Bill, odklejając plecy od oparcia i składając ręce niemal jak do modlitwy. – Dochodziły nas słuchy, że może mieszkać w hostelu albo na ulicy. Nie wiedzieliśmy tego do końca. Ktoś nam kiedyś powiedział, że widział ją, jak żebrze na mieście, ale jak tam poszedłem, to już jej nie było. Szukałem jej, ale ona chyba nie chciała, żebym ją znalazł.

– Bill, mogło być też tak, że jej już nie dało się znaleźć.

Bill spojrzał na Shipleya. Chyba starał się nawiązać kontakt wzrokowy.

– Może pan ma rację. Może nie miałem szans.

Pokój wypełnił się przytłaczającą ciszą. Zapach znów stał się

wyraźniej wyczuwalny. Beznadzieja i rozpacz zdawały się wypełniać każdy kąt. Louise rozglądała się wokół siebie. Wszędzie jakieś graty, bałagan. W rogu stał wielki telewizor, ale nieznaney jej marki. Zza niego wychodziły splątane przewody, które wiły się jeszcze na podłodze przed ekranem.

Na zagraconym kominku stało stare zdjęcie, poza tym nigdzie nic więcej nie zauważyła. Przedstawiało Billa, nieco młodszego, szczuplejszego i o jaśniejszej twarzy, ale i tak o mniej więcej dziesięć czy piętnaście lat starszego od kobiety, którą obejmował ramieniem. Na zdjęciu uśmiechał się od ucha do ucha.

Czas nie był dla niego łaskawy.

– Co teraz będzie?

Louise przeniosła wzrok na Billa, zastanawiając się, jak mu odpowiedzieć. Shipley też milczał, mimo że oboje nie raz już znajdowali się w tej sytuacji.

– Niedługo dołączy do nas ktoś, kto przedstawi panu szczegóły dalszego postępowania – powiedziała Louise, mając na myśli oficera łącznikowego, który miał wkrótce objąć rodzinę swoją opieką. – Czy ma pan kogoś, po kogo mógłby pan teraz zadzwonić? Po jedną z pozostałych córek?

– Tak, to pewnie byłby dobry pomysł – odparł Bill, zupełnie jak gdyby wcześniej o tym nie pomyślał. – Na pewno będą chciały wiedzieć. Tylko że telefon mi odcięli.

– Proszę użyć mojego – odparł Shipley, sięgając do kieszeni i wyjmując komórkę. – Zostaniemy z panem, dopóki ktoś się nie zjawi.

– Dziękuję – powiedział Bill, biorąc telefon od Shipleya. Przez kilka sekund wpatrywał się w ekran, a potem zwrócił aparat detektywowi. – Tych nowych nie umiem obsłużyć. Wybierze mi pan numer?

Louise znów odwróciła od nich uwagę. Dalej rozglądała się po

pokoju. Dręczyła ją normalność tego miejsca. To była prawdziwa rzeczywistość. Ci ludzie, którzy zostali przy życiu. Te wszystkie ciała, ci wszyscy ludzie. Ci, którzy odeszli. Już wiedziała, jakich ofiar ten... *Kościuch* szuka. Takich, którzy żyją na marginesie społeczeństwa, którzy ciągle wpadają w kłopoty, którzy ledwo sobie radzą.

Takich, za którymi nikt nie będzie tęsknił.

Takich, którzy się na okładkach tabloidów nie pojawiają. Chuliganów, narkomanów, pijaków. Zapomnianych zaginionych, którzy tak po prostu wylądowali na ulicy i stawali się niewidzialni dla przechodniów, gdy siadali na ziemi ze styropianowym kubkiem w rękę, żeby prosić o drobne.

To właśnie na takich ludzi polował *Kościuch*.

Uwielbiał decydować o tym, kogo pozbawi życia.

Nastolatki z trudnych domów. Poniewierane lub zaniedbane. Albo po prostu niezrozumiane. Nikt się nie dziwił, kiedy znikwały. Nikt się tym nie przejmował.

Teraz wydawało jej się to oczywiste. Ktoś wcielił się w postać z legendy z czasów ich dzieciństwa i jedna po drugiej wyłapywał kolejne ofiary. Może to był Rhys Durham – wiele na to wskazywało – a może kto inny. Louise teraz to rozumiała. To oczywiście niewiele pomagało, gdy słuchała, jak Bill dzwoni do jednej ze swoich córek. Słyszała reakcję po drugiej stronie, ten krzyk udręki na wieść o tym, co się wydarzyło.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi. Louise obserwowała sytuację. Bill nie ruszył się z miejsca, najwyraźniej przygotowując się na to, co go za chwilę czeka. Louise właśnie wstawała, żeby on mógł chwilę dłużej posiedzieć, ale powstrzymał ją gestem dłoni.

– Ja powinienem otworzyć drzwi – powiedział, dźwigając się z fotela. Można było odnieść wrażenie, że przez tych kilka chwil od

czasu ich wejścia do domu nagle przybyło mu lat. Na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki, skóra i zęby pożółkły. – One będą chciały zobaczyć swojego ojca.

– Pewnie wszystkie takie będą? – stwierdził pytającym tonem Shipley, gdy Bill wyszedł z pokoju. Mówił tak cicho, że Louise musiała się nachylić, żeby go usłyszeć. – Mam na myśli wszystkie ofiary...

Louise chciała odpowiedzieć, ale powstrzymał ją odgłos otwierających się drzwi i płacz dobiegający z korytarza. Siedzieli więc przez kilka chwil w ciszy. Nagle Louise zabrakło odwagi, żeby wypowiedzieć na głos to, co tak naprawdę myślała.

Spojrzała jedynie znacząco na Shipleya, wpatrując się w jego łagodne oczy. Potem tylko bez słowa skinęła głową.

## Rozdział 25

Musiał wziąć głęboki oddech i się uspokoić. Musiał zachować spokój. Nie mógł dać się złapać. Najpierw musiał dostać się do domu i zrobić to, co chciał zrobić.

Nie brakowało miejsc, w których mógłby bez trudu kogoś znaleźć. Gdy się przemierza cienie, po pewnym czasie zaczyna się spotykać bardzo podobnych do siebie ludzi. Ludzi, którzy chowają się przed światłem świata, czasami z własnej woli, a czasami nie. Nie miało dla niego znaczenia to, kim byli. Dla niego byli potencjalnymi ofiarami. Nawet ci, którzy czuli się bezpiecznie zamknięci w swoich domach i samochodach, albo przemierzali ruchliwe miasta czy tłoczne centra handlowe.

Zaczęło się, jak zwykle, na ulicy.

Duże miasto składa się z kilku dzielnic. Wszystkie się od siebie różnią, ale pod wieloma względami są też do siebie podobne. Niektóre są bogatsze niż inne, mieszka w nich więcej ludzi pracujących, więcej ludzi lepiej wykształconych. Domy są tam ładne, a na ulicach stoją nowsze samochody.

Właśnie przed jednym z takich domów teraz stał.

Zmrok zapadł już kilka godzin temu, ale w niektórych oknach ciągle jeszcze świeciło się światło, przez co spokojna ulica wyglądała jak nakrapiana. Obserwował domy po obu stronach.

Światło się w niektórych pokojach zapalało, a potem gasło. Zastanawiał się, na ile grube są tam ściany. Czy cokolwiek da się przez nie usłyszeć. Powietrze było spokojne, tylko od czasu do czasu dało się wyłować uchem szelest liści – gdy jakiś kot szukał sobie nocnego zajęcia.

Był też i on.

Bez większego trudu przeskoczył przez płot i znalazł się w ogródku na tyłach czyjś domu. Stał tam i czekał. W ogrodzie nie było oświetlenia, ale mimo to starał się ruszać jak najmniej. Czekał i skupiał się, wpatrując się w tylną ścianę budynku, obserwując jego drzwi i okna. Zastanawiał się, czy ktoś go zauważy, gdy przykucnął w krzakach. Był jak zwierzę, które czai się do wykonania skoku pod osłoną nocy.

W kuchni rozbłysło światło. Rozległo się skrzypienie tylnych drzwi. Mężczyzna wyszedł przez nie i zamknął je za sobą. Trzask zapalniczki, czerwony punkcik, głośny wydech. Twarz mężczyzny rozświetliła łuna telefonu komórkowego, który trzymał w wolnej dłoni. Patrzył, jak mężczyzna wypala papierosa i czyta coś w telefonie. Mógłby go zabić tu i teraz, na jego własnym ganku, ale coś go przed tym powstrzymało i ostatecznie tylko obserwował mężczyznę stojącego wśród ciemności.

Drzwi otworzyły się ponownie, a zaraz potem światło w kuchni zgasło.

Czekał jeszcze kilka minut, a potem kilka kolejnych. Pozwolił im się rozluźnić, poczuć bezpiecznie we własnym domu. Potem ruszył w kierunku budynku, przemierzając niewielki ogródek. Szedł przez nieprzyciętą trawę, między plamami błota, minął wysłużone meble ogrodowe. Dotarł do drzwi i przyłożył dłonie do twarzy, aby zajrzeć w mrok wnętrza. Powoli otworzył drzwi i wszedł do tonącej w ciemnościach kuchni. Nawet przez zamknięte drzwi z salonu dobiegały go odgłosy włączonego telewizora. Słyszał też stłumiony

śmiech i sporadyczne pomruki zadowolenia kogoś, kto oglądał program. Stał w pobliżu drzwi do salonu, wsłuchując się w odgłosy normalnego życia, które się tam toczyło. W korytarzu było ciemno, ale jego oczy dawno do tego przywykły. Odczekał kilka chwil i zamknął oczy. Wyobrażał sobie, co zastanie za drzwiami. Od kilku tygodni obserwował tę niczego nieświadomą młodą parę. Te meble i ten telewizor, do których byli przyklejeni. Jej nogi oparte o jego nogi i tę bliskość dotyku, która jemu była tak całkiem obca.

Przemknął obok salonu. Para niezmiennie tam siedziała, cicho chichocząc. On bezszelestnie wspiął się po schodach i dotarł do ich sypialni.

Na dole ktoś się poruszył. Odruchowo sięgnął po nóż, który miał w kieszeni. Wstrzymał oddech. Wyszedł z pokoju. Po drugiej stronie korytarza dostrzegł pokój gościnny. Schował się w środku i czekał, aż oni się w końcu położą do łóżka.

Czekał.

Mógł sobie oszczędzić kłopotu. Mógł zostać na zewnątrz, aż oni znikną pod kołdrą. Wtedy mógł się włamać do środka i zarznąć ich w mgnieniu oka.

Tylko że takie rozwiązanie wydawało mu się bardziej interesujące.

Tylko że on chciał ich obserwować, jak śpią. Chciał ich zobaczyć w tym stanie największej delikatności, największej wrażliwości. W tym momencie, w którym najmniej się spodziewają, że cokolwiek mogłoby im się stać.

W najbezpieczniejszym momencie.

Czekał. Godzinę, może dłużej.

Nasłuchiwał w ciemności, wyczekując jakiegokolwiek innego dźwięku niż jego własny oddech. Potem usłyszał ruch. Uśmiechnął się sam do siebie, ponieważ głosy zaczęły się zbliżać. Z lubością wsłuchiwał się w odgłosy ich wieczornej rutyny. W dźwięki

z umywalki w łazience.

Zastanawiał się, czy gdy się położą do łóżka, usłyszy jeszcze coś.

Minęła kolejna godzina.

Potem, w ciemności i w ciszy, wyczołgał się spod łóżka i wziął głęboki oddech. Wyszedł z pokoju gościnnego i przeszedł przez korytarz. Stał przed drzwiami głównej sypialni i wsłuchiwał się w dobiegające ze środka ciche szmery oddechów. Odczekał chwilę, żeby się upewnić, że na pewno śpią.

Potem otworzył powoli drzwi i wszedł do środka.



## Rozdział 26

Louise klatka po klatce przeglądała nagrania z monitoringu, licząc na to, że uda jej się tam dojrzeć coś – cokolwiek – co by ich naprowadziło na jakiś ślad. Tak wyglądała jej rola, odkąd się znaleźli w zespole wydziału kryminalnego. Byli małymi trybikami w wielkiej maszynie. Pocięszała się myślą, że przynajmniej nadal w tym uczestniczy. Inaczej sprawa zniknęłaby jej z oczu, a o ewentualnym wykryciu sprawcy dowiedzieliby się w tym samym momencie, co wszyscy inni.

A tak przynajmniej była częścią wielkiej maszyny. To zaś oznaczało, że mogła się przyczynić do rozwikłania sprawy. Świadomie podejmowała więc trud monotonnej pracy, licząc na to, że jakaś twarz wyda jej się nie na miejscu. Że ktoś wróci na miejsce zbrodni, żeby zobaczyć, co się dzieje. Miała nadzieję, że ten ktoś nie będzie się w stanie opanować i że przyjdzie popatrzeć, jak oni przeszukują jego kryjówkę.

Co chwila zatrzymywała jakiś obraz na ekranie, Shipley zaś siedział obok na skraju przydzielonego jej biurka.

– Najnowsze doniesienia z lasu mówią o pięciu ciałach – powiedział, podnosząc długopis i przeplatając go między palcami. – Spodziewają się kolejnych. Spora operacja się z tego zrobiła. Detektyw inspektor przewiduje, że prace na miejscu potrwać

jeszcze wiele dni.

– Kogoś się udało zidentyfikować?

– Kilka osób. Jedno nazwisko powinnaś kojarzyć: Adam Porter.

Potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć, ale pamiętała doskonale.

– O, nie...

– Ja też nie mogłem w to uwierzyć – powiedział Shipley z nieukrywaną ekscytacją – Ile to już lat? Dziesięć?

– Bliżej piętnastu – stwierdziła Louise. Poczowała dobrze jej znane gniesienie w dołku. To uczucie pojawiało się zawsze wtedy, gdy angażowała się w coś, co ją przerastało. Powrócił też gniew. Pomyślała o młodym nastolatku, którego twarz ludzie w okolicy dobrze znali, choć nazwisko już trudniej było im sobie przypomnieć. Teraz leżał w ziemi i gnił. – Zaginął jakoś w 2002 albo 2003 roku – powiedziała sama do siebie. – Przez kilka miesięcy było wokół tej sprawy dużo szumu. Jego mama jeszcze się pojawia od czasu do czasu, zwykle w okolicach rocznicy jego zaginięcia.

– No właśnie, data się mniej więcej zgadza. Ciało znalezione w ziemi jest w dość kiepskim stanie. Na razie zakładamy, że to on, ponieważ znaleziono przy nim dokument tożsamości. Nigdy nie wiadomo, może akurat się okaże, że to ktoś inny.

– Jeszcze jakieś nazwiska?

Shipley przestał obracać długopis w dłoni. Wyjął z kieszeni kartkę i położył ją przed Louise. Pod nazwiskami, które już znali, pojawiły się kolejne trzy. Przedstawione w postaci liter na papierze traciły coś ze swojej mocy. Louise pomyślała o wszystkich rodzinach, dla których te nazwiska są ważne. O ludziach, którzy musieli dalej żyć, nie wiedząc, co się stało.

– Nikogo więcej nie kojarzę, a ty?

– Zobaczmy – powiedziała Louise, wyciągając palec i przesuwając go po liście. Wyraźnie czuła woń wody po goleniu Shipleya. Lekki

zapach ciągle się jeszcze utrzymywał, mimo że w pracy spędzili już dobrych kilka godzin. – Może to?

– Nicola Borthwick – powiedział Shipley, jak gdyby chciał sprawdzić, czy wypowiedziane na głos przywoła jakieś wspomnienia. – Nie, mnie to nic nie mówi.

– Może się mylę. Naprawdę sądzisz, że Rhys Durham zabija ludzi od tylu lat? Wyobrażasz sobie nastolatka w roli seryjnego mordercy?

– Już sam nie wiem, co myśleć – powiedział Shipley, wzdychając. Jego twarz z każdym dniem zarastała coraz mocniej, a każde przesunięcie dłonią po szczęce skutkowało pojawieniem się dźwięku przypominającego szorowanie ostrą szczotką po betonie. – Innego tropu nie mamy.

– No chyba nie – odparła Louise bez przekonania. Nie podobało jej się, że tak bardzo się koncentrują na jednym człowieku, podczas gdy to równie dobrze może być ktoś zupełnie inny. – Po prostu myślę, że on może być również ofiarą.

– Skup się na tym, co teraz robisz – powiedział w końcu Shipley, zeskakując z biurka i prostując plecy. – Dopóki nie znajdziemy jakiegoś innego tropu, musimy szukać Rhysa Durhama. Idę się pokazać na konferencji prasowej.

– Jest jakaś konferencja prasowa?

– Coś mi mówi, że jeszcze niejedna się odbędzie, zanim ta sprawa dobiegnie końca.

Louise odprowadziła go wzrokiem, przez chwilę wpatrując się w malejącą w oddali sylwetkę, a następnie przeniosła wzrok z powrotem na ekran. Wolała zostać tu, gdzie była. Wolała unikać kamer, których zapewne z każdą godziną przybywało. Tak można było wnioskować na podstawie obrazu na ekranie telewizora zawieszzonego na ścianie w rogu biura. Sky News uznała tę sprawę za główny temat dnia. Louise wolała zostać w nieznanym sobie

biurze wydziału kryminalnego, które mieściło się w centrum miasta w przytłaczającym budynku z brązowej cegły. Z okna miała widok na rzekę i akademiki. Jeszcze kilka lat temu pewnie ładnie się to wszystko prezentowało. Teraz okolica została skażona niezaspokojoną potrzebą wznoszenia kolejnych budynków.

Przeglądała materiały z monitoringu na Ford Road, w pobliżu miejsca zbrodni odkrytego w lesie, nagrane jeszcze przed pojawieniem się policyjnych kamer i funkcjonariuszy w mundurach. Wpatrywała się w tłum gapowiczów, który zgromadził się w tym miejscu w oczekiwaniu na wieści. Danych osobowych tych ludzi zapewne nikt nie spisał. Louise powiedziała, że warto by te materiały obejrzeć. Shipley zmarszczył brwi, gdy to usłyszał, ale Sisterson uznał to za dobry pomysł. Każdy z nich nie raz słyszał, że sprawcy wracają na miejsce zbrodni. Logiczne się zatem wydawało, że nie zaszkodzi tego sprawdzić. To nie była strata czasu. To było dopilnowywanie wszystkich drobiazgów.

Bezwiednie mruzczała pod nosem melodię z dzieciństwa, słowa odtwarzając tylko w głowie.

„Kościuch nadchodzi. Kościuch prawdziwy. Nieposkromiony. Na nic wrażliwy. Płacz nie pomoże. Porwie cię w złości. Pokroi ciało. Zachowa kości”.

Spojrzała na nazwiska na kartce. Zastanawiała się, czy ci ludzie też tę piosenkę znali.

Postanowiła przejrzeć dokładnie tę listę, żeby na chwilę dać oczom odpocząć od przeglądania nagrań z monitoringu. Za drugim razem też żadnego z nich nie rozpoznała – oprócz nazwiska Adama Portera. Zastanawiała się, co on miał w sobie szczególnego. Dlaczego został wybrany? Czy Kościuch celowo zrobił odstępstwo od swojego typowego *modus operandi*, czy też po prostu źle wybrał swoją ofiarę?

Adam Porter. Louise wpisała jego nazwisko w wyszukiwarke

Google. Na ekranie natychmiast pojawiła się twarz młodego chłopca o niemal absurdalnie anielskich rysach, z dołeczkami i piegami na policzkach. To właśnie tę fotografię upowszechniano wśród opinii publicznej w okresie jego zaginięcia. Louise wiedziała jednak, że było też inne zdjęcie, bardziej adekwatne do sytuacji. To była zdecydowanie bardziej ponura fotografia chłopaka z ogoloną głową, wykonana na kilka tygodni przed jego zaginięciem.

Przez lata krążyły plotki, że Adam zadawał się z niezbyt ciekawymi ludźmi. Jego matka nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Przekonywała wszystkich dookoła, że to był dobry chłopak, który nigdy nic złego nie zrobił – i od samego początku media stały po jej stronie.

Zaginięcia nastolatków to nic niezwykłego, ale niektóre znikają częściej niż inne.

W momencie zaginięcia Adam miał czternaście lat. Wszystko wskazywało na to, że na tym wieku czas się dla niego zatrzymał. Louise cieszyła się, że to nie ona będzie musiała poinformować o fakcie jego matkę. Żal jej było kolegów, którym przypadnie to zadanie. Tym bardziej, że to było jedno z ciał znalezionych w lesie w najgorszym stanie. Louise przypuszczała, że matka Adama nie będzie chciała przyjąć do wiadomości faktu śmierci syna.

One już tak miały – matki, które straciły dzieci. Ojcowie wykazywali się większym pragmatyzmem. Nie musieli się zmagać z ciężarem „ojcowskiej intuicji”. Matki teoretycznie powinny wiedzieć. Z doświadczenia Louise wynikało tymczasem, że nikt nigdy nie miał pojęcia, co się stało, dopóki ktoś taki jak ona nie zapukał do drzwi z wiadomością.

Louise przeszukiwała policyjne bazy danych w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Mogła to robić bez obaw, że ktoś się zdziwi, widząc jej nazwisko na liście zgłoszonych zapytań. Informacji było dużo, ale nic z nich nie wynikało. Przez te

wszystkie lata przeprowadzono rozmowy z wieloma różnymi osobami – niektórych nawet formalnie przesłuchiowano – ale nikogo nie udało się powiązać ze zniknięciem Adama. Louise sprawdziła ostatni adres, pod którym mieszkał przed zaginięciem. Nazwa ulicy wydała jej się znajoma. Sprawdziła odległość dzielącą jego dom od miejsca, w którym sama dorastała, szybko stwierdzając, że ten dystans dałoby się pokonać w ciągu zaledwie kilku minut.

Czyżby to były stare tereny Kościucha? Te jej rodzinne okolice z czasów nastoletnich? Lasów tam nie brakowało. Otterspool znajdował się zaledwie kilka kroków od jej domu. Louise wyobrażałaby sobie jednak, że ten las był dla niego za mały. On by wolał taki, w którym się można łatwiej zgubić.

Do południowych rejonów miasta nie było stąd daleko.

Jeszcze bliżej był Sefton Park, chociaż ten z kolei wydawał jej się zbyt uczęszczany.

Potrząsnęła głową, starając się odpędzić od siebie myśli o legendarnym potworze. Oni szukali po prostu kogoś, kto czerpie przyjemność z zabijania ludzi, a nie jakiegoś ducha, który się kryje po lasach.

To był tylko człowiek.

To musiał być człowiek.

Znów pomyślała o pożarze. Obrazy przywołała z pamięci bez trudu. Bezwiednie zaczęła drapać udo, niemal mogła poczuć na nim żar płomieni. Mrugnęła powiekami, żeby wrócić do rzeczywistości, do swojej bieżącej rzeczywistości. Postanowiła skupić się na nagraniach z monitoringu. Wpatrywała się w ekran, na którym teraz wyświetlały się ujęcia wykonane pod innym kątem. Patrzyła na grupę ludzi, którzy przybyli na miejsce, aby obserwować rozwój zdarzeń. Kamera była na tyle daleko, że żadnych szczegółów nie dawało się uchwycić, ale Louise przypuszczała, że mimo to coś się mogło na tych nagraniach utrwalić. Gapiów z początku było dwóch

czy trzech, ale rozmiary grupki szybko się powiększały. W takich miejscach wieści szybko się niosą. To stare społeczności. Zupełnie niewykluczone, że wielu z tych ludzi od roku albo i dłużej nie znalazło żadnego pretekstu, żeby porozmawiać z sąsiadami – a teraz nagle mieli o czym.

Wyobrażała sobie, że niepostrzeżenie wkracza pomiędzy nich. W milczeniu surowo ich ocenia. Rozkłada ich życie na czynniki pierwsze i klasyfikuje je jako wartościowe lub bezwartościowe.

Potrząsnęła głową, przyciągnęła do siebie kilka teczek i zaczęła przeglądać ich zawartość.

Powoli ogarniało ją zmęczenie. Tę samą linijkę sprawozdania z przesłuchania czytała już trzeci raz. Spojrzała na zegarek. Ciekawe, gdzie podział się Shipley. Ciekawe, czy jak zwykle zaproponuje jej, że ją odwiezie do domu. Doskonale widziała, że nie każdemu to proponował i że do niej odnosił się w szczególny sposób.

Nie wiedziała tylko, co miałyby z tym zrobić.

Pozamykała wszystko i czekała na powrót Shipleya. Na razie musiała się skupić na tym, żeby niczego nie popsuć – żeby nie spaść z tego wloska, na którym od dłuższego czasu wisiała. Postanowiła nie słuchać tego cichego głosiku, który się odzywał w jej głowie. Nie zwracała uwagi na gniew, który się w niej kotłował.

Jej myśli krążyły wokół pożaru, który wszystko zniszczył.

Nawet wspomnienia.

Zastanawiała się nad tym, co może się kryć w lesie. Co mogło tam istnieć bez niczyjej wiedzy od kilkudziesięciu lat. To była tylko historia, którą dzieci i dorośli przekazywali sobie z ust do ust. Legenda, z której ludzie się śmiali, nigdy się do końca nie zastanawiając nad tym, jak ona wpływa na ich życie. Że z jej powodu nie mają odwagi zbliżać się do miejsc, w których rzekomo ktoś kiedyś widział potwora.

Myślała o znakach na drzewach. O ich znaczeniu, o ich symbolice.

Czy wryły je tam dzieciaki, które chciały wzbogacić legendę, czy też to faktycznie coś oznaczało?

Rozpamiętując pożar w lesie, Louise czuła, jak powietrze wokół niej robi się coraz cieplejsze. Zapach spalenizny przenikał całe jej ciało. Tysiąc pryszniców na to nie pomoże. To niszczycielska siła.

Opadła na oparcie nieznanego sobie krzesła, które stało przy nieznanym jej biurku w nieznanym jej biurze. Wydarzenia następowały jedno po drugim w takim tempie, że nie miała czasu zaczerpnąć tchu.

Tyle różnych rzeczy trzeba było przemyśleć... Tyle różnych faktów przyswoić... Ciężar tego wszystkiego powoli ją przytłaczał. Oddychała coraz płycej, z trudem łykając powietrze. Jak gdyby nagle znalazła się pod ziemią. Jak gdyby ktoś ją zakopał pod hałdą piasku. Zamiast tlenu do jej płuc wpadały czarne drobinki. Najpierw poczuła lekki ścisk w żołądku, a zaraz potem potężny skręt. Lęk wyżył ją od środka.

„Zamknij oczy. Policz do dziesięciu. Policz do dwudziestu. Policz do trzydziestu”.

Wyobrażała sobie, że została pogrzebana wraz z tymi wszystkimi innymi ciałami znalezionymi w lesie. Ją przecież też to mogło spotkać. Tak bardzo pragnęła uciec, tak bardzo chciała się uwolnić. Zmagała się z ciężarem ziemi wokół siebie. W końcu dała spokój i uległa pod naporem mroku. Czekwała na śmierć.

„Policz do pięćdziesięciu. Oddychaj. Oddychaj. Oddychaj”.

Ona też mogła tam być. Mogła się znaleźć w ziemi i błocie. Mogła tam zgnieć.

„Powinnaś tam być. Gdybyś tylko nie była takim TCHÓRZEM!”.

Louise mocno chwyciła się oparcia krzesła. Teraz bolało ją już całe ciało. Widziała światło odbijające się od ostrza noża, który rozcinał jej skórę i dźgał jej pierś.

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki nie poczuła



dotknięcia dłoni na ramieniu.

– Chodź, Louise – usłyszała znad głowy głos Shipleya. Jego pewny, ale troskliwy dotyk pomógł jej się uspokoić. – Chodźmy stąd.

Siłą woli otworzyła oczy i zaczęła mrugać, żeby przyzwyczaić je do światła. Pozwoliła mu wyprowadzić się z biura. Podążała pospiesznie za Shipleyem, nie zwracając uwagi na spojrzenia kilku innych detektywów kręcących się po pomieszczeniu.

W duchu robiła sobie wyrzuty, że do czegoś takiego dopuściła.

## Rozdział 27

W drodze do domu Shipley informował ją o najnowszych wydarzeniach, ani słowem nie wspominając o tym, w jakim stanie zastał ją w biurze. Louise uciekła już myślami od pożaru i wróciła do rzeczywistości, więc nieco lepiej kojarzyła, co się dzieje.

Jakże to banalnie wypadło. Jak w opowieści o detektywie, który nie wytrzymuje presji. Taki detektyw mógł w rzeczywistości w ogóle nie istnieć, ona tymczasem znajdowała się w jak najbardziej realnej sytuacji. Wyzwanie ją przerosło. Nagle zapragnęła być gdziekolwiek indziej, zajmować się czymkolwiek innym. Czymś, przez co by się tak nie czuła. Ogrom oczekiwań ją przerastał, ciężar odpowiedzialności okazywał się dla niej nie do zniesienia.

Gdy wychodzili z biura, Shipley skomentował sytuację słowami, które – jak przypuszczała – miały ją usprawiedliwić i pomóc jej zachować twarz.

– Tyle godzin przy robocie – powiedział głośno, chwytając ją pod ramię. – Wykończysz się.

Louise nie przypuszczała, żeby ktokolwiek rozsądny mógł w to uwierzyć. Z drugiej strony, pozostali zdawali się zupełnie nie interesować tym, co robiła dwójka ich nowych kolegów.

– Co jest? – zapytał Shipley, gdy wyszli za drzwi i ona oparła się

o ścianę. – Co się z tobą dzieje?

Z jej ust znów popłynęły kłamstwa. Gdy się nad nimi zastanawiała potem w chłodnym świetle w samochodzie, brzmiało to nawet gorzej, niż jej się początkowo wydawało.

– Widocznie zjadłam coś, co mi zaszkodziło. Muszę na chwilę zniknąć w łazience.

Patrząc na jego minę, Louise domyślała się, że jej nie wierzy. O nic jednak więcej nie pytał, pozwolił jej spokojnie zniknąć w łazience. Ciężko opadła na umywalkę, opierając się dłońmi o chłodną powierzchnię.

Nie unosiła wzroku. Nie spojrzała na siebie w lustrze. Włączyła tylko kran i kilkakrotnie spryskała twarz wodą. Sięgnęła po papierowy ręcznik i się wytarła.

Potem wróciła do biura, mamrocząc coś do Shipleya o tym, jak to musi jeszcze kilka razy przejrzeć nagrania z monitoringu. Tak naprawdę chciała jednak czytać zawartość teczek dotyczących ofiar, które dotychczas odnaleziono. Starala się przyswoić tyle, ile tylko była w stanie znieść. W ten sposób usiłowała się zdystansować od poczucia, które odzywało się w jej wnętrzu z coraz większą siłą.

Od przekonania, że nie powinna się do tej sprawy zbliżać. Wiedziała, że gdyby nie Shipley, to by jej tu nie było. Dałaby spokój.

Nie mogła go jednak opuścić.

Kilka godzin później wracali już samochodem do domu i znów byli sami.

Louise bez zastanowienia przystała na propozycję Shipleya, który chciał odwiedzić ją do domu. Nie zastanowiła się nad tym, że w rezultacie spędzi z nim dwadzieścia minut w zamkniętej przestrzeni. Przeklinała sama siebie za to, że tego ranka swój samochód zostawiła w domu. Poprzysięgła sobie, że więcej tego błędu nie popełni. Z drugiej strony, coś w niej tak bardzo pragnęło

być teraz w jednym samochodzie z Shipleyem. O tym czymś musiała jednak zapomnieć. Musiała zapomnieć o tym, że coś było między nimi – coś niewypowiedzianego, nie do końca określonego.

To coś tliło się już od dłuższego czasu.

Louise doskonale pamiętała ich pierwsze spotkanie. Pamiętała, jak się zachowywał w jej towarzystwie, jak gdyby była czymś egzotycznym. Młoda policjantka, która dopiero co zrzuciła mundur i została detektywem konstablem – i teraz chciała coś zmienić w swoim życiu. On zdawał się to dostrzegać i traktował ją nieco inaczej niż wszystkich innych.

To się akurat Louise nie podobało. Ona chciała być wtedy – i teraz też – taka sama jak wszyscy. Chciała być normalna.

Teraz on opowiadał o tym, czego się dowiedział, podczas gdy ona pracowała w biurze. Mówił o zasadach pracy w wydziale kryminalnym, o ludziach zaangażowanych w śledztwo i o tym, jak pozytywnie został przyjęty. Było coś uroczego w tych jego wywodach. W tej bijącej od niego fascynacji.

Jednocześnie coś ją w tym martwiło.

– Słowem, oni mają znacznie większe środki do dyspozycji niż my – ciągnął Shipley, pokonując trasę w centrum miasta. Ruch był mniejszy niż jeszcze kilka godzin temu, ale i tak kilkakrotnie zatrzymywali się na czerwonym. – Mają gotowe profile ofiar, całą masę informacji na temat każdej z nich. Żadnego szczegółu nie pomijają. Muszę ci powiedzieć, że ja tam zawsze chciałem pracować. To jest prawdziwa praca detektywistyczna, a nie ten chłam, z którym my mamy na co dzień do czynienia.

– Wydaje ci się, że będziemy mogli uczestniczyć w tym śledztwie aż do końca?

– O ile tylko nie uznają, że stanowimy zbędny balast, wszystko powinno być w porządku. A potem, kto wie, może damy się radę tu przenieść. Jeśli się pokażemy od dobrej strony, może stwierdzą, że

jesteśmy niezastąpieni. Musimy tylko ustalić, co to za jeden. To będzie kluczowa kwestia. Jeśli uda nam się go dopaść i pokazać, że potrafimy sobie poradzić z dużą sprawą, to nie będą mieli wyjścia i będą nas musieli tu przyjąć.

– To jaki masz plan? – zapytała Louise, słusznie przypuszczając, że Shipley już ma jakieś pomysły. – Co powinniśmy robić?

– Rhys Durham to w tej chwili nasz najlepszy trop. Mimo że daty się nie zgadzają. No chyba że faktycznie mamy do czynienia z człowiekiem, który już jako piętnastolatek był seryjnym mordercą.

– Właśnie na to zwracałam uwagę już od jakiegoś czasu, ale w sumie pewnie i takie rzeczy się zdarzają – odparła Louise, spoglądając przez okno po stronie pasażera na rozmazujące się kontury budynków mijanych po drodze. – Wiemy na pewno, że jako młody człowiek miał w sobie dużo negatywnej energii. Rodzice narkomani, problemy z płcią przeciwną, seks z nieletnią.

– Zastanawiałem się nad Jonem Durhamem – powiedział Shipley, powoli podjeżdżając do świateł. Przed maską samochodu przeszła para ludzi, którzy na pierwszy rzut oka właśnie się ze sobą kłócili. Potem zaczęli się jednak śmiać i to na tyle głośno, że słychać ich było nawet w samochodzie. – Coś jest z tą sprawą nie tak.

– O co konkretnie ci chodzi?

– Sama widziałaś te rysunki, te przesłania. Do tego mamy ten drobiazg w postaci zdjęcia fragmentu lasu, w którym ostatecznie znaleźliśmy ciała. To nie może być tylko zbieg okoliczności. On musiał coś wiedzieć. Chciałbym jeszcze raz zajrzeć do jego pokoju i zobaczyć, czy przypadkiem nie znajdziemy tam jakichś notatek. Może jakieś dodatkowe informacje się tam znajdują?

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Właśnie minęli ostatnie skrzyżowanie i wjechali na krótką uliczkę, przy której mieszkała Louise. Shipley zatrzymał samochód tuż za innym pojazdem. Ona

jednak nie wysiadła od razu. Najpierw spojrzała na niego. On patrzył prosto przed siebie.

– Słuchaj, jeśli chodzi o to, co się wydarzyło w biurze... – zaczęła Louise, ale Shipley jej przerwał.

– Nie ma sprawy. Pewnie jesteś po prostu trochę przepracowana albo coś w tym stylu. Oboje mamy za sobą kilka ciężkich dni. Niby zajmujemy się sprawą przemocy domowej, a tu się nagle okazuje, że siedzimy po uszy w śledztwie w sprawie seryjnego mordercy. Na mnie to też robi wrażenie.

– Radzisz sobie z tym najwyraźniej lepiej niż ja – stwierdziła Louise, uśmiechając się do niego. Wiedziała, że ten uśmiech długo się na jej twarzy nie utrzyma, że zaraz zniknie. – Pewnie masz rację, to nie jest najłatwiejszy okres. Potrzeba trochę czasu, żeby się do tego wszystkiego przyzwyczaić. Nie wiem, czy jesteśmy na to gotowi.

– Jesteśmy. Ja to wiem na pewno. Już mnie na śmierć nudziły w kółko te same sprawy. Ciebie przecież też. Teraz mamy szansę wykonać skok naprzód. Oboje. Jesteś dobrym detektywem, Louise. Zasługujesz na to, żeby być tu, gdzie jesteś.

Louise z początku nie odpowiedziała. On spojrzał na nią, a ona odwróciła wzrok. Siedzieli paręnaście centymetrów od siebie, ale pod wieloma względami dzielił ich bardzo duży dystans.

Louise już nie potrafiła się dłużej powstrzymać. Przysunęła się do niego. Z kilkunastu centymetrów zostało kilka, a wtedy on jej się rozmazał.

On też się do niej przybliżył.

Louise poczuła jego otwierające się usta na swoich, poczuła ich miękkość. Jego zarost otarł się o skórę jej policzka, a subtelny pocałunek przeszedł w coś więcej, w coś bardziej szalonego. Jego dłonie wędrowały po jej ciele, zsuwając się wzdłuż ramion po plecach. Gdy ją po chwili przyciągnął do siebie, aż jej zabrakło tchu.

Pragnęła go. Pragnęła przeżyć coś normalnego. Coś, co by się różniło od szaleństwa kilku ostatnich dni.

Chciała się poczuć normalnie.

Jego wargi znów odnalazły jej wargi, a dłonie przesuwały się w dół jej pleców. Louise obróciła się w fotelu, aby znaleźć się do niego przodem. Dotknęła ręką jego twarzy, przeczesła włosy.

– Nie, nie teraz – powiedziała, odsuwając się od niego. – Nie możemy sobie na to pozwolić.

Shipley opadł na oparcie. Kiwał głową sam do siebie.

– Masz rację, przepraszam.

Louise się uśmiechnęła.

– Nie przepraszaj.

– Mam po ciebie jutro przyjechać?

Louise w pierwszej chwili nie odpowiedziała, szukając odpowiednich słów. Nie chciała, żeby po nią przyjeżdżał. Wolała pokonać drogę do pracy w samotności. Owszem, jakaś część niej chciała, żeby on w ogóle nie odjeżdżał. Coś jej mówiło, że mogłby wysiąść z nią z samochodu, pójść za nią do domu i wejść do środka. Że na kilka godzin mogliby się oderwać od rzeczywistości.

– Nie, teraz moja kolej – powiedziała w końcu, odwracając się w jego stronę i odklejając dłonie od ud. – Tym razem ja po ciebie przyjadę. Tak będzie sprawiedliwie.

– Nie zaprzeczam – odparł Shipley ze śmiechem, łagodnym, nie ostrym czy sztywnym jak ten, którym raczył innych detektywów. – Jeżdżąc w tę i z powrotem, wydaję fortunę na paliwo. Chociaż oczywiście nie mam nic przeciwko temu.

– Będę o zwykłej porze.

Louise przez moment zastanawiała się, czy on się nie nachylił raz jeszcze w jej stronę, ale już tego nie zrobił. Tylko wpatrywał się w nią przez kilka sekund, zanim chwyciła za klamkę i wysiadła.

Idąc w kierunku drzwi, nie odwracała się, ale słyszała dźwięk

uruchamianego silnika i odjeżdżający samochód. Wyjęła klucze i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi i rzucając torbę w korytarzu. Po kilku sekundach chwyciła jednak kluczyki i telefon, i ponownie wyszła.

Caroline leżała w tej samej pozycji, co podczas ich ostatniej wizyty – lekko podparta na poduszkach, jak gdyby oczekiwała przybycia Louise.

Być może rzeczywiście na nią czekała.

– Po tym dzisiejszym popołudniu pomyślałam, że wpadnę – powiedziała, przystawiając sobie krzesło bliżej łóżka. – Nie chciałam, żeby tu pani znów leżała sama przez całą noc.

– Coś mi mówi, że i tak nie miała pani specjalnie nic innego do roboty – odparła Caroline. Kąciki jej ust lekko się uniosły, ale nie wyszedł z tego uśmiech. – Nie ma problemu. Nie ma u mnie tłumów.

– A właściwie dlaczego? – zapytała Louise. Chciała poznać prawdę, choć nie miała pewności, że otrzyma odpowiedź zgodną z rzeczywistością. – Dlaczego pani woli leżeć tu sama?

– Już pani mówiłam, że nie mam nikogo naprawdę bliskiego. Nie na tyle, żebym pozwoliła się oglądać w takim stanie.

– Pani znajomi na pewno by zrozumieli. Martwiliby się o panią.

– Gdyby mnie zobaczyli w takim stanie, to potem już zawsze by mnie taką widzieli. Widzieliby we mnie ofiarę. To by było dla mnie za trudne. Nie chcę, żeby ktoś tak na mnie patrzył.

– A pani rodzina?

Caroline zastanowiła się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Nie mam teraz dość siły, żeby sobie z nimi poradzić. Oni by na pewno znaleźli jakiś sposób na to, aby winę za to wszystko zwalić na mnie.

– Nie powinna pani zakładać, że rodzina jest dana raz na zawsze



– powiedziała Louise, kładąc jedną rękę na łóżku. – Pewnego dnia może się okazać, że ich nie ma i już nawet pani nie ignorują. Wtedy dopiero pozna pani smak samotności.

– Zna to pani z własnego doświadczenia?

Louise przez chwilę się nie odzywała. Zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć.

– Nie chce pani być sama, Caroline. Nikt nie powinien czegoś takiego doświadczyć.

– Czasami mi się wydaje, że muszę przez to przechodzić sama. Że płacę za swoje potknięcia albo coś w tym stylu. Że to karma, rozumie pani? Że mszczą się na mnie wszystkie moje błędy. Jeśli to wszystko przetrwam, to być może za nie odpokutuję.

Louise skinęła głową. Aż za dobrze знаła to uczucie.

– Ja mam ataki paniki za każdym razem, gdy myślę o przeszłości. Trochę tak, jak gdyby moje ciało próbowało mnie zmusić, żebym o tym zapomniała. Miałam taki atak dzisiaj... w pracy.

– Naprawdę?

– Proszę się nie martwić – dodała pospiesznie, unosząc dłoń. – Nad tą sprawą pracuje oprócz mnie cała masa normalnych ludzi. Ja jestem teraz już tylko małym trybikiem w potężnej maszynie. Nawet jeśli do reszty postradam zmysły, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Do tego czasu dwudziestu innych detektywów zdoła tę sprawę rozwikłać.

– A co się stało? – powiedziała Caroline, zdając się nie zwracać uwagi na jej próby bagatelizowania całej sytuacji.

Niczego nie musiała wyjaśniać. Louise doskonale wiedziała, o co Caroline pyta.

– W sumie nie wiem. Na miejscu zbrodni doszło do pożaru. To chyba uruchomiło jakiś mechanizm, którego do końca nie rozumiem.

– Przywołało tłumione wspomnienia – powiedziała Caroline

bardzo cicho.

– Coś w tym stylu.

– Wydaje mi się, że ja robię to samo – powiedziała, palcami zgniatając koc na wysokości swoich kolan. – Może to dobrze.

– Czasami mi się wydaje, że mój umysł próbuje mnie skłonić, żebym sobie przypomniała coś, czego tak naprawdę wcale nie powinnam pamiętać.

– Coś złego. Coś złego z pani przeszłości...

– Właśnie – odpowiedziała Louise, zmieniając nieco pozycję na krześle. – Wiem tyle, że chociaż przydarzyło mi się coś złego, to ja wyszłam z tego cało. Chodzi o wypadek.

– A co się stało? – zapytała ponownie Caroline.

– Moja rodzina. Wszyscy nie żyją. Tylko ja przeżyłam, ale większości z tego nie pamiętam. Sprzed wypadku pamiętam tylko urywki i obrazki, a potem nagle mam trzynaście lat i wszystko tworzy spójną całość. Musiałam się przeprowadzić do dziadków. Jako nastolatka nie miałam ochoty mieszkać z parą po siedemdziesiątce, to jedno wiem na pewno.

– A pani rodzice?

– Nie żyją – powiedziała Louise, licząc na to, że nic więcej nie będzie musiała zdradzać. – Nikogo nie mam. Ciotek i wujów nigdy nie poznałam, nawet jeśli oni akurat jeszcze gdzieś żyją. Moja mama chyba miała siostrę, ale nigdy jej nie poznałam. Ojciec był jedynakiem. Jego rodzice zmarli, gdy byłam jeszcze bardzo mała, więc ich nie pamiętam. Zostali tylko rodzice mojej mamy. Bardzo się starali, ale potem zmarli wkrótce po tym, jak się wyprowadziłam. Nie byli najmłodszy, a myślę, że wychowywanie nastolatki wyssało z nich resztki życia.

– Ja mogłabym opowiedzieć podobną historię – odparła Caroline, wygładzając koc.

Louise wiedziała, że tej historii nie pozna. Coś powstrzymywało

Caroline przed zdradzeniem jakichkolwiek dodatkowych informacji. Ona tylko na razie jeszcze nie rozumiała, co.

– Wstąpiłam do policji tak szybko, jak to tylko było możliwe – podjęła temat Louise, gdy cisza zanadto się przedłużała. – Coś musiałam ze sobą zrobić, wie pani? Musiałam dać innym coś od siebie albo coś w tym stylu.

– Rozumiem, co chce pani powiedzieć.

– Znajdziemy tego, kto to pani zrobił – powiedziała Louise, przyklejając plecy do oparcia krzesła. – Jesteśmy już blisko.

– Mam nadzieję, że ma pani rację.

– Nie powinna pani przez to przechodzić sama. Niech pani zadzwoni do mamy. Ona się na pewno o panią martwi.

– Zastanowię się nad tym.

Louise siedziała przy łóżku aż do momentu, w którym powieki Caroline zrobiły się ciężkie i zmęczenie w końcu dało o sobie znać. Potem wyszła. Było już po północy i w tej części budynku panował spokój. Korytarze były puste, w salach też panowała cisza. Pacjenci leżeli pogrążeni w regenerującym śnie. Louise spodziewała się, że na oddziale ratunkowym będzie wrzawa jak zwykle.

Weszła do windy i oparła głowę o chłodną metalową ścianę. Wyprostowała się tuż przed tym, jak miały się otworzyć drzwi. Weszła do pustej recepcji, a następnie z przyjemnością zarejestrowała lodowaty podmuch wieczornego powietrza na twarzy. Zatrzymała się na kilka sekund, żeby się szczelniej otulić kurtką. Zauważyła człowieka, który zapalał właśnie papierosa. Żałowała, że ona nie pali. Może pomogłoby jej się to odprężyć.

– Uśmiechnij się, kochanie. Będzie dobrze.

Louise błyskawicznie się odwróciła. Zobaczyła zaniedbanego mężczyznę, który stał oparty o ścianę i palił papierosa. Uśmiechnął się do niej, prezentując złamany ząb na przedzie.

– Co ty powiedziałeś?

– Ej, nie bądź taka – rzucił, potrząsając głową. – Ja tylko chciałem być miły.

– Jasne, to już dalej nie próbuj – odparła Louise. Jeszcze mocniej wtuliła się w kurtkę i ruszyła w stronę samochodu.

– Nadęta suka.

Louise się zatrzymała. Ciągle jeszcze stała plecami do mężczyzny. Uniosła wzrok i rozejrzała się wokół siebie, wypatrując kamery monitoringu nad wejściem. Wykonała kilka kroków w bok, aż nabrała pewności, że zniknęła z jej pola widzenia. Potem się zatrzymała, żeby mężczyzna nie widział, jak zamyka oczy i zaczyna liczyć.

Usłyszała, jak przesuwa się wzdłuż ściany w jej kierunku.

– Ja tu próbuję być miły i takie mnie za to spotyka podziękowanie.

Doliczyła do trzech, a potem się odwróciła i ruszyła w jego stronę. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale serce waliło jej już jak młotem. Żołądek pochodził jej do gardła, a ręce się trzęsły, jak gdyby tylko czekały na polecenie.

Louise zatrzymała się mniej więcej na krok od niego. Głupkowaty uśmiech na jego twarzy zdawał się tylko rozszerzać. Louise zamknęła usta i przeniosła wzrok na punkt po jego prawej stronie. Czekala, aż on odwróci głowę, aby spojrzeć w tym samym kierunku.

A potem uniosła ramię i z łomotem uderzyła go w bok głowy.

## Rozdział 28

Oglądali wiadomości w milczeniu. Słyszeli treść przekazywanych informacji, ale tak naprawdę ich nie przyswajali. Za bardzo wciągało ich to, co wyświetlało się właśnie na ekranach ich telefonów.

– Głośno o tym na Twitterze – powiedziała Karen. Tim pokiwał tylko głową, bo cała sprawa wydawała mu się absurdalna. – Patrz, tutaj.

Spojrzał na telefon, który przystawiła mu do twarzy.

– To jeszcze nie znaczy, że oni to biorą na serio.

– Mówię ci, że coś w tym jest.

– Myślisz, że on naprawdę istnieje?

– Myślę, że raz w życiu mógłbyś się zapoznać z opiniami innych ludzi – odparła Karen, opadając na swoją połowę sofy. – Zachować otwartość umysłu.

Tim się na nią zachnął, ale wyłączył aplikację BBC Sport, którą dotychczas przeglądał, i przeczucił się na Twittera. Miała rację. Temat rzeczywiście był gorący. To oczywiście niczego nie rozstrzygało, oznaczało jednak, że rozmawia o tym na tyle dużo ludzi, że gdzieś to się wybija na tle typowych absurdalnych rozważań toczących się w mediach społecznościowych.

Przewinął kilka postów, wczytując się w głupie historie związane

z legendą z czasów ich dzieciństwa. Bezsensowna historia z dawnych czasów, którą teraz ktoś próbuje wykorzystać. Ludzie wrzucają najróżniejsze obrazki z maskami diabłów, żeby wszystkich innych nastraszyć.

– Okaze się, że to jakiś świr, który próbuje zablęsnąć – powiedział Tim. Na ekranie telewizora ustawionego w rogu pokoju pojawiały się kolejne paski opisujące w skrócie najnowsze wydarzenia rozgrywające się w mieście. – On nie istnieje.

– Mówię ci, że raz go widziałam.

– Coś tam widziałaś, Karen, ale wątpię, żeby to był cholerny pieprzony Kościuch.

– Wiem, co widziałam. Byliśmy w lesie w Formby i on tam był. Czekał na nas. Zapytaj kogoś z pozostałych. On tam mieszkał, w lesie. Zostawiał znaki na drzewach. W ten sposób informował, gdzie był akurat teraz albo kiedyś. Tam w okolicy wszyscy o nim wiedzieli. Ludzie przepadali i nikt ich nigdy nie znajdował. Ja ledwo przed nim uciekłam.

– Idę na papierosa – powiedział Tim i wstał z kanapy, żeby już dłużej tego nie słuchać.

Do łóżka położyli się o tej samej porze, co zwykle. Kot zdążył się już umościć w środku, bo Karen nie lubiła, gdy zostawał na noc na dworze. Nie przeszkadzało jej, że co noc ląduje potem u nich w łóżku i rozwala się pomiędzy nimi. Taki chodzący środek antykoncepcyjny.

Tim był skazany na to małżeństwo. Wiedział, że gdyby spróbował się od niego uwolnić, ona spojrzałaby na niego tymi swoimi smutnymi oczami i on by wtedy ustąpił. Dla świętego spokoju.

Marzył o innym życiu.

Marzył o śmierci.

Leżąc w ciemności, wpatrywał się w sufit i zastanawiał się, co takiego strasznego uczynił w poprzednim życiu, że zasłużył sobie

na coś takiego. Odwrócił się na bok w stronę chrapiącej już Karen i zamknął oczy. Liczył na to, że przyśni mu się sen idealny. Taki, z którego obudzi się podniecony i ze wzwozem.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio położyli się do łóżka na tyle wcześnie, żeby przeżyć choćby chwilę intymności. Nie brakowało mu tego. Rozważał ostatnio, czy by nie przystać na propozycję dziewczyny z księgowości. Miała czym oddychać. Kilka chwil w toalecie dla niepełnosprawnych wniosłoby do jego życia element radości, nawet jeśli później miałby za to zapłacić wyrzutami sumienia ponad jego siły.

To o niej myślał, gdy zasypiał.

Pierwszy dźwięk usłyszał, jeszcze zanim w pełni odzyskał świadomość. Dobiegł go, gdy jeszcze majaczył na granicy snu i jawy. Zdezorientowany, usiłował ustalić, czy jeszcze śni i śpi, czy jednak się obudził.

Usłyszał głos.

– Karen, znowu gadasz przez sen – wymamrotał. Suchość w ustach była na tyle dolegliwa, że zwróciła jego uwagę. Zakaszłał i odchrząknął. – Jak tak dalej pójdzie, przeniosę się do pokoju dla gości.

Karen nie odpowiedziała, jak zwykle zresztą. Tim rozbudził się nieco bardziej. Skrzypienie dobiegające gdzieś spoza łóżka go nie niepokoiło. To przecież musiał być kocur. Pewnie go obudził, jak się odezwał.

On i zwierzak nigdy nie przypadli sobie do gustu.

Wyciągnął rękę i namacał szklanke, która stała na stoliku przy łóżku. Przystawił ją do ust i wziął łyk letniego płynu. Niewiele to dało, nadal chciało mu się pić.

Znów usłyszał dźwięk. Z każdą sekundą rozbudzał się coraz bardziej. Teraz już słyszał dokładnie.

To był szept, dobiegający z ciemności.

Głos nie należał do Karen.

Rytmiczny i powtarzalny szept dobiegał go z coraz większą siłą. Tim nic nie mógł powiedzieć. Nie mógł się poruszyć. Strach go dopadł i zniewolił. Słowa krążyły mu po głowie i zderzało się jedno z drugim jak ćmy krążące wokół listwy LED. Tim nie potrafił zrozumieć, co się z nim dzieje.

Z jego zuchwałości nagle nie zostało zupełnie nic. Często zdarzało mu się myśleć, że poradziłby sobie w każdej sytuacji, że dorastał na osiedlu komunalnym w centrum Liverpoolu i potrafił się obronić. W dzieciństwie zmagał się z najróżniejszymi agresorami i o zupełnie absurdalnych godzinach szwendał się po najciemniejszych zakątkach miasta. Nie raz opowiadał o tym, co by zrobił, gdyby mu się ktoś włamał do domu. Otóż powaliłby takiego kogoś na ziemię, a następnie w oczekiwaniu na policję wymierzyłby mu kilka ciosów. W walce wręcz nie miał sobie równych.

Zawsze tak mu się wydawało.

Tylko że nigdy wcześniej nie czuł prawdziwego strachu. Nie doświadczył tego przerażenia, które staje się udziałem człowieka, który budzi się zdezorientowany i rozkojarzony w środku nocy.

I słyszy, jak ktoś do niego szepce z cienia.

Nie mógł się ruszyć.

Nie mógł się ruszyć.

Nie był w stanie się ruszyć.

Szept stawał się coraz głośniejszy. Teraz już słyszał go wyraźnie.  
Raz po raz.

„Dasz radę. Dasz radę”.

„Teraz! Teraz!”.

Oczy miał otwarte, gdy cień zaczął nabierać kształtów i się do niego zbliżył. Namawiał swoje ciało, żeby się poruszyło, żeby zrobiło cokolwiek. Żeby uciekało albo walczyło.

Nic z tego.



Tim po prostu leżał w łóżku sparaliżowany strachem, złęczony i przerażony. Nie wiedział, co się działo, ale nie mógł się ruszyć. Nie mógł nic powiedzieć. Był zupełnie sztywny.

Gdy cień znalazł się tuż nad nim, poczuł wilgoć w okolicach pachwin. Zobaczył oczy i usta. Widział teraz ubranie i wyczuwał zapach. Zwrócił uwagę na kwadratowość szczęki i włosy wyrastające z nosa.

Postać się nad nim nachyliła, a wówczas poczuł w jej oddechu mrok.

Tim otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ślina jak gdyby całkowicie zniknęła, gardło zupełnie wyschło. Oczy się przyzwyczyły do ciemności i teraz widział już tę postać lepiej.

Tego akurat żałował.

Nie pamiętał o Karen, która leżała obok. Ona nagle przestała istnieć w jego świadomości. Liczył się teraz tylko on i ta postać stojąca o krok od niego.

Trzymała coś w dłoni, ale Tim widział to jedynie kątem oka. Dobrze widział tylko oczy, które uważnie wpatrywały się w niego z góry.

Ruch nastąpił szybko, zanim mózg Tima zdążył odnotować pragnienie płynące z gardła. Tim otworzył usta, aby coś wykrzyknąć, coś powiedzieć, zrobić cokolwiek, ale zanim cokolwiek się stało, nóż tonął już w jego szyi.

Tim poczuł, że nie może złapać tchu. Usłyszał też dochodzący z góry jęk wysiłku, z którym ostrze zostało wbite głębiej. Z początku nie czuł bólu. Wydawało mu się po prostu, że coś mu utkwilo w gardle i że zaraz to będzie mógł odchrząknąć. Mózg usiłował zmusić ciało do wykonania tej właśnie czynności, to jednak pozostało bierne.

Potem nagle pojawił się ból, który był jak podmuch wiatru z dużą siłą uderzający w otwierające się drzwi. Buch, i oto był. Wydawało

mu się, że krzyczy, ale niczego nie słyszał. Nóż był teraz wbity w jego szyję, a to coś nad nim mocno trzymało za rękojeść.

I obrót.

W chwili przekręcenia noża ból stał się nie do zniesienia. Rękojeść uniosła się ku górze i ponownie wbiła się w jego ciało. Teraz Tim już nic nie widział. Obraz zamazał się i oddalił. Głowa podskoczyła mu na poduszce, jak gdyby starając się uciec przed tym *czymś*, co się nad nią znajdowało. Pojawiła się dłoń, która bez większego wysiłku przywróciła ją do poprzedniej pozycji.

Tim uznał, że śni. To oczywiste. Znowu pogрузzył się w śnie. Tylko od czasu do czasu zdarzały mu się przebłyски świadomości.

Śnił.

O bezgłósnym krzyku, o krwi wypływającej z jego ciała na pościel dookoła.

O tym, że tonie. Że nie jest w stanie zaczerpnąć tchu.

Nic więcej nie było, tylko kolejne rozpaczliwe próby zaczerpnięcia powietrza, którego nie starczało. Pochłoneły go fale, wieczna pustka morza.

Nic więcej.

Nigdzie go nie było. Był nikim.

Było po nim.

On otarł rękawem brwi, ale czoło miał nadal całe zapocone. Nóż pozostawił tam, gdzie go wbił w ciało mężczyzny. Kobieta ciągle jeszcze spała, prawie wcale się nie poruszając. Przekrzywił głowę, wyprostował się i bezwiednie otrząsnął kurz z ubrania. Przyglądał się śpiącemu ciału kobiety, zastanawiając się, co z nią dalej zrobić.

Wiedział, co musi zrobić.

Wiedział, co *chce* zrobić.

## Rozdział 29

Louise ruszyła w drogę. Kładąc dłonie na kierownicy, dostrzegła plamkę krwi przysychającą na kłykciach. Starła ją. Uśmiechnęła się na myśl o facecie, którego zostawiła leżącego na ziemi.

Nawet gdyby coś powiedział – czego raczej nie należało się spodziewać – to z uwagi na brak świadków czy nagrania z monitoringu nie dałoby się przypisać jej winy. Louise przede wszystkim jednak nie przypuszczała, żeby miał się przyznać do tego, że pobiła go drobna kobitka. Jego ego by tego nie zniosło.

Ciągle jeszcze czuła te wszystkie emocje, które wezbrały w niej w chwili wyprowadzenia pierwszego ciosu. Tę ulgę, której doświadczyła, gdy wreszcie dała upust temu wszystkiemu, co kryło się pod jej spokojnym obliczem. Ten gniew i tę wściekłość, które zawsze gdzieś w niej drzemały, a teraz na kilka sekund mogły dojść do głosu.

Coś w niej miało ochotę, aby to doświadczenie powtórzyć. Aby je powtarzać.

Louise zatrzymała samochód, poprawiła lusterko i spojrzała sama na siebie. Szybko odwróciła wzrok, wyjęła kluczyki i wyszła z samochodu. Na ulicy nic się nie działo, jak to zwykle bywa o tak późnej porze. To nie była żadna droga przelotowa, a od sklepów czy pubów dzieliła ją na tyle duża odległość, że pojawiali się tu tylko

ludzie z okolicy.

Podeszła do drzwi. Oddychała z pewnym trudem, nagle sobie bowiem uświadomiła, że za nimi czekają na nią mrok i cisza. Potrząsnęła głową, przekręciła klucz i weszła do środka.

Gdy tylko zapaliła światło w korytarzu, od razu stało się dla niej jasne, że miała nieproszonego gościa. W powietrzu czuła wyraźną, obcą woń potu, która przyćmiła typowy zapach jej domu. Stała w bezruchu, wyczekując jakiegoś dźwięku – czegokolwiek, co by zdradzało ruch, co by wzbudzało jej niepokój.

Wróciła myślami do poranka i kolejnych rutynowych czynności, które wykonywała. Zamknęła wszystkie wejścia, wszystkie okna i drzwi. „Nie ma mowy, żeby ktoś się dostał do środka”, pomyślała, jak to zresztą robiła już wiele razy wcześniej.

Nikt nie mógł wtargnąć do jej domu.

Usiłowała sobie przypomnieć, co robiła, zanim kilka godzin wcześniej pojechała do szpitala. Przecież decyzję podjęła jeszcze w korytarzu.

Doszła do wniosku, że jej własny umysł płała jej figle. Że przez ten szalony tydzień po prostu za mocno się rozkręcił. To przecież nie było możliwe, żeby ktoś po prostu wszedł do niej do domu i zaczął tu węszyć.

To nie było możliwe.

Ruszyła przed siebie, z każdym krokiem szła coraz pewniej. Weszła do salonu i zapaliła światło, jeszcze zanim zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się wokół siebie, żeby ocenić, czy wszystko nadal znajduje się na swoim miejscu. Wypatrywała śladów po obecności kogoś obcego.

Wszystko zdawało się być w porządku. Wszystko było tam, gdzie miało być. Mimo to coś – coś do końca nieokreślonego – podpowiadało jej, że ktoś tu był. Ktoś poza nią.

Wyszła z salonu i udała się do kuchni połączonej z jadalnią. To

był mały dom, ale dla niej wystarczający. Nigdy nie potrzebowała większej przestrzeni, mieszkała przecież sama.

Nacisnęła na włącznik i pokój natychmiast wypełnił się ciepłym światłem.

Zauważyła to od razu. To coś, co było nie na miejscu. Na małym barku śniadaniowym, który dzielił przestrzeń pomieszczenia na dwie części, leżał mały stosik. Wyczuła też bijący od tego zapach, ostry i gryzący.

Spalenizna.

Zamarła w drzwiach. Nie chciała się odwracać, bo bała się, że intruz stoi za nią. Nasłuchiwała, czekając na jakieś skrzypnięcie lub odgłos oddechu.

Nie usłyszała jednak nic.

W końcu udało jej się zmusić stopy do oderwania się od podłogi. Szybko przeszła przez pokój w kierunku tego czegoś, co leżało na blacie.

To były patyki, ułożone w konkretne kształty, związane ze sobą jakimś pnączem. Ktoś je nadpalił, bo odchodziła od nich szerniała kora.

Wyglądały jak kości. Spalone i zniszczone.

Louise przełknęła kilkakrotnie ślinę, wpatrywała się w to znalezisko z rosnącym przerażeniem. Miała ochotę walić w to pięścią, aż zostanie z tego tylko pył, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Ujęły za to kartkę, która leżała obok.

Louise odwróciła ją i przeczytała odręczny napis. Ręce zaczęły jej się trząść, bo nagle do niej dotarło, z czym ma do czynienia.

*Pora wracać do domu, Louise.*

XX XX

WCZEŚNIEJ

Stała i czekała, sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Spoglądała w pusty tunel, ale widziała tylko mroczny krąg. Biła od niego jakaś niewidzialna energia, jak gdyby czekał i patrzył, kogo uda mu się pochłonąć w całości. Chciała wstać i pójść w jego stronę, przekroczyć jego próg. Ostatecznie jednak tylko się nachyliła i wymiotowała.

– Ble, obrzydlistwo – powiedziała Faye. Pisk jej głosu najwyraźniej zaniepokoił ptaki siedzące pośród drzew. – Lee, patrz, ona rzyga.

– Widzę, ty kretynko.

Ich oburzenie nie zrobiło na niej wrażenia, bo całą jej uwagę pochłaniały kaszel i plucie. Jej ciałem targały torsje, aż w końcu w żołądku nie zostało już nic, czego by się można pozbyć.

– Trzeba iść po Matty’ego – zdołała z siebie wydusić jakoś mniej więcej w ich kierunku. – On tam jest.

– No, właśnie w tym rzecz – odparł Lee z szyderczym uśmiechem. W tym momencie bardzo żałowała, że to jednak Matty poszedł ostatni, a nie on. Że ostatni jednak poszedł jej brat. To ten idiota powinien być teraz na jego miejscu. – Zostanie tam jeszcze przez chwilę, a potem będziesz mogła przestać beczeć jak mała dzidzia.

Zamknęła oczy i przetarła powieki rękawem, żeby otrzeć wilgoć.

Potem wytarła również podbródek, a następnie starała się wytrzeć ubranie o trawę. Odwróciła się w stronę tunelu, zastanawiając się, kiedy coś usłyszy.

Spodziewała się usłyszeć krzyk. Wrzask udręki.

Teraz już nie miała najmniejszych wątpliwości. Wiedziała, co się z nim tam stanie. To samo, co o mały włos nie stało się z nią.

– Tam coś jest – warknęła na nich gniewnie. To tych dwoje ich tu przyprowadziło. To była ich wina. Jeśli coś się stało z Mattym...

– O czym ty mówisz? – powiedziała Faye, biorąc się pod boki. Chciała za wszelką cenę robić wrażenie starszej, niż była naprawdę. Wyglądała tymczasem dokładnie tak, jak powinna wyglądać w swoim wieku. Jak mała dziewczynka. – Nikogo tam nie ma. Słyszelibyśmy.

– Mówię wam, że coś tam jest – odparła, odwracając się do nich. Przez krótką chwilę poczuła się jak matka, która strofuje dwójkę swoich niesfornych dzieci. Miała tylko jedenaście lat, ale nagle jakby trzydzieści jej przybyło. Czuła się niemal staro. – Nie wiem, co to albo kto to, ale coś tam jest i to coś teraz dopadnie Matty'ego.

– To on – powiedział Lee niższym i jakby bardziej przerażającym głosem. – Kościuch.

– Pokroi ciało. Zachowa kości. – Śpiewny głos Faye skłonił ptaki do zerwania się do lotu pośród tonącego w ciemności nieba.

– Zamknij się, ty głupia krowo – niemal wrzasnęła na dziewczynkę.

– No to może tam wrócisz, żeby go uratować? – powiedziała Faye, prostując się, jak tylko się dało, zupełnie jak gdyby miała jakiegokolwiek powody do dumy. Teraz sprawiała wrażenie jeszcze mniejszej, niż była w rzeczywistości. Wyglądała jak mała zbłąkana sierotka. – Świrujesz bez powodu. Nie wiem, czy ty nas próbujesz przestraszyć, czy co, ale to nie działa.

Faye spojrzała na brata, oczekując od niego wyrazów wsparcia, on



jednak już nie patrzył na dziewczynki. Spoglądał w stronę tunelu. Przez chwilę go obserwowała, usiłując dociec, co się teraz dzieje w jego głowie. Wydawało jej się, że coś koło nich przemknęło, ale to coś szybko zniknęło bez śladu.

– Musimy tam iść wszyscy razem – powiedziała. Starła się być stanowcza, ale sama doskonale zdawała sobie sprawę, że mówiła nieco bez przekonania. – Musimy iść i mu pomóc.

– Za chwilę wyjdzie i ci powie, że masz nie świrować.

Przestała słuchać dziewczynki, całą uwagę skupiając na Lee, który nagle zamilkł i po prostu wgapił się w tunel. Widziała po jego minie, że ma ochotę coś powiedzieć, ale jeszcze nie zebrał się w sobie.

– O co chodzi, Lee? – próbowała dociekać, licząc na to, że źle się domyśla. – Co tam jest?

Lee spojrzał na nią tak, jak gdyby dopiero co się tu pojawiła i jak gdyby jej widok był dla niego zaskoczeniem.

– On nie istnieje – powiedział tak cicho, że wiatr z łatwością mógł porwać jego słowa. – To niemożliwe.

– O co chodzi? – powtórzyła, walcząc z pokusą wykonania kroku naprzód i wytrząśnięcia z niego odpowiedzi. – Co tam się czai?

– Tego tam nie ma.

Nigdy nie wierzyła w te opowieści, nawet jeśli czasem nie mogła przez nie zasnąć. Sama wizja istnienia czegoś takiego nawet jej młodemu umysłowi wydawała się zupełnie absurdalna. Na tę dzisiejszą wyprawę wybrała się tylko dla rozrywki. Uznała, że to będzie dobry sposób na nudę, która już jej straszliwie dokuczała.

– Kościuch go dopadnie – ciągnął Lee, cały się przy tym trzęsąc. Widziała, jak cała jego dotychczasowa zuchwałość nagle wyparowuje. Jak zostaje z niego tylko to, czym naprawdę jest. Mały chłopiec, którego ciało rozwija się tak szybko, że umysł za nim nie nadąza. Nie był jeszcze nastolatkiem, ciągle był dzieckiem.

Przerażonym. Złęknionym. Którego nagle rzeczywistość przerosła.

– On nie istnieje – powiedziała, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Ona tam przecież była. Poczowała to. W tym tunelu było coś przerażającego. Coś, czego się nie dawało opisać. Ten zapach, to wrażenie. Powietrze jakby zgęstniało, jak gdyby wkroczyła w przestrzeń innego świata.

Zbyt długo to trwało. Po pewnym czasie oddech jej się uspokoił i znów mogła logicznie myśleć.

Stwierdziła, że nie może na to pozwolić. Teraz byli już tylko oni dwoje. Nie było już mamy i taty. Tylko oni. Ich dwoje przeciwko światu. Mieli się nawzajem pilnować. Mama sprowadziła do ich życia kogoś obcego. Tata się ulotnił, jak tylko mógł. Teraz mogli liczyć już tylko na siebie.

Nie mogła się ruszyć. Nie była w stanie wkroczyć w tę ciemność, żeby stanąć u jego boku i dzielić z nim jego los. Bardzo chciała wykonać krok naprzód, ale stopy jakby wrosły jej w ziemię.

– Kościuch go dopadł – powiedział Lee trzęsącym się i drżącym głosem. – To koniec. Już go więcej nie zobaczymy. Nic już nie możemy na to poradzić. Kościuch nikogo nie puszcza. Odziera człowieka żywcem ze skóry, zostawia tylko kości. Ciała nikt nigdy nie znajdzie. Człowiek znika, a nikt nawet o tym nie wie.

Lee paplał dalej, ale ona już go nie słuchała. Odwróciła głowę. Wpatrywała się w wejście do tunelu. Zaciskała zęby, czekając, aż Matty się pojawi. Za jej plecami Faye zaczęła jęczeć, a potem z jej ust wydobył się nieszczery, ale straszliwy płacz. Ona tymczasem stała niewzruszenie i patrzyła przed siebie. Czekala, czekała i czekała.

Chciała tam pobiec. Chciała coś zmienić. Chciała zmienić to, co się miało wydarzyć, gdy nic nie zrobiła. Sama tylko jej obecność i jej głos mogły wystarczyć. Gdyby Matty ją usłyszał, gdyby rozpoznał jej głos, być może wszystko byłoby w porządku.

Ostatecznie jednak nie ruszyła się z miejsca. Tylko stała, trzymała kciuki i się modliła. Nie zrobiła jednak nic.

Byli tam we troje. Wyczekiwali. Im się wydawało, że godzinami, chociaż tak naprawdę trwało to tylko kilka minut. Stali i czekali, aż jej brat wyłoni się w końcu z tunelu.

– Nie możemy tak tu stać całą noc – powiedziała Faye. Chciała zabrzmieć stanowczo, ale drżenie głosu zdradzało jej prawdziwe intencje. – To oczywiste, że on sobie z nas robi jaja.

Faye wykonała kilka kroków w stronę tunelu, ale Lee położył jej dłoń na ramieniu.

– Pójdę pierwszy.

Ruszyli przed siebie gęsiego, tylko na moment zatrzymując się przy wejściu. Potem ponownie wkroczyli w mrok.

Powitały ich cisza i bezruch, od którego aż im tchu zabrakło.

– Czujecie ten zapach? – wyszeptała do dwójki pozostałych, którzy szli przodem.

– Nie, o czym ty mówisz? – usłyszała w odpowiedzi, ale teraz nie miała wątpliwości. Wyraźnie czuła zapach, który roztaczał się wszędzie wokół nich.

– Matty? – powiedział Lee, tak cicho, że niemal szeptem. – Jesteś tu? Co ty wyprawiasz?

Raz po raz powtarzali imię jej brata, z początku cicho, a potem głośniej. Doszli już do połowy tunelu i zrobiło im się jakby raźniej.

Z drugiej strony dostrzegli słabe światło, a otwór rósł, im bardziej się do niego zbliżali.

Wyszli po drugiej stronie, na zewnątrz powitało ich ciemniejące niebo. Czekali, spodziewając się, że Matty na nich wyskoczy, ale nic takiego się nie stało.

Zniknął.

– O, nie...

Faye się rozplakała. Lee też chyba miał na to ochotę.

Ona przyłożyła do ust dłonie zwinięte w trąbkę i wykrzyknęła imię brata.

– Wychodź wreszcie. To już nie jest śmieszne.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Panika z początku tylko lekko dawała o sobie znać, ale z każdą sekundą przybierała na sile. Usiłowała się uspokoić, sama do siebie mówiła coś, co miało ją podnieść na duchu.

– Kościuch go dopadł – powtarzał w kółku Lee, któremu teraz po policzkach spływały łzy. – Obudziliśmy go i on porwał Matty’ego. Wydostaliśmy się stamtąd, zanim i nas zdołał dopaść.

Nie chciała iść. Nie chciała zostawiać Matty’ego samego. Z drugiej strony, nie potrafiła się uwolnić od tego zapachu, który ciągle jeszcze czuła w nosie, i od tych dźwięków, które ją dobiegły w tunelu.

Bała się. Chciała wracać do domu. Chciała być z mamą. I z tatą. Chciała znów poczuć ciepło i bliskość tego wszystkiego, co znane.

Wydawało jej się, że znów słyszy głos, tym razem wyraźniejszy.

Zostawiła Matty’ego – który co prawda zniknął jej z oczu, ale którego z serca za nic nie mogła się pozbyć – i poszła za pozostałą dwójką.

Zostawiła go z Kościuchem.

**TERAZ**

## Rozdział 30

Louise stała w kuchni, ale nogi miała jak z waty. Oto nagle jej dom stał się wrogim miejscem, choć zamierzała w krótkim czasie przywrócić go do należytego stanu.

Zaczęła jednak od refleksji nad kartką, na której ktoś zapisał jej imię. Zastanawiała się, dlaczego ktoś ją zostawił i dlaczego skierował do niej akurat taki komunikat. To musiał być on.

On.

On gdzieś tam był. I był też w jej domu.

On nie istniał.

Nie żył. Nie było go.

Z drugiej strony, któż inny mógł zrobić coś takiego?

Louise ostrożnie odłożyła kartkę na blat. Ostatnie słowo trochę się rozmazało i teraz czarny tusz wdzierał się w białą przestrzeń papieru. Louise wpatrywała się w ten liścik jeszcze przez chwilę, a zaraz potem wyszła z kuchni.

Coś musiała ustalić ponad wszelką wątpliwość.

Doszła do końca korytarza, włączyła światło na górze i wspięła się po schodach. Miała dwa pokoje, z których jeden przeznaczyła na magazyn. Przechowywała tam całą masę różnych rzeczy, w tym prezenty, które do niczego nie mogły się jej przydać, worki z ubraniami, które nigdy dobrze na niej nie leżały lub których nie

zamierzała nosić. Minęła te wszystkie graty i przedostała się w róg pokoju, gdzie znalazła kilka pudeł, leżących tam jeszcze od czasów przeprowadzki.

Te pudła zabierała ze sobą wszędzie, dokądkolwiek się udała.

Chciała je otworzyć tu i teraz, ale oparła się tej pokusie. Zaniosła je do sypialni, gdzie w świetle górnej lampy czuła się bezpiecznie. Postawiła je na nienagannie poślanym łóżku.

Jej wzrok padł na otwarte drzwi do sypialni. Wstała i je zamknęła. Na framudze leżał klucz, którego nigdy wcześniej nie używała. Zostawił go tam poprzedni lokator. Teraz go wreszcie zdjęła i przekręciła w zamku, tym samym odgradzając się od świata.

Dobrze wiedziała, w którym pudle znajdzie to, czego szuka, najpierw jednak otworzyła to drugie. W środku znajdowały się wspomnienia z jej nastoletniego życia. Opowieści o tym, co przeżyła przez te wszystkie lata. O jej podróży przez szkołę średnią. Raporty o wynikach, dyplomy potwierdzające osiągnięcia. Gdzieś głębiej znalazła kilka zdjęć, do których pozowała z dziadkami. Kilka wyblakłych prac ze szkoły, z pozaginanymi rogami, zamazanymi kolorami. W kawałkach. Zostały po nich tylko wspomnienia. Kilka kartek bożonarodzeniowych, które zrobiła dla dziadków. Kilka wielkanocnych, kilka urodzinowych.

Wyjęła zdjęcia i odłożyła je na bok, a potem resztę zamknęła w środku i odsunęła od siebie razem z pudełkiem. Drugie pudło nie było tak ciężkie, ale przyciągała je z trudem, bo zahaczyło o narzutę. Nachyliła się w stronę szafki przy łóżku i sięgnęła po nożyczki do paznokci. Były małe i już prawie tępe, ale wiedziała, że wystarczą. Rozłożyła je, po czym wbiła ostrą końcówkę w szarą taśmę, którą pudełko było owinięte. Taśma pękła bez oporu, więc teraz wystarczyło już tylko zedrzeć długi pasek wzdłuż pokrywy – i pudło będzie otwarte.

Ze środka wydobył się nieprzyjemny zapach nostalgii, który wypełnił powietrze wokół niej. Stary, zmurszały zapach o ledwo wyczuwalnej nucie lawendy.

Louise sięgnęła do środka i wyjęła pierwszy przedmiot z góry.

Przyciągnęła koszulkę do twarzy i mocno wciągnęła powietrze do płuc. Materiał zdołał jeszcze zachować resztki jego zapachu – a może tylko tak jej się wydawało? Po takim czasie zapach powinien już dawno zniknąć. Louise doskonale zdawała sobie z tego sprawę, a mimo to zamknęła oczy i raz po raz go wdychała, usiłując sobie przypomnieć, kiedy on ostatni raz miał tę koszulkę na sobie. Tego nie pamiętała. Ta informacja jej uciekła i już nigdy nie wróci. Zniknęła tak samo jak wszystko inne, co się z nią wiązało.

„To nie jest na to dobry moment”, pomyślała. „To nie jest dobry moment, żeby tonąć w przeszłości”. Już dawno temu powinna się z tym wszystkim rozprawić, ale z jakiegoś powodu ciągle z tym zwlekała. To były pozostałości po czasach, gdy ona jeszcze nie zdawała sobie sprawy, ile zła czai się na świecie – ile gniewu i rozpacz ten świat może pomieścić. To były wspomnienia po łatwiejszych czasach, w których musiała się zmagać tylko z banalnymi troskami.

Z tamtych czasów zapamiętała spacer po miejskich parkach. Najbardziej lubiła Sefton i Newsham. W Sefton Park można by spędzić cały dzień, a całego terenu by się nie schodziło. W ciągu zaledwie kilku minut można się było zgubić i odnaleźć.

Ojciec, który podnosi ją w górę i przytula. Nadal pamięta dotyk jego dłoni na ramieniu. Pamięta też, jak mama na niego patrzyła.

Brat, o włosach w kolorze jasnego piasku, które wystawały na różne dziwne strony. Biegał w kółko i walczył z wyimaginowanymi potworami. Potrafił kopać piłkę przez kilka minut, ale zaraz potem wymyślał sobie jakieś ciekawsze zajęcie.



Kiedyś byli szczęśliwi.

Pomyślała o pożarze. Wokół niej pojawiły się płomienie, do pokoju wtargnęły żar i dym. Ciało płonęło od tego wspomnienia, umysł wypełnił się czerwienią i czernią.

Mrugnęła powiekami i znów siedziała w ciszy na łóżku.

Sama ta koszulka w zupełności wystarczyła Louise, aby się wybrać w podróż w czasie, poza nią w pudle znajdowały się jednak również inne rzeczy. Ona dobrze wiedziała, co tam znajdzie i jakie tajemnice się tam kryją. Nie wiedziała tylko, czy akurat teraz chce się z nimi mierzyć. To był jedyny dowód na to, że oni istnieli – gdziekolwiek indziej niż tylko w jej wspomnieniach.

Nie miała wyboru, musiała to zrobić.

Wyjmowała z pudła zdjęcia, na których uwiecznione zostało jej dawne życie.

Odłożyła je, bo nagle zabrakło jej odwagi, żeby na nie patrzeć. Bała się otwierać drzwi, które dotąd pozostawały tylko uchylone. Zostawiła w nich jedynie małą szczelinę, ale gdyby je teraz rozewrzeć kopniakiem na oścież, wylałyby się zza nich mrok.

Musiała sama sobie udowodnić, że na kartce pozostawionej na kuchennym blacie zobaczyła to samo dziecinne pismo, które znała z rewersów tych fotografii. Jej pismo, jego pismo. Wszyscy się na tych zdjęciach podpisali.

Znalazła zdjęcie, na którym matka i jej brat przeżywali jakieś cudowne chwile. Jedna trzecia została od niego odcięta. Louise domyślała się, że gniewną ręką matki poirytowanej z powodu jakiejś banalnej zniewagi. Na tych zdjęciach się uśmiechają, niepomni tego, co czeka ich w przyszłości.

Louise zamknęła oczy. Zobaczyła krew, poczuła zapach miedzi. Hałas, krzyk. Powietrze łykane z przerażeniem, serce walące jak młotem. Drżące ręce i usta wypełniające się śliną, której gardło nie było w stanie przełknąć. Strach rozrywający jej skórę, całkowite

rozkołatanie myśli.

Gwałtownym ruchem otworzyła oczy, bała się bowiem, że nie będzie w stanie się oderwać od tych wspomnień. Siedziała w chłodnym pokoju cała spocona, z trudem łapiąc oddech. Wspomnienia wciąż jeszcze się na nią czaiły, przynosząc te same uczucia, które kiedyś nią targały, a które teraz tak łatwo jej było przywołać.

Nie było odwrotu. Od przeszłości nie da się uciec.

Położyła się na łóżku, przyciągając do twarzy koszulkę, a wraz z nią jego zapach. Starła się zapomnieć o tym wszystkim, co złe, a pamiętać jedynie o tym, co się wcześniej wydarzyło dobrego. Wracała myślami do prostszych czasów, kiedy spacerowała po parku i niczym się nie przejmowała. Do czasów sprzed tej chwili, w której została jedynaczką. Do czasów, w których jej nieznacznie starszy brat ciągle jej jeszcze towarzyszył i w razie potrzeby zapewniał jej opiekę. Był jak stróż, który jej doglądał, żeby nic złego jej się nie przytrafiło. Jeśli się przewróciła, pomagał jej wstać i dmuchał na otarte kolano czy łokieć.

Był przy niej, gdy go potrzebowała.

Pamiętała te ich kłótnie, te dziecinne sprzeczki i różne nieporozumienia. Teraz, gdy to wspominała, wydawało jej się wszystko takie strasznie błahe.

Louise dałaby wszystko, żeby móc się z nim jeszcze raz pokłócić. Aby się znów na niego tak porządnie wkurzyć. Aby znów się poirytować, rozgniewać i zdenerwować tylko dlatego, że on jest.

Aby już nie być samej.

Zamknęła oczy i zanurzyła się w przeszłości, w której się czuła bezpiecznie.

Wróciła myślami do czasów, w których miała wszystko i nic złego nie mogło jej się przytrafić. Do czasów, w których zło nawet jeszcze nie dało o sobie znać. Do prostszych czasów, w których nie

wiedziała, co to śmierć i zniszczenie.

Gdy jeszcze była normalna.

Gdy *on* nie wrócił.

Gdy Kościuch był tylko opowieścią, jakich wiele.

## Rozdział 31

Hazel Durham słyszała go. Był w swoim pokoju. Wrócił po tylu latach. Znow chce przy niej być. To było jak sen, który się spełnił. Podczas gdy ona spała, świat się zmienił i wydał z siebie coś, co przekraczało jej najśmielsze wyobrażenia.

Jej modlitwy w końcu zostały wysłuchane.

Jon wrócił do domu.

Wrócił!

Przez chwilę trwała w bezruchu, rozdarta między pragnieniem wejścia do pokoju i zobaczenia go a obawą przed ulotnością tego uczucia. Oto wróciło normalne życie, oto nadeszło wyzwolenie od pustki, która ją dręczyła od śmierci syna.

Dobiegały ją kolejne odgłosy, tworzyły kakofonię spełnionych nadziei i snów. Hazel słyszała muzykę. Uznała, że to właśnie muzyka musiała ją obudzić. Rozpoznawała tę piosenkę. Jon często ją włączał, gdy się zamykał w swoim pokoju. Wydawało jej się, że to był jakiś niezależny zespół, miał dziwną nazwę. Melodia wydawała jej się znajoma, ale nie potrafiłaby powiedzieć, kto ją stworzył.

Grała muzyka.

Jon wrócił do domu.

Pewnie leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, upojony mocą powtarzalności wielokrotnie odtwarzanego utworu. W tym

momencie nie liczyło się już dla niej to, że na własne oczy widziała jego ciało pozbawione życia. Że patrzyła, jak razem z trumną opada na dno grobu i znika pod grudami ziemi. Nie liczyło się dla niej to, że opłakiwała jego śmierć miesiącami, aż w końcu to doświadczenie stało się dla niej nawet bardziej bolesne niż trud sprowadzenia go na świat.

Nic się już nie liczyło. Wystarczyła jej sama myśl, że wrócił do domu. To na tym się skupiała, gdy patrzyła w mrok i zbierała się na odwagę, aby wstać z łóżka i pójść do jego pokoju.

Rozbudziła się nieco, ale nadal czuła to samo. Tak długo czekała na tę chwilę. Teraz, gdy ona w końcu nadeszła, Hazel nie chciała dopuszczać do siebie głosu rozsądku. Odrzucała wszelką racjonalną myśl. Zišciło się to, na co czekała, więc nie zamierzała pozwolić na negatywne myślenie, które mogłoby ją tego pozbawić.

Weszła na piętro, gdzie muzyka rozbrzmiewała głośniej. Z walącym sercem zrobiła kilka kroków i położyła rękę na drzwiach.

Była gotowa.

Pchnęła drzwi z uśmiechem na twarzy.

To był jej ostatni uśmiech.

Z początku nie zdawała sobie sprawy, że to nie Jon znajduje się w środku. Wizja tej chwili tak mocno wrosła w jej świadomość, że rzeczywistość przebiła się przez nią dopiero po chwili. Przez jedną wspaniałą chwilę Hazel widziała na łóżku swojego syna, jak w pełnym ubraniu stuka stopą o stopę w rytm muzyki. Wierzyła, że właśnie to widzi. Mrugnęła kilka razy. Muzyka była włączona głośniej, niż się spodziewała, ale do jej świadomości najpierw przebił się zapach.

Jej syn pachniał nastolatkiem, jak wszyscy chłopcy w tym wieku, a teraz Hazel poczuła coś znacznie gorszego. Zapach śmierci, zapach rozkładających się zwłok.

Coś w tym pokoju było, ale to nie był jej syn.

W pokoju panował mrok, jednak Hazel wyraźnie wyczuwała w nim obecność. Wyczuwała czarną dziurę, która już częściowo tę przestrzeń wyssała. Wyczuwała brak pierwiastka ludzkiego. Dostrzegła zarys kształtu i postaci, ale w jej głowie nie pojawił się żaden konkretny obraz.

– Witaj, Hazel – powiedziało to coś nieludzkim głosem. Wraz ze słowami z jego ust wydobyło się coś jakby warczenie. – Czekałem na ciebie.

Hazel tak bardzo chciała coś powiedzieć, chciała wrzeszczeć i krzyczeć na intruza, ale jej usta ułożyły się tylko w idealną literę O. Żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

– Wiesz, kim jestem?

Nastąpiła chwila ciszy. Hazel starała się oprzeć pokusie wypowiedzenia na głos jego imienia, ale ostatecznie nie zdołała się powstrzymać.

– Kościuch – powiedziała, niemal całkowicie tracąc głos. Z jej ust wydobył się właściwie tylko szept. Dłonie powoli, jakby mimowolnie, powędrowały do ust, jak gdyby miały do niej żal, że te słowa faktycznie padły. Mimo że Hazel nagle zdała sobie sprawę, że te wszystkie historie to jednak prawda.

Potwór rzeczywiście istniał.

– Opowiadasz o mnie ludziom.

Odruchowo energicznie potrząsnęła głową. Nagle się przestraszyła, co się z nią może stać, jeśli to *coś* uzna, że ona mu pokrzyżowała szyki. Potwór uniósł się z łóżka, wydobywając z siebie jakiś odgłos, ale Hazel nie uniosła wzroku. Wpatrywała się w podłogę i w swoje stopy, które za nic nie chciały się od niej oderwać.

– O, tak, tak, Hazel. On mnie próbował odnaleźć. Nie naszukał się, bo ja go znalazłem pierwszy. Znasz mnie z opowieści. Wiesz, co

robię.

Hazel skonstatowała, że pochyła głowę w geście potwierdzenia. Przypominała sobie te wszystkie chwile, kiedy siadali z kolegami i koleżankami i wymyślali te wszystkie straszne historie. Jako nastolatki przesiadywali gdzieś na ulicy i z nudów wymyślali różne szczegóły opowieści, aby te wydawały się bardziej prawdziwe. Kościuch nie miał wtedy jeszcze imienia, ale historie były takie same.

– Ty nie istniejesz – powiedziała cicho Hazel, daremnie zmuszając się, aby na niego spojrzeć. – Nie istniejesz.

– A jednak tu jestem – powiedziało to coś, zbliżając się do niej.

Hazel poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Smród był nie do zniesienia. Nie chciała na niego patrzeć, nie chciała się przekonać, z czym tak naprawdę ma do czynienia. Sądny moment zbliżał się wielkimi krokami, musiała wykrzesać z siebie resztki odwagi i siły.

– Widzisz mnie. Słyszysz mnie. To chyba znaczy, że istnieję, co?

– Wynoś się z pokoju mojego syna – syknęła Hazel. Poczuła, jak wzbiera w niej gniew, silniejszy nawet od odrazy i strachu, które dotychczas nią władały. – Wynoś się!

Jej krzyk, choć odbił się echem od ścian, nie wywołał żadnej reakcji. Nagle pomyślała o sąsiadach. Zastanawiała się, czy mogli usłyszeć muzykę i jej krzyki, czy domyślili się, że coś jest nie tak. I czy wezwaliby pomoc, gdyby uznali, że te dźwięki wskazują na coś, co uzasadnia natychmiastową interwencję.

Domyślała się jednak, że raczej zaczną narzekać na uciążliwe sąsiedztwo, odwrócą się na drugi bok i będą spać dalej.

– Wiesz, po co tu jestem.

Nagle stwierdziła, że dokładnie to coś widzi i że to coś emanuje z ciemności. Chciała zaprotestować i wepchnąć potwora z powrotem w mrok. Zmusić go do powrotu do piekieł czy innego miejsca,

z którego przybył. Chciała bronić samej siebie, swojego domu i ostatnich wspomnień o swoim synu.

– Twoja kolej.

W końcu odzyskała władzę w nogach. Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Zanim dotarła do szczytu schodów, miała już w głowie plan. Zbiegała w dół po dwa stopnie. Gdy znalazła się na parterze, zaczęła po omacku szukać kluczy, żeby otworzyć drzwi i wybiec na ulicę. Zamierzała głośno wzywać pomocy. Mocno złapała klucze i drżącymi dłońmi odnalazła wśród nich ten, który pasował do zamka.

Gdy obracała klucz i cofała się, aby otworzyć drzwi, miała czas, aby poczuć gęstniejącą za jej plecami ciszę. Gdy wyszła na ścieżkę, poczuła pęd zimnego powietrza na skórze osłoniętej jedynie krótkimi spodenkami i koszulką. Dostała gęsiej skórki. Pędziła przed siebie aż dotarła do końca ścieżki. Dopiero tam sobie uświadomiła, że dalej już jej plan nie sięgał. Zwolniła kroku, bo kamyczki wbijały jej się w bose stopy. Nie bez wahania odwróciła się za siebie.

To tam stało. Wydawało jej się, że się do niej uśmiecha.

Spojrzała w lewo, potem w prawo, a potem stanęła oparta plecami o bramę. Potwór znajdował się na wyciągnięcie ręki. Ulica tonęła w mroku i tylko blade światła tworzyły niekończącą się linię cieni.

Uświadomiła sobie, że to coś na nią czeka.

Otworzyła usta i krzyknęła, a jej głos poniósł się echem wzdłuż ulicy.

Zanim zdążyła zrobić cokolwiek jeszcze, potwór stał już przy niej.

Hazel poczuła ból, ale jakby taki odrealniony, niezwiązany z nią samą. Słyszała tylko stękanie świadczące o wysiłku. Czuła, jak coś ją obmacuje, aż w końcu zaciska się na jej szyi. Nie wiadomo kiedy znalazła się na ziemi. Zaczęła przesuwać dłońmi wzdłuż boków i wówczas poczuła wilgoć. Zaraz potem pojawił się ból, bo ręce



trafiły na ranę.

Zanim wzięła ostatni oddech, zdążyła jeszcze tylko spojrzeć temu czemuś oczy. Opierała się, ale niezdarnie. Oddech uwiązł jej gdzieś w gardle, a nogi kopały na boki bez ładu i składu.

Nie słyszała syren. Nie słyszała żadnych krzyków.

Nikt jej nie spieszył na pomoc.

Nikt nie wracał do domu.

Rozpoczęła walkę o uwolnienie się z ciała, które niemrawo się przed tym wzbraniało. Nad sobą i wokół siebie ciągle jeszcze czuła zapach śmierci. Śmierci, która ją brała w objęcia.

Wiedziała, że to koniec.

Zamknęła oczy i zobaczyła syna. Uśmiechał się, jak to mu się czasami zdarzało. Uśmiechał się do niej.

Czekał.

Miała nadzieję, że czeka.

Liczyła, że w końcu się spotkają. Gdzieś z dala od potwora, który zniszczył ich oboje.

Gdy ogarniał ją mrok, cały czas myślała o synu. Widziała go w czerwieni i czerni.

Czekał na nią.

## Rozdział 32

Louise starała się zetrzeć zmęczenie z oczu i zapomnieć o zdjęciach. Nie chciała myśleć o odręcznym piśmie na karteczce, którą znalazła. Ani o nadpalonych patykach, które ciągle jeszcze leżały w pierwotnym układzie na blacie w jej kuchni. Chciała je wyrzucić i nigdy więcej na nie nie patrzeć, coś ją jednak przed tym powstrzymało.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że dokładnie to samo powstrzymuje ją przed informowaniem o tym znalezisku Shipleya czy kogokolwiek innego z posterunku.

Nie chciała myśleć o tym, czy i jaki związek to ma z ich śledztwem. Przecież tego związku nie mogło być. To był tylko kolejny element gry. Przeszłość otwierała przed nią drzwi, przez które ona nie chciała przejść, ponieważ nie chciała poznać prawdy o swoim życiu.

Takie właśnie myśli zaprzętały jej umysł, gdy patrzyła na ciało leżące na ziemi. Kolejna ofiara. Zabita tej samej nocy, kiedy ktoś włamał się do niej do domu i zmusił ją do konfrontacji z przeszłością.

To była nowa norma. *Jej* nowa norma.

Louise poszła w ślady Shipleya, który założył niebieskie lateksowe rękawiczki. Te rękawiczki powoli stawały się elementem

jej zawodowej rutyny. Louise nie zamierzała bynajmniej niczego dotykać. Tu, na miejscu zdarzenia, zdążyła już wcześniej pozostawić wiele śladów, wiele różnych śladów.

„Oddychaj, zachowaj spokój. Dasz radę”.

Nagle z niechęcią pomyślała o tym głosie, który właśnie odzywał się w jej głowie. Dotychczas zawsze ją uspokajał i pomagał jej się skupić na bieżących zadaniach, gdy nagle dopadała ją chęć, aby wykrzyczeć wszystko, co czuła. Albo schować się gdzieś w kącie i pod kocem przeczekać, aż wszystko się skończy.

– Wygląda na to, że to wszystko wydarzyło się w tym jednym miejscu – powiedział Shipley, lekko szturchając Louise. – Dźgnął ją tu, na ścieżce, a potem, sądząc po śladach na szyi, udusił. Postarał się bardziej, niż musiał.

Znów wrócili na uliczkę, na której byli zaledwie parę dni wcześniej. Tym razem było jakoś inaczej, jak gdyby zebrały się nad nimi ciemne chmury, przez które wszystko jakby zszarzało. Atmosfera gęstniała też w związku z narastającym napięciem. Kolejni mieszkańcy podchodzili do nich i pytali, co się właściwie stało w ich dotychczas zupełnie bezpiecznej okolicy. Śmierć gdzieś po sąsiedzku zawsze skłania ludzi do głębszego zastanowienia nad własnym życiem.

Louise dobrze ich rozumiała.

Problem polegał na tym, że oni tu już nie mieli wracać.

Hazel Durham leżała na ziemi w dość dziwacznej pozie, w kałuży gęstej i ciemniej krwi. Jej głowa leżała na siwiejących włosach, w niektórych miejscach zlepionych wyciekającym z niej życiem. Na szyi dało się zauważyć wściekle czerwone i fioletowe ślady. Oczy miała otwarte i wpatrzone w górę, jak gdyby w swoich ostatnich chwilach spoglądała ku niebu. Niegdyś białe spodenki i koszulka, które miała na sobie, zostały podarte i poplamione, a rany pod zebrami dawały się zauważyć spod materiału.

– Chciał być blisko niej – odparła Louise, kucając i nachylając się nad Hazel Durham. – Być może chciał jej patrzeć w oczy, gdy umierała.

– Czyli to jest coś osobistego.

– Tak bym sądziła – powiedziała, prostując się i przenosząc wzrok na Shipleya.

Stali w namiocie rozstawionym przez techników wokół Hazel Durham. Zastłona pojawiła się na tyle późno, że całkiem sporo okolicznych mieszkańców miało okazję zobaczyć ciało leżące na ścieżce przed domem, w związku z czym na miejscu szybko zebrał się tłum gapiów. Postronni obserwatorzy zostali odsunięci na przyzwoitą odległość, ale Louise i tak czuła ich obecność. Bacznie przyglądali się ich pracy i wychwytywali fragmenty rozmów, nie szczędząc przy tym własnych ocen.

– W tym przypadku też użył noża, ale wydaje mi się, że bardziej się spieszył – ciągnęła. – Mimo wszystko uważam, że to ten sam sprawca.

– Co do tego chyba nie ma żadnych wątpliwości.

– Dlaczego ona? – zastanawiała się Louise, ostrożnie odsuwając się od ciała, aby na nic ważnego nie nadepnąć.

Ciało zostało przykryte, aby umożliwić technikom zebranie możliwie najpełniejszego materiału dowodowego, Louise dostrzegła jednak w rozlanej krwi odciski butów ratowników medycznych. Wiedziała, że Shipley ma takie same wyrzuty sumienia jak ona. Zupełnie jak gdyby w jakimkolwiek stopniu byli winni temu, że Hazel została zamordowana. Jak gdyby narazili ją na niebezpieczeństwo przez to, że w ogóle z nią rozmawiali.

– Nawet nam specjalnie dużo nie powiedziała. Nie powiedziała nam nic, co mogłoby go zaniepokoić.

– Może nie tylko o to chodzi – odparł Shipley, ruchem głowy wskazując na dom. Oczekiwał, że Louise pójdzie tam za nim. – Ktoś

chciał ją uciszyć. Siłą rzeczy na myśl przychodzi mi Rhys Durham. Nadal nie udało nam się go znaleźć, a on nagle wydaje się dobrze do tego wszystkiego pasować.

– Moim zdaniem to się nadal nie klei ze względu na daty – odparła Louise, gdy wchodzili do domu, przeciskając się wśród najróżniejszych policjantów w cywilu i techników kryminalistyki. Technicy kręcili się po całym domu, ale najwięcej ich pracowało w korytarzu i na ścieżce prowadzącej do bramy. Louise i Shipley wymienili spojrzenia, po czym wspieśli się po schodach z pełną świadomością, że muszą na to spojrzeć jeszcze raz. – On by był za młody.

– Może to był przedwcześnie rozwinięty seryjny morderca.

– Niektóre ciała znalezione w lesie pochodzą sprzed piętnastu lat. Historie o Kościuchu są jeszcze starsze. Naprawdę sądzisz, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, który zaczynał zabijać już w wieku niemowlęcym? Albo może jeszcze przed poczęciem?

Shipley dotarł na szczyt schodów. Zatrzymał się na ostatnim stopniu i odwrócił się do Louise.

– Pewnie nie, ale wtedy to przecież były tylko opowieści. Może to była tylko opowieść, dopóki ktoś nie postanowił tego zmienić?

Louise wzruszyła ramionami. Zaczekała, aż Shipley otworzy drzwi do pokoju Jona Durhama, po czym weszła za nim do środka. Wszystko wyglądało mniej więcej tak samo, jak poprzednim razem, kiedy tu byli. Zmieniło się tylko kilka drobiazgów, co jednak ponad wszelką wątpliwość świadczyło o tym, że ktoś tam od tej pory był. Łóżko nie było już starannie posłane. Narzuta była wygnieciona i jakby odsunięta nieco na bok. Zwisająca kołdra odsłoniła fragment białego prześcieradła, na którym dostrzegli jakieś ślady. Stojący przy łóżku odtwarzacz CD był włączony, a na wyświetlaczu mrugał na zielono numer ostatniego utworu. Ktoś najwyraźniej trącił też dłonią figurki stojące na półce, bo ich idealny porządek

został zaburzony. Obraz na ścianie pozostał w niezmiennym kształcie, mogli więc raz jeszcze mu się przyjrzeć. Shipley od razu do niego podszedł. Z głową przechyloną na bok wpatrywał się w rysunki i notatki, starając się wszystko przyswoić.

Louise bardziej zainteresował odtwarzacz. Dłonią okrytą rękawiczką uniosła płytę, która leżała na urządzeniu. Ten przedmiot został już oznakowany, odciski palców zdjęto i obfotografowano. Louise powątpiewała, żeby sprawca – ktokolwiek to był – miał jednak zostawić po sobie taki ślad.

„Ty już dobrze wiesz, co to było”.

– Zamknij się.

– Co takiego? – zapytał Shipley, na chwilę odwracając się przez ramię. – Mówiłaś coś?

– Nie, nic. To się zaczęło tutaj – powiedziała Louise, mówiąc teraz do Shipleya, który znów stał przodem do ściany. – Hazel pewnie spała, a on czekał, aż się obudzi.

– Mundurowi zaczęli od rozmowy z sąsiadami. Jeden z nich twierdził, że około wpół do piątej słyszał coś jakby głośną muzykę. To by pasowało do osi czasu wydarzeń. Jak ty to widzisz?

– Zwabił ją tu muzyką, a potem przypuścił atak.

– Tyle że tu nie ma żadnych śladów walki – powiedział Shipley, w końcu rozglądając się po pokoju. – Wiem, wiem, zabawki na półce zostały przewrócone, ale to jednak niewiele. Ktoś, kto walczy o życie, zrobiłby chyba trochę większy bałagan. To samo zresztą dotyczy korytarza na piętrze, schodów i przejścia do drzwi. Wszystko się rozegrało na zewnątrz.

– Pozwolił jej kawałek uciec... – powiedziała cicho Louise, wyobrażając sobie siebie na jej miejscu. Uciekała, żeby ocalić życie, a w tym czasie ktoś spokojnie na to patrzył, bo wiedział, że na nic się to nie zda. Być może nawet czerpał przyjemność z przekonania, że ona wierzy w pomyślność tych swoich wysiłków. – Wracam

ciągle do tej samej myśli – powiedziała Louise, zarzucając tok myślenia, który powoli ją przerastał. – Dlaczego ona? Co ona mogła jeszcze wiedzieć, czego nam nie powiedziała?

– Informacje znalezione w tym pokoju doprowadziły nas do lasu w Speke. Może to wystarczyło.

Louise przytaknęła bez przekonania. Nadal widziała w tym wątek, nad którym należało się nieco bardziej pochylić.

– Jakoś nie do końca w to wierzę.

– Musimy to miejsce przetrząsnąć centymetr po centymetrze – powiedział Shipley, ponownie odwracając się twarzą do ściany. – Może ona mu przeszkodziła, zanim zdążył to zniszczyć. Może wyciągnęła go na dwór. Może musiał wybiec za nią w pośpiechu, bo w przeciwnym razie mógłby wpaść. Po cóż innego miałby tu wracać?

– Pewnie masz rację – odparła Louise, stając obok niego i pozwalając sobie ponownie spojrzeć na tę ścianę.

Widziała teraz, co ten rysunek przedstawia: różne miejsca na terenie miasta, a ściślej rzecz biorąc na terenie całego hrabstwa Merseyside. Znajdowały się na nim zdjęcia wydrukowane z internetu i kilka wykonanych aparatem, zapewne przez Jona. Wkrótce mieli przetrząsać lasy w tych wszystkich punktach, ale na razie ciągle jeszcze gonili własny ogon.

Szukali kogoś, kto nie istniał.

– Pozostaje kwestia Rhysa Durhama – ciągnął Shipley, przesuając dłoń w rękawiczce wzdłuż jednego z wąsów odchodzących od diabelskiej maski. – To nasz główny podejrzany w związku z tymi wszystkimi morderstwami. Musimy go znaleźć. To ma zasadnicze znaczenie dla naszego dalszego udziału w tej sprawie. I dla naszej dalszej kariery.

Louise uświadomiła sobie, że to się właśnie najbardziej liczyło dla Shipleya. On chciał nadal w tej sprawie uczestniczyć. Dla niego to

było dochodzenie na dużą skalę, które on zainicjował i w którym koniecznie chciał brać udział do końca. W tym momencie Louise niemal zrobiło się go żal, ale szybko sobie wyobraziła, jak ona sama by się na to zapatrywała, gdyby nie chodziło o sprawę obciążoną tak gigantycznym bagażem osobistym.

Przytrzymałyby mu drzwi, żeby czym prędzej samej się przez nie prześlizgnąć.

– Tym się chyba nie musimy martwić – powiedziała, naśladowując kojący ton głosu, który teraz coraz częściej rozbrzmiewał w jej głowie. – Nie przysłaliby nas tutaj, gdyby nie planowali nas zatrzymać przy tej sprawie. Oni wiedzą, że dobry z ciebie detektyw. To już miałeś okazję pokazać.

Shiplej już miał coś powiedzieć, ale ostatecznie zamknął usta i ograniczył się do kontaktu wzrokowego. Niezależnie od tego wszystkiego, co się wokół nich działo, przestrzeń między nimi na chwilę wypełnił dreszcz emocji.

Żadne z nich ani słowem nie wspomniało o tym, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru w samochodzie.

„Gdyby on wiedział... Jemu możesz zaufać. Po prostu mu powiedz! On zrozumie”.

Potrząsnęła głową, aby odpędzić od siebie tę myśl. Doskonale wiedziała, jak on by zareagował. Z drugiej strony, ulżyłoby jej, gdyby mogła komuś opowiedzieć o tym, co znalazła u siebie w kuchni. Gdyby mogła podzielić się z kimś tym ciężarem, który teraz niosła sama.

W drzwiach pojawił się policjant w mundurze. Odchrząknął, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Odwrócili się jak na komendę, a Louise poczuła, że się rumieni. Rzuciła okiem na Shipleya i stwierdziła, że on również ma różowe policzki.

– Pomyślałem, że dam wam znać – powiedział policjant, z zażenowaniem przestępując z nogi na nogę. Louise



skonstatowała, że jest niepokojąco młody, po czym skrzywiła się w duchu sama do siebie. Nie mógł być od niej młodszy o więcej niż osiem albo dziewięć lat, a mimo to ona miała poczucie, że dzielą ich całe dekady. Zastanawiała się, czy on mógł mieć już wcześniej do czynienia z czymś takim. Ostatecznie uznała, że pewnie tak. Człowiek styka się ze śmiercią dość szybko po założeniu munduru.

– Wasz detektyw inspektor się pojawił. Czeka na was na dole.

Louise podziękowała chłopakowi, a gdy poszedł, zwróciła się do Shipleya:

– Lepiej chodźmy. Nie chcemy się przecież narazić nowemu szefowi.

Shipley uśmiechnął się do niej szelmowsko, ale tym razem ich oczy się już nie spotkały.

Wyszła z pokoju za nim, po schodach też schodziła w odległości kilku stopni.

Każdy jej krok był jak zdrada.

## Rozdział 33

Raz po raz splukiwał piekące dłonie bieżącą wodą. Nóż leżał na parapecie, na ostrzu przysychała krew. Promienie słońca wpadające przez szybę tonęły w chłonących je czerwonych i brunatnych plamach.

Przyłożył dłoń do ust i raz jeszcze ziewnął. Jego ciało przepęniało uczucie fizycznej pustki, jak gdyby coś wyssało z niego całą energię, którą jeszcze niedawno wyczuwał.

Czegoś takiego się nie spodziewał. Nie spodziewał się tego zmęczenia. Zabijanie go wyczerpywało.

Zaśmiał się sam do siebie, a jego głos odbił się echem od ścian niewielkiej łazienki. Niesamowite jest być czymś z całego serca nienawidzonym.

Przynajmniej był czymś.

Morderstwa są różne. Są te gwałtowane, popełniane pod wpływem chwili. Nieplanowane i natychmiastowe. Są też takie drobiazgowo przemyślane i zaplanowane. Wszystko zmierza do tego jednego momentu, w którym nóż zostaje zanurzony w szyi drugiego człowieka lub kiedy się gołymi rękami wydusza z niego życie. Można sobie tę scenę wyobrazić i obserwować sekunda po sekundzie, zupełnie jak gdyby już się rozgrywała. „To tylko mizerna namiastka prawdziwego doświadczenia”, pomyślał. Nie

ma jak naprawdę odebrać komuś życie.

Teraz już wie, jak to jest.

Stał się czymś. Czymś, czego ludzie się boją i o czym mówią z lękiem.

Gdy sięgał po mydło, żeby dalej szorować ręce, przed oczami stanął mu obraz martwych ciał. Zostawił je we wspólnym łóżku. Wiedział, że w końcu ktoś je znajdzie, ale mimo to na moment zastygł nad telefonem i zastanawiał się, czy by przypadkiem nie zadzwonić na policję, żeby przyspieszyć ten moment. Ostatecznie z tego zrezygnował. Doszedł do wniosku, że szybko ktoś za nimi zatęskni.

Byli teraz w jego głowie, niemal tak samo prawdziwi jak w rzeczywistości. Leżeli na łóżku, a on obserwował ich martwość. Zdumiało go, jak nieruchome mogą być ciała. Z podziwem obserwował, jak ludzie na jego oczach zamieniają się w puste skorupy.

Jak zmienia się powietrze wokół nich, jak nastaje pustka.

Gdy tak wpatrywał się w nich w ciemności, przez kilka chwil potrafił sobie nawet wyobrazić, jak dusze opuszczają ich ciała. Jak unoszą się ku górze, przenikają przez sufit i zacierają ku niebu. Jak dołączają do innych gwiazd na niebie i zajmują miejsce pośród nich.

W zasadzie nie wiedział, czy właśnie taki los by je spotkał. Nie miał konkretnej wiedzy na temat tej pary, mogli przecież zrobić w życiu mnóstwo złych rzeczy. Ich dusze mogły trafić w zupełnie inne miejsce.

Miał ochotę przejrzeć ich rzeczy, żeby lepiej poznać ich życie i dowiedzieć się, co ukrywają.

Z kranu znów popłynęła zimna woda. Zmywał nią dłonie, czekając, aż stanie się przejrzysta. Z początku szybko nabierała ciemnego koloru, ale z każdym myciem było lepiej. Teraz już nie

zostało nic. Ani śladu.

Przez jakiś czas obserwował parę, a potem otworzył szufladę przy łóżku, żeby przejrzeć jej zawartość. Włączył nocną lampkę, żeby lepiej widzieć. Nie znalazł tam nic, co by go zaskoczyło. Nie znalazł jednak również odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Oryginalnie zamknięta paczka kondomów, jakieś lekarstwa, kilka pocztówek i dziwne kawałki wstążki. Otworzył później jeszcze dwie inne szuflady, ale znalazł w nich mniej więcej to samo. Nie było tam nic, co by mu cokolwiek powiedziało na temat tej pary.

Dlaczego właściwie go to interesowało?

Sam dobrze wiedział, że powinien od razu uciekać. Pozostawanie w tym domu tylko wzmagало dziwne uczucia i myśli w jego głowie.

Wyszedł więc wkrótce potem, niczego innego już nie ruszając.

Oddalając się, nagle stwierdził, że ubranie go uwiera i uciska. Zupełnie jak gdyby zostało uszyte z myślą o kimś innym. Gdy znalazł się na ulicy, ruszył biegiem przed siebie, żeby zużyć resztki energii. Chciał się jej całej pozbyć. Chciał się pozbyć wszystkich tych myśli i uczuć, które nim targały. Wszystkich tych wspomnień. Wiedział, że musi podążać naprzód, biec przed siebie. Nie mógł pozwolić na to, aby przeszłość go dopadła. Nie mógł o tym za dużo myśleć, za dużo tego rozpamiętywać.

To by mu tylko zaszkodziło.

Zbyt dużo miał do zrobienia.

Teraz, w jasnym, jaskrawym świetle dnia, przez oczyma stanął mu obraz, którego nie potrafił od siebie odgonić. Jego dłonie zaciśnięte na jej szyi. Jej wybałuszone oczy, jej walka o oddech. Nóż wbity w szyję mężczyzny, krew tryskająca na dłonie ukryte w rękawiczkach. Tyle czasu poświęcił na szorowanie rąk, ale nadal ją na sobie czuł.

Potrzebował snu.

Potrzebował znów usłyszeć te słowa. Te słowa, które

rozbrzmiewały, gdy zamykał oczy i gdy wyteżał słuch. Te kojące, spokojne nuty.

Z jakiegoś jednak powodu tym razem atakowały go czerwień i czern. Dźwięki i zapachy. Spodziewał się czegoś innego. Zacisnął mokre dłonie w pięści i przetarł oczy. Chciał, żeby wrócił mrok, a tymczasem słyszał głosy. Ich błaganie o litość. Nagle odzywali się wszyscy naraz.

Wydawało mu się, że widzi ich twarze. Wszystkich po kolei. Żadnego z nich nie znał. Te wszystkie ciała teraz nagle zostały znalezione i odkopane. Takie zniszczone, takie porozkładane.

Rozmywały się, aż w końcu powstawała z nich jedna twarz.

Nie mógł się uwolnić od tych wszystkich myśli i uczuć. Zaczął się cały trząść.

## Rozdział 34

Gdy wyszli z domu i ruszyli w stronę czekającego na nich detektywa inspektora, powitało ich blade słońce, które wyłoniło się spomiędzy chmur. Zanim nowy szef przywołał ich do siebie, Louise zdążyła zdjąć kombinezon ochronny i rękawiczki, więc nie czuła się aż tak nienormalnie. Miała już wcześniej okazję poznać tego detektywa, ale dotąd nie pracowali razem.

„Oddychaj. Dasz radę”.

„IDŹ SOBIE!”.

– Jakieś przemyślenia? – zapytał Locke, jeszcze zanim zdążyli na dobre do niego podejść. Z informacji Louise wynikało, że na miejscach zbrodni bywał rzadko, a to oznaczało, że ten konkretny przypadek musiał zrobić na posterunku duże wrażenie. Na twarzy starszego człowieka dostrzegała wyraźne oznaki napięcia. Podejrzewała, że jeszcze tydzień wcześniej ich tam nie było.

– Wygląda na to, że wszedł tyłem, a potem zwabił ją do pokoju syna – powiedział Shipley oficjalnym tonem, stojąc przy tym niemal na baczność. – Tam doszło do pierwszej konfrontacji, a potem on gonił ją do miejsca, w którym została zabita, tu, na ścieżce przed domem.

– Gdzie jest jej syn?

Nawet jeśli Shipley się zirytował, że nikt nie zadał sobie trudu,

żeby zapoznać się z wynikami ich dotychczasowej pracy, to w tym momencie nie dał tego po sobie poznać.

– Nie żyje od roku. Popełnił samobójstwo. To jego notatki i zdjęcia dotyczące K naprowadziły na nas na trop tamtego lasu.

– Co to jest K?

Louise odwróciła się, żeby nie dostrzegł wyrazu frustracji na jej twarzy. Shipley zachował spokój i bez zbędnych przerw kontynuował wyjaśnienia.

– Kościuch, proszę pana. Z naszych ustaleń wynika, że właśnie pod niego podszywa się *człowiek*, którego szukamy. Tydzień temu kobieta imieniem Caroline trafiła przez niego do szpitala, a potem ślad zaprowadził nas tu, a następnie do lasu.

– No tak, jasne – powiedział Locke, kiwając głową. – Te wszystkie szczegóły śledztwa znam, tylko nie zdawałem sobie sprawy, że akurat ten aspekt sprawy traktujemy aż tak poważnie.

– Ależ nie, zapewniam, że nie traktujemy poważnie... – zaczął Shipley, płacząc się we własnych zeznaniach. Tego akurat Louise w nim nie lubiła. Rozumiała, że czuł potrzebę doprecyzowywania własnych deklaracji, ale przeszkadzało jej, że robi to tak, że podważa wartość własnej pracy.

– Powinniśmy traktować to poważnie – wtrąciła Louise, zanim on zdążył dokończyć myśl, ale też zanim sama zdążyła się do końca zastanowić nad tym, co zamierza powiedzieć. – To... to może być ważne.

– Dla mnie sprawa wygląda tak: mamy kilka przypadków morderstw, które zostały dokonane w długim okresie. Jednej osoby poszukujemy, ale ten człowiek nawet się jeszcze nie urodził, kiedy ludzie zaczęli opowiadać o tym konkretnym potworze czyhającym gdzieś pod łóżkiem. Nie marnujmy już czasu na te opowiadki o Kościuchu. To jasne, że ktoś tu z nami pogrywa. Czy od tej kobiety, która wylądowała w szpitalu, da się coś jeszcze

wyciągnąć?

Pytanie zostało skierowane do Louise, ale Shipley był szybszy.

– Wydawałoby się, że już raczej nic. Louise i ja rozmawialiśmy z nią kilka razy. Ona niewiele pamięta z tego okresu, kiedy była przetrzymywana. Przypuszczamy, że w pewnym momencie została czymś odurzona, ale pewności w tej sprawie jeszcze nie mamy. Można spróbować raz jeszcze, ale to będzie najpewniej tylko strata czasu.

– Jak ona się nazywa?

– Caroline Rickards.

– Rozumiem, że sprawdziliście jej przeszłość, tak standardowo?

– Niewiele udało nam się znaleźć – powiedział Shipley, potrząsając głową i spoglądając prosząco na Louise, która niestety nie potrafiła wyratować go z opresji.

– Sprawdźcie ją w systemie, ale tak porządnie. Z uwzględnieniem danych kryminalistycznych. Chcę dokładnie wiedzieć, kto to jest. Chcę się przekonać, czy powiedziała nam prawdę.

– Tak jest.

– Wszystko tu nas nakierowuje na Rhysa Durhama, nie na jakiegoś ducha. Durham to zupełnie prawdziwy, żywy podejrzany. Od tej pory macie się zajmować tylko i wyłącznie poszukiwaniami tego człowieka, jasne?

Shipley zawahał się na krótką chwilę, ale to wystarczyło, żeby Locke z dezaprobatą pokiwał głową. Na odchodnym powiedział jeszcze:

– Powiem moim ludziom, żeby raz jeszcze szczegółowo przeanalizowali wasze ustalenia. Możemy chyba bezpiecznie założyć, że mamy do czynienia z eskalacją. Miejmy nadzieję, że zostawił tu dla techników jakiś prezent. Przydałby nam się jakiś trop.

– Tak jest – powtórzył Shipley. Louise usłyszała w jego głosie



lekką szorstkość, na którą Locke chyba nie zwrócił uwagi. – Porozmawiamy z sąsiadami. Zabezpieczymy też cały dostępny materiał z monitoringu.

Locke już nic nie powiedział, po prostu odszedł bez słowa. Louise spojrzała na Shipleya, unosząc brwi w geście udawanego zaskoczenia.

– Jaki miły facet!

– Robi, co do niego należy – odparł wyraźnie wzburzony Shipley, splatając dłonie. – Jeśli chcemy tu dalej pracować, będziemy się musieli przyzwyczaić do takich rzeczy.

Louise zdawała sobie sprawę, że jej wewnętrzny niepokój z każdą chwilą narasta. Głos w jej głowie przemawiał teraz tak absurdalnie kojącym tonem, że po prostu przestała go słuchać.

To jej wina, pomyślała. Ta martwa kobieta, ci wszyscy pozostali. To jej wina.

To zaś oznaczało, że powinna coś z tym zrobić, a nie tylko stać i patrzeć, jak ci wszyscy faceci prężą mięśnie w walce o wyższość nad pozostałymi.

– Może weź jednego z mundurowych i idźcie porozmawiać z sąsiadami? – zaproponowała Louise, gdy w końcu podjęła ostateczną decyzję. – Ja wracam na posterunek i zacznę tropić tego całego Rhysa Durhama. Żebyśmy źle nie wypadli.

Shipley przez chwilę jej się przyglądał, a potem przytaknął głową.

– Dobra, niech będzie. Fajny pomysł. Nie chcemy zostać z tyłu. To w takim razie jedź i się tym zajmij.

– Dobra, jasne – odparła Louise z uśmiechem, zupełnie jak gdyby to Shipley wpadł na ten pomysł. – Odezwę się później.

Ruszyła przed siebie. Wyjęła z kieszeni kluczyki i otworzyła zamek pilotem, ani razu nie oglądając się za siebie. Usiadła za kierownicą, na której położyła na chwilę głowę, żeby zebrać myśli. Zamknęła oczy i usłyszała uparty głos:

„Musisz powiedzieć!”.

Najbardziej na świecie chciała spać, zostawić to wszystko za sobą i nigdy więcej do tego nie wracać. Tak bardzo pragnęła wrócić do swojego nudnego życia, w którym o niczym szczególnym nie musiała myśleć.

„Wrócił!”.

Louise aż podskoczyła na siedzeniu. Pukanie w szybę niemal ją ogłuszyło.

– Zmiana planów – rzucił Shipley, krzycząc do niej przez zamknięte okno. – Mamy następne miejsce zbrodni.

Pół godziny później Louise zatrzymała się przed bliźniakiem, na ulicy bardzo podobnej do tej, na której byli nieco wcześniej. Shipley dotarł na miejsce dobre dziesięć minut przed nią. Zamiast jechać z nią, wybrał podróż w towarzystwie Locke’a. Louise przypuszczała, że postanowił skorzystać z okazji i spędzić trochę czasu z nowym szefem.

Na miejscu stały już furgonetki techników. Louise pomyślała, że dzisiaj się będą musieli narobić. Tutaj tłum gapiów był jakby mniejszy, średnia wieku też niższa. W tej części miasta mieszkali ludzie raczej lepiej wykształceni. Większość z nich ciągle jeszcze była w pracy, część też zapewne hołdowała czołowej zasadzie dominującej tu klasy średniej: „Nie wtrącaj się, to nie twoja sprawa”.

Louise zastanawiała się nad tym, wysiadając z samochodu i zmierzając w kierunku domu. Wyjęła identyfikator, żeby pokazać go policjantowi pilnującemu wejścia. Shipley czekał na nią przy drzwiach frontowych. Podeszła do niego, a on rzucił jej badawcze spojrzenie, a potem zaczął gadać jak najęty.

– Następne zabójstwo – powiedział, potrząsając głową z niedowierzaniem. – A właściwie dwa. Nasz typ miał dzisiaj

pracowitą noc.

– O co chodzi? – zapytała Louise, od razu wyczuwając, że coś jest nie tak. – Nie jesteś pewien, czy to on?

– Ależ nie, to zdecydowanie on – powiedział Shipley, kiwając głową. Louise zauważyła, że coś go niesamowicie zafascynowało i że nie chce się z tym zdradzać, ale nie za bardzo mu to idzie. – Zapisał na ścianie swoje imię ich krwią. To on.

– Para? We własnym domu?

– Nie tylko w domu, ale nawet w łóżku. Wygląda na to, że nie byli w stanie za bardzo stawiać oporu. Facet został dźgnięty w szyję, a kobietę ugodził w serce. Ogólnie krwawa jatka z tego wyszła. Krew jest wszędzie.

Louise potrząsnęła głową, starając się przyswoić te informacje.

– I to się stało ubiegłej nocy?

– Tak, ostatni raz widziano ich około szóstej wieczorem. Dzisiaj rano żadne z nich nie pojawiło się w robocie. Okazuje się, że ona kogoś podwoziła do pracy i zawsze można było na nią liczyć, a jeśli coś jej wypadło, to informowała. Ten ktoś, kogo podwoziła, się zaniepokoił i skontaktował się z jej matką. Matka tu przyszła parę godzin temu i ich znalazła. Przeżyła szok, pogotowie zabrało ją do szpitala.

– Coś mi tu nie pasuje, Paul – zaczęła Louise, usiłując pomóc mu dostrzec to, co dla niej było już jasne. – Hazel Durham to rozumiem, zwłaszcza jeśli to był Rhys. Tam mieliśmy do czynienia z jakimś wątkiem osobistym. Ale to... Kim są ci ludzie? Czy oni są w jakikolwiek sposób powiązani z naszą sprawą?

Shipley ciężko westchnął i oparł dłonie na biodrach, lekko rozczapierzając przy tym palce.

– A jakie to ma znaczenie? Czy naprawdę warto analizować poczynania tego wariata przez pryzmat logiki? Ważne jest to, że mamy dwa kolejne zabójstwa, kolejne miejsce zbrodni, więc pewnie

też więcej błędów. On się rozkręca, Louise, a to oznacza, że to finał jego działalności.

Louise nic nie powiedziała – niech sobie Shipley myśli, że nadal trzyma rękę na pulsie – coś jednak nie dawało jej spokoju.

To poczucie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy pozwolono im zajrzeć do sypialni. Łóżko zalane krwią. Ściany nad łóżkiem – obryzgane i ociekające na czerwono. Szuflady leżały na podłodze. Ktoś je wyciągnął z szafki i rozsypał ich zawartość. W każdym innym przypadku uznaliby, że to włamanie z komplikacjami, Louise doskonale zdawała sobie jednak sprawę, że tym razem o niczym takim nie może być mowy.

– Wierzyliśmy, że on nam się przygląda, kiedy śpimy – usłyszała głos ze schodów. Starła się nie zwracać na to uwagi, ale w pewnym momencie stwierdziła, że jej umysł chyba usiłuje się oderwać od tej sceny, którą miała przed sobą.

– Mój brat wyciął mi taki numer, że przez tydzień nie mogłem spać. Schował się szafie, która stała w nogach mojego łóżka, i stamtąd na mnie wyskoczył. Leżałem już wtedy w łóżku od jakiejś półtorej godziny, a on wyskoczył i zaczął krzyczeć, że jest Kościuchem i że mnie dopadnie.

– Wszyscy znali tę historię.

– To w sumie była taka nasza miejscowa legenda. Każdy coś potrafił o nim powiedzieć od siebie. Myślisz, że on wrócił?

– Okaze się, że to jakiś czubek, któremu się *wydaje*, że jest czymś innym, niż jest. I tyle. Tak czy owak, dość to wszystko przerażające.

Louise z dezaprobatą pokiwała głową w stronę uczestników tej rozmowy. Zastanawiała się, czy wszyscy inni też odnoszą się do tej sprawy z takim lekceważeniem.

„Wiesz przecież, że on nie żyje. To nie może być on”.

Odsunęła się od drzwi, czując narastający w niej gniew. Odwróciła głowę w stronę mundurowych, których rozmowie się

przed chwilą przysłuchiwała. Stali na schodach, nonszalancko opierając się o ścianę.

– Dziwne tylko, że sobie nie wybrał jakiegoś bardziej atrakcyjnego celu. Widziałeś ją?

Louise wzdrygnęła się na te słowa, a jeszcze bardziej na powszechne rozbawienie, które wywołały.

– Hej, wy dwaj, znajdźcie sobie jakieś zajęcie. Idźcie może postać tam.

– To teraz pani nam wydaje rozkazy? – zapytał jeden z nich, rzucając koledze kpiące spojrzenie. – Pilnujemy, żeby nikt nie wchodził na górę. Zabezpieczamy miejsce zbrodni. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu?

Louise rozsunęła usta w lekkim uśmiechu, po czym podeszła do schodów. Pokonała kilka stopni i stanęła tuż nad policjantem, który właśnie się do niej odezwał. Ręce aż jej się trzęsły, bo na jego twarzy malował się ciągle ten sam głupawy uśmieszek.

– Proszę posłuchać... – tyle zdążył powiedzieć, zanim ona chwyciła go za ramię i zepchnęła w dół po schodach.

– Hej, co to ma być!

– Złazić tam, już! – powiedziała Louise, mocniej wbijając mu palec w ramię. Drugi policjant zdążył już zejść ze schodów. – Drugi raz nie będę grzecznie prosić.

Znów go popchnęła. Widziała, że się potknął i o mało co nie spadł z pozostałych stopni. Chwyciła go za ramię i uśmiechnęła się, widząc ból na jego twarzy.

– Louise?

Shipley stał u szczytu schodów i karcił ją spojrzeniem. Powoli puściła ramię policjanta i pozwoliła mu odejść. Pokonał pozostałych kilka stopni, niemal zsuwając się ze schodów. Ciągle jeszcze patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ja tylko... – nie potrafiła dokończyć tego zdania. Sama się

zastanawiała, jak właściwie do tego doszło. – Przepraszam.

Shipley nic nie powiedział. Stał i czekał, aż ona odprowadzi wzrokiem dwóch mężczyzn kierujących się do wyjścia, a potem skieruje kroki na górę.

– Wydurniali się...

Shipley spojrzał na nią znacząco i lekko pokiwał głową, więc postanowiła nic już więcej nie mówić. Potem odwrócił się i zniknął jej z oczu. Została na schodach, oparła plecy o ścianę. Zamknęła oczy i starała się uspokoić oddech.

## Rozdział 35

Czuł krew na swoich ubraniach i na ciele.

Nie mógł nic na to poradzić. Czasu nie dało się zawrócić.

Był Kościuchem.

Nie chciał nim być.

Kilka dni temu wydawało mu się, że to słuszna decyzja. Zrobi coś innego. Odmieni swoje życie, żeby już nie było takie zwyczajne. Nie będzie już normalny. To go ostatecznie doprowadziło do tamtej chwili, która się wydarzyła ubiegłej nocy. Teraz jednak czuł, że postąpił źle.

Teraz przed oczami miał już tylko czerwień krwi, a gdziekolwiek poszedł, wszędzie czuł zapach śmierci.

To nie tak miało być.

Uderzył pięścią w ścianę, wzdłuż której właśnie szedł. Ból promieniujący od nadgarstka w górę ramienia uznał za przyjemny. Facet, który szedł obok, spojrzał na niego z niepokojem, ale opuścił wzrok, gdy ich oczy się spotkały. Tamten facet był bezpieczny. Nie miał tych trosk co on. Nie musiał żyć sam ze sobą.

Był niewinny.

Wrócił do lasu, licząc na to, że uda mu się tam znaleźć jakąś odpowiedź. Było już jednak za późno. Teraz to było miejsce zbrodni. Ciała zostały wydobyte z ziemi, dowody znalezione.

A głos... Głos zniknął.

To go nie miało tak dręczyć.

Przestał chodzić w tę i z powrotem. Obrął konkretny kierunek, postanowił iść w stronę centrum miasta. Ruszył przed siebie. Mijał magazyny, które stały w tych okolicach jeden przy drugim wzdłuż rzeki, opuszczone i oczekujące na wyburzenie lub remont w ramach jednego z licznych planów przebudowy tego terenu. W oddali dostrzegł wysokie budynki, które jak wiele innych rzeczy przypominały mu o życiu, którego się wyrzekł. O normalności i szarzyźnie.

Myślał teraz tylko o jednym miejscu.

Nie miał już wątpliwości, że go złapią. Nie był w stanie tego tłamsić w sobie. Nie potrafił żyć, mając przed oczami tych dwoje. Te odgłosy, które wydawali. Ten wyraz na ich twarzach. Ten szok i to zaskoczenie, że ktoś wtargnął do ich domu, do ich sypialni. Zaraz potem nóż wbijał się już w ich gorące ciała.

Ten odgłos będzie go prześladować do końca jego dnia.

Żałował, że brakuje mu odwagi, aby wejść na szczyt jednego z tych budynków, podejść do krawędzi i rzucić się w dół.

Dobrze wiedział, że jest skończonym tchórzem. Że nigdy w życiu nie zdobyłby się na to, żeby ze sobą skończyć.

Śmierć byłaby dla niego zbyt wielką łaską.

Szedł przed siebie, przyspieszając kroku. Na wspomnienie ubiegłej nocy po jego policzku spłynęła pojedyncza łza. Powietrze wokół niego drżało, bo znów dopadało go przemożne zmęczenie. Nie mógł mu się poddawać, nawet jeśli momentami miał ochotę po prostu zwinąć się w kłębek na ziemi, przyłożyć policzek do chodnika i zamknąć oczy.

Świat był czarny, zły i martwy.

Zabił najpierw mężczyznę, bo uznał, że to będzie dobra decyzja. Teraz już rozumiał, co go do tego skłoniło. Co chciał zrobić



z kobietą. Coś, o czym w ogóle nie powinien pomyśleć. Nie chciał, żeby mężczyzna musiał na to patrzeć.

Kościuch szedł dalej przed siebie.

Był teraz Nim, przez co czuł na barkach ogromny ciężar. Nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że on nosi takie brzemie.

Do centrum dotarł w ciągu zaledwie kilku minut. Minął Liver Building, z którego spoglądały w jego kierunku niewidzące ptasie oczy. Oczyma wyobraźni widział, jak skrzeczą na niego prześmiewczo, jak na coś nieczystego, zbrukanego. Skierował się w stronę centrum handlowego i po chwili zniknął w tłumie.

Nienawidził ich wszystkich. Oni sobie wszyscy nie zdawali sprawy, jak to jest słyszeć krzyki oczekujących na śmierć. Nie będą musieli do końca życia patrzeć na te twarze.

Minął pomnik królowej Wiktorii stojący na placu przed sądem. Rzucił okiem na budynek, doskonale wiedząc, że wkrótce przyjdzie mu się tu pojawić. Szedł dalej drogą, mijając duży sklep przy wejściu do centrum handlowego Liverpool One. Wydawało mu się, że przechodnie patrzą na niego z odrazą, jak gdyby wiedzieli, czego się dopuścił. Jak wielkie zło uczynił. Jaki jest zdeprawowany. Jaki skalany. Jaki niebezpieczny.

Zmierzał do punktu docelowego, po drodze przechodząc obok kilku sklepów z gramami, paru restauracji, jakiegoś dyskontu i jednego czy dwóch salonów optycznych, które zlewały mu się wszystkie w jedną całość.

Ludzie w pośpiechu dokądś zmierzali, z jednej strony ulicy mijając bank, z drugiej zaś mcdonalda. Sklep odzieżowy i jakiś pusty lokal. Poczł zapach świeżych pączków dobiegający z zielonej furgonetki zaparkowanej zaledwie kilka metrów od niego, zobaczył tłumy wylewające się na ulicę z pubu naprzeciwko. To właśnie tędy płynęli do miasta ludzie wyruszający na zakupy. Z dala od jezdni, z dala od ruchu samochodowego. Ot, zwykłe ścieżki zwykłych

zakupowiczów.

Kościuch się zatrzymał. Rzucił się na kolana zaledwie kilka kroków od jakiegoś człowieka w okropnym, najpewniej podrabianym kostiumie Myszki Miki, który właśnie podawał balon jakiemuś dziwnemu dzieciakowi.

– Wszystko w porządku?

– Potknął się pan?

Udawał, że tego wszystkiego nie słyszy. Dał sobie kilka sekund na odpoczynek. Wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Z kieszeni kurtki wyjął nóż i uniósł go w powietrze. W tym momencie stało już przed nim kilka zaniepokojonych osób, ale on zdawał się nie słyszeć ich pytań.

– Kościuch nadchodzi. Kościuch prawdziwy. Nieposkromiony. Na nic wrażliwy.

Głos mu się łamał w trakcie śpiewania, ale każde słowo wybrzmiewało głośniejsz niż poprzednie, aż w końcu zaczął wrzeszczeć.

– Płacz nie pomoże. Porwie cię w złości. Pokroi ciało. Zachowaj kości!

Ludzie nadal przechodzili obok, rzucając mu tylko zdumione spojrzenie.

– Jestem Kościuchem. Tu jestem. Zabiłem kogoś. Zabiłem tej nocy dwoje ludzi w ich własnym łóżku. Jestem Kościuchem.

Ktoś gdzieś z tyłu klasnął w dłonie, ktoś inny się roześmiał. Parę osób spojrzało mu w oczy, ale potem szybko odwróciło wzrok. On zaś czekał, aż ktoś go spróbuje powstrzymać.

– Jestem tu. Czekam. Znów to zrobię, jeśli nikt mnie nie powstrzyma.

– ... jakiś świr się urwał z Ashworth.

– Może trzeba by kogoś wezwać?

– Tam jest policjant, on się tym zajmie.

Czekał, rozglądając się na prawo i lewo. Wypatrywał kogoś, kto by próbował do niego podejść.

– Jestem zabójcą – spróbował ponownie, głosem ochrypłym od całego tego krzyku. – Znów to zrobię, a potem jeszcze raz. Podobało mi się. Patrzyłem, jak umierają. Zawsze mi się to podoba.

Zobaczył zbliżającą się postać w mundurze, która nie spuszczając z niego wzroku, meldowała coś do krótkofalówki przypiętej do piersi. Uniósł wyżej nóż.

– Zabiłem ich tym nożem. Ciągle jest na nim ich krew. Czuć ją.

Policjant przyspieszył kroku. Kościuch się roześmiał i znów zaczął śpiewać swoją piosenkę.

## Rozdział 36

– Powiesz mi, co to miało być?

Louise stała oparta o samochód, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Naprawdę chciała móc mu to wyjaśnić.

– Nie możemy sobie na to teraz pozwolić.

– Daj już spokój, dobra? – powiedziała, chcąc uniknąć dłuższego kazania. – Wiem, że bardzo chciałbyś się znaleźć w gronie najlepszych psów wydziału kryminalnego, ale na razie jeszcze ty i ja niczym się od siebie nie różnimy.

– Dobra, uspokój się.

– Nie mów mi, że mam się uspokoić – powiedziała Louise, znów czując wzbierający w niej gniew. – Jestem całkowicie spokojna.

– Dobra, niech będzie.

Wzięła kilka głębokich wdechów i odczekała chwilę, a potem powiedziała:

– Słuchaj, przepraszam cię. Oni po prostu stali zupełnie beczynnie. Zupełnie jak gdyby to po nich spływało, że trzy kroki dalej na łóżku leżą dwa trupy. Należało im się.

Shipley uniósł rękę, wewnątrz dłoni kierując w jej stronę, ale ostatecznie nic nie powiedział. Louise miała coś dodać, ale przeszkodził jej dźwięk jego telefonu.

– Naprawdę? Gdzie?... Zaraz tam będziemy.

Shiplej schował telefon i spojrział na Louise z uśmiechem na twarzy.

– Nie uwierzysz...

– To jakiś szajbus – powiedział Locke, gdy Louise znów skupiła uwagę na rozmowie toczącej się już od dobrych kilku minut. Wcześniej uczestniczyła w niej tylko ciałem. Postanowiła się nie wtrącać i dać się wykazać Shipleyowi. Miała nadzieję, że zdaje sobie sprawę, z czym mają do czynienia. Że wydział kryminalny zwiera szyki i próbuje usunąć sobie z drogi dwoje nowych, którzy im zawadzają.

– Chciałbym, żebyście tam pojechali przyjąć jego zeznania, upewnić się, że nie miał z tą sprawą do czynienia, a potem go wysłać, gdzie trzeba.

– Czy to aby na pewno nie będzie tylko strata czasu? – zapytał Shipley, w ten sposób niemal błagając detektywa inspektora, aby go nie odrywał od bieżących zadań tylko po to, aby pozyskać zeznania od jakiegoś dziwaka, który postanowił przyznać się do zbrodni na sto procent popełnionej przez kogoś innego. Entuzjazm Shipleya opadł niemal od razu, gdy tylko poznał szczegóły zatrzymania mężczyzny w centrum miasta.

– Być może, ale ostrożności nigdy za wiele – odparł Locke, spoglądając na zegarek po raz piąty podczas tej wymiany zdań. – Słuchajcie, jedźcie i to załatwcie, to będziemy wiedzieć, a potem zobaczymy, na czym stoimy. Spodziewam się, że ta jego historyjka dość szybko się posypie. Za piętnaście minut zaczyna się duża konferencja prasowa. Zanim wyjdę do dziennikarzy, muszę zebrać informacje od reszty zespołu.

Shiplej odczekał, aż Locke zniknie mu z oczu, a potem powiedział do Louise:

– Cholerni idioci. My im to przynosimy na srebrnej tacy, a oni nas

spychają na boczny tor.

– Nie do końca – powiedziała Louise. Miała ochotę dotknąć jego ramienia, żeby go pocieszyć. On nie znał całej prawdy. Nie wiedział, że to wszystko na nic. Próbować osiągnąć coś, co się znajdowało poza jego zasięgiem. Chciał się znaleźć gdzieś, gdzie tak naprawdę nie było dla niego miejsca. – Słuchaj, pojedziemy tam i załatwimy to w godzinkę. Nawet nie zauważą, że nas nie było.

– Już ja wiem, jak to jest z wariatami. Będziemy musieli tam siedzieć i godzinami słuchać jego bredni.

– Trzymał w ręku nóż i twierdził, że to jest narzędzie zbrodni – powiedziała Louise, czytając notatkę z aresztowania. – Trafił już do analizy, ale na wyniki trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

– Spodziewałbym się, że to będzie jego własna krew. To bez sensu, to tylko strata czasu. Powinniśmy być tutaj, w centrum wydarzeń. Powinniśmy szukać tego całego Rhysa Durhama, rozmawiać z tymi wszystkimi ludźmi...

Przerwał w pół zdania. Louise domyślała się, że gniew i frustracja w końcu wzięły górę.

„Gdyby tylko wiedział...”.

– Jedźmy, będziemy to mieli z głowy – powiedziała Louise, lekko klepiąc go po ramieniu. – Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej będzie pan mógł tu wrócić, panie superdetektywie.

Shipley uśmiechnął się gorzko, a Louise przyjęła ten gest z życzliwością. Zaraz potem ruszyli w drogę.

Przeszli przez korytarz na parterze. Na trasie z celi do pokoju przesłuchań spotkali policjantów prowadzących zatrzymanego. Louise rzuciła na niego okiem, ale nie zrobił na niej wrażenia.

Jeszcze słabiej wypadł w jej oczach, gdy usiadł po drugiej stronie stołu.

Ona zajęła się dyktafonem, a Shipley załatwiał formalności. Przedstawił zatrzymanemu jego prawa, jego prawne możliwości.

Upewnił się raz jeszcze, że zatrzymany nie domaga się obecności adwokata. Dla Louise ta decyzja nie była zaskoczeniem. Ludzie zabiegający o uwagę zwykle nie chcą, żebym ktoś im utrudniał życie, usiłując bronić ich interesu. Zastanawiała się, czy oni również nie powinni przestać się tym przejmować, ale doszła do wniosku, że to nie jest dobry moment na poruszanie tego tematu.

Mężczyzna był młody. To było dość oczywiste, wystarczyło na niego spojrzeć. Zdecydowanie zbyt młody, aby być sprawcą, którego poszukiwali. Przypuszczała, że Shipley też już to stwierdził, mimo że podczas zatrzymania mężczyzna nie podał funkcjonariuszom żadnych danych poza swoim imieniem i nazwiskiem. Na jego głowie panował chaos, włosy miał zmierzwione i rozczochrane. Louise podejrzewała, że nie ma to żadnego związku z kilkoma godzinami spędzonymi na cienkim materacu w areszcie i że on na co dzień tak wygląda.

Ubrania zostały mu zabrane i wysłane do tego samego laboratorium, do którego trafił nóż. Louise wypatrywała na jego ciele śladów, które mogłyby świadczyć o tym, że gdzieś nacinał ciało, żeby poplamić krwią czarną koszulkę i džinsy.

Miał wyraziste kości policzkowe, szpiczaste i mocno wystające. Włosy na twarzy rosły w dość przypadkowych miejscach, zupełnie jak u nastolatka. Louise spojrzała mu w oczy i stwierdziła, że pewnie jest trochę starszy, niż jej się początkowo wydawało. Ostatecznie doszła jednak do wniosku, że ma najwyżej dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat.

– Proszę się przedstawić na potrzeby nagrania – powiedział Shipley, gdy Louise skinęła głową.

– Kościuch.

Louise usłyszała niepewność w jego głosie, zupełnie jak gdyby przygotowywał się na ten moment, ale w ostatniej chwili stracił rezon.

– A takie prawdziwe imię i nazwisko?

Chłopak zawahał się. Najwyraźniej nie spodziewał się następnego pytania:

– Nazywam się Steven. Steven Harris.

– A dlaczego mówisz o sobie Kościuch?

– Bo nim jestem. Bo się nim stałem.

Louise i Shipley wymienili porozumiewawcze spojrzenie. On wywrócił oczami.

– I jesteś tu, bo się chcesz przyznać do morderstwa.

– Nie do jednego morderstwa – powiedział Steven, który nagle wyraźnie się ożywił. – Do wielu. Ja je wszystkie popełniłem. Taka już moja natura. Zabijam ludzi.

– To może zacznijmy od początku – powiedziała spokojnie Louise. Próbowwała utrzymać kontakt wzrokowy ze Stevenem, ale ten nagle zaczął się niecierpliwie wiercić. – Dlaczego dzisiaj zdecydowałeś się wyjść na ulicę i wygłosić to *wyznanie winy*?

– Bo nie mogłem się pozbyć ich widoku.

– Czyjego widoku?

– Tych dwojga z sypialni. Mężczyzny i kobiety. Oni ciągle do mnie mówili. Powtarzali, że muszę się przyznać do tego, co zrobiłem. To była najdłuższa noc mojego życia.

– A co to za ludzie, Steven?

– Nazywam się Kościuch – powiedział Steven, a jego głos odbił się echem od ścian. Louise poczuła, że siedzący obok niej Shipley lekko się spał. Odsunął też nieco krzesło od stołu. – To nim teraz jestem.

– Dobrze, dobrze – powiedziała Louise, wyciągając przed siebie dłoń. – To może nam wyjaśnisz, dlaczego ci się wydaje, że to ty to zrobiłeś.

Steven odpowiedział jej uśmiechem. Zaprezentował przy tym oba rzędy zębów, miejscami pociemniałych od plam lub szerniałych. – Bo to ja to zrobiłem. Ja to wszystko zrobiłem.



– To strata czasu – wyszeptał Shipley na tyle głośno, że Louise mogła go usłyszeć, ale jednocześnie licząc na to, że urządzenie nagrywające tej uwagi nie zarejestruje.

– Powiedz nam, co dokładnie zrobiłeś – kontynuowała Louise, puszczając uwagę Shipleya mimo uszu.

– Czekałem, a potem zrobiłem dokładnie to, co miałem zrobić – powiedział Steven, teraz już spokojnym tonem, zupełnie jak gdyby właśnie sobie wszystko przypominał. – Stałem w ogrodzie, a potem otworzyłem drzwi i wszedłem. Poszedłem na górę. Leżeli w łóżku. Najpierw zabiłem jego. A potem ją.

Louise sięgnęła po raport z miejsca zbrodni i wczytywała się w niego w ciszy. Oficjalnie niewiele było jeszcze wiadomo o tym, co tam się wydarzyło, ale jej wystarczył wstępny raport. Poza tym dość dokładnie pamiętała też to, co sama miała okazję zobaczyć. Minęło przecież tylko kilka godzin, chociaż wydarzeń tego dnia spokojnie wystarczyłoby na cały tydzień.

– Powiedz mi coś więcej o sypialni. Co tam widziałeś?

– Było podwójne łóżko, na nim kołdra w kwiaty. Naprzeciwko szafa wnękowa. Z obu stron stały nocne stoliki. On miał na swoim budzik, ona lampkę i telefon. Dywan był jakiś taki beżowy. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, gdy mu wbijałem nóż w szyję. Za to się zsikał. To było czuć.

Shipley nachylił się do przodu i słuchał teraz uważnie razem z Louise, coraz szerzej otwierając oczy. Jeśli Steven zmyślał, to naprawdę dobrze mu szło... Louise podsunęła mu raport, żeby mógł się zapoznać ze szczegółami. Na razie Steven Harris niczego nie pominął.

– Podpisałem się na ścianie ich krwią.

Mieli swoje potwierdzenie. Shipley siedział teraz wyprostowany jak struna, powoli wydychając powietrze. Louise intensywnie się zastanawiała, z czym właściwie mają do czynienia.

„Morderca naśladowca?”.

– Czyli jesteś Kościuchem – powiedział Shipley, spoglądając na raport, a potem na Stevena. – Poprzedniej nocy zabiłeś dwoje ludzi w ich własnym łóżku. A co zrobiłeś potem?

– Przez chwilę na nich patrzyłem – powiedział, ściągając rękaw za dużej bluzy na dłoń i przykładając go do policzka. – Nie wiem, jak długo to trwało. Długo. Za długo. Pewnie to właśnie w tym momencie popełniłem błąd. Wróciłem do lasu, ale tam było zbyt niespokojnie. Potem już szedłem przed siebie. No i doszedłem do miasta. Chciałem, żeby to się wszystko skończyło. Nie mogłem się uwolnić od widoku ich twarzy.

– Po wszystkim poszedłeś prosto do lasu – powtórzył Shipley, znów opadając na oparcie krzesła, jak gdyby miał już tego wszystkiego dość. – Nie udałeś się na południe miasta, żeby tam zrobić coś jeszcze?

Steven pokiwał głową.

– Zabiłem tych ludzi. Przy innych też byłem. Te ciała, które znaleźliście w okolicach Speke. Ja wiedziałem, że one tam są. To ja je tam zakopałem.

– Wszystkie? – zapytała Louise, której to wszystko zaczynało się układać w spójną całość. – Ile masz lat?

– Kościuch jest tak stary jak to miasto...

– Jasne, jasne, ale ile ty konkretnie masz lat? – zapytała, aby nie zaczął jej raczyć treścią legendy. – Kiedy się urodziłeś?

– Dwadzieścia jeden – odparł Steven, jakby z lekkim przygnębieniem. Być może o swoim prawdziwym życiu nie bardzo miał ochotę mówić. – Ale czuję się znacznie starszy.

– Czyli twierdzisz, że zabijałeś ludzi i zakopywałeś ich ciała w lesie, gdy miałeś pięć czy sześć lat?

Steven już miał się odezwać, ale ostatecznie zamknął usta i nic nie powiedział.

– Powiedz mi coś więcej o tych ludziach, których zabiłeś w tamtym domu. Na jakiej ulicy to było, co tam widziałeś?

– Powiedziałem wam przecież, że tam byłem. I to zrobiłem. I zrobię to znowu. I znowu. Chyba że już teraz wsadzicie mnie do więzienia. Zbadajcie nóż. Jeszcze jest na nim ich krew. To jest narzędzie zbrodni.

– Co zrobiłeś z kobietą, Steven? – zapytała Louise, nachylając się bliżej w kierunku młodego mężczyzny. – Opowiedz mi o tym.

Steven lekko się poruszył.

– Nie chcę o tym mówić.

– Przeczytałeś o ludziach znalezionych w lesie, co? Trochę ci się poplątało, uznałeś, że możesz zrobić coś, co chciałeś zrobić od dłuższego czasu, a potem zwalić to na kogoś innego. Taka jest prawda, co? Nie masz nic wspólnego z tymi ciałami w lesie. Zgadza się?

– Ależ mam – odparł Steven, który teraz już krzyczał na Louise. Ona nie zareagowała, ponieważ wiedziała, że dokładnie tego teraz od niej oczekuje. – Wszystko na ten temat wiem. Byliśmy sami. Wszystko, co zrobił Kościuch, zrobiłem ja. Tak to działa.

– Dlaczego ich zabiłeś, Steven? – podjął Shipley, bo w pewnym momencie zapadła między nimi niepokojąca cisza.

Steven wzruszył ramionami.

– Chciałem wiedzieć, jak to jest kogoś zabić. Bycie Kościuchem mi w tym pomogło.

Louise opadła na oparcie krzesła, starała się to wszystko uporządkować w głowie. Stworzyć z tego spójną historię. Shipley już doszedł do wniosku, że ma do czynienia z naśladowcą. Dla niego to było oczywiste. W tej sytuacji ciężko było wyciągnąć jakikolwiek inny wniosek.

Ona jednak w pewnym momencie przypomniała sobie o tych mrocznych oczach, o których mówiła matka Nathana Coldfielda.

Znała takie oczy. Już kiedyś podobne widziała.

Na zdjęciu, które leżało w pudle na jej łóżku.

Takie same oczy patrzyły na nim w obiektyw. Też nic nie wyrażały, jak gdyby nieodwracalnie zgasło w nich światło.

## Rozdział 37

Po wyjściu ze szpitala Caroline zamierzała udać się w bardzo konkretne miejsce. Gdzieżby indziej miała iść?

Wróciła do lasu.

Nie do tego, z którego kilka dni wcześniej ledwo uciekła. Wiedziała, że tam już nic nie zostało.

Pojechała bardziej na północ.

Wyjście ze szpitala okazało się zaskakująco łatwe. Wypisała się na własne życzenie, ale lekarze jakoś szczególnie nie protestowali. W końcu mieli do dyspozycji wolne łóżko, w którym mogli położyć kogoś, kogo znów za kilka dni chętnie się pozbędą.

Spodziewała się, że policja zostanie poinformowana o jej decyzji i że ktoś będzie miał coś do powiedzenia na ten temat, w praktyce jednak opuściła progi szpitala bez żadnych komplikacji. Zastanawiała się, czy od początku taki był plan. Czy posługiwanie się zmienionym nazwiskiem w pracy – i w kontaktach z policją – nie miało jej pomóc pewnego dnia bez trudu zniknąć.

Faktycznie miała na imię Caroline.

Tyle że Caroline Rickards nigdy nie istniała.

Ona już od dawna pragnęła być kimś innym, niż była. W pewnym momencie ostatecznie się zdecydowała i odcięła się od przeszłości.

Może chodziło po prostu o to, że nikomu nie chciała opowiadać

o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat.

O tym, za co miała zamiar odpokutować.

Najpierw musiała zrobić to, co należało zrobić już dawno temu. Przeciąć wrzód, który stanowczo zbyt długo już ropiał.

Jeśli miała wracać do lasu, to najpierw musiała ostatni raz zobaczyć się z nią. Na wypadek, gdyby tym razem nie udało jej się zbiec.

Wysiadła z taksówki i stanęła na chodniku. Przez chwilę miała ochotę od tego wszystkiego uciec. Chciała to wszystko zostawić i już nigdy do tego nie wracać. Jakaś część niej pragnęła, aby coś takiego w ogóle było możliwe. Aby się dało żyć dalej, nie myśląc o przeszłości.

O tym, dlaczego musi wrócić do tych lasów.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła bramę, za którą rozpoczynała się ścieżka. To był dla niej nostalgiczny moment. Dobrze знаła dom, do którego ta ścieżka prowadzi, teraz jednak był on dla niej czymś bardzo odległym. Jak wspomnienie, które się z czasem zaciera.

Pamiętała, jak stała na końcu innej ścieżki. Wtedy, kiedy to się wszystko zaczęło. Na myśl o stracie, którą poniosła, aż ją ścisnęło w żołądku. Wtedy nie mogła wiedzieć, co się wydarzy. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Caroline szła przed siebie, znosząc kolejne ukłucia bólu. Pozszywane rany na jej brzuchu ciągle się jeszcze goiły.

Zapukała do drzwi i czekała, aż się otworzą – a ona zanurzy się w przeszłości.

## Rozdział 38

Wyszli z pokoju przesłuchań, a Steven Harris został odprowadzony do swojej celi. Usiłowali wydobyć od niego jakieś dodatkowe informacje, ale w pewnym momencie stało się jasne, że już się niczego więcej konkretnego nie dowiedzą. Louise pomyślała, że jeśli gadanie w kółko tego samego zostanie kiedyś dyscypliną olimpijską, to Steven zdecydowanie będzie miał szanse na medal.

– On zabił tę parę – powiedział Shipley, potrząsając głową, a potem znów opierając się o ścianę. – Nie wiem, co panu powie, ale naprawdę nie mam pojęcia, skąd on miałby znać te najróżniejsze szczegóły z miejsca zbrodni, jeśli go tam dziś w nocy nie było.

– Jasne – odparł Locke, który jedną rękę trzymał na karku, jak gdyby usiłował rozmasować jakiś napięty mięsień. Stało się dla niej oczywiste, że odtąd będzie już pamiętać ich nazwiska. Marzenie Shipleya się spełniło.

– Ile ma lat? – dowiekował Locke takim tonem, jak gdyby błagał o choćby maluteńki łut szczęścia. – Nie ma szans, żeby był starszy, niż twierdzi?

– Twierdzi, że ma dwadzieścia jeden lat. Sądzę, że mówi prawdę. Wystarczy mu się przyjrzeć, od razu widać, jaki jest młody.

– No i ma kartotekę – powiedziała Louise, odzywając się po raz

pierwszy, odkąd wyszli z pokoju przesłuchań i zastali na korytarzu detektywa inspektora. – Nie kłamie. Jest za młody.

– I przyznał się do zabicia tej pary?

– Tak, do wszystkiego – powiedział Shipley, spoglądając na Louise, a potem znów na Locke'a. – Tutaj nie ma żadnych wątpliwości. Tylko dlaczego do tego się przyznał, a do zabicia Hazel Durham tej samej nocy już nie?

– Bo to nie był on? – rzuciła Louise, odsuwając się od Locke'a, żeby stanąć bliżej Shipleya. Rozmowa toczyła się w ciszy, z dala od głównych biur i cel znajdujących się nieco w głębi korytarza. Steven Harris znajdował się na razie w jednej z nich, ale Louise spodziewała się, że długo tam nie zabawi. – Proste pytanie. Czy u którejkolwiek z innych ofiar stwierdzono ślady wykorzystywania seksualnego? Nie, tylko u tej jednej.

– Sala zebrań, za pięć minut – rzucił Locke, ponownie potrząsając głową. Ramiona jakby jeszcze bardziej mu opadły. – To zwykły naśladowca, nic więcej, ale tak czy owak będziemy musieli zmarnować na niego trochę czasu.

Gdy Locke odwrócił się i odszedł, Shipley potrząsnął głową. Odezwał się do Louise dopiero wtedy, gdy wiedział na pewno, że detektyw inspektor go nie usłyszy.

– To oczywiste, że on jest za młody, żeby mieć z nimi wszystkimi coś wspólnego. No chyba, że Kościuch ma syna, którego zabierał ze sobą na swoje mordercze wyprawy do lasu. Możemy zabrać jego zdjęcie do szpitala i zapytać Caroline, czy go rozpoznaje, ale dla mnie to jest oczywiste. To tylko naśladowca, który wykorzystał wiatr. Niewątpliwie ma problemy z psychiką, ale ogólnie po prostu wykorzystał wiatr. Raport z przesłuchania przedłożę dopiero po powtórnej konsultacji. Nie chciałbym, żeby ktoś podważył to jego przyznanie się do winy tylko dlatego, że on nagle sobie przypomniał, że ma jakieś problemy.



– Czyli myślisz, że tu zupełnie żadnego związku nie ma?

– A ty widzisz jakiś związek? – odparł Shipley, niemal wybuchając przy tym śmiechem. – On po prostu wykorzystał okazję, żeby zrobić coś, co mu chodziło po głowie od dłuższego czasu. A potem się okazało, że gwałt i zabójstwo go przerosły. Cieszę się, że to nie była całkowita strata czasu. Teraz przynajmniej możemy wrócić do właściwej sprawy.

Louise nic nie powiedziała. Zamierzała pozwolić Shipleyowi trwać w przekonaniu, że te dwie sprawy nie są ze sobą powiązane.

Sama miała jednak na ten temat inne zdanie. Coś jej mówiło, że tu wszystko się ze sobą wiąże. Że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Tyle jej podpowiadał instynkt. Jej instynkt. Instynkt jej podpowiadał, że to wszystko musi być ze sobą powiązane, bo inaczej nie ma w tym żadnego sensu.

Shipley ruszył przed siebie, a Louise podążyła za nim do głównego biura wydziału kryminalnego. Cały czas rozmyślała o wydarzeniach z ubiegłego tygodnia. O tym, jak każde morderstwo i każde nowe odkrycie prowadziły ich niezmiennie w to samo miejsce. Do lasów, w których dawno temu zrodziły się historie o Kościuchu.

– Wydział kryminalistyki przesyła raporty dotyczące pierwszych ciał – powiedział Shipley, na chwilę odwracając się do niej przez ramię, a zaraz potem skupiając się na powrót na lekturze notatek znajdujących się na dużej białej tablicy stojącej pod ścianą. Wszystko tam zostało wyszczególnione. Wypisano tam wszystkie ofiary: martwe odkopane z ziemi i żywe odnalezione z obrażeniami na ulicy. Jej wzrok zatrzymał się na zdjęciu Caroline. Zostało wykonane w szpitalnym łóżku, które przez ostatnie trzy dni było jej domem.

– Dotychczas z ziemi wydobytych zostało osiem ciał – ciągnął Shipley, ponownie odwracając się do tablicy. – Większość nawet

udało się zidentyfikować.

– Matka Adama Portera pojawiła się dziś rano w telewizji – powiedział jakiś detektyw konstabl, który niepostrzeżenie pojawił się obok nich. – Chociaż z nami nie bardzo chciała rozmawiać.

– Przypuszczam, że obarcza nas winą za śmierć syna – powiedział Shipley, posyłając konstablowi wymowny uśmiech. – Ale jeśli swoje narzekania kieruje pod adresem kogoś innego, to my przynajmniej możemy w tym czasie spokojnie zajmować się poszukiwaniami mordercy.

– Problem polega na tym, że coś się od tego ruszyło.

Louise odwróciła się w kierunku wskazanym przez detektywa konstabla. Spojrzała na podwieszony telewizor, na którym wyświetlały się wiadomości. Dół ekranu zajmował żółty pasek, resztę zaś reporter przemawiający do kamery z centrum miasta.

Z miejsca, w którym mundurowi zatrzymali Stevena Harrisa.

– Teraz roi się od nich na mieście – usłyszała zza pleców głos detektywa konstabla. Żałowała, że nie zadała sobie trudu, żeby poznać jego nazwisko, bo teraz mogłaby mu kazać się zamknąć. – U nas przed drzwiami też ich pełno. W ciągu zaledwie kilku godzin zrobił się z tego główny news.

– Tak to już jest z seryjnymi mordercami.

Louise podeszła bliżej do telewizora, ktoś podkręcił fonię.

„Tak, uważają, że to jest to coś, o czym często rozmawialiśmy w dzieciństwie. Nazywało się to Kościuch. Ja zawsze twierdziłam, że on istnieje. Jeden z moich kolegów poszedł kiedyś do lasu w Formby i słuch po nim zaginął. Nikt go już potem nie widział. Mówiłam mu, żeby tam nie chodził, ale nie posłuchał. Wszystkim się wydawało, że to tylko dziecinna historia o duchach, ale co jeśli on faktycznie przez cały ten czas żył w tych lasach i czekał...”

– Louise! – Na dźwięk głosu Shipleya serce zaczęło jej mocniej bić. Oderwała wzrok od ekranu. – Czekają.

Louise skinęła głową i ruszyła za Shipleyem do sali zebrań, ciągle jeszcze rozmyślając o reporterach, mediach i ogólnym zainteresowaniu całego miasta. Wszyscy wokół mieli mnóstwo pytań, każdy chciał się czegoś dowiedzieć. Niewykluczone, że niektórzy chcą nawet napisać własną historię. Louise wiedziała, że ich to w dużej mierze ominie, ale na pierwszy rzut oka było widać, że całe to zamieszanie wzmaga napięcie wśród wszystkich detektywów. Po biurze krzątała się teraz cała masa różnych policjantów, część z nich zapewne została ściągnięta z innych wydziałów dochodzeniowo-śledczych na terenie miasta.

Liverpoolska policja już od dawna nie zajmowała się tak poważną sprawą. Tak w każdym razie sądziła Louise.

Dwanaście potwierdzonych ofiar, wszystkie powiązane z jednym sprawcą.

Seryjny zabójca, który działał przez wiele lat zupełnie bezkarnie.

– Wszystkie rozpoznane ofiary znalezione w lesie mają podobną historię – powiedział Locke, zwracając się do detektywów zgromadzonych w sali zebrań, gdy tylko Shipley i Louise weszli i zajęli miejsca. Louise wpatrywała się właśnie w niego, starała się nie patrzeć na otwartą przestrzeń biurową i zdjęcia ofiar widoczne na jej tle.

– Czyli raczej prawie wszystkie? – dodał Locke, szukając wzrokiem potwierdzenia u siedzącego obok detektywa sierżanta.

– Prawie.

– No właśnie, prawie wszystkie. Wyróżnia się Adam Porter. Można odnieść wrażenie, że on się po prostu zgubił albo coś w tym stylu. Pozostali albo byli bezdomni, albo mieszkali w schroniskach. To ludzie, o których łatwo się zapomina. Zapewne właśnie dlatego nikt się nie niepokoił, gdy ci ludzie znikali. Nikt się nie spodziewał, że będą długo przebywać w jednym miejscu.

– A co z ciałem znalezionym w szopie? – zapytał detektyw

konstabl, który siedział w rzędzie za Louise. – Kto to był?

– Carl Groves – odpadł Locke, zaglądając do leżącej przed nim teczki. – Też miejscowy, przebywał w hostelu oddalonym o nieco ponad kilometr od Speke. Ludzie z hostelu twierdzą, że dużo spacerował. Kilku stałych bywalców mówi, że czasami zdarzało mu się dotrzeć aż do Hale. Wygląda na to, że nieszczęśliwie wybrał trasę. Na dole mamy też w celi faceta, który twierdzi, że zabił tę parę z ubiegłej nocy. Wszystko wskazuje na to, że to naśladowca. Nasi przyjaciele z wydziału dochodzeniowo-śledczego w Sefton odebrali od niego przyznanie się do winy, więc do końca dnia powinni mieć tę sprawę załatwioną.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Louise i Shipleya, ale ona cały czas wpatrywała się w Locke'a. Raz po raz uciekała gdzieś myślami i wracała do wyводу, w trakcie którego on wszystko dokładnie wyjaśniał, zupełnie jak gdyby sprawa była dla nich całkiem nowa. Ktoś zabił dwanaście osób, a oni mieli tylko jedno nazwisko – Rhys Durham – a oprócz tego wiedzieli, że mają do czynienia z zabójcą, który nie waha się wejść do cudzego domu ani zabić człowieka na ulicy.

– Właśnie pracujemy nad powiązaniem Hazel Durham i w ten sposób znów wracamy do Rhysa Durhama. To jego szukamy.

„Co by oznaczało, że zabijał ludzi już jako młody nastolatek”, pomyślała Louise.

– Mamy teraz do czynienia z eskalacją...

Przez moment jej się wydawało, że wybuchła szyderczym śmiechem, ale potem stwierdziła, że nikt się na nią nie gapi, więc najwyraźniej jednak tego nie zrobiła. To słowo zyskiwało na popularności zawsze wtedy, gdy morderstwa następowały jedno po drugim w niedużych odstępach czasu. Eskalacja. Jak gdyby dwanaście osób to było mało, nawet w dużych odstępach.

„Ta eskalacja trwa już od dłuższego czasu”, pomyślała Louise.

– A co z Caroline? – odezwał się Shipley, zaburzając tok jej myśli.  
– Możemy z nią jeszcze raz porozmawiać, może pokażemy jej zdjęcie Stevena Harrisa, żeby mieć pewność, że on z tym nie ma nic wspólnego?

– Pewnie warto by to zrobić – odparł Locke, potrząsając głową – tylko że ona wypisała się ze szpitala kilka godzin temu i od tamtej pory nie możemy jej namierzyć. Nie ma jej pod adresem, który podała w szpitalu.

– Louise i ja się tym zajmiemy – zadeklarował Shipley, trącając przy tym lekko Louise. Ona skinęła głową dla lepszego efektu.

– Tak, to dobry pomysł – powiedział Locke, odwracając się od nich jeszcze przed dokończeniem zdania. – Tylko najpierw skończcie sprawę ze Stevenem Harrisem.

Potem zwrócił się do pozostałych. Machina wciągała coraz więcej ludzi, w związku z czym rola Shipleya i Louise cały czas malała.

– Słuchajcie, macie być w terenie. Dysponujemy teraz sporymi zasobami, możemy z nich swobodnie korzystać. Zaangażujcie mundurowych, chodźcie od drzwi do drzwi. Ktoś gdzieś coś widział. Na ogół właśnie tą drogą udaje się znaleźć odpowiedzi. Wiem, że parę osób przegląda nagrania z monitoringu. Jeśli ktoś coś znajdzie, chcę się o tym jak najszybciej dowiedzieć. Okolice domu Hazel Durham mają zostać dokładnie przebadane. Chcę mieć szczegółowe zeznania świadków. Nic nie jest nieważne.

Louise raz jeszcze skupiła uwagę na słowach Locke'a, który właśnie wyrzucał z siebie standardowe komunały. Było dla niej oczywiste, że sporo się teraz dzieje i że ona z Shipleyem nie o wszystkim się będą dowiadywać. W śledztwie, które rozpoczynali we dwoje, teraz uczestniczyło już bardzo wielu ludzi, których nazwisk ona pewnie nigdy nie pozna. Oni byli już teraz tylko wspomnieniem. Przestali się liczyć. Przygryzając paznokcie, Louise zastanawiała się, co powinna robić dalej.

Może należało się skupić na tym liściku, który czeka na nią w kuchni? Zastanowić się, co to ma znaczyć? Być może nagle się okaże, że jej przeszłość wyglądała zupełnie inaczej, niż jej się dotychczas wydawało?

To pudło na jej łóżku, pełne wspomnień z czasów, których właściwie nie pamiętała. Z których pozostały jej tylko zamazane i niekształtne obrazy.

Nie, na razie powinna się skupić na pracy.

Musiała porozmawiać ze Stevenem Harrisem.

Musiała się upewnić.

## Rozdział 39

Steven znów siedział po drugiej stronie stołu. Tym razem robił wrażenie jeszcze drobniejszego, bardziej niepozornego i przerażonego niż wcześniej. Zupełnie jak gdyby życie zaczęło z niego odpływać, pozostawiając jedynie delikatną skorupkę w postaci ciała młodego mężczyzny.

– Po co wszedłeś do tego domu? – zapytała Louise, nawiązując do pytania Shipleya.

– Żeby zabić ludzi, którzy tam mieszkali – odparł Steven tak, jak gdyby wypowiadał się o czymś zupełnie innym. Mówił tonem całkowicie pozbawionym emocji, w pełni rzeczowym, jak gdyby opowiadał o tym, co udało mu się kupić podczas wyprawy na zakupy. – Głosy mi powiedziały, co mam zrobić, więc to zrobiłem.

– Jak się dostałeś do domu?

– Już mówiłem – stwierdził Steven, kreśląc palcem kółko na stole.

– Po co mam to powtarzać?

– Jak wszedłeś do domu, Steven?

– Jestem Kościuchem, niech pan przestanie tak do mnie mówić. Gdy mówię o tych rzeczach, jestem Kościuchem. Nie Stevenem. Steven by niczego takiego nie zrobił.

Steven najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z mówienia o sobie w trzeciej osobie. Mocne stawianie granicy między jego

osobą a czynami stanowiło dla Louise sygnał alarmowy. Doskonale wiedziała, jak to wykorzystają prawnicy. Steven raz po raz przechodził od stanu pełnego emocji do kompletnej apatii. Zdawała sobie sprawę, że do centrum miasta i na posterunek policji zawiodło go poczucie winy, momentami jednak zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle go nie odczuwał. Poza tym zaczął wspominać o głosach. Louise uznała, że dobrze kombinuje, ale ani przez chwilę mu nie uwierzyła.

– Powiedz raz jeszcze – powiedział Shipley głosem tak samo spokojnym jak na samym początku. – Proszę.

– Po prostu wszedłem do tego domu. Nie musiałem się włamywać. On, mężczyzna, który tam mieszkał, wyszedł na papierosa, a potem zostawił za sobą otwarte drzwi. To było proste. Po prostu odczekałem, aż skończy i wejdzie do środka, a potem wszedłem za nim.

– A gdzie czekałeś?

– W ogrodzie. Schowany. Nikt mnie nie widział. Potem, jak już wszedłem do środka, to się schowałem pod łóżkiem w pokoju gościnnym.

Louise wyobraziła sobie tego drobnego chłopaka, który się bez trudu ukrywa w ogrodzie. Miała okazję tylko rzucić okiem na tyły domu, ale jego wersja wydała jej się w pełni prawdopodobna. Rosło tam dość krzaków, że mógł spokojnie ukryć się w nich przed cudzym wzrokiem.

Zastanawiała się też nad kryjówką pod łóżkiem w mało używanym pokoju. Człowiek nigdy do końca nie wie, co się kryje w jego własnym domu, w którym teoretycznie powinien czuć się w pełni bezpiecznie.

To akurat stało się dla niej jasne, gdy znalazła na blacie w kuchni nadpalone patyki.

– Długo czekałeś – powiedział Shipley profesjonalnym tonem



pozbawionym emocji. Louise wyobrażała sobie, że po wyroku skazującym te materiały mogą zostać upublicznione, że będą w kółko pokazywane w różnych programach o prawdziwych zbrodniarzach. Że ten brak poczucia winy zostanie wykorzystywany, żeby zafascynować tłumy. Jeszcze bardziej prawdopodobne wydało jej się, że materiał usłyszy ława przysięgłych jako dowód niepoczytalności Stevena.

– Musiałem – ciągnął Steven, biorąc mały łyk wody, o którą poprosił przed kontynuowaniem zeznań. – Inaczej nie odbyłoby się to należycie.

– Dlaczego nie odbyłoby się należycie?

– Bo nie tak działa Kościuch. Nie mogłem wejść do sypialni wcześniej, musiałem poczekać na odpowiednią chwilę. Na moment, w którym się mnie nie spodziewali. W przeciwnym razie on nie byłby zadowolony.

Louise wychwyciła nową informację, na którą Shipley najwyraźniej nie zwrócił uwagi. Już miał się odezwać znowu, ale ona go ubiegła.

– Kto by nie był zadowolony?

– Kościuch.

– A to nie ty jesteś Kościuchem? – zapytała Louise, jak gdyby od niechcenia. – Przecież tak nam właśnie powiedziałaś. Dlaczego miałbyś być niezadowolony sam z siebie?

– Teraz jestem, ale wcześniej nie byłem. Przecież mówię.

– Wyjaśnij mi to – ponownie wtrącił się Shipley. – Nie rozumiem. To kto jest Kościuchem?

– Ja.

– Ale oprócz tego jest ktoś jeszcze? Jest ktoś inny, kto ci powiedział, jak powinienes zrobić to, co zrobiłeś?

– Jest ich wielu. Wszyscy mówią jednocześnie. Wszyscy robimy to samo.

Shipley spojrział na Louise, lekko kiwając przy tym głową.

Louise widziała, że nie uwierzył chłopakowi. Uznał, że należy to podłączyć pod stwierdzenie o głosach, które słyszy w swojej głowie. Ona tymczasem podejrzewała, że chodzi o coś zupełnie innego.

Podczas gdy Shipley kontynuował przesłuchanie, Louise zastanawiała się, co robić dalej. Śledztwo powoli dobiegało końca i doskonale zdawała sobie sprawę, że niedługo już nie będzie w nim dla niej miejsca. To oznaczało, że będzie się mogła skupić na sobie.

Będzie mogła o tym wszystkim zapomnieć i sprawdzić, czy duchy z przeszłości faktycznie wróciły.

Na razie jednak przysłuchiwała się przesłuchaniu, które ewidentnie kręciło się w kółko. Nic nowego nie udało się ustalić, a Shipley sprawiał wrażenie coraz bardziej poirytowanego.

Pod koniec Louise wyzbyła się jednak ostatnich wątpliwości. Steven Harris miał niewątpliwie problemy psychiczne, ale największy dyskomfort sprawiało mu opowiadanie o jednym konkretnym aspekcie popełnionej zbrodni.

– Steven, co zrobiłeś z Karen Marshall, gdy już ją zabiłeś?

– Nic.

– Steven, czy zdjąłeś kołdrę z jej ciała?

– Nie pamiętam.

– Pamiętasz. Mam wrażenie, że chcesz o tym opowiedzieć. Mam rację? Może nam powiesz, co zrobiłeś już po tym, jak ją zadłgałeś? Dlaczego nie chcesz o tym mówić?

– Bo tego nie miałem robić. Nie miałem jej w ten sposób dotykać.

– W jaki sposób?

– Uprawiałem z nią seks.

Louise poczuła, jak gniew łapie ją za gardło. To stwierdzenie było przecież całkowicie absurdalne. Zabrzmiało to tak, jak gdyby gwałt na nieżyjącej kobiecie niczym się nie różnił od każdego innego seksu.

– Ona wtedy jeszcze żyła, mam rację?

– Nie wiem. Gdybym wiedział, tobym to zrobił dopiero, jak już będzie martwa.

Jak gdyby to cokolwiek zmieniało...

– Steven, dlaczego nie chciałeś tego zrobić?

– On... to znaczy Kościuch nie powinien robić takich rzeczy. On powinien być czysty. Pomyślałem... Pomyślałem, że jeśli ona już nie żyje, to to już nie ma większego znaczenia. A tak, on będzie wiedział. On zawsze wie takie rzeczy.

– O kim ty mówisz? – wtrącił się Shipley, teraz już mocno rozdrażniony. Louise potrafiła przewidzieć, jak to się skończy. Shipley nie uwierzy chłopakowi. Nie uwierzy, że Steven z kimś rozmawiał i od kogoś przyjmował wytyczne. Łatwiej było uznać, że to zwykły naśladowca. Że po prostu przywłaszczył sobie nazwę i pod nią zabija.

W sumie przecież właśnie do tego się to sprowadzało.

– O nikim – odparł Steven, raz jeszcze cofając się w głąb siebie. Było w nim coś tak dziecinnego, że Louise nie mogła przestać się zastanawiać, co też go w życiu spotkało. Czego doświadczył, że zdecydował się na coś takiego? Potem pomyślała o tym, co zrobił nieco ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej, i nagle straciła resztki empatii.

– Przesłuchanie zakończone o 19.35 – oświadczył Shipley, spoglądając na nią i ponownie wywracając oczami. Louise pomyślała, że powoli robi się z tego jego gest charakterystyczny. – Idziemy!

Louise nic nie powiedziała, nawet gdy z hukiem zamknął notes i odsunął krzesło z taką siłą, że niemal je przewrócił. Spokojnie złożyła sprzęt, starając się przy tym nie patrzeć na siedzącego po drugiej stronie Stevena Harrisa.

Przez chwilę czekali na strażnika, który miał odprowadzić go do

celi. Steven Harris siedział bez słowa na krześle i wpatrywał się w stół, jak gdyby nagle dostrzegł w nim coś zupełnie nowego i niezbadanego. Potem powoli uniósł wzrok i spojrzał w oczy Louise, która właśnie na chwilę odwróciła głowę w jego stronę.

Na jego twarzy pojawił się jakby delikatny uśmiech. Louise przeniosła wzrok przed siebie, wyglądając Shipleya, ale on już się od nich oddalał. Wyglądał na korytarz, wypatrując kogoś, kto by ich mógł zwolnić. Louise wykonała krok w stronę Stevena i położyła dłoń na stole dla lepszego podparcia.

Nagle poczuła neodpartą potrzebę zadania mu pytania, które cały czas ją nurtowało.

– Kim jesteś?

– Nadchodzi... – wyszeptał Steven, ciągle się jeszcze uśmiechając.

– I nic na to nie poradzisz.

– Nie jesteś wariatem – powiedziała Louise tak wściekła, że aż jej się ręce trzęsły. – To wszystko jedno wielkie przedstawienie. Resztę życia spędzisz w więzieniu, dlaczego?

– Bo on mi powiedział, że tak ma być. Robimy wszystko, co on nam każe.

– Kto?

– Dobrze wiesz kto – powiedział Steven, nagle zupełnie zmieniając ton. Teraz mówił spokojnie, jak gdyby gdzieś w jego wnętrzu zgasło światło. – Ja bym z tym nie mógł żyć, dlatego tu jestem. Ale on może. On z tym żyje od zawsze. Chce, żebyś go w końcu przestała ignorować. Żebyś go wreszcie odszukała.

– Nie mam takiego zamiaru – wycedziła Louise przez zęby. Miała ochotę walnąć jego głową w stół, ale oparła się pokusie i tylko mocniej chwyciła za krawędź blatu. – Tu chodzi o kobietę, co? O tę z lasu, z początku tygodnia. Uciekła i biedny Rhys się wściekł.

Louise spojrzała na Shipleya, żeby się upewnić, że niczego nie usłyszy. Stwierdziła, że stoi daleko, na środku korytarza. Gdy

przeniosła wzrok na Stevena, ten cicho chichotał sam do siebie.

– Nic nie rozumiesz. Nie wiesz, kim ona jest – rozparł się na krześle, nagle stając się jakby innym człowiekiem. – Nie wiesz, kim jest Rhys. Za to znasz Kościucha. Ja trafię do szpitala, a nie do więzienia. Uznają, że jestem nienormalny. A ty zginiesz, jeśli w końcu nie przyjmiesz do wiadomości, kim naprawdę jesteś.

Louise знаła od podszewki zasady funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, więc wiedziała, że on nie ma racji. Steven trafi do więzienia, to pewne. Shipleyowi może i zamydlił oczy, ale fachowcy nie dadzą się na to nabrać. Postanowiła jednak na razie nie wyprowadzać go z błędu.

– Powiedz tylko... – rzucił, składając rachityczne ręce na piersi. – Podobał ci się prezent? To była wiadomość od niego. To ja ją dostarczyłem, jeszcze zanim zabiłem tych dwoje idiotów.

Louise na moment zamurowało. Bezskutecznie usiłowała odnaleźć sens w tym, co właśnie usłyszała. Na razie nie potrafiła go dostrzec, ale podświadomie wiedziała, że Steven mówi prawdę.

Najwyraźniej była z tą sprawą związana nawet mocniej, niż jej się początkowo wydawało. Te nadpalone patyki ułożone jak kości musiały być czymś więcej niż tylko wiadomością.

Od początku chodziło o jej przeszłość.

A teraz ona siedziała w tym po uszy.

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale się spóźniła.

– Idziemy, Steven – rzucił Shipley, który stał w drzwiach. Nic niepokojącego chyba nie zauważył. – Pora na ciebie.

Louise patrzyła, jak Steven opuszcza pokój w asyście policjantów. Na jego twarzy malował się znów ten sam wyraz, co przez kilka poprzednich godzin. Shipley pokiwał głową w kierunku młodego zabójcy, a potem spojrział na nią. Nagle spochmurniał.

– Wszystko w porządku? Sprawiasz wrażenie lekko poruszonej.

Louise nic nie odpowiedziała.

WCZEŚNIEJ

Słyszała, jak rozmawiają na dole. Mówili o niej, zupełnie jak gdyby jej tam nie było. Drewniana podłoga zniekształcała głosy, przez co normalna rozmowa stawała się przytłumionym dudnieniem.

Gdyby to się działo gdziekolwiek indziej, po prostu by się nigdzie nie ruszała. To znaczy, gdyby była w domu. Dotąd spała zawsze w swoim domu, w swoim łóżku.

Teraz to już nie było możliwe.

I to się miało już nigdy nie zmienić.

Naciągnęła kołdrę, uwalniając spod niej kolejną falę nieznanego zapachu. Mdło słodka lawenda. Niby jej to nie przeszkadzało, że podłoga skrzypi jej pod nogami, ale mimo to przemieszczała się z jak największą ostrożnością.

Chciała usłyszeć, co o niej mówią.

Drzwi do pokoju zostały otwarte, zgodnie z jej życzeniem wyrażonym godzinę wcześniej, gdy kładła się do łóżka. Nikt nie zaprotestował. Wszyscy tylko patrzyli na nią z lekko przekrzywionymi głowami i ze smutkiem w oczach, jak pieski wyczekujące na przekąskę. Na ich twarzach malowała się troska.

Nagle do niej dotarło, że teraz jeszcze bardzo długo wszyscy będą w stanie bardzo dużo jej wybaczyć. Zasady właściwie przestaną ją

obowiązywać, aż sama stwierdzi, że ma dość.

Wyszła z pokoju, lekko powłócząc prawą nogą. Owinięty wokół niej bandaż dość skutecznie zakrywał obrażenia. Doszła do szczytu schodów i tam już słyszała wszystko całkiem dokładnie.

Głuptasy, nie zamknęli drzwi do salonu. Wydawało im się, że rozmawiają na tyle cicho, że ona na pewno ich nie usłyszy. Albo myśleli, że już śpi.

Wolne żarty.

Sama dobrze nie pamiętała, kiedy ostatnio porządnie się wyspała.

– *Ale co my zrobimy, Jack?*

– *Jak to co... Wszystko, co w naszej mocy...*

Na dźwięk tych słów wezbrało w niej jakieś niemiłe uczucie. Jakby była dla nich ciężarem. Z drugiej strony, miała przynajmniej dach nad głową, a przecież ani się obejrzą, jak już jej nie będzie. Nie chciała tu zostawać, tak samo jak oni najwyraźniej nie chcieli się nią opiekować.

– *Ja tego nie rozumiem... Dlaczego wszyscy?*

– *To był wypadek. W takich rzeczach nie ma się co dopatrywać sensu.*

– *Dlaczego to nie mógł być tylko on, no powiedz...*

Gdy wspomnieli o nim, paskudne uczucie tylko się nasiliło. Oni go nie znali tak dobrze, jak ona. Nigdy go nie lubili. Zawsze tak jej się wydawało. Teraz się potwierdziło, że miała rację. On nigdy nie był dla nich dość dobry. Zresztą dla nikogo nie był. Nawet jak się starał, jak mógł, to zawsze się okazywało, że zrobił coś nie tak.

– *Z nim zawsze były tylko kłopoty. Odkąd się pojawił. Wiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale... Przecież ja to zawsze mówiłam...*

– *Mówiłaś.*

– *I okazało się, że miałam rację. Takie rzeczy od razu widać. Niektórzy ludzie... po prostu rodzą się źli i nic się na to nie da*



*poradzić. Chyba się ze mną zgodzisz?*

*– Tak.*

Siedziała na szczycie schodów, z ramionami otulonymi wokół kolan, i słuchała, jak rozmawiają o jej rodzinie, zupełnie jak gdyby ją znali. Jak gdyby spędzali z nimi czas.

Oczywiście nie spędzali. Dotychczas ona rzadko kiedy w ogóle widywała tych ludzi. Tylko wtedy, gdy już nie miała wyboru. Teraz znalazła się u obcych, bo cała jej rodzina zniknęła.

*– Ty wiesz, że ona nic nie pamięta. Próbowałam z nią o tym wszystkim rozmawiać, ale ona tylko kiwa głową i udaje, że nic nie wie. Trochę jakby zapomniała poprzednie dwanaście lat swojego życia. Pamięta tylko drobiazgi. Jak my to udźwigniemy?*

*– Z czasem będzie lepiej. To był potworny szok. Trochę to potrwa, zanim sobie z tym poradzi. Musimy dać jej czas, żeby się w tym wszystkim odnalazła.*

*– Dlaczego to nie mógł być tylko on? Zawsze coś z nim było nie tak, mówię ci. To było widać w jego oczach. W tych jego oczach był jakiś straszny mrok. Jakby to był jakiś potwór albo coś... On był zły.*

*– Daj spokój, nie możemy tak o nim mówić. Nie wiemy przecież, czy...*

*– Ależ wiemy. To się wszystko zaczęło przez niego. Wszystko. A teraz ich już nie ma i tylko ona została. A co, jeśli ona też taka jest?*

Siedziała i słuchała, zupełnie jak gdyby to była kara za jakąś zbrodnię, którą popełniła, ale której nie pamiętała. Nic takiego nie potrafiła sobie przypomnieć. Jej wnętrzu wypełniał tylko ból, który się pragnie uwolnić – wydostać się, rozlać się i przestać istnieć.

W środku czuła się martwa. Była jak czysta karta. Jej przeszłość została wymazana, zostały tylko rozmazane wspomnienia z jakby cudzego życia.

W jej głowie odzywał się głos, który starał się ją uspokoić.

Pocieszyć. Powtarzał jej, że wszystko będzie dobrze.

Że najpierw musi zwalczyć w sobie pragnienie zejścia do kuchni po nóż.

I zabicia tych obcych ludzi, którzy siedzą w salonie.

Tylko po to, żeby cokolwiek poczuć.

Cokolwiek innego niż mrok, który ciągle w niej narasta.

**TERAZ**

## Rozdział 40

Tło było szare, ale piękne. Chłodna jesienna bryza owiewała lekko całą grupę, kołysząc delikatnie gałęzie i zrzucając na nich liście.

– To chyba wystarczy, co?

Facet z kamerą spojrział na producentkę z irytacją, licząc na to, że reporterka stojąca o kilka kroków dalej tego nie zauważy.

– Wydaje mi się, że powinniśmy wejść głębiej w las, ale to pewnie też wystarczy.

– Po prostu nie chcę się zgubić – powiedziała reporterka, jedną ręką odsuwając sobie włosy z twarzy. – Ciarki mnie tu przechodzą.

Kamerzysta wzruszył ramionami i przygotował nowe ujęcie. Za reporterką widać było w oddali rzekę Mersey. Woda ciągnęła się aż po horyzont. Zderzała się z Morzem Irlandzkim, a potem znikwała w jego wodach. Kępki niesfornej trawy smagały go po nogach, ale on cały czas wpatrywał się w morze przez obiektyw. Obserwował chaotyczną walkę mas wody. Białe grzywy walczyły z szarością, wznosząc się nad jej powierzchnią jak góry. Dumnie i bezlitosne. Niebo nad ich głowami było szare, a wiatr szturchał go z każdej strony.

– Dobra, jeszcze raz od części po wprowadzeniu – powiedziała producentka, spoglądając na zegarek po raz piętnasty w ciągu ostatnich kilku minut. – Zanim stracimy światło.

Reporterka odczekała do sygnału, a następnie zaczęła mówić.

– To tutaj, na niezabudowanych terenach miasta, działa niepostrzeżenie ktoś, kto powołuje się na stary mit. Na terenie Liverpoolu nie brakuje niewielkich lasów, które dodają miastu uroku. Stoimy teraz w jednym z największych z nich, znajdującym się w północnej części miasta. Ciała odnalezione kilka dni temu zostały odkryte w mniejszym lesie, ale tam również człowiek ma poczucie, że znalazł się z dala od cywilizacji. Że mógłby tam zniknąć i nigdy nie zostać znaleziony.

Kamerzysta starał się zachować spokój, mimo że jego zmysły odnotowały nagłą zmianę w powietrzu za jego plecami. Postanowił nic sobie z tego nie robić. Uznał, że to tylko wytwór jego wyobraźni.

– Wielu mieszkańców miasta zna legendę o Kościuchu, wielu opowiadało ją w dzieciństwie w gronie kolegów i koleżanek. Teraz ktoś najwyraźniej postanowił tę legendę ożywić i zabija ludzi w lasach takich jak ten.

Wiatr znów się zmienił. Kamerzystę przeszył dreszcz. Spojrzał na producentkę. Ta ciągle jeszcze wpatrywała się w reporterkę, ale zmrużyła oczy, przez co na jej czole pojawiły się poziome linie.

– Policja nie chce ujawniać, czy korzystają z tych informacji w ramach śledztwa, które obecnie toczy się już na bardzo dużą skalę. Dla mieszkańców miasta to kolejna historia z gatunku tych, które mrozą krew w żyłach całego miasta... Mo, powtarzamy tu dwa razy miasto w jednym zdaniu.

Producentka potrząsnęła głową i wykonała w stronę kamerzysty gest sygnalizujący zakończenie ujęcia.

– Nie przejmuj się, poprawimy to... Słyszałaś coś?

Kamerzysta zdjął słuchawki i spojrzał w lewo.

– Co?

– Nie wiem – powiedziała producentka, spoglądając w dal za jego plecami, na grubsze i gęściej rosnące drzewa. – Kończmy

i spadajmy stąd.

Reporterka nic nie powiedziała, tylko powoli wyszła z kadru i podeszła do jednego z pobliskich drzew.

– Czy to tu było, jak przyszliśmy?

Kamerzysta spojrzał we wskazanym przez nią kierunku. Usiłował sobie przypomnieć, czy podczas przygotowań do ujęcia w ogóle zauważył to drzewo. Wszystkie drzewa były do siebie podobne, więc nie bardzo potrafił na to pytanie odpowiedzieć. Tyle że znaki na korze wyglądały na świeże.

– To... czy my to mamy w scenariuszu? – zapytała reporterka.

– Musimy stąd spadać – powiedział kamerzysta cicho, niemal szeptem, czując, jak serce bije mu coraz głośniej. – Coś mi tu mocno nie pasuje.

Niebo nad ich głowami ciemniało coraz bardziej. Pakowali sprzęt zupełnie bez słowa. Reporterka przenosiła ciężar z nogi na nogę w niemal tanecznych podskokach.

– Można się stąd wydostać jakąkolwiek inną drogą niż przez las?

– Nie mam pojęcia – powiedziała producentka, pomagając kamerzyście narzucić torbę na ramię. Gdy ruszył przed siebie, ona od razu poszła za nim. – Zupełnie nie znam tego miejsca.

Kamerzysta uparcie wpatrywał się w kierunku, który prowadził ich do drogi i zaparkowanego tam samochodu – chociaż samego samochodu oczywiście nie widział. Mieli przed sobą piętnaście minut drogi. Ten dystans nagle wydał im się stanowczo zbyt duży.

Wszyscy poczuli, że z chwilą wejścia w gęstwiny lasu coś się wokół nich zmieniło. Zapadła ogłuszająca cisza, a zapach przyrody utonął w gryzącym smrodzie. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby na wszystkich pniach wokół nich nagle pojawiły się znaki.

Szedł dalej przed siebie, nie zwracając uwagi na szuranie dobiegające z poszycia. Zdawał się nie słyszeć błyskawicznie stłumionych kwików bólu, które rozległy się za jego plecami. Nie

dopuszczał do wiadomości tego, co się właśnie wydarzyło.

Że teraz idzie już sam.

Udawał, że nie słyszy tych wszystkich odgłosów. Nie chciał uwierzyć w to, co mu podpowiadały zmysły.

Że został już tylko on.

Zapach dopadł go, gdy usiłował zmusić się do biegu. Chciał wszystko rzucić i pędzić przed siebie, aż będzie bezpieczny. Z jakiegoś jednak powodu zaczął zwalniać. Jego nogi nagle stały się ciężkie, jak gdyby przedzierał się przez gęstniejące błoto.

Nie ufał uszom, nie ufał nosowi. Nie ufał zmysłowi smaku.

Aż w pewnym momencie świat pociemniał mu przed oczami i powitała go śmierć.

## Rozdział 41

Louise wyszła z komendy. Minęła rzeszę reporterów i liczne kamery, które się ustawiły pod bramą, i wjechała na główną drogę. Już na pierwszym skrzyżowaniu musiała się zatrzymać na światłach. Rozejrzała się dookoła. Na ścianie po prawej stronie dostrzegła nowe graffiti.

*Kościuch TU jest!*

Pokiwała głową i położyła nogę na pedale gazu, który mocno wcisnęła, gdy tylko światło się zmieniło. Droga do domu teoretycznie powinna jej zająć kwadrans, ale pomimo wczesnopopołudniowej pory na ulicach panował dość duży ruch i w rezultacie dotarła na miejsce dopiero po niespełna półgodzinie.

Zatrzymała się przed frontowymi drzwiami z kluczem w dłoni. Nasłuchiwała. Chciała sprawdzić, czy ze środka nie dobiegają żadne odgłosy, na podstawie których mogłaby stwierdzić, że ktoś znów wtargnął do jej domu. Że nadal tam był. Klucz wkładała do zamka i przekręcała go jeszcze lekko drżącą dłonią, ale gdy tylko znalazła się w środku, natychmiast zyskała stuprocentową pewność, że nikogo oprócz niej tam nie ma.

Mimo to obeszła wszystkie pokoje po kolei, wypatrując jakichkolwiek śladów cudzej obecności.



Chciała wiedzieć, kto jej dostarczył tę wiadomość – czy to faktycznie Steven włamał się do jej domu, jeszcze zanim zabił tych dwoje w ich własnym łóżku. Czy to miał być element planu obliczonego na złamanie jej woli?

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to zupełnie bez sensu.

– Pewnie po prostu bacznie cię obserwował – wyszeptała sama do siebie, zanim się zdążył odezwać jej wewnętrzny głos. – I tyle.

Tyle że to wyjaśnienie nie przybliżało jej do odpowiedzi na pytanie, kto tę wiadomość wysłał.

Wspięła się po schodach i weszła do sypialni. Pudełko, które poprzedniego wieczoru przyniosła z drugiego pokoju, ciągle jeszcze stało na podłodze. Nie zostało zamknięte, więc był widać, co jest w środku. Na wierzchu leżała kartka, którą znalazła przy nadpalonych patykach. Litery się rozmywały, jak gdyby chciały z niej zakpić.

Znów prawie czuła ogień – który płonął i tańczył, pożerając wszystko na swojej drodze i niszcząc jej życie.

Na ogół starała się wypierać te wspomnienia ze świadomości, ale teraz celowo się na nich skupiła. Próbowwała sobie przypomnieć, jak to było, zanim stała się innym człowiekiem. Przysiadła na skraju łóżka i zamknęła oczy. Oddychało jej się coraz trudniej. Spowijał ją dym.

Nie potrafiła sobie nic przypomnieć.

To wspomnienie zawsze tam gdzieś było, na skraju jej świadomości – zbyt jednak bolesne i zbyt prawdziwe, aby potrafiła je do siebie w pełni przywołać.

To było coś niesamowicie prawdziwego, ale z jakiegoś powodu, gdy kilkakrotnie próbowała rozmawiać na ten temat z dziadkami, oni tylko kiwali głowami i zmieniali temat. Wszyscy jej najbliżsi zginęli i koniec. To był wypadek. A ona powinna się cieszyć, że żyje. Nie ma o czym rozmawiać.

Nie chcieli rozmawiać z nią o rodzinie. Nie dzielili się z nią swoimi wspomnieniami, niczego nie opowiadali. To było dla nich zbyt bolesne, a oni byli na to zbyt brytyjscy. Wieczny dystans do wszystkiego i te inne bzdety.

Teraz żałowała, że bardziej na nich nie naciskała.

Gdy otworzyła oczy, patrzył na nią odręczny napis na kartce.

W jej głowie nagle pojawił się obraz. Mglisty i ulotny, ale prawdziwy.

Przed pożarem coś się wydarzyło. Wydarzyło się coś, o czym teraz ona już nie chciała myśleć.

W lesie.

Myślała o lesie.

Louise zamknęła oczy i usiłowała uspokoić ciało. Przypomnieć sobie. Przywołać wszystkie obrazy z całego życia i spróbować je uporządkować.

„Nie rób tego”...

Park. Ona siedzi ojcu na barana, matka idzie obok. Brat jest gdzieś z przodu, ciągnie kij po wybetonowanej ścieżce. Świeci słońce, więc ona osłania przed nim wzrok.

Opiera się o drzwi swojego pokoju i nasłuchuje, jak matka na dole krzyczy. Jej brat siedzi na łóżku i zasłania uszy dłońmi.

Ostry ból w dłoni, gdy raz po raz uderza młodego chłopaka. Paskudny typ o twarzy szczura, którego twarz nagle zalewa się łzami i smarkami.

Idzie z ojcem, który mówi o historii.

Jej brat... który płacze.

Potem nic. Tylko pożar.

Dziadkowie siedzą przy jej łóżku w szpitalu. Mówią, że tylko ona ocalała.

– Co się tak naprawdę stało? – powiedziała głośno Louise sama do siebie. – Czy ja to sobie wszystko wymyśliłam?

Przyłożyła dłonie do zeszywniałej twarzy, jak gdyby starała się na powrót tchnąć w nią życie. Oczy kłuły ją ze zmęczenia, w głowie poczuła pulsujący ból. Musiała próbować dalej, choćby nie wiem co.

Raz jeszcze podniosła pudełko, wyjmując całą zawartość i wszystko rozkładając na łóżku. Dwanaście lat jej życia sprowadzone do kilku pamiątek. Resztę – to wszystko, co się tam znalazło już po przeprowadzce do dziadków – odłożyła na bok. Skupiała się tylko na tym, co było wcześniej.

Kilka zdjęć całej czwórki. Jej rodzina.

Po kolei przesuwiała palcem po wszystkich twarzach, za każdym razem na chwilę się zatrzymując.

Jej brat, taki od niej różny. Był od niej starszy, ale ona nigdy nie miała w sobie tyle z dziecka. Bujna czupryna jasnych włosów. Wyglądał tak, jak gdyby ktoś go przeciągnął przez krzaki. Miał w sobie coś dzikiego, ale się uśmiechał.

Ten uśmiech.

Matka na tym zdjęciu wyglądała zupełnie inaczej niż na poprzednim. Szczupła twarz, wymęczona, pokryta zmarszczkami. Życie źle ją potraktowało.

Ojciec miał na twarzy szeroki uśmiech i otaczał ramieniem ją i swoją żonę, czyli jej matkę.

Nie pamiętała tego wszystkiego. Tego poprzedniego życia. Gdyby nie wiedziała, że to ona jest na tych zdjęciach, toby nie uwierzyła, że kiedyś tak wyglądało jej życie. Że kiedyś była częścią normalnej rodziny. Że miała normalne życie.

Dopóki wszystko się nie zmieniło.

W pudle znajdowało się jeszcze kilka innych zdjęć, ale Louise odłożyła je na bok. Chciała jeszcze raz przyjrzeć się literom. W górnej części kartki znajdowały się imiona zapisane jej pismem, małymi i zgrabnymi literami. Pod spodem litery stawał jej brat, niżej rodzice. To była jakaś gra, zapisywali wyniki i podliczali

punkty. Nie pamiętała, o co chodziło, ale na tej kartce znajdowały się wszystkie ich imiona. Każdy napisał wszystkie, jak gdyby byli w szkole i mieli przeciwzyć pisownię imion.

Spojrzała na swoje:

*Louise*

Litera „s” zaginała się ku dołowi na starą modłę. Porównała ten podpis ze swoim imieniem na znalezionej kartce. Podobieństwo było oczywiste.

W górnej części kartki ktoś zapisał datę. Kartka przetrwała w pudle dwadzieścia jeden lat, zupełnie jak gdyby stanowiła jakiś bardzo ważny dokument. Mogło być też i tak, że poza nią nic innego nie ocalało z pożaru.

Kilka zdjęć i to. Tyle jej zostało.

To był zbieg okoliczności, nic więcej. Steven Harris włamał się do jej domu poprzedniej nocy. Wiedział, że ona jest w pracy. Wiadomość zostawił po to, żeby jej namącić w głowie. Żeby ją wytrącić z równowagi. Przypadek sprawił, że pisał podobnie jak ktoś inny. O nic więcej nie chodzi.

To był psychopata, który chciał zabijać i udawać kogoś, kim tak naprawdę nie był.

„Nic więcej”.

Chciała sama sobie uwierzyć, ale jakiś głos w środku za nic nie chciał dać jej spokoju. Chciał się przebić przez ten cichy i uspokajający ton rozbrzmiewający w jej głowie.

Louise sięgnęła po pozostałe zdjęcia i zaczęła je przeglądać. Niektóre miejsca rozpoznawała, chociaż nie pamiętała, żeby była tam, gdzie zostały zrobione.

Na ostatnim byli tylko we dwoje. Patrzyła na siebie jako na jedenastolatkę, ale nie potrafiła sobie tego czasu przypomnieć. Stała obok brata i pozowała do zdjęcia na tle na wpół zawalonych

ceglanych budynków. Rzeźbione ramy bez okien porośnięte mchem i inną roślinnością.

Las. Las pamiętała.

Młodsza wersja niej samej spojrzała jej w oczy. Potrafiła przedrzeć się przez sztuczną fasadę. Można było odnieść wrażenie, że krytycznie ocenia jej życie.

Wpatrując się w ciemne oczy spoglądające na nią ze zdjęcia, Louise stwierdziła, że z każdą kolejną chwilą coraz trudniej jest jej złapać oddech. Tętno jej rosło, a gardło się zamykało.

Te mroczne oczy, które zauważyła u Rhysa Durhama matka Nathana Coldfielda. Te oczy, które wydały jej się tak znajome.

Ona je tak dobrze znała.

Opadła na łóżko i pozwoliła, aby jej umysłem zawładnął las. Pożar, ludzie. W jednej chwili zalała ją potężna fala myśli. Louise nie była w stanie skupić się na żadnej z nich. Gubiła się w gąszczu obrazów, uczuć i emocji.

Nienawiść, miłość i gniew owładnęły nią do tego stopnia, że w pewnym momencie pustą przestrzeń pokoju wypełnił jej krzyk.

Wiedziała, dokąd musi teraz iść.

Do tego domu.

Do lasu.

Musi wrócić do tego, co się kryje w lesie.

Musi odkryć przeszłość owitą mrokiem tajemnicy.

## Rozdział 42

Caroline stała na progu i czekała, aż matka ją rozpozna. Nie stało się to tak szybko, jak się spodziewała, ostatecznie jednak zaskoczenie na twarzy kobiety przeszło w silne emocje.

– Caroline?

– Cześć, mamó – powiedziała. W tym momencie matka patrzyła już na nią nie z radością odkrycia, lecz raczej z rezygnacją. Zupełnie jak gdyby spodziewała się za chwilę usłyszeć kilka przykrych słów. Jak to już nie raz bywało. – Minęło już...

– Trochę czasu – dokończyła za nią matka.

Caroline otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Potem próbowała jeszcze zaczerpnąć tchu, ale było już za późno.

Wszystkie emocje ostatnich kilku dni, cała jej nienawiść i gniew, i cały ten wielki strach wylały się z niej potokiem łez.

– Och, nie płacz, moja kochana – powiedziała mama, obejmując ją i głaszcząc po głowie. – Wszystko w porządku. Wszystko będzie w porządku.

Przez kilka chwil stały w otwartych drzwiach. Matka i córka, które przez wiele lat ze sobą nie rozmawiały, teraz ścisnęły się tak, jak gdyby czas przestał istnieć. Caroline znów – na kilka chwil – stała się małą dziewczynką, która potrzebuje mamy.

Dała się zaprowadzić do salonu i usiadła na kanapie, ciągle jeszcze pochlipując bez opamiętania. Matka zamknęła laptopa i położyła go na oparciu po drugiej stronie. Caroline czuła się jak idiotka, ale nic nie mogła na to poradzić. Twarz matki i spojrzenie jej oczu nagle – bez ostrzeżenia – przeistoczyły ją na powrót w dziecko.

Teraz powoli uwalniała się od przeszłości, a w każdym razie starała się uwolnić. Musiała w możliwie opanowany sposób wyjaśnić matce, co się stało, bo ona inaczej nigdy nie dałaby jej spokoju. Caroline rozpoznawała odgłosy dochodzące z kuchni. Wiedziała, że jej matka w chwili kryzysu robi dokładnie to samo, co niemal wszyscy inni ludzie w jej wieku.

– Z cukrem, jak kiedyś? – zapytała, wstawiając głowę przez drzwi prowadzące z kuchni do salonu. – Mam tylko słodzik.

– Może być, mamo – odparła Caroline, uśmiechając się przez te wszystkie łzy, które cały czas spływały jej po policzkach.

Matka wpatrywała się w nią przez chwilę, ale zaraz potem znów zniknęła. Caroline wytarła twarz dłonią i zaczęła rozglądać się po pokoju. Nie była tu od lat, ale na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Te same meble i ozdoby, te same zdjęcia na ścianach. Na każdym kroku napotykała twarz swojego brata. Z czasów dzieciństwa, z czasów, zanim stał się nastolatkiem.

Zdjęć z późniejszych czasów nie było.

On nie żył.

Teraz Caroline nie miała co do tego wątpliwości. Już wiedziała, że te wszystkie jej wysiłki to była tylko strata czasu. Nagle się skrzywiła. Za długo nachylała się w jedną stronę. Wiedziała, że rany się zagoją, ale blizny pozostaną jej na zawsze. Na zawsze będą jej o tym wszystkim przypominać, co najmniej jak gdyby w przeciwnym razie mogła o tym zapomnieć.

– Zaparzyłam w kubkach, zamiast w dzbanku – powiedziała

matka, wracając do pokoju.

Postawiła kubek przed Caroline i stanęła nad nią. Intensywnie jej się przyglądała. Wpatrywała się po kolei w każdy centymetr jej ciała, jak gdyby interesował ją każdy ślad, każde zadrapanie i każdy siniak na ciele córki.

– Co ci się stało?

– Zaraz ci wyjaśnię, mamó, ale na razie chciałabym, żebyś usiadła. Proszę...

Matka Caroline przez chwilę się zawahała, a potem do niej podeszła i przysiadła obok na skraju sofy. Odwróciła się w stronę Caroline i położyła dłonie na kolanach. Czekwała.

– Próbowałam go znaleźć, mamó – powiedziała i nagle jakby zabrakło jej słów, aby wyjaśnić, co się właściwie stało. – Myślałam... Myślałam, że go znajdę.

– Matthew?

– Tak. – Caroline odpowiedziała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że to nie było pytanie. – Długo go szukałam, mamó. Nigdy o nim nie zapomniałam.

– Nikt z nas nie zapomniał, Caroline – powiedziała matka lekko defensywnym tonem, spoglądając jej prosto w oczy.

Dla Caroline nagle stało się jasne, dlaczego nigdy wcześniej nie chciała o tym rozmawiać. Ich relacje zawsze podszywała ta skłonność do defensywy. Taka już była Val Edwards, jej matka. Ciągle się jeszcze martwiła, że ktoś mógłby pomyśleć, że zapomniała o swoim zaginionym synu.

– Nie to miałam na myśli, mamó – ciągnęła Caroline, spoglądając na chwilę na kubek stojący przed matką, a potem ponownie na nią.

– Chciałam ci tylko wytłumaczyć, co się stało. Poszłam go znaleźć.

– Matthew?

Tym razem to było pytanie.

– Nie... To znaczy, tak, ale miałam na myśli... – Caroline



westchnęła. Potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli. – To naprawdę istnieje, mamó. Kościuch istnieje. I on porwał Matthew.

Inną charakterystyczną cechą Val Edwards było to, że potrafiła nie okazywać zaskoczenia. Wyraz jej twarzy pozostał całkowicie obojętny, zupełnie jak gdyby Caroline powiedziała właśnie coś zupełnie nieistotnego.

– Poznałam kogoś, kto twierdził, że dobrze go zna i może mnie zaprowadzić do jego kryjówki. Nie powinnam temu komuś ufać, ale już powoli brakowało mi opcji. I on... on mnie skrzywdził, mamó. Tak bardzo.

– Co się stało? Czy on ci powiedział, co się stało z Matthew? Gdzie on jest?

Caroline na kilka chwil skupiła się na oddechu, przygotowując się na dalszą część rozmowy.

– Mamó, ja myślę, że on nie żyje. To coś... to jest potwór. On tam był. Tam w lesie, nad wodą w Wirral. W tym tunelu. Czekał na Matthew, ale nie po to, żeby z nim zrobić to, co próbował zrobić ze mną. Czekał na kogoś takiego jak on sam.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Próbowałam, mamó, naprawdę próbowałam – powiedziała Caroline, które znów zbierało się na płacz. Usiłowała powstrzymać łzy. Wiedziała, że musi dokończyć i że potem zdecyduje, co robić dalej. – Poszłam do lasu, w okolicach Melling. To tam na mnie czekało. Torturowało mnie godzinami. Cięło mnie... Nacinało mi skórę. Chciało mnie zabić. Powiedziało, że mnie pokroi na kawałki, a potem ukryje moje kości.

– Żeby cię nigdy nikt nie znalazł... – wyszeptała matka, powolnym ruchem przenosząc dłoń do ust. – Ale to przecież tak naprawdę nie jest... *diabeł*?

– Ja nie wiem, co to jest, ale owszem, to jest wszystko prawda. Te wszystkie historie, których się nasłuchaliśmy jako dzieci... To coś

naprawdę istnieje. Myślę, że istnieje od dawna. Próbowałam pytać, co się stało z Mattym. Naprawdę próbowałam, ale to coś nie chciało mi odpowiedzieć.

– A jak uciekłaś? – zapytała matka, marszcząc czoło. – Jak to się stało, że teraz jesteś tutaj?

– Nie wiem – odparła Caroline, przysuwając się do niej nieco. – Jakoś udało mi się uciec.

– Powiedz mi, o co tu chodzi – powiedziała matka, spoglądając jej w oczy z wyrazem zdumienia na twarzy. – Opowiedz mi wszystko od początku.

– Wiesz, co się wydarzyło w tym lesie. W tym w Wirral, dwadzieścia lat temu. To tam się wszystko zaczęło. Tylko że ja ci nigdy nie powiedziałam, co się wydarzyło, jak weszliśmy do tego tunelu...

– Bawiliście się, z tamtą dwójką. Oni powiedzieli, że to tam mieszka Kościuch i że wszyscy tam pójdziecie.

Caroline zaczęła kiwać głową, ale potem nagle przestała.

– Ja to słyszałam. W tym tunelu. Tych dwoje nie, ale ja tak. I pozwoliłam Matty'emu tam wejść. To moja wina. Powinnam była po niego wrócić.

– To nie jest twoja wina...

– Jest – powiedziała Caroline tak stanowczo, że jest głos rozbrzmiał po całym pokoju. – Wiem, że jest. Czekaliśmy i czekaliśmy. Tak długo, że to zdążyło go porwać. A potem uciekliśmy...

– Kochanie...

– Mamo! My go tam zostawiliśmy. Dlatego on nie żyje i to jest moja wina.

## Rozdział 43

Gdy zatrzymała się na ulicy przed domem, na dworze zapadł już mrok. Ta okolica niewiele się zmieniła, odkąd tu była ostatnio wiele lat temu, ale subtelne różnice od razu rzucały jej się w oczy. Zaskakujące sygnalizatory, które ktoś poustawiał przy drodze. Kilka rzędów nowych domów, nowe sklepy, nowe szyldy.

Im bliżej była, tym mniej dostrzegała tych zmian. Droga prowadząca do lasu miała chyba nową nawierzchnię, ale poza tym wszystko wyglądało mniej więcej tak samo. Nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego ona to wszystko pamięta.

W okolicy centrum dzielnicy samochodów było więcej, ale na obrzeżach ruch wyraźnie osłabł. Minęło wiele lat, odkąd tu była ostatni raz, ale pamiętała to miejsce tak dokładnie, jak gdyby odwiedziła je zaledwie dzień czy dwa wcześniej.

Na razie jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to było, gdy faktycznie tu mieszkała.

Wyłączyła silnik i nachyliła się do przodu, żeby spojrzeć na okolice, która kiedyś – choć zaledwie przez nieco ponad rok – była jej domem. Zastanawiała się, skąd jej rodzice wzięli pieniądze na to, żeby tu zamieszkać. Nagle sobie przypominała, że ojciec zawsze miał przeróżne zaskórniaki.

Louise nie do końca wiedziała, dlaczego właściwie to wie.

Formby zawsze uchodziło za ekskluzywną okolicę. Tutejsze życie znacznie się różniło od tego, które wiodli mieszkańcy południowych dzielnic, nękanym bezrobociem i mniej interesujących dla inwestorów.

Louise zamknęła oczy. Poczuła, jak zalewa ją fala wspomnień. Odwiedziny gdzieś tu w okolicy, gdy była znacznie młodsza. Miała pewnie ze cztery, może pięć lat. Stała na plaży, pod bosymi stopami czuła piasek. Matka strofowała brata, który siedział na tylnym siedzeniu. Ojciec jedną ręką trzymał kierownicę, drugą zaś wystawiał papierosa za okno. W ogóle nie zwracał na nich uwagi, jak gdyby te wszystkie krzyki i wrzaski zupełnie nie robiły na nim wrażenia. To matka miała sobie z tym poradzić, on po prostu tego nie słuchał.

Przed oczami stanął jej nagle bardzo wyrazisty obraz. Siedziała za ojcem, patrzyła na jego silne ramię.

Otworzyła oczy, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie coś jeszcze. To pewnie mama wymyślała te wyjazdy. Na kilku zdjęciach, które jej zostały, spacerują po Sefton Park i po innych lasach w różnych częściach miasta. Louise domyślała się, że chciała dobrze. Chciała zapewnić trochę ruchu rodzinie, która na co dzień prowadziła raczej siedzący tryb życia.

Zastanawiała się też, czy to właśnie z tego powodu ona teraz unika lasów. Czy przez te trzydzieści lat próbowała po prostu zapomnieć o swojej przeszłości.

W pobliżu samochodu znajdowała się latarnia, która roztaczała wokół słabe światło. Louise wysiadła z samochodu i zamknęła go najciszej, jak się tylko dało. Przeszła kilka kroków, ale potem się zatrzymała. Zaczerpnęła kilka spokojnych oddechów, a później poszła dalej przed siebie.

Zaraz potem stała już przed domem.

Przyglądała się oknom i kamiennym zdobieniom fasady. Patrzyła

na frontowe drzwi i na mały trawnik przed domem. Czekwała na jakiś obraz. Na kolejne wspomnienie. Zamknęła oczy w nadziei, że dzięki temu coś się pojawi, ale nic się nie stało.

Skreśliła zatem w lewo i ruszyła wzdłuż domu, wypatrując czegoś, co by przywołało wspomnienia. Wszystko wydawało jej się jednak puste i bezduszne. Dom wyglądał na nowszy od sąsiednich. Louise domyślała się, że został odbudowany po pożarze, po którym został z niego właściwie tylko szkielet.

Żałowała, że nie wie nic o tym, co się działo z tym domem później. Że nie wie, kto go odbudował i kto odziedziczył po niej jej dawne życie.

Na małym podjeździe stał samochód, czyli ktoś tu mieszkał. Dom został odbudowany i ktoś się do niego wprowadził. Louise zastanawiała się, czy ci ludzie wiedzą, co się tu wydarzyło przed laty.

I czy mogłaby się tego od nich dowiedzieć...

Gdy znalazła się przy bocznej ścianie domu, zobaczyła kilka drzew w ogrodzie. Szła dalej przed siebie, aż znalazła się na drodze prowadzącej do lasu.

Nagle znów coś zobaczyła. Coś się czaiło na granicy jej świadomości. Próbowала to przywołać na dłużej, ale obraz po chwili zniknął.

Louise zawróciła w stronę samochodu. Planowała odjechać i nigdy więcej tu nie wracać, ale ciągle jeszcze nie mogła się na to zdobyć. Coś ją do siebie ciągnęło, a ona biernie się temu poddawała.

W końcu się tu znalazła, ale nie bardzo wiedziała, co właściwie powinna zrobić. I czy powinna się na to godzić. Nie wiedziała, czy tego chce.

„Tak, chcesz. Potrzebujesz tego”.

– Zamknij się – wyszeptała sama do siebie i szła dalej wąską ścieżką prowadzącą w gęstszy las, z którym graniczył od tyłu jej

dawny dom.

Natknęła się na znak. Przeczytała napis, licząc na to, że może coś jej się przypomni.

#### REZERWAT PRZYRODY FORMBY

Znów zerwał się wiatr, usłyszała go w koronach drzew rosnących przy ścieżce. Im głębiej wchodziła, tym gęściej rosły drzewa, aż w pewnym momencie dróżka przypominała już tunel. Nagle ścieżka się skończyła, a Louise odwróciła się w prawo. Wiedziała, że gdzieś tam znajduje się pole golfowe. Po cichu liczyła na to, że zaraz wyjdzie na rozległe, gładko przystrzyżone połacie trawy.

Zawsze uważała, że to miasto ma w sobie coś nieskończonego – że na jego terenie znajduje się tyle tajemniczych miejsc, że nie da się go do końca zrozumieć. Jedna z jego najpilniej strzeżonych tajemnic znajdowała się teraz po jej lewej stronie.

Louise ruszyła w las.

Powitała ją rozległa polana gołej ziemi, niegdyś zielonej i fascynującej, dziś zbrązowiałej i zaniedbanej. Zarośniętej, zniechęcającej. Domyślała się, że jeszcze do niedawna jeździło się tu quadami, ale właściciele w pewnym momencie postanowili ukrócić niszczycielską działalność kierowców i pozostawić teren przyrodzie. Pewnie raz po raz wzywano tu mundurowych, bo miasto prowadziło konsekwentne działania przeciwko niechcianej aktywności. Louise ruszyła przed siebie wąską, błotnistą dróżką. Wiedziona instynktem, zmierzała w kierunku linii drzew, za którymi krył się gęsty las bez ścieżek.

Szła przed siebie, wchodząc coraz głębiej w gęstwiny. Drzewa rosły tu tak blisko siebie, że w pewnym momencie całe jej pole widzenia wypełniały pnie i powalone kłody, tylko gdzieś tam odsłaniające fragmenty ziemi. Ziemia pod jej stopami była wyboista. Zmierzając w stronę jednego konkretnego punktu gdzieś

w oddali, Louise co chwila musiała pokonywać małe muldy.

Jej ciało zdawało się znać drogę i chętnie ją prowadzić. Na pierwszy rzut oka wydawało jej się, że wszystko tu wygląda tak samo, ale z jakiegoś powodu co chwila – jakby celowo – gdzieś skręcała.

Szła za głosem intuicji, z ufnością stawiając nogę za nogą. Zarośla gęstniały, a wiatr znad rzeki płynącej gdzieś za tymi drzewami z czasem przestał być wyczuwalny. Las z każdą chwilą zdawał się dominować coraz bardziej. Louise zatrzymała się, żeby odsapnąć. Siłą woli odpychała od siebie napastliwe myśli.

Po co tu przyszła?

Co tu robi?

Oparła się dłonią o gruby pień, krusząc spróchniałą korę. Czuła coraz większy ciężar w piersiach, gardło też zdawało się zamykać, zupełnie jak gdyby wraz z każdym krokiem w głąb lasu coraz bardziej narastało w niej pragnienie ucieczki. Zamknęła oczy i zaczęła odliczać oddechy, stopniowo się uspokajając wraz z każdym kolejnym wydechem. Otworzyła oczy i oderwała dłoń od drzewa, po czym otarła ją o uda, żeby pozbyć się resztek kory. Szła dalej przed siebie, nadeptując na duże wystające z ziemi korzenie.

W głębi lasu powietrze stało już właściwie nieruchomo, a ciszę zakłócał tylko rytm jej zmęczonego oddechu. Żadnych odgłosów zwierząt, żadnego ćwierkania ptaków, zupełnie jak gdyby one także unikały tego miejsca.

Pierwsze znaki Louise odnalazła już po krótkiej chwili. Mały odwrócony krzyż wryty w drzewie. Zaraz potem dostrzegła jeszcze dwa czy trzy inne znaki, wszystkie małe i niedostrzegalne dla kogoś, kto ich nie wypatrywał.

Zatrzymała się przy jednym z nich i przesunęła palcem po gładkich liniach wrytego kształtu.

Przypomniała sobie, że kiedyś – dawno temu – już to robiła.

Niemal spodziewała się te znaki tu znaleźć. Jak gdyby wiedziała, że one tu będą.

Zatrzymała się i zaczęła wypatrywać wokół siebie czegoś znajomego. W oddali, w odległości mniej więcej dwudziestu metrów, dostrzegła niewielki wał. Pokonała ten dystans, rozrzucając butami liście i ściółkę. Gdy tylko dotarła do nasypu, poczuła znajomą woń.

Kilka kroków w dół dostrzegła to, czego szukała. Schowane niemal idealnie.

W powietrzu wyraźnie czuła zapach śmierci, którego cień unosił się w powietrzu również w innych lasach na terenie miasta. Stąpała teraz ostrożniej, powoli schodząc po krawędzi nasypu w kierunku ruin małego ceglanego budynku. Nie nadawało się to na prawdziwe mieszkanie, miejscami się waliło, ale właśnie w takiej formie przetrwało w tym miejscu od lat.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że być może stoi właśnie na ludzkich zwłokach – ale szybko ją od siebie odpędziła.

To nie był on. To nie mógł być on.

To była idealna kryjówka. Zasyta głęboko w lesie, co prawda na terenie rezerwatu, ale w miejscu mało komu znanym. Przez krótką chwilę myślała, że może go tu nie ma. Że to miejsce po prostu przesiąkło tym zapachem i nie zniknie stąd tak szybko. Tylko że czuła jego obecność. Głęboko w jej wnętrzu odzywało się coś, czego źródło tkwiło w nieznannej sile.

Tyle lat później on ciągle tam był. W tym samym miejscu, do którego kiedyś uciekł.

Po tym wszystkim.

„Teraz musisz ze mną pójść. Musimy stąd iść. Chodź ze mną do lasu, zaczniesz nowe życie. Staniesz się taka jak ja”.

Odepchnęła od siebie tę myśl i on zniknął. Dla niej nie żył. Zostawił ją w spokoju.

„Oddychaj, Louise. Przyszłaś tu. Tylko co teraz?”.



Długo się nie musiała nad tym zastanawiać. W powietrzu wokół niej coś się zmieniło. Mrok zyskał nagle formę i kształt.

– Witaj, Louise. Strasznie długo się nie widzieliśmy...

## Rozdział 44

Siedziały po dwóch stronach sofy, w milczeniu popijając herbatę, zupełnie jak gdyby to była jakaś grzecznościowa wizyta. Wizyta, podczas której rozmowa może się nie klei, ale która mimo wszystko nosi pozory normalności.

Caroline doskonale zdawała sobie sprawę, że tu nie chodzi tylko o zwykłą brytyjską niezręczność. Wiedziała, że ta cisza ma poważniejsze powody. Spoglądała w okno, przez kilka chwil nie zwracając uwagi na telewizor stojący w rogu. Potem stwierdziła, że być może da się go wykorzystać do przełamania lodów.

– Kto by pomyślał, że w Liverpoolu się będą działy takie rzeczy.

– Najwyraźniej ty się orientowałaś w temacie lepiej niż większość innych ludzi.

Caroline przez kilka chwil wpatrywała się w ekran, a potem znów przeniosła wzrok za okno. Na dworze robiło się coraz ciemniej, powoli zapadł zmrok. Na parapecie stały kwiaty, lilie. Caroline zmarszczyła brwi, a potem spojrzała na matkę.

– Powinniśmy iść na policję. Wszystko im powiedzieć.

To stwierdzenie zaskoczyło Caroline, która właśnie otwierała usta, żeby coś powiedzieć.

– To jedyne sensowne rozwiązanie – ciągnęła matka, odstawiając kubek na zagracony stolik stojący przed kanapą. – Jeśli wiesz coś,

czego im nie powiedziałaś, to powinnaś...

– Mamo, to nic nie da.

– Dlaczego? Jeśli on tam jest...

– No właśnie o to chodzi – powiedziała szybko Caroline, przerywając matce, zanim ta zdążyła dokończyć myśl. – Ja już sama nie wiem. Już sama nie wiem, w co wierzyć.

– Może Matthew zabrał ktoś inny. Jakiś inny zły człowiek.

– On za dużo wiedział.

– Kto to był w tym tunelu?

– Nie wiem – odparła Caroline, stawiając swój kubek po przeciwległej stronie stolika. Przyglądała się literom wyzierającym spośród bałaganu zalegającego na jego blacie. Zobaczyła górę nieotwartych rachunków. – To musiał być on.

– A co się stało w tym tunelu?

– Nie wiem, mamo.

Caroline przyłożyła sobie dłonie do policzków i zaczęła palcami masować skronie. Za oczami czuła silny ból, powoli ogarniało ją zmęczenie. Ciążyły jej też te wszystkie pytania, na które nie potrafiła udzielić sensowych odpowiedzi. Miała ochotę podać tę jedną, jedyną prawdziwą odpowiedź, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że zabrzmiałoby to absurdalnie.

Pomyślała o tej policjantce, o Louise. O jedynym gościu, który ją odwiedzał w szpitalu. O tych jej pytaniach i o tym, jak zaczęła opowiadać o własnym życiu. Pomyślała, że być może Louise mogłaby ją potraktować poważnie, chociaż pewnie nie miałoby to wpływu na jej pracę. Przecież ona była policjantką, a nie pogromcą duchów. Zabrała ze sobą ze szpitala wizytówkę, na której Louise odręcznie zapisała numer swojej komórki.

Dwadzieścia lat strzegła tajemnicy o tym, co się stało wtedy w lesie. Teraz się zastanawiała, dlaczego przez cały ten czas nikomu jej nie wyjawiała i czy gdyby powiedziała coś wcześniej, to

los jej brata wyglądałby inaczej.

To była jej wina. I ona właśnie przed tą bolesną prawdą się chroniła.

Poświęciła jego życie, żeby ratować własne. Zostawiła go samego w lesie i słuch po nim zaginął. Teraz nagle pożałowała, że cokolwiek powiedziała. Że zaczęła go szukać. Że wyrzekła się swojego dotychczasowego, wygodnego życia.

Gdyby tego nie zrobiła, to tych wszystkich ran by nie było. Uśmiechnęła się gorzko, spoglądając na wybrzuszenia na brzuchu zasłoniętym cienką koszulką. Ciągłe jeszcze zabandażowanym, nie do końca zagojonym. Blizny po tych ranach już do końca życia będą jej przypominać o tym, że czasami... że czasami pewnych rzeczy nie warto wiedzieć.

– Coś czekało w tym tunelu – powiedziała w końcu Caroline, spoglądając przez chwilę na matkę, ale potem uciekając od niej wzrokiem. – Czeką na Matty’ego.

– Czeką na niego?

– Wszyscy przeszliśmy przez ten tunel, wszyscy byliśmy w lesie. Coś tam było, gdy ja przez niego przechodziłam. To coś nas obserwowało, odkąd weszliśmy między drzewa. Czeką na okazję. I tą okazją był moment, gdy przechodziliśmy przez tunel. To coś pewnie z początku myślało, że ja jestem nim. I próbowało mnie złapać. Dlatego wiedziałam, że to tam było. Gdybym się odwróciła i pobiegła z powrotem, to Matty ciągle by tu z nami był.

– Coś?

– Nie wiem, co to było. *Coś*.

– Kościuch – powiedziała jej matka, tym razem cichym głosem. Każdą kolejną sylabę przesycił strach.

– Słyszałam go.

Wypowiedziała tę myśl na głos po raz pierwszy, z pewnym rozczarowaniem stwierdziła jednak, że nic się od tego nie zmieniło.

Te słowa tylko zawisły między nimi jak chmura tytoniowego dymu w powietrzu.

– Słyszałaś Kościucha?

Caroline potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy może szczerze udzielić na to pytanie odpowiedzi twierdzącej. Może to wszystko jedno wielkie kłamstwo? Może nadal chodzi tylko o to, o co zawsze chodziło? Może to tylko historia, którą kolejne pokolenia dzieci opowiadają sobie po to, żeby się nastraszyć?

Tylko że tam w lesie naprawdę ktoś był.

– Przeszliśmy drugi raz przez ten tunel, ale nic nie zobaczyliśmy. Tych dwoje uciekło w przerażeniu, pobiegli z powrotem do domu. Ja jeszcze przez chwilę zostałam. Słyszałam go, mamó. Słyszałam głos Matty’ego. Dochodził z tunelu. On płakał, bał się. Nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam tam wbiec i mu pomóc, ale nie mogłam się ruszyć.

– Szukaliśmy w tunelu. Nie było go tam.

– Zostawiłam go tam, mamó. Zostawiłam go tam i to był koniec. Zniknął. Gdyby tam wtedy weszła sama, to może bym go uratowała.

Od tamtej chwili minęło już dwadzieścia lat, a ona pamiętała to dokładniej niż cokolwiek innego. Jak stała u wylotu tunelu i trzęsła się pod wpływem zimna, którego tak naprawdę nie czuła. Bała się. Była przerażoną, struchlałą małą dziewczynką.

Wplątała się w jakąś głupią grę, która poszła nie tak.

– Stałam tam pewnie z minutę, ale dla mnie to była cała wieczność. Słyszałam, jak płacze. Słyszałam, jak mnie woła. Jak woła ciebie. A potem zapadła cisza. Nigdy nie zapomnę tej straszliwej, paskudnej ciszy. Uciekłam. Do ciebie. Zostawiłam go tam zupełnie samego. Nie potrafiłam mu pomóc.

Caroline ciągle jeszcze miała przed oczami ten tunel. Niepozorny, zważywszy na to, co się kryło w środku. Taki zwyczajny – jak gdyby

można oczekiwać, że złowrogie miejsce będzie jakoś stosownie oznaczone.

Na tym właśnie polega problem ze złem. Ono się nigdy nie zapowiada. Żyje i gnije wśród normalności.

– Mniej więcej pół roku temu ktoś się pojawił w schronisku – ciągnęła Caroline, spoglądając na ekran telewizora, na którym u dołu wyświetlał się żółty pasek z wiadomościami z ostatniej chwili. Donosił o kolejnych zaginięciach, o kolejnych odkrytych miejscach zbrodni. W mieście roiło się od radiowozów, po niebie krążyły helikoptery.

– Opowiadał o Kościuchu. Mówił, że poznał kogoś, kto obiecywał go zaprowadzić do prawdziwego, autentycznego potwora. Wszyscy wokół wyzywali go od kłamców i innych takich, ale ja go słuchałam. Jednego wieczora poszłam za nim, żeby zobaczyć, dokąd indziej. On poszedł do tego lasu. Potem się dowiedziałam, z kim się spotykał. Z jakimś Rhysem. Obserwowałam ich. W tych lasach. Musiałam być pewna. Musiałam go zobaczyć.

– Kogo zobaczyć?

– Kościucha. To coś, co zabrało Matty’ego. Mojego brata. Chciałam to zobaczyć. Chciałam poczuć ten sam zapach, który czułam w tunelu. Musiałam się upewnić, że to nie była tylko jakaś głupia gra, że to było prawdziwe. Widziałam to. Widziałam symbole wyryte na drzewach, które pojawiały się znikąd. Czułam ten smród nawet z dużej odległości. Zapach psującego się miejsca, zapach śmierci.

W jej oczach znów pojawiły się łzy, bo zaczęła sobie przypominać, co się wydarzyło później. O tym, jak bardzo się myliła, myśląc, że sama da radę go powstrzymać.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się stało?

– Myślałam, że będziesz mieć do mnie żal, że mu nie pomogłam. Myślałam, że to jakaś głupia zabawa. Że on po prostu wróci. Bałam

się. Nie wiedziałam, co robić.

Matka chyba przyjmowała te wyjaśnienia, choć na jej czole zarysowały się jeszcze głębsze bruzdy zdumienia.

– Czyli możliwe, że Matthew ciągle gdzieś tam jeszcze jest?

Caroline nie odpowiedziała. Myślała tylko o tym człowieku, którego знаła jako Rhysa. O jego oczach, w które patrzyła, gdy nad nią stał. O krzykach tego mężczyzny, który leżał nieco dalej i którego kilka godzin później już nie było. Słyszała, jak za sprawą noża wcinającego się w jego skórę z jego ust wydobywają się ostatnie tchnienia.

Zapach śmierci wypełniał powietrze wokół nich.

– On tam dalej jest, Caroline – powiedziała matka, przesuając się wzdłuż krawędzi sofy w jej stronę. – Wiem to na pewno.

Caroline spojrzała na nią, a potem w jakiś punkt w pokoju, w który ona również patrzyła. Przekrzywiła głowę, a następnie wstała, nadwyrężając przy tym brzuch. Na jej twarzy wymalował się ból. Podeszła do parapetu i podniosła coś, co wyglądało jak porzucone przypadkowo gałązki. Przy nich leżała karteczka. Caroline ujęła ją w dłonie i przeczytała jej treść bardzo uważnie, a potem drugi raz i trzeci raz. Przeniosła wzrok na matkę. Czuła, jak serce wali jej w piersi. Tak samo, jak waliło, gdy leżała w lesie na ziemi, czekając na śmierć.

– To nie od Matty’ego. To od tego czegoś. Skąd to się wzięło?

## Rozdział 45

Louise nie kojarzyła z niczym konkretnym ani tego głosu, ani poczucia bliskości, które wzmagalo w niej kazde kolejne slowo. To wspomnienie tkwilo gdzieś bardzo glęboko.

Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego czuła się w jego obecności tak bezpiecznie.

Lata całe. Czas jakby przestał istnieć. Z przeszłości zostało tylko niewyraźne wspomnienie. Inne życie, inny świat. Tyle różnych doświadczeń, które potem mogły zastąpić te stare obrazy.

Louise była teraz innym człowiekiem, ale równie dobrze mogła znów być jedenastolatką. Przeniosła się z powrotem do czasów, których nie potrafiła sobie do końca przypomnieć, ale które nagle okazały się obecne w jej pamięci.

Lekki wiatr zatrzepotał liśćmi i ukłuł ją w oczy, szeroko otwarte, nieosłonięte powiekami. Mrugnęła szybko. Poczwała wiatr we włosach i spodziewała się kolejnego podmuchu. Od wybrzeża dzieliła ją teraz na tyle duża odległość, że zapach słonej wody stał się całkowicie niewyczuwalny, a jednak Louise się wydawało, że rozpoznaje w powietrzu charakterystyczny smak.

– Pamiętasz to miejsce? – powiedział głos ukryty gdzieś pośród liści, w krainie ziemi. W mroku.

– Kim jesteś? – zapytała Louise, posyłając swoje słowa gdzieś



mniej więcej w jego stronę. Nie mogła być pewna. Nie chciała być pewna. Spoglądała na pozostałości po starym budynku, dostrzegała graffiti na ceglonym murze.

– Dobrze wiesz, kim jestem – powiedział głos, który nagle nabral konkretnych kształtów.

Najpierw z mroku wyłonił się cień, a potem Louise zobaczyła postać. Mężczyzna miał na sobie poszarpane ubrania, długi płaszcz, który zasłaniał prawie całe jego ciało. Ciemny, niemal czarny. Mimowolnie Louise pomyślała, że ten ktoś do perfekcji opanował sztukę kamuflażu. Że ma w tym zakresie ogromne doświadczenie – i że nie dotyczy to wyłącznie środowiska naturalnego, a konkretnie lasu, ale również cech osobowości oraz sposobu mówienia o sobie.

Nie sprawiał wrażenia człowieka z krwi i kości. Miał w sobie coś ze zjawy, zdawał się wtapiać w otaczający go krajobraz. Jakby był elementem nocy.

Tak długo ich zwodził. Tak długo.

– Wypowiedz moje imię.

Louise się zawahała. Co ona właściwie robi w tym lesie? Jak znalazła to miejsce? Co ją tu sprowadziło? Instynkt jej podpowiadał, że powinna uciekać, ile sił w nogach. Tyle że teraz nie mogła się ruszyć.

– Masz dwie możliwości, Louise. Możesz albo mnie zaakceptować, albo mnie aresztować.

Usłyszała, że te słowa zostały wypowiedziane ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Zupełnie niechcący się roześmiała. Nie zdołała się powstrzymać. Sytuacja wydała jej się skrajnie absurdalna.

Ona, detektyw.

On, seryjny morderca?

Te słowa, choć tylko pomyślane, wywołały całą lawinę wspomnień. Z czasów, gdy miała jedenaście lat i chodziła po tych

lasach. I gdy on jej towarzyszył.

Polowali. Na coś. Do końca nie wiedziała, na co.

On jej przesłał wiadomość, wiedząc, że w ten sposób ją tu ściągnie. Trudno jej było przyjąć do wiadomości cokolwiek więcej. To był tylko zbieg okoliczności. To wszystko. On się przez ten cały czas ukrywał w lasach w pobliżu ich starego domu, nie dając jej znaku życia. Coś w jej wnętrzu głośno się jednak domagało, aby w końcu się pogodziła z rzeczywistością. On jest tym, kim jest. I zawsze taki był.

Czy faktycznie taki był?

Trochę czasu jej to zajęło, ale teraz nagle zobaczyła go takim, jakim był naprawdę.

Złym.

– A co byś zrobił, gdybym cię faktycznie aresztowała?

Teraz dostrzegała w nim pewne cechy, które nawet pomimo upływu czasu wydawały jej się rozpoznawalne. Z drugiej strony, wiedziała, że swoim wspomnieniom nie może ufać. I że nie może ufać rzeczywistości. Zapewne istniała jakaś podziemna konstrukcja. Pewnie pod tymi ruinami. To tam czuł się naprawdę jak w domu.

Louise go знаła. Wiedziała, do czego jest zdolny.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – odparł, tym razem zupełnie poważnym tonem. – Jak byś wyjaśniła to, że tu jestem? To, na co mi pozwoliłaś?

– Myślałam, że nie żyjesz. Że wszyscy nie żyjecie.

– Zawsze znałaś prawdę. Od samego początku. Wiedziałaś, kim jestem i kto za tym wszystkim stoi. Od samego początku. Gdy tylko zobaczyłaś te znaki w lesie i usłyszałaś to imię.

– To byłoby twoje słowo przeciwko mojemu. Komu uwierzą? Policjantce czy choremu sadystycznemu mordercy?

– Tak o mnie myślisz? Że jestem zły?

– A co innego mam myśleć? – odparła Louise, które teraz krążyła wokół stojącej nieruchomo postaci. – Czy to nie dlatego tu jestem? Czy nie dlatego włamałeś się do mojego domu? Przez te wszystkie lata niczego ode mnie nie chcesz, a potem nagle się pojawiaasz, gdy w całym mieście zaczynają znajdować się ciała. Co ja mam niby myśleć? Wiedziałaś, co znajdę. Że odkryję to, co robiłeś przez te wszystkie lata. Zabiłeś ją. To znaczy Hazel Durham.

– Fajna była. Podobałaby ci się ta jej ucieczka – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało jakby coś nowego. To było coś jakby prośba, jak gdyby oczekiwał, że teraz na ostatniej prostej ona już go nie odrzuci. – Musiałem chronić własne życie.

– Jasne, życie, które polega na zabijaniu ludzi.

– To nie jest takie proste, Louise – powiedział już bez irytacji. Wrócił do przemawiania tonem protekcyjnym, pełnym politowania. – Nic nigdy nie jest proste. Nasz świat nie jest czarno-biały. Jest szary. Zawsze jest szary. Któż wie to lepiej niż ty?

– Powiedz to rodzinom Adama Parkera, Nicoli Borthwick, Grega Halla, Carla Grovesa...

– Nie...

– Jona Durhama – dokończyła Louise, rzucając nazwiskami w jego stronę. – Jego to nawet nie potrafiłeś zabić, co? Musiałeś go nakłonić, żeby sam to zrobił. Bo on cię przejrzał.

– Dość tego – powiedział na tyle głośno, że jego głos rozniósł się echem wokół nich.

Louise znieruchomiała. Stała teraz bliżej, na tyle blisko, że mogła spojrzeć głęboko w jego oczy, a właściwie w dwie ciemne kule w oczodołach. Jego oczy tak naprawdę zawsze takie były, bezduszne, bez życia. Niemal potrafiła dostrzec mrok pod jego skórą i warstwą błota, która prawie się z nią zintegrowała. Nadal potrafił ją zatrwożyć. Nadal miał nad nią władzę. I to ją przerażało.

W jej głowie nagle pojawiło się morze wspomnień, zupełnie jak

gdyby jego obecność doprowadziła do zerwania jakiejś tamy, którą ona przez lata budowała, żeby się chronić i żeby nie musieć mierzyć się z własną przeszłością.

– Nie rozumiesz – powiedział, teraz już bardziej opanowanym tonem. – Biedna Louise. Wiem, że sporo przeszłaś. Pozwól więc może, że ci wyjaśnię, dlaczego tu jestem...

– Nie – odparła Louise stanowczo, ale w przeciwieństwie do niego bez podnoszenia głosu. Odniosła w ten sposób nad nim małe zwycięstwo, którego ranga wzrosła w jej oczach, gdy stwierdziła, że lekko zbiła go w ten sposób z tropu. – To nie może dalej trwać. Nie mogę na to pozwolić.

– Ależ możesz. Dobrze wiesz, że to jest rozwiązanie. Tego właśnie przez te wszystkie lata szukałaś.

– A skąd ty niby wiesz, co ja robiłam przez te wszystkie lata?

– Wiem więcej, niż ci się wydaje.

Louise przez chwilę milczała, szukając w głowie odpowiednich słów, które by nie zabrzmiały jak czcza groźba.

– No to mi powiedz, dlaczego... – powiedziała w końcu, znajdując w sobie dość odwagi, aby zrobić jeszcze krok w jego stronę. Teraz widziała go dokładniej. Patrzyła na rysy jego twarzy, które dzielący ich czas wyraźnie naznaczył i zmienił. Dzieliły ich teraz kłamstwa i niespełnione obietnice. – Dlaczego przez te wszystkie lata pozwoliłeś mi myśleć, że nie żyjesz?

Był Kościuchem. Zawsze. To była kolejna myśl, która pojawiła się w jej głowie znikąd i bez zapowiedzi. Nic jednak dla niej nie znaczyła. Louise czuła w sercu tylko chłód.

– Musiałem odejść, Louise – odparł, odwracając się do niej plecami. – Pożar był dobrą wymówką. Musiałem wrócić tam, gdzie było moje miejsce. Tam, gdzie jest *twoje* miejsce. Szkoda, że ze mną nie poszłaś. To była dla ciebie właściwa droga.

Louise puściła to ostatnie zdanie mimo uszu.

– Przez te wszystkie lata żyłam z myślą, że jestem sama. Że zostałam już tylko ja. Dlaczego?

– Tak było lepiej.

Stali pośród ciemniejącego nieba w podmuchach wiatru. Louise czuła, że zalewa ją fala dobrze znanych uczuć – tych uczuć, które tak często i z takim trudem od siebie odpychała. Nienawiść i gniew zbierały się w postaci kuli czarnej ropy gdzieś w jej żołądku, bulgocząc coraz mocniej i coraz głośniejsze domagając się uwagi. I prawa głosu.

– Ty nim byłeś. Przez cały czas.

– Nie było żadnego *jego*. Tylko ja. Ty wiesz, dlaczego ja tu jestem. Dlaczego zawsze tu byłem. Ty też to czujesz.

– Nie rozumiem...

– Ależ rozumiesz, Louise – powiedział, przekrzywiając głowę i jakby usiłując dostrzec w niej coś nowego. – Niektórzy z nas lubią sport, inni chcą zostać prawnikami albo politykami. Ty chciałaś chronić ludzi, więc wstąpiłaś do policji. Każdy ma swoje powołanie.

– I twoim jest zabijanie ludzi?

– Tu chodzi o coś więcej, Louise – powiedział szybko, jakby rosnąc w siłę. Polana wokół nich stała się jakby mniejsza. Louise czuła, jak jej przestrzeń się kurczy, jak staje się coraz ciaśniejsza. – Zdecydowanie o coś więcej. Ja jestem wolny. Jestem panem własnego życia. Sam piszę swoją historię. Nikt mnie nie może powstrzymać.

– Napawasz mnie obrzydzeniem.

On się na to roześmiał, gromko i odrażająco. To było jego prawdziwe oblicze. To zawsze w nim tkwiło, ukryte przed nią i tymi wszystkimi ludźmi, którzy go znali. Tak to w każdym razie teraz wyglądało. Ona nigdy tak naprawdę nie знаła człowieka, który krył się za sztuczną fasadą jak za maską. Teraz go poznała.

Nagle przestał się śmiać.

– Czym innym mogę być? – powiedział. Wyraz jego twarzy ponownie diametralnie się zmienił. – Nie mogę być tacy jak inni. Jak te bezmyślne trutnie. To nie jestem ja. To nie jesteś ty. Powiedz mi, czy naprawdę masz poczucie satysfakcji, jak zamykasz tych wszystkich złoczyńców? Czy masz poczucie, że zrobiłaś coś słusznego? To żalosne. Zawsze byłaś kimś, nie możesz być po prostu trybikiem w jakiejś maszynie. A tym się właśnie stałaś. Jesteś od wypełniania papierków w cudzym imieniu i od pozbawiania innych ludzi wolności. A my wszyscy jesteśmy tylko zwierzętami, Louise.

Wzdragała się za każdym razem, gdy z jego ust padało jej imię. On je wypowiadał tak, jak gdyby należało do niego.

– Zwariowałaś. Jesteś chory. Pozwól mi sobie pomóc.

– Mnie się nie da pomóc. Nikt nigdy nie potrafił mi pomóc. Zawsze taki byłem. Ty mnie tylko od tego odrywałaś. Zresztą podobnie jak cała reszta. Wszyscy próbowaliście mnie powstrzymać przed byciem tym, kim mogłem się stać.

– Nigdy nie byłeś czymś takim. Stałeś się czymś innym, niż byłeś. To nie jesteś prawdziwy ty.

Przysunął się do niej. Ona nagle poczuła, że nie jest w stanie się ruszyć. Jakby wrosła w ziemię, gdy się do niej zbliżył – niosąc ze sobą straszliwy smród.

„To śmierć. On nią cuchnie. Zostawi ten zapach na tobie. Nigdy nie zdołasz się go pozbyć. On cię splami i pozostawi po sobie blizny”.

– Prawdziwy ja? Czy to chcesz zobaczyć? Czy po to tu przyszłaś? – powiedział, zatrzymując się o kilka kroków od niej i spoglądając jej głęboko w oczy. Nie potrafiła odwrócić wzroku, mrok z wielką siłą ją wciągał. – Nie po to tu przyszłaś. Przyszłaś, żeby mnie odnaleźć. Oto więc jestem...

– Przez całe lata myślałam, że nie żyjesz. A ty przez cały ten

czas... byłeś tutaj. I pozwalałeś, żebym była z tym wszystkim sama.

– Dla twojego własnego dobra...

– To nie była twoja decyzja. – Głos Louise rozbrzmiewał echem wokół nich. Poczowała ścisk w gardle i mrugnęła powiekami, aby powstrzymać się od łez. – Dlaczego? Dlaczego ich zabiłeś? Czym oni sobie na to zasłużyli?

– Sama dobrze wiesz, jak jest. Wszyscy jesteśmy źli. Wszyscy to mamy w sobie. Założę się, że też to teraz czujesz. Niczego bardziej byś nie pragnęła, jak mnie teraz zabić. Zacisnąć te swoje dwie małe dłonie na moim gardle i wydusić ze mnie życie. Jesteś policjantką. Nie raz się stykałaś ze złymi ludźmi. Na pewno to wtedy czułaś. Że świat byłby lepszym miejscem, gdy ich po prostu z niego wyeliminować. Zastanawiałaś się kiedyś, skąd się bierze to uczucie? Zdradzę ci pewien paskudny sekret: wszyscy pragniemy być zabójcami. Wszyscy chcemy robić to, co ja robię. Doskonale wiesz, że tak jest. Dobrze wiesz, co w tobie tkwi, tam w głębi, zamknięte jak te wszystkie wspomnienia, przed którymi się przez całe lata wzbraniałaś. Właśnie dlatego tu teraz jesteś.

– Mylisz się – powiedziała Louise cicho, niemal szeptem. Niemal już czuła go na sobie. Czuła na twarzy jego ciepły oddech. Czuła, jak skraca się między nimi dystans. – Ja bym nigdy nie zrobiła czegoś takiego.

– Idź za tym głosem – odparł z szerokim uśmiechem, ukazując przy tym zęby. – Przecież wiem, że tego chcesz.

Louise mocno zacisnęła powieki, potrząsając głową. Oddychała teraz płytko, czuła na piersi wielki ciężar. Wydawało jej się, że on na nią napiera, a ona ma nogi jak z waty.

– Nie, nie zrobisz mi tego! – wykrzyczała. Jej głos wystraszył ptaki. Nie widziała, jak wzbijają się w powietrze, ale słyszała zgodny trzepot skrzydlatej ucieczki z jej piekła. Otworzyła nagle oczy i splunęła. – Nie dam ci się. Koniec z tym. Jesteś nikim.

W niczym nie jesteś lepszy od tych wszystkich innych szumowin.

Nie widziała, żeby się poruszył, ale coś jej mignęło w ciemności i nagle leżała już na ziemi. Uderzyła głową o ziemię, na chwilę tracąc ostrość widzenia, jak gdyby przeszył ją świetlny piorun. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, poczuła ramię na gardle i już nie mogła zaczerpnąć tchu.

– Nie ruszaj się – powiedział z góry. W szeroko otwartych ustach dostrzegła poczerwiałe, zepsute zęby. – Jak się pogodzisz z losem, to będzie mniej bolało.

Wierzyła nogami, usiłując chwycić go za ramiona i odciągnąć je od swojej klatki piersiowej i gardła. Mocno wbiła paznokcie w materiał płaszcza, ale on zupełnie nie zareagował.

„To nie tak miało być”.

„ZAMKNIJ SIĘ!”.

Louise zacisnęła dłonie w pięści i tłukła go z całej siły. Bezskutecznie usiłowała chwycić choćby łyk powietrza. Pozostało jej spoglądać w ten mrok wypełniający przestrzeń, którą powinny zajmować oczy. Próbowwała kręcić głową, ale wtedy on drugą ręką przycisnął ją do ziemi. Nadal cały czas starała się uderzać w jego ramiona, w jego ciało, w cokolwiek.

– Zaraz będzie po wszystkim, Louise – powiedział, ale jego słowa dotarły do niej jak przez mgłę. – Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Wydawało mi się, że pójdziesz po rozum do głowy. Że do mnie dołączysz, jak inni.

Czuła, że traci przytomność, więc zdwoiła siłę swoich ataków.

„Za późno. W ogóle nie należało tu przychodzić”.

Nie mogła na to pozwolić, ale jej opór był bezskuteczny. Był dla niej zbyt silny, zbyt potężny.

Zbyt doświadczony.

Te historie, których się nasłuchiwała jako dziecko, teraz stały się jego własnością. On wcielił je w życie i je zawłaszczył.



Stał się potworem.  
A teraz zabijał również ją.

## Rozdział 46

Siedziały w ciszy, jakby czekając na rozpoczęcie kolejnego rozdziału w życiu. Matka przestała proponować kontakt z policją, co Caroline przyjęła z zadowoleniem. Raz po raz jej powtarzała, że to nie ma sensu.

Obracała w dłoniach wizytówkę z numerem Louise. Zataiła przed nią – przed nimi wszystkimi – prawdę. Teraz się zastanawiała, czy już zdołali przejrzeć jej kłamstwa. Wydawało jej się to mało możliwe, a wkrótce miało stać się zupełnie nieistotne.

– On wraca.

Matka Caroline wypowiedziała te słowa już po tym, jak jej córka przeczytała kartkę i jak powiedziała, kto ją tak naprawdę zostawił. To nie Matty, to coś innego. Coś, co mogło w każdej chwili nadejść.

Co nadchodzi.

– To nie może być on, mamó – powiedziała Caroline, usiłując przerwać ciszę, która nabrzmiewała między nimi już mniej więcej od godziny. Obie wpatrywały się przez ten czas w telewizor.

– On... To nie on...

– Spójrz na to pismo – odparła matka, odrywając wzrok od ekranu i wszystkich tych okropieństw, o których donosiły wiadomości. – To jego pismo.

Caroline nie musiała drugi raz patrzeć na te niemal nieczytelne

gryzmoły. Na to niesamowicie dziecięce pismo.

– To jest jego pismo. Zobacz, jak pisze *mama*. Jak się to *ma* zawija ku górze. To jego pismo.

Matka zerwała się z kanapy, niemal zahaczając w pośpiechu o stolik. Caroline usłyszała, jak wchodzi po schodach, a następnie wchodzi do jednego z pokoi. Znów spojrzała na wizytówkę Louise. Znów zaczęła się zastanawiać.

– Zobacz sama – powiedziała matka, przystawiając jej do twarzy jeden ze szkolnych podręczników Matty’ego. Wskazywała palcem jedną ze stron, a na niej słowa nieczytelne dla Caroline. – Tutaj, no zobacz.

Caroline nic nie powiedziała, nagle zabrakło jej sił. Najbardziej na świecie chciała zapomnieć...

Coś w jej wnętrzu zdawało sobie jednak sprawę, że teraz nie może zawrócić.

Że prędzej czy później będzie musiała tam wrócić.

Znów zapadła między nimi cisza. Jej matka czekała na powrót dawno zaginionego syna. Caroline czekała na to, co ją miało spotkać. Chciała od tego uciec, wydostać się z tej sieci depresji swojej matki, która teraz oplata je obie. Siedziały w salonie i oglądały serwis informacyjny, licząc na to, że dowiedzą się z niego czegoś więcej na temat wydarzeń rozgrywających się właśnie w mieście. Obserwowała, jak napięcie jej matki rośnie wraz z każdym ruchem, jak strach wycieka z niej wszystkimi porami skóry.

– Poczekaj jeszcze – powiedziała, gdy Caroline po raz kolejny zasugerowała, że pora już na nią. – On tu wkrótce będzie.

Caroline nie wiedziała, co ma zrobić, ale nie chciała ponownie tłumaczyć matce, że Matty nie wróci. Że oni nigdy nie wracają. Że jak się już raz zniknie, to znika się na zawsze. Że potem już nigdy nic nie jest takie samo.

Nawet gdyby chciał, on teraz nie mógłby wrócić i być tym synem, za którym ona tęskniła. Zbyt wiele czasu już minęło.

– Mamy tak tu siedzieć i czekać całą noc? – zapytała Caroline, usiłując uświadomić matce bezsens tego wszystkiego. Usiłując przemówić jej do rozsądku.

– On przyjdzie. Zobaczysz.

Caroline wiedziała już, że niepotrzebnie opowiedziała matce o tym, co ją spotkało. Że niepotrzebnie wróciła do tego domu i do tego życia. Przecież raz już od tego koszmaru uciekła.

W ogóle nie powinna próbować go odnaleźć. Sprowadzić go z powrotem.

Wiatr się zerwał, z dworu dało się słyszeć dźwięk dzwoneczków. Caroline wyczuwała ten nadchodzący mrok. Kojarzył jej się z lasem. Z wiatrem, który z ogłuszającą wrogością huczy pomiędzy drzewami. Z ziemią i drzewami zatopionymi w ciemnościach, w których wszystko staje się bardziej wyraziste niż w świetle.

Wydawało jej się, że czuje na skórze jego oddech. Jego ruch. Jego dotyk.

Zdołała stamtąd uciec, ale najwyraźniej na darmo.

Caroline stale wpatrywała się w ekran telewizora, podczas gdy jej matka wstała i poszła do drugiego pokoju. Pojawiały się coraz to nowe doniesienia, zleпки zdarzeń, kolejne miejsca.

Materiały wideo.

To ją przerastało. Jej koszmary nagle ożywały.

„Sky News otrzymała materiał filmowy, na którym widać coś, co jest w lesie”...

Znów spojrzała na wizytówkę Louise i nagle podjęła decyzję. Sięgnęła po komórkę matki i zaczęła wybierać numer. Już miała wcisnąć przycisk nawiązywania połączenia, gdy sobie uświadomiła, że w pokoju obok coś się dzieje. Usłyszała szybki wdech, mamrotanie, urwany krzyk. Oderwała wzrok od ekranu telefonu

dokładnie w momencie, w którym matka, mówiąc coś sama do siebie, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi.

– Jest. Wrócił.

Na widok postaci stojącej na tle mroku zeszywniała ze strachu. Nie wiedząc nawet kiedy, doskoczyła do matki.

– Mamo, nie otwieraj.

„Oni nie wracają. Oni nigdy nie wracają”.

Widział je w środku, jak niecierpliwie czekają na jego powrót.

Żałował, że nie zawsze tak było.

Przestrzegął instrukcji co do joty.

Kościuch wskazał mu drogę. Stworzył go na swój obraz. Pokazał mu światło i mrok.

Nauczył go zabijać.

To był finał tej historii. Ostatni rozdział. Jutro miała się zacząć nowa historia. Gdzieś daleko stąd.

W innym miejscu, nowym i ekscytującym.

Już nie mógł być Kościuchem. Trzeba było zacząć od nowa. Każde duże i małe miasto, każda wioska – każde miejsce ma swoją historię o Kościuchu. Wystarczy ją tylko odkryć i wykorzystać.

I stać się legendą.

Taki był plan dla wszystkich. Ostatnia noc przemocy w tym mieście, w którym się wszyscy urodzili. A potem nowe otwarcie.

Wiatr się uspokajał, już nie wył tak gwałtownie. Spojrzał w niebo, na którym szare chmury majaczyły na tle czarnej nocy. Pomyślał, że będzie padać.

Lubił deszcz.

Dwie kobiety siedziały w środku na kanapie, w ogóle się do siebie nie odzywając i tylko wpatrując się w stojący w rogu telewizor. Wyobrażał sobie, jak chłoną te wszystkie informacje, te różne historie.

O tych wszystkich ludziach.

O tych wszystkich ciałach.

Widział Caroline. Ślady na jej twarzy. Grymas przy każdym ruchu. Jakże był bliski tego, żeby ją zabić.

Najlepiej zapamiętał obraz, który zobaczył na krótko przed świtem. Miękkie światło tańczyło na jej twarzy, a cichy szelest liści utulał ją do snu jak kołysanka. Była jednocześnie piękna i przerażająca.

Poruszał się ze zwinnością typową dla stworzeń nawykłych do życia w cieniu. Niepostrzeżenie. Niezauważenie. Żył tak przez wiele lat, nieuchwytny dla wzroku. Aż w końcu postanowił się ujawnić.

Na zewnątrz robiło się coraz chłodniej, ale on zdawał się tego nie zauważać. Pochłaniało go obserwowanie i oczekiwanie.

Wiedział już, co zrobi dalej.

Caroline i jej matka musiały umrzeć. Żeby on mógł żyć.

On ją w ten sposób ratował.

Wziął głębi wdech, jak gdyby napawał się nieznaną sobie dotąd słodyczą. Przygotowywał się na chwilę, w której poczuje zatęchły zapach tego domu. Wyobrażał sobie, jak jego gęste powietrze wykonuje przed nim swój powolny i niedbały taniec.

Wolał świeżość powietrza lasów, które teraz uważał za swój dom.

Matka wstała, powiedziała coś do Caroline, a potem przeszła do drugiego pokoju. Te dwie przestrzenie się od siebie różniły. W salonie na podłodze leżał dywan, w części jadalnej posadzka była wyłożona drewnem. Światło wpadało do obu pomieszczeń przez duże wykuszowe okna, sięgające niemal od podłogi do sufitu. Okna wypełniały w zasadzie całą zewnętrzną ścianę, z niewielką przerwą na drzwi. Mógł zatem swobodnie obserwować, co się dzieje w środku, również we frontowej części domu, gdzie przesiadywały w milczeniu.

Gdy matka podeszła do okna, lekko się poruszył. Miał okazję zajrzeć jej w oczy, zobaczyć ten ból, tę krzywdę. Patrzył na zmarszczki na jej twarzy, na zwisającą miejscami skórę. Smutek wyobrażał sobie jako ciężar, który ją gniecie, ale który tylko ona może nosić. Widział, że powoli ją przygniata, że już brakuje jej sił.

Patrzył, jak zatrzymuje się przy drzwiach i spogląda w głąb ogrodu. Patrzył na nią i rozmyślał o tym wszystkim, co przeżyła. O tym wszystkim, bez czego musiała się obejść.

Przez chwilę mógł jej spojrzeć prosto w oczy. Ich spojrzenia się spotkały, choć ona tylko wpatrywała się w mrok. Ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, ale w tym momencie zadzierzgnęła się między nimi więź, powstała jakaś łączność.

Bliskość.

Coś w nim tęskniło za nią jak wściekłe. Część w nim, którą ona by rozpoznała i uznała za część samej siebie. On niemalże wiedział, co ona myśli, co czuje.

Przemieścił się, szybko i bezszelestnie. Sam miał poczucie, jak gdyby ślizgał się po powierzchni, pokonując prostą linię w kierunku drzwi, przy których stała matka. Z początku go nie dostrzegła, tak doskonale wtapiał się w mrok.

Coś się na jej twarzy zmieniło, gdy pojawił się w polu jej widzenia. Z początku przerażenie kazało jej się cofnąć, bo on zatrzymał się tuż przy dzielącej ich szybie. Potem jednak podeszła do niego, unosząc do twarzy drżące dłonie.

Uśmiechnął się.

To był ten moment, na który czekał. Na to spojrzenie, jak gdyby go rozpoznawała. Jak gdyby uosabiał wszystko, na co czekała.

Jak gdyby był tym synem, za którym tak tęskniła.

Tym synem, który już dawno nie żył.

Pierwszą ofiarą nowej historii. Pierwszą po powrocie Kościucha.

Pamiętał, jak siedział w ciemnościach i słuchał tej historii, nie

mogąc oderwać wzroku od starszego mężczyzny. Był wtedy taki młody, to było jakoś z dziesięć lat wcześniej, ale zapamiętał każde słowo.

Ktoś mu wskazał drogę ucieczki od dotychczasowego parszywego życia. Od rodziców narkomanów, o których słuch dawno zaginął. Tak naprawdę narodził się w tych lasach.

Widział, że matka porusza ustami, jak gdyby coś mówiła. Dłonie ciągle jeszcze jej się trzęsły, gdy zaczęła kiwać głową i płakać. Wskazał gestem drzwi wejściowe, a ona poszła w ich kierunku.

Otworzyła je i zaprosiła do środka.



## Rozdział 47

Louise miała przed oczami tylko czarne kropki. Usta miała otwarte, a nieruchomy język do niczego się już nie nadawał. Cały czas walczyła, bo nie zamierzała po prostu poddać się jego woli. Nie zamierzała się na to zgadzać.

Zamierzała walczyć do samego końca.

Wyprostowała nogi, a następnie przywiodła kolana do brzucha i wbiła w dolny odcinek jego pleców. Lekko go pchnęła, więc ramię przyciskające jej gardło nieco się przesunęło. Zyskała w ten sposób szansę zaczerpnięcia kolejnego oddechu, z którym przyszedł zastrzyk energii. Spróbowała raz jeszcze i znowu, bo znad głowy dobiegał ją mobilizujący jęk.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie będzie miała dużo czasu na ucieczkę. W głowie szalały jej miliony myśli, które zderzały się ze sobą, tworząc nieznośną kakofonię dźwięków. W tym momencie nie liczyły się już ani jej historia i przeszłość, ani przyszłość. Wszystko sprowadzało się do tej jednej chwili tu i teraz.

Chwilę później znów nie mogła oddychać, jego ramię znów odcinało jej dostęp tlenu. Docisnął ją do ziemi całym ciężarem swojego ciała. Bardzo trudno jej się było poruszyć, niemal skutecznie ją sobie podporządkował i uciszył.

Louise uderzała go po bicepsach i po szyi, on jednak odsuwał

głowę, unikając jej ciosów. Przez cały czas patrzyła w tego jego mroczne i bezduszne oczy, w których mimo wszystko dostrzegła coś znajomego. Zmrużyła powieki, jak gdyby w błagalnym geście.

On się uśmiechnął, odsłaniając przy tym obrzydliwe chore zęby i dziąsła. Pamiętała coś innego, inny uśmiech. Uśmiech, który dawał jej szczęście i poczucie bezpieczeństwa. Teraz zostało z niego coś przeinaczonego, zdeformowanego.

To nie był ten sam człowiek, którego ona знаła.

Zamknęła oczy, starając się zgromadzić ostatnie zapasy energii.

Skutecznie wbiła kolana w miejsce, które stanowi słaby punkt każdego mężczyzny. On przecież też był mężczyzną. Nie potworem, nie jakimś ogrem, tylko zwykłym człowiekiem.

Chwycił raptownie powietrze, a potem zamilkł. Nacisk na jej szyję powoli słabł. On poruszał się powoli, więc ona bez zastanowienia zepchnęła go z siebie i wymknęła się spod niego.

Nie oglądała się za siebie, tylko skoczyła na równe nogi i pobiegła pierwszą ścieżką, którą dostrzegła. Zmusiła swoje ciało do biegu, a ono zareagowało bez dyskusji, niosąc ją pośród drzew jak rączą gazelę. Przedzierając się przez gęstwiny, zahaczała ciałem i twarzą o gałęzie, ale mocno stąpała po ziemi i z całych sił pracowała ramionami. Miała wrażenie, że cały czas go słyszy, jak gniewnie charczy gdzieś w oddali i z każdą sekundą skraca dzielący ich dystans.

Potknęła się o zerwaną gałąź, straciła grunt pod nogami i wykręciła kostkę. Poczowała ostry ból w stopie i łydce. Przewróciła się i odruchowo chwyciła się za nogę. Spojrzała w las, spodziewając się za chwilę zobaczyć go pośród drzew, ale dostrzegła jedynie tę ścieżkę, którą sama przed chwilą wytyczyła.

Podniosła się i spojrzała na dłonie czarne od błota i nie wiadomo czego jeszcze. Ruszyła przed siebie. Nie mogła przecież liczyć na to, że on sobie odpuści albo że nie zdoła jej znaleźć. Przecież znał te

lasy jak własną kieszeń. Louise posuwała się naprzód, usiłując wydostać się spomiędzy drzew. Każdy krok przynosił przeszywający ból, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi i kuśtykała tak szybko, jak tylko potrafiła.

Kilka chwil później pokonała granicę drzew i znalazła się na polu, przez które szła w tamtą stronę. Teraz jej się wydawało, że całe wieki temu. Znajdowała się ze sto metrów od ścieżki, którą weszła do lasu, ale już czuła się bezpieczniej. Gdzieś w oddali dostrzegła światło, drogę. Oznaki życia.

Ludzi.

Zwolniła i zaczęła w większym stopniu przenosić ciężar ciała na kontuzjowaną kostkę, która puchła z każdą chwilą.

„Nie może być złamana. To byłby koniec”.

Louise kuśtykała ścieżką, która prowadziła do jej samochodu. Zatrzymała się na chwilę i obejrzała za siebie. Spodziewała się zobaczyć jego, ale miała przed sobą tylko drzewa i dróżkę. Całkowity, niczym niezmałcony spokój. W tej otwartej przestrzeni już nikt jej nie gonił.

„On miał zamiar cię zabić. Ciebie. Dlaczego?”.

Louise potrząsnęła głową, żeby odgonić od siebie ten głos. Na razie nie miała ochoty się nad tym zastanawiać. Najpierw musiała się dostać do samochodu i jak najszybciej stąd odjechać. Jeszcze nie wiedziała, co zrobi potem, wiedziała tylko, że w tej chwili nie jest w stanie niczego sensownie rozstrzygnąć.

Szła dalej i mniej więcej po minucie przeszła przez pole i znalazła się na ścieżce prowadzącej na parking. W powietrzu poczuła słoną bryzę. Nareszcie coś normalnego.

Obok przeszedł jakiś mężczyzna, który prowadził na smyczy wyrrywającego się do przodu cocker-spaniela. Louise odwróciła głowę, a ręce schowała do kieszeni, ale mężczyzna i tak spojrzał na nią z pewnym zaniepokojeniem. Nie zwolniła kroku, licząc na to, że

nie będzie próbował jej zatrzymać – żeby zapytać, czy wszystko w porządku, żeby wyrazić uprzejmą troskę.

Kulejąc, doszła do samochodu. Na widok kolejnych przechodniów nachyliła się, udając, że wiąże but. Gdy ludzie odeszli, wyjęła z nad tylnej opony zamocowane tam na tasie kluczyki.

Zaraz potem siedziała już w samochodzie. Przez chwilę się zastanawiała, czy da radę prowadzić z taką kostką – ale zaraz później pochłonęła ją groza rzeczywistości.

Znów nie mogła oddychać, znów z trudem łapała powietrze. Serce waliło jej jak młotem. Znów czuła na sobie jego ciężar. On znów ją dusił, znów przygniatał. Czuła się tak, jak gdyby ktoś wsadził jej ciało w kowadło i powoli dokręcał śrubę aż do oporu.

Louise mocno zacisnęła powieki, chwytając kierownicę i wsłuchując się w uspokajający głos.

„Po prostu oddychaj. Wszystko jest w porządku. Pamiętaj, żeby oddychać powoli. Wdech, wydech. Wdech, wydech”.

Te dłonie wbijające się w jej skórę, pieczenie całego ciała. Ziemia, dół i piach, który sypie się tak szybko, że nie udaje jej się spod niego wydostać. Ziemia, która pochłania, zamyka w sobie i ją otula, stając się jej drugą skórą.

„Dasz radę”.

Przez oczami miała tylko mrok, słyszała jedynie dźwięk własnego zmęczonego oddechu. Woląла jednak to niż brak świadomości. Trzymała się tych dźwięków, powoli czując, jak jej umysł jednoczy się w rytmie z rzeczywistością.

Gdy otworzyła oczy, jej wzrok padł na zegarek na desce rozdzielczej.

Niespełna półtorej godziny. Tyle minęło, odkąd tu przyjechała, zaparkowała, weszła do lasu i z niego uciekła.

Jej się wydawało, że trwało to znacznie dłużej.

Potem poczuła gniew. Wzbierał w niej i kipiał, aż w końcu już nie

była go w stanie w sobie stłumić. Wydobył się z jej wnętrza krzykiem, który rozbrzmiał echem po samochodzie. Pięści waliły w kierownicę, a potem się nachyliła i walnęła w deskę rozdzielczą. Dłonie zaciśnięte w piersi trafiały później w drzwi, a następnie znów przeniosły się na deskę rozdzielczą. Louise oddychała ciężko, włosy opadały jej na twarz.

Potem usłyszała dzwonek. Jego dźwięk zdawał się dobiegać gdzieś z innego świata.

Chciała go zabić. Chciała zacisnąć dłonie na jego gardle i wydusić z niego resztki tego jego żalostnego żywota. Wbić mu nóż w serce, a potem w brzuch. Przebić każdą tętnicę, którą tylko zdoła znaleźć. Zniszczyć go totalnie.

W końcu pozostał jej już tylko przyspieszony oddech i walące serce.

Dzwonek zaś rozbrzmiewał dalej.

Przesunęła nieco lustro wsteczne, żeby obejrzeć twarz i szyję. Pomijając kilka brudnych plam i nowych zmarszczek oraz rozmazany makijaż pod oczami, wyglądała mniej więcej normalnie. Może była trochę bledsza niż wcześniej, ale nie spodziewała się, żeby to miało zaniepokoić kogoś po drodze.

Szyja była zaczerwieniona i podrapana, ale Louise liczyła na to, że żadnych siniaków ani innych trwalszych śladów na niej nie ma.

– Wszystko zmierza ku lepszemu – powiedziała sama do siebie, uśmiechając się przy tym krzywo.

Dzwonek był uparty.

Mrugnęła powiekami i w końcu do niej dotarło, że ten dźwięk jest prawdziwy. Wydobyła telefon z przestrzeni na nogi przed siedzeniem pasażera. Przyciągnęła go do twarzy, spodziewając się zobaczyć na wyświetlaczu nazwisko Shipleya. Wyświetlał się tam jednak nieznanym jej numer.

– Słucham?

– To ja.

Louise rozpoznała głos dopiero po chwili.

– Caroline?

– Proszę, niech pani przyjedzie. On tu jest.

– Gdzie jesteś? – zapytała, przyciskając telefon do ucha ramieniem, a jednocześnie przekręcając kluczyk w stacyjce.

– W domu mojej mamy. Proszę, niech pani przyjedzie.

– A gdzie to jest? – W tle Louise usłyszała jakiś hałas i krzyk. Połączenie zostało zerwane. Odkleiła telefon od ucha i wybrała ten sam numer, ale po kilku dzwonekach została przekierowana do skrzynki głosowej.

– Nie...

Zakończyła połączenie i spojrzała na drogę przed sobą. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Na ekranie telefonu wyświetlały się liczne powiadomienia.

Nieodebrane połączenia i wiadomości od Shipleya.

Louise położyła palec na jego nazwisku i czekała, aż odbierze.

– Paul... – powiedziała cicho, licząc na to, że tym razem głos jej nie zdradzi.

– Gdzie jesteś?

Wyprostowała się w fotelu i rozejrzała się wokół, żeby mieć pewność, że nikt jej nie obserwuje.

„Powiedz mu”.

Nie mogła mu powiedzieć.

– Chodzi o Caroline. Grozi jej niebezpieczeństwo – powiedziała, ignorując jego kolejne pytania. – Musisz ją znaleźć.

– Już ją znaleźliśmy, dlatego się do ciebie dobijam.

– To świetnie, bo ona właśnie do mnie dzwoniła. Ktoś musi natychmiast do niej pojechać.

– Nie uwierzysz, kim ona jest. Pamiętasz tego dzieciaka, który zaginął w lesie nad wodą, jakieś dwadzieścia lat temu? To jego

siostra.

Louise nic takiego nie pamiętała, ale postanowiła mu nie przerywać.

– Tak czy owak, chyba jest jakiś związek między tamtym zaginięciem a jej wyprawą do lasu.

– No dobra, czyli pojedziesz do domu jej matki?

– Jasne, nie ma sprawy. Musimy ją znaleźć i się dowiedzieć, dlaczego nas okłamała. Jedziesz też?

Louise obejrzała się przez ramię, w mrok. Potem spojrzała przed siebie.

– Nie od razu – rzuciła, a potem się rozłączyła, zanim Shipley zdążył coś powiedzieć.

Louise patrzyła na dom, przed którym zaparkowała te całe wieki temu. Nagle zalały ją wspomnienia, zupełnie jak gdyby klucz do tego świata od początku znajdował się w lesie.

Jak gdyby on nim był.

Decyzja zapadła.

Louise zwolniła hamulec ręczny i nacisnęła na gaz.

## Rozdział 48

Telefon wypadł Caroline z ręki, gdy mężczyzna wszedł do domu i przechodząc obok stołu w jadalni, strącił łokciem miskę, która chwilę później rozpadła się na ziemi na kawałki. Caroline krzyknęła, ale on w ogóle na to nie zareagował i dalej szedł w stronę jej matki. Towarzyszyły mu podmuch chłodnego powietrza i zapach śmierci. Od tego zapachu zrobiło jej się tak niedobrze, że aż się zgięła wpół. Przypomniał jej się las i to coś, co się nad nią pochylało i ją krzywdziło.

I ból.

– Aż nie wierzę, że znów jesteś w domu. Że wróciłeś.

Caroline wyciągnęła rękę, ale była za daleko. Zdecydowanie za daleko. Próbowwała zebrać się w sobie i odepchnąć od siebie te wspomnienia i ten ból. Musiała ratować matkę przed potworem.

To nie był jej syn.

– Mamo, wracaj tu – powiedziała Caroline, ale za cicho. Matka nie zareagowała, tylko lekko przechyliła głowę i wpatrywała się w obcego człowieka stojącego w jej jadalni.

– Mamo, to nie on. To nie Matty.

Przeszła przez pokój, głucha na głośny sprzeciw swojego ciała. Gdy dotarła do ściany, dzielił ich stół, ale mężczyznę widziała teraz jak na dłoni.



– Posłuchaj, Caroline – powiedziała matka, spoglądając na nią wyraźnie rozradowana. Caroline nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała uśmiech na jej twarzy. – On wrócił do domu.

– Zostaw moją mamę w spokoju – powiedziała Caroline, nic sobie nie robiąc z tych jej słów i cały czas patrząc tylko na to coś, co się pojawiło w ich domu.

– Co ty mówisz, Caroline? – powiedziała matka, wyraźnie zdezorientowana. Mimo wszystko zrobiła krok w stronę córki, na chwilę spojrzała na przybysza, a potem znowu na nią. – To jest Matthew. Wrócił do nas.

– To nie on. To nigdy nie był on. Matty’ego już nie ma. Odsuń się od niego, mamo.

– Przecież to jest on. Dlaczego ty to robisz?

Stał teraz bliżej matki i spoglądał na Caroline z tym samym chorym uśmiechem, który widziała na jego twarzy w lesie. Potworny zapach całą ją przenikał i zniewalał. Matka ciągle jeszcze mu się przyglądała. Na jej twarzy na moment wymalował się niepokój, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Zostaw ją w spokoju – syknęła Caroline.

Widziała, jak matka wpatruje się w jego twarz, usiłując odnaleźć na niej coś znajomego. Najwyraźniej coś znalazła.

– Gdzieś ty się podziewał, synku?

Przybysz wyciągnął dłoń pokrytą naroślami, a matka odwzajemniła gest. Caroline okrążyła stół najszybciej, jak to było możliwe, ale i tak się spóźniła. On najpierw lekko chwycił matkę za rękę, ale zaraz potem zaczął zacieśniać uścisk. Drugą ręką wprawnie chwycił ją za ramię i przepchnął na drugą stronę stołu, jakby kierując się do salonu.

– Nie, nie rób tego – krzyczała Caroline, patrząc, jak potwór unosi jej matkę z ziemi i rzuca na podłogę.

Gdy zobaczyła, jak mężczyzna wyjmuje coś spod swojego długiego

ciemnego płaszcza, wykonała zwrot i ruszyła w jego stronę.

– Nie! – Próbowwała go powstrzymać, nie zważając na ból.

Bezradnie patrzyła, jak jej matka spogląda ze łzami w oczach na Rhysa Durhama. Nóż pojawił się na chwilę, a potem zniknął, szybkim ruchem wbity w jej pierś.

– Nie...

Próbowała się ruszyć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chciała przeskoczyć przez pokój i go powstrzymać, ale jakby wrosła z podłogę.

Caroline znów zobaczyła nóż. Krzyknęła, bo tym razem mężczyzna wycelował go w jej stronę. Podszedł do niej z uśmiechem na twarzy. Podniósł ją z ziemi i uderzył jej głową o ścianę. Znów leżała na ziemi. Zobaczyła jeszcze tylko jego ciężkie buty zmierzające w kierunku matki, a potem pochłonęła ją ciemność.

Shiplej zatrzymał samochód przed domem. To był normalny bliźniak stojący przy spokojnej ulicy. Ogród przed domem był nieco zarośnięty, ale nie wyglądał aż tak źle. Shiplej widywał już gorsze rzeczy. Wcześniej wielokrotnie próbował dodzwonić się do Louise, ale ona nie odpowiadała. Przeklinał telefon, a potem zadzwonił na posterunek, żeby zapytać o adres Caroline Edwards. Na wszelki wypadek ustalił też adres jej matki. Louise mówiła, że to właśnie do jej matki ma jechać, a kiedy dostał obydwie adresy, okazało się, że ten drugi znajduje się bliżej, więc postanowił tam zajrzeć.

Pomyślał sobie, że ona to go wpędzi kiedyś do grobu. Przez tych kilka ostatnich dni dowiedział się o niej więcej niż przez trzy poprzednie lata. Z drugiej strony, nie miał najmniejszych wątpliwości, że pewne rzeczy – o swojej przeszłości – nadal trzyma przed nim w tajemnicy.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatnie wydarzenia przywoływały w niej wspomnienia, które chciała zachować dla

siebie. Na jej temat krążyły wśród policjantów różne historie, choć oczywiście opowiadane tylko wtedy, gdy jej akurat nie było w pobliżu. Ludzie mówili, że w każdej chwili coś może w niej „pęknąć”. On sam tego nigdy nie doświadczył, ale potrafił to sobie wyobrazić. W tej pracy coś takiego może się zdarzyć każdemu.

Do tego dochodził pożar. Shipley nie potrafił się powstrzymać, zajrzał do materiałów policyjnych. Znalaziono ją bliską śmierci przed płonącym domem. Tylko ona przeżyła.

Shipley wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku budynku. Zatrzymał się przed drzwiami. Nasłuchiwał nietypowych odgłosów, ale nic nie usłyszał.

Z początku...

Zaczął walić pięścią w drzwi i jednocześnie krzyczeć. Ze środka dobiegały go huk roztrzaskiwanych mebli i krzyki kobiety, a także głuchy odgłos ciała upadającego na ziemię. Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś wejścia do domu. Wyciągnął z kieszeni radio i wykrzyczał komunikat:

– Detektyw sierżant Paul Shipley wzywa natychmiastowe wsparcie.

Potem podał jeszcze adres, a następnie spojrział w stronę okna.

Nie było na co czekać.

W środku znów rozległ się huk. Cofnął się i z całej siły kopnął w drzwi, ale bez skutku. Spróbował ponownie, atakując je z całej siły i celując butem w ich dolną część. Drzwi drgnęły, ale nic poza tym. Shipley dyszał z wysiłku, nawołując ludzi w środku.

– Policja, otwierać!

Sięgnął dłonią do paska, odzepił pałkę, po czym ją rozłożył. Cofnął się o krok, a potem uderzył nią małą szybkę przy drzwiach. Szkło pokryło się siecią spękań. Shipley bez zastanowienia zamachnął się ponownie i tym razem wybił szybę. Odłamki szkła wpadły do środka. Shipley włożył rękę do środka i na oślep szukał

zamka. W końcu go znalazł, przekreślił klucz i nacisnął na klamkę.

Niewiele myśląc, poszedł w kierunku, z którego dobiegały odgłosy. Salon znajdował się po prawej stronie, za zamkniętymi drzwiami, ale hałas stale narastał. Shipley zrobił krok naprzód i otworzył drzwi. Zajrzał do środka. Jego oczom ukazał się niewielki pokój, który miał w sobie coś z czarnej dziury. Wciągał go i zdawał się go w całości pochłaniać.

Dwie kobiety, jedna starsza, druga młodsza. Ta młodsza na pierwszy rzut oka zdawała się siedzieć na podłodze, ale gdy Shipley się do niej przybliżył, dojrzał krew ściekającą jej po policzkach. Rozpoznał ją. To była Caroline, kobieta ze szpitala. Na jej twarzy ciągle dało się dostrzec żółte ślady po siniakach. Oczy miała zamknięte, a głowę opartą o ścianę. Shipley domyślił się, że została o nią uderzona.

Starsza kobieta leżała na plecach. Nad nią kuczał mężczyzna w czerni z nożem w dłoni. Gdy Shipley zobaczył wokół niej kałużę krwi, bez zawahania rzucił się na napastnika, bo nóż właśnie po raz kolejny tonął w ciele jego ofiary.

Zatrzymał się i uderzył go pałką po głowie, tylko jak przez mgłę słysząc przy tym własny krzyk. Pałka jedynie odbiła się od głowy postaci z nożem, raziąc całe jego ramię piorunem bólu. Nic sobie z tego nie robiąc, Shipley zamachnął się ponownie, tym razem celując w ramię.

Mężczyzna się zachwiał, przechylił na bok i wydał z siebie pomruk. Kobieta leżąca na ziemi jęknęła. Chyba próbowała się ruszyć, ale nie mogła. Shipley znów utkwiał wzrok w mężczyźnie. Obserwował, jak przewraca się na bok i jak usiłuje się podnieść.

– Może się pani poruszyć? – zapytał kobietę, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, który wył i potrząsał głową.

Kucnął obok kobiety i położył jej dłoń na ramieniu. Drgnęła, gdy jej dotknął, a zaraz potem lekko się przesunęła.

Shipley chwycił ją za ramię i próbował pomóc jej wstać, ale okazała się zaskakująco ciężka. Przeniósł więc wzrok na drugi koniec pokoju, gdzie cały czas nieruchomo siedziała Caroline z zamkniętymi oczami.

Zaraz potem spojrzał ponownie na postać w czerni.

Mężczyzna ustawił się do niego plecami, ale Shipley widział, że próbuje wstać. Obszedł kobietę i zbliżył się do niego, w każdej chwili gotów zadać kolejny cios. Mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, a potem znów opadł na ziemię. Shipley dostrzegł ranę, którą pałka pozostawiła na jego głowie. Włosy w tym miejscu skleiły się od krwi, która ściekała po czarnych ubraniach i mieszała się ze śladami po krwi z ran zadanych kobiecie.

Shipley uniósł pałkę nad jego głowę. Czekał, bo chciał zobaczyć jego twarz.

– No już – krzyknął, oddychając ciężko i powoli. – To koniec. Na ziemię.

Mężczyzna znów się poruszył. Odwrócił się do Shipleya, którzy przekrzywił głowę, żeby mu się przyjrzeć.

Rhys Durham spoglądał na niego szklistymi oczami. Jego twarz powoli znikła za plamą krwi. Zarost porastał jego policzki i podbródek w różnych dziwnych miejscach, nie tworząc regularnej brody. Włosy miał długie i ciemne, przesycone wilgocią. Był oczywiście starszy niż na zdjęciach, które widział Shipley, ale mimo to dawało się go bez trudu rozpoznać.

Shipley wstał i stanął nad nim, oddychając ciężko. Rhys Durham leżał teraz u jego stóp, w powiększającej się kałuży krwi. Otworzył oczy, a potem je zamknął. Ciągle jeszcze ciężko dyszał.

– Cholera, mam go – wyszeptał Shipley, niemal rozbawiony tą myślą.

Odwrócił się w stronę Caroline, która ciągle leżała pod ścianą. Klęknął przy niej.

– Caroline, proszę się obudzić. To ja, Paul. Detektyw Shipley. Musi się pani obudzić. To koniec.

Właśnie kładł jej dłoń na ramieniu, gdy powoli zaczęła otwierać oczy. Na widok znajomej twarzy rozszerzyły jej się źrenice. Shipley domyślił się, że jego widok ją zaskoczył.

– Co... Gdzie jest mama?

– Tam. Jest ranna. Musi się pani uspokoić. Policja już jedzie, karetkę też wezwę.

– A co z...

Caroline nie zdołała dokończyć pytania. Patrzyła tylko na powykrzywianą postać leżącą nieopodal. Mężczyzna ciągle jeszcze jęczał i wydawał z siebie różne gardłowe odgłosy, ale ewidentnie nie był się już w stanie poruszyć.

– Wszystko w porządku, nie zrobi pani krzywdy – powiedział Shipley, a potem wstał i skierował się w stronę Rhysa Durhama. Wyjął z kieszeni telefon.

Ręce ciągle mu drżały, adrenalina stale jeszcze buzowała mu w żyłach. Czuł w sobie jej moc, rozlewającą się na każdą komórkę ciała. To było niesamowicie pozytywne uczucie.

– Karetkę... W to samo miejsce.

Shipley usłyszał krzyk Caroline i aż podskoczył. Gdy się odwrócił, Rhys Durham stał i zgięty niemal wpół kroczył w jego stronę. Serce jakby na chwilę mu przystanęło, cała scena zdawała się rozgrywać w zwolnionym tempie.

Rhys rzucił się na niego z rykiem. Shipley odsunął się na bok i uderzył pałką w plecy napastnika, który runął na odwrócony do góry nogami stolik do kawy, po czym osunął się na ziemię.

Tym razem już się nie poruszał. Ani nawet nie wydawał dźwięków.

Shipley poczuł, że serce znów wali mu jak szalone. Potrząsnął głową i spojrzał na Caroline, która wciąż siedziała nieruchomo.

– Co pani tak tu siedzi? – powiedział, rozglądając się wokół w poszukiwaniu czegokolwiek, co by mu pomogło zaplanować następny krok. – Niech pani stąd wyjdzie.

Nachylił się i przeciągnął Val Edwards do korytarza. Zastanawiał się, jak unieruchomić Rhysa Durhama bez zadawania mu poważniejszych obrażeń.

Shipley chciał usiąść z nim twarzą w twarz w pokoju przesłuchań.

– Niech się pani zajmie mamą – powiedział, pozostawiając obie kobiety w korytarzu. Z oddali słyszał zbliżające się syreny.

Gdy wchodził do salonu, spodziewał się, że Rhys Durham zdążył już uciec przed tylne drzwi. Jak czarny charakter z horrorów, który ma w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę.

On tymczasem leżał dokładnie tam, gdzie Shipley go zostawił. Jego krew mieszała się na podłodze z krwią starszej kobiety, tworząc jedną wielką kałużę.

Shipley chwycił Rhysa Durhama za ramię i mocno trzymał.

Chciał zadzwonić do Louise. Chciał ją uspokoić. To jednak musiało poczekać. Na razie wzmocnił chwyt.

Czekał na przybicie posiłków.

## Rozdział 49

Louise zmierzała drogą na północ, gdy jej telefon znów zadzwonił. Spojrzała na ekran, doskonale wiedząc, że wyświetla się tam nazwisko Shipleya. Przez moment chciała wyrzucić aparat przez okno, ale postanowiła raz jeszcze usłyszeć jego głos.

– Tak?

– Mamy go!

Usłyszała w jego głosie ekscytację, której w zasadzie nawet nie próbował ukrywać. Uśmiechnęła się mimowolnie, bo na chwilę mogła się zanurzyć w tej radości, która szybko wypełniła cały samochód.

– Wszystko z nimi w porządku?

– Matka została kilka razy dźgnięta, przewożą ją teraz do szpitala. Straciła dużo krwi, ale na razie się trzyma. Caroline będzie pewnie dochodzić do siebie o kilka dni dłużej.

– Czyli dobre wieści...

– To był Rhys Durham – ciągnął Shipley, nie zwracając uwagi na jej odpowiedź. – Od początku mieliśmy rację. Rzecz tylko w tym, że tego wieczoru odnotowaliśmy też kilka innych zdarzeń. Jakieś dzieciaki w lesie, takie rzeczy. Przypuszczamy, że znalazło się kilku naśladowców, którzy po prostu wykorzystują okazję. Ledwo z tym wszystkim nadążamy, tyle się dzieje. Mam nadzieję, że wkrótce



uda się nad tym zapanować.

Louise go wysłuchała, zastanowiła się nad tą jego koncepcją o naśladowcach i szybko ją odrzuciła. Wydawało jej się, że już rozumie, co się stało. Co się wydarzyło i co się dzieje. Kolejne części historii powoli układały się w jedną całość. Jej przeszłość i teraźniejszość w końcu się spotykały, a ona zaczynała to wszystko rozumieć. On nie był jedyny. Ten człowiek, którego ona знаła, nie był jedyny. Był tylko pierwszy. To on to wszystko zapoczątkował. Przywołał postać z mitu i tchnął w nią życie. Nie potrafiła stwierdzić, czy zrobił to z rozmysłem, czy stało się to przypadkiem, ale tak to właśnie wyszło. Być może gdy uciekał do lasu tych wiele lat temu, wcale nie zamierzał wcielić się w rolę Kościucha. Ostatecznie jednak nim został.

Nie był po prostu mordercą. Nie był po prostu zły.

Był czymś więcej.

Tworzył ludzi na swoje podobieństwo.

– Dopilnuj tylko, żeby ich wszystkich z tego lasu wyłapali – powiedziała Louise, wjeżdżając na autostradę, którą miała dojechać już do końca. – To ważne.

– Ty ciągle tu jedziesz?

Louise się zawahała. Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć.

– Słuchaj, ja...

– Louise, ja muszę kończyć. Odezwij się, jak dojedziesz. Złapaliśmy go dzięki tobie. Mamy się z czego cieszyć... razem.

Chciała coś powiedzieć, ale Shipley zdążył się rozłączyć.

Nagle pomyślała o tym człowieku, którego zostawiła w lasach. O tym człowieku i o tym, czym on się stał.

On się już nie zatrzyma.

To się zacznie od nowa. Zacznie się nowa historia. Nowa legenda.

Ludzie znów będą umierać.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Miała wybór.

Mogła jechać dalej na północ, do Krainy Jezior albo jeszcze dalej. Mogła zrezygnować ze służby w policji i prowadzić nowe życie pod znakiem jeszcze większej tajemnicy.

Mogła też zawrócić i ponownie wejść do tego lasu, żeby nie dopuścić do powstania nowej legendy.

Mogła to skończyć.

„Jedź! Jesteś wolna. Nikt nie wie! Możesz jechać dalej i już nigdy więcej go nie widzieć”.

– Zamknij się!

„Nie wygrasz. Nikt nie wygra. Co niby zrobisz? Zabijesz go?”.

Louise potrząsnęła głową, ręce drżały jej coraz bardziej.

„To by znaczyło, że jesteś dokładnie taka jak on. On tego właśnie chce. Oni się i tak dowiedzą. Jesteś mordercą. Tak jak twój ojciec. Twój ojciec zawsze taki był. Jedź dalej!”.

– Nie!

Louise zatrzymała się w zatoczce i patrzyła, jak jej dłonie tańczą po kierownicy. Poczowała tak dobrze znany ścisk w piersi. Dobrze wiedziała, jaka przyszłość ją czeka, jeśli będzie dalej uciekać.

– Koniec z chowaniem się! – wyszeptała sama do siebie.

Oto nadszedł koniec.

Pomyślała o tym człowieku z lasu. O swoim ojcu. O tym mężczyźnie, który nosił ją jako dziecko na barana. I który czytał jej książki do snu. Który był doskonały.

Przez jakiś czas.

Potem przypominała sobie, jaki się stał. Wycofany. Niedostępny. Łatwo wpadał w złość. Często krzyczał. Nagle zachowywał się zupełnie inaczej niż kiedyś.

Louise się wydawało, że potrafi to wyjaśnić. On przez jakiś czas próbował być normalny. Założył rodzinę, chciał być jak wszyscy inni. Tylko że nic z tego nie wyszło, bo on zawsze był inny. A to coś,

co było w nim, w końcu nie dało się już dłużej trzymać w zamknięciu.

Jechała przed siebie w mroku, przywołując kolejne wspomnienia. Raz po raz pojawiał się jakiś obraz, jak w kinematografie. Najwyraźniej jej umysł postanowił pokazać jej od razu wszystko to, co przez cały czas gdzieś tłumił.

Louise nie wiedziała, co się przez te wszystkie lata wydarzyło. Nie wiedziała, ile ciał trafiło do ziemi i ile spośród nich padło jego ofiarą, a ile zabił Rhys Durham. To nie miało znaczenia. To było jedno i to samo. Oni byli jednym.

Oni byli obaj Kościuchem.

Bo tym właśnie był przez ten czas – i teraz – jej ojciec.

Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. To by tylko pogorszyło sprawę. Jeśli w jej życiu miało się coś zmienić na lepsze, jeśli miało się w nim pojawić światło, to jeszcze jego jednego trzeba było uciszyć.

„Jesteś taka sama jak on”.

Wracała tą samą drogą, zupełnie nieświadoma upływu czasu. Wieczór ustąpił miejsca nocy, przez mrok przebijały się teraz tylko światła jej samochodu.

Wróciła do tego samego lasu, z którego kilka godzin wcześniej uciekła.

W pewnym sensie zawsze wiedziała, że to się skończy tutaj. Gdy w wieku dwunastu lat została tu całkiem sama, przejęta grozą, zaopiekowali się nią dziadkowie. Nikogo z rodziny ojca nigdy nie poznała. Tak naprawdę nie wiedziała, czy on w ogóle miał jakąś rodzinę. Dorastała ze świadomością, że z jej rodziny nie został już nikt. Teraz nagle stało się dla niej jasne, że osłaniano ją przed prawdą. Że zachęcano ją do tego, aby zapomniała o tym wszystkim, co się stało – i to dlatego zostały jej tylko urywki z cudzego życia.

Wróciła do lasu, który on sobie ukochał.

Chciał, żeby stała się taka jak on. O to w tym wszystkim chodziło. Do jej świadomości przebiły się kolejne wspomnienia. Louise próbowała im się opierać, ale nic to nie dało.

Zanim została sama, często chodzili po lasach. Tylko we dwoje.

On coś w niej zobaczył.

Ona знаła prawdę.

Miała być taka jak oni. Jak Rhys Durham i Steven Harris. Przypuszczała, że może nawet miała być czymś więcej. Oni byli uczniami, naśladowcami. Ona nigdy nie miała być taka jak oni.

„Już jesteś jak oni. Dlatego musisz uciekać. W końcu to on zwycięży”.

Droga minęła jej błyskawicznie. Znajdowała się teraz w północnej części miasta, na słabo zabudowanych terenach. Zastanawiała się, jak sobie z tym wszystkim poradzą. Czy Shipley będzie miał teraz więcej do powiedzenia, skoro to on powstrzymał Rhysa Durhama.

Zastanawiała się, czy będzie miała okazję obserwować, jak dalek się potoczą jego sprawy. I czy poczuje rozczarowanie, którego chyba nie da się uniknąć.

Dla niej to też był koniec historii.

Była pierwsza w nocy, gdy dotarła w to samo miejsce, z którego wcześniej uciekała. Wyjęła kluczyki ze stacyjki i bez wahania wysiadła z samochodu, niesiona jak na skrzydłach. Od morza wiał ostry wiatr, ale Louise wiedziała, że w lesie nie będzie go czuć. Otuliła się kurtką i szła przed siebie.

Ścieżka doprowadziła ją do lasu, ale dalej musiała sobie już radzić sama. Szła na pamięć, w świetle księżyca, który wyłaniał się zza chmur i oświetlał jej drogę w wystarczającym stopniu. Szybko stwierdziła, że i bez tego sobie poradzi – że wystarczy podążać w stronę światła i zapachu.

Czuła swąd spalenizny niesiony wiatrem, który pośród krzewów i drzew nie wiał już tak mocno. Zrobiło się za to chłodniej, a kurtka

nie zapewniała wystarczającej ochrony przed przenikającym ją chłodem. Louise szła w las, trzęsąc się z zimna, ale prawie tego nie rejestrując – jej umysł zaprzętało w tym momencie coś innego.

Musiała dostać się do głębi.

Musiała dostać się do niego.

„A co potem? Co zrobisz?”

Usłyszała trzaski i zobaczyła dym lecący w jej stronę. Owiał ją, a potem pomknął z wiatrem dalej. Był jak palce, jak macki, które usiłowały ją pochwycić. Osadzić ją i zdusić. Pochłonąć wszystko na swojej drodze.

Była już blisko.

Na ziemi leżały gałązki dawno zapomnianej przeszłości. Poprzewracane drzewa, które marniały i umierały bez niczyjej ingerencji. Czas ogołocił je niemal ze wszystkiego, przeistoczył w puste skorupy. Otulone brązowym światłem lśniły pięknem. Nad nimi spały drzewa, którym udało się przetrwać te wszystkie lata. W świetle dnia olśniewałyby urokiem, ale na tle nocnego nieba nabierały koloru węgla i górowały nad Louise, jak gdyby chciały pochłonąć ją żywcem. Nic w nich teraz nie tętniło, żadne życie. Wydawały się tylko bezdusznymi słupami nicości.

Słyszała trzaski i skwierczenie ogniska. Czerwono-pomarańczowa łuna w oddali zarysowywała się coraz wyraźniej. Louise miała ochotę biec przed siebie, ale kostka jej na to nie pozwoliła, przypominając o wszystkim tym, co się wydarzyło zaledwie kilka godzin wcześniej.

Przed oczami rozbłysła jej czerwień, mrok przesłonił jej obraz rzeczywistości.

Szła dalej przed siebie, deptając po gałązkach, które tańczyły na ziemi i unosiły się pod naciskiem jej stóp, wydając głuche odgłosy. Louise przekroczyła linię drzew i znalazła się na polanie.

Zatrzymała się na jej skraju. Usta miała zamknięte, ale czuła

drżenie szczęki. Nie chciała wziąć oddechu, bo się bała, że to może być ostatni wdech, jaki zaczerpnie, zanim znów zaatakuje ją ogień.

Coś jej mówiło, że tak się właśnie stanie. Zupełnie jak gdyby jej życie właśnie zaczynało się rozpadać. Właśnie teraz, gdy wróciły wspomnienia.

Siedział przy ognisku, z głową zwieszoną na piersi. Widziała jego dłonie, złożone jak do modlitwy. Nie dziwiła się, że ktoś mógł o nim pomyśleć, że nie jest do końca człowiekiem. Jakże się zlewał z otoczeniem, jakże się wtapiał w mrok. Podeszła bliżej, ostrożnie schodząc z niewielkiego wału, niemal ślizgając się przy tym po wilgotnej ziemi. Stała naprzeciwko niego. Dzielił ich teraz tylko ogień. Był większy, niż jej się wydawało. Pośrodku płonęło drewno wyrzucone na brzeg przez morze, a pod nim sterta czegoś innego. Mocniejszy podmuch wiatru poderwał płomienie, które po chwili znów się uspokoiły. Ze sterty coś wyfrunęło i spadło kilka kroków od niej. To było zdjęcie, niemal całkowicie spalone.

– Wróciłaś – powiedział głos, który tak bardzo się zmienił przez te wszystkie lata. – Wiedziałem, że wrócisz.

„Pali to wszystko”, pomyślała. Jej przeszłość. Jego przeszłość. To wszystko, co tych wiele lat temu zostało uratowane i co zabrał ze sobą do lasu. To wszystko ginęło teraz w ogniu.

Niszczył wszystko, co w nim było ludzkie. Przyglądał się, jak resztki jego człowieczeństwa obracają się w popiół.

– Dlaczego?

Uniósł wzrok. W świetle ogniska zobaczyła jego czarne oczy.

– Byłem... Nie byłem gotów.

– Nie spodziewałam się, że zrobisz mi krzywdę. Jestem twoja. W moich żyłach płynie twoja krew.

Roześmiał się cicho, jak gdyby właśnie usłyszał stary dowcip.

– To prawda, ale to nie wystarczy.

– Powinno.

– Coś ci opowiem, Louise.

Louise czekała, aż znów się odezwie. Stojąc w blasku ogniska, poczuła nagły spokój. Jego ciepło działało na nią kojąco, przepelniało jej ciało poczuciem błogości. W jej głowie panowała niemal całkowita cisza. Umysł się uspokajał. Był gotów poznać prawdę. O nim. O niej. O ich przeszłości.

Właśnie po to tu przyszła.

Nie mogła nie wiedzieć.

– Zawiodłem cię – powiedział tonem, który wydał jej się bardziej znajomy. Nie był to ten sam głos, który pamiętała z dzieciństwa i który czytał jej książki do poduszki, ale zdecydowanie łagodniejszy niż przedtem, bardziej ludzki. – Jak byłaś młodsza, nie rozumiałaś tego, co w tobie tkwi. Nie wiedziałaś, co po mnie odziedziczyłaś. Ja powinienem był rozpoznać ten gniew, ten żal. Tylko że ja... Ja po prostu nie chciałem się z tym pogodzić. Tak bardzo się starałem już nie być tamtym człowiekiem. A gdy zobaczyłem go w tobie, to nagle do mnie dotarło, że nigdy nie zdołam uciec przed tą potrzebą.

– Nie jestem taka jak ty.

– Czy ty wiesz, Louise, skąd się wzięła historia o Kościuchu? – mówił dalej, jak gdyby w ogóle jej nie usłyszał. – Zaczęła się tutaj. W tych lasach. To tu się narodziłem. Oczywiście nie dosłownie. Chodzi mi o to, że ta historia tutaj się zaczęła, gdy sam byłem młody. Inne dzieciaki mnie nie rozumiały. Nie rozumiały, dlaczego robię to, co robiłem. Dały mi spokój, żebym mógł znaleźć własną drogę. No to znalazłem.

– Zmierzasz do czegoś? – powiedziała Louise, która z trudem opierała się pokusie, aby usiąść i szukać pociechy w jego słowach. – To niczego nie wyjaśnia.

– Zawsze się do wszystkiego spieszyłaś. Dostrzegałem to u ciebie, już kiedy byłaś bardzo mała. Zawsze chciałaś być przed innymi.

Chciałaś się wspinać wyżej i biegać szybciej. Twój brat był od ciebie trzy lata starszy, a tobie i tak od czasu do czasu udawało się za nim nadążyć.

– Oni nie żyją. Przez ciebie.

Lekko odwrócił głowę, jakby chciał się na chwilę wsłuchać w ciszę. Gdy znów przeniósł na nią wzrok, na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Zawsze się zastanawiałam, czy będziesz to pamiętać. Czy będziesz żyć z poczuciem winy. Potem już wiedziałem, że nie ma dla ciebie ratunku. Że krzywda już się stała. Miałem nadzieję, że będziesz w stanie wykorzystać jakoś to, co zrobiłaś tamtej nocy. Że kiedyś w końcu siądziemy przy ognisku i zdołamy się porozumieć. Ale wychodzi na to, że zupełnie o wszystkim zapomniałaś. Może to i lepiej...

Louise patrzyła na ogień i podziwiała jego piękno, rozmyślając o tym, że człowiek nauczył się panować nad tak niszczycielską siłą. W jej głowie pojawił się obraz, zapałka błyskająca w ciemności, oczy rozświetlające się w jej płomieniu.

– Myślisz o nich? Żywisz wobec nich jakieś uczucia?

Louise mu nie odpowiedziała, ogień całkowicie ją pochłonął. Przypomniła sobie sen, który kiedyś często jej się śnił, ale którego już od dłuższego czasu nie miała. Przypomniła sobie, jak babcia przychodziła do jej sypialni późno w nocy, żeby ukoić jej płacz i zawodzenie.

Myślała o pożarze.

Często jej się to zdarzało.

Z początku wypierała te myśli. Skupiała się na pracy. Praca stała się całym jej życiem. Louise starała się nie myśleć o tym, przez co przeszła.

Co zrobiła...

– Nigdy nic do nich nie czułaś. Brakuje ci tego samego, co i mnie.



Empatii. Współczucia.

Louise podrapała się po udzie. Miała tam bliznę, która nie chciała się wygładzić. Która coś jej przypominała, tylko ona nie chciała pamiętać co.

– To był wypadek... – powiedziała szeptem, który prawie zniknął w płomieniach.

– To ty wznieciłaś ten pożar, Louise. To ty ich oboje zabiłaś.

## Rozdział 50

– Nie!

Tylko tyle zdołała z siebie wydusić. W jej umyśle zapanował chaos, bo najróżniejsze myśli i wspomnienia głośno domagały się jej uwagi.

– Nie.

– Tylko tyle potrafisz powiedzieć? – powiedział już bez uśmiechu. Jego twarz nie wyrażała już teraz nic. Ona nic nie potrafiła z niej wyczytać. Nigdy zresztą tego nie potrafiła. – Spodziewałem się czegoś więcej.

– Kłamiesz.

– Sama wiesz, że to prawda, Louise.

– Przestań powtarzać moje imię.

– Umarli we śnie, nawet nie wiedząc, że to przez ciebie. A ty na to wszystko patrzyłaś. Stałaś i się zachwycałaś, doskonale wiedząc, co się dzieje w środku. Pamiętasz to?

– Tak... Ale to nie ja. To był wypadek.

– Nie. I ty o tym doskonale wiesz, prawda? Czyż nie po to tu przyszłaś? Po prawdę? Nie okłamywałbym cię. Nie mógłbym. Możesz mi wierzyć, że nie raz myślałem o tym, żeby ich zabić, ale gdybym chciał, żeby zginęli, to zrobiłbym to w bardziej elegancki sposób. Nie zostałyby po nich nawet ślad. Nikt by się nigdy nie

dowiedział, co się z nimi stało. Przez te wszystkie lata byłem bardzo ostrożny.

– Ja nie mogłam tego zrobić – odparła Louise. Jej własny umysł musiał ją zdradzać. Musiał ją karmić kłamstwem. Musiał. Pojawiały się w nim obrazy i dźwięki, których nie potrafiła zinterpretować. – Ja nie jestem taka jak ty.

– Stale to powtarzasz, ale to nieprawda. Jesteś dokładnie taka jak ja. Co ty sobie myślałaś? Że wstąpisz do policji i w ten sposób dołączysz do drużyny dobra? Że zdołasz się zamknąć na swoją prawdziwą tożsamość i już nigdy nie będziesz musiała o tym myśleć? Tak to w życiu nie działa.

– Pamiętałabym coś – wyszeptała Louise, która teraz już przeczuwała, że on ma rację. Że od lat zamykała się na pewne aspekty własnego życia. Że w ten sposób radziła sobie z tym, co zrobiła i co w niej tkwiło. Głosik, który cały czas do niej przemawiał, a teraz zamilkł, próbował jej pomóc to zobaczyć. Tylko że ona pozostawała na niego głucha. – Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

– Chciałaś zadawać krzywdę ludziom i zwierzętom, niszczyć przedmioty – odparł, jak gdyby to była najnormalniejsza w świecie potrzeba. Z jednej strony czuła do niego odrazę, ale z drugiej nie potrafiła się od niego uwolnić. Pochwycił ją w pułapkę swoich słów.

– Raz cię przyłapałem – mówił dalej, wyciągając rękę i wbijając długi patyk w ognisko. – Zaciskałaś ręce na szyi jednej dziewczynki z sąsiedztwa. Musiałem się bardzo wysilić, żeby cię od niej oderwać. Bidulka była wstrząśnięta. Sporo się nagimnastykowaliśmy, żeby odwieść jej rodziców od pomysłu zgłoszenia tego na policję.

– Kłamiesz – powiedziała Louise, ale w tym momencie miała już przed oczami twarz tej dziewczynki. Widziała jej przerażony wzrok i czuła jej szyję w swoich dziecięcych dłoniach. Przypomniała sobie

to poczucie mocy, które w ten sposób zyskiwała. Nagle wszystko do niej wróciło. Pamiętała każdy szczegół.

– Wszystko pamiętasz. To dobrze. Zastanów się nad tym. To cię na zawsze zmieni.

– Nie jestem zła – powiedziała Louise chrapliwym głosem, który wiąkł jej w gardle i z ledwością wydobywał się na zewnątrz. Potrząsnęła głową. – Nie, nie. Nie jestem taka ja ty. Nie jestem.

– Nigdy nie chciałem dla ciebie takiego życia, Louise – powiedział, w końcu wstając i ruszając w jej stronę. Cofnęła się, ale on nadal zmierzał w jej kierunku. – W ogóle nie chciałem już takiego życia. Chciałem być normalny. Dlatego się ożeniłem z twoją matką. Urodziło mi się dwoje dzieci. A mimo to ta potrzeba ciągle tam była, gdzieś w środku. Zabiłem kogoś na rok przed tym, jak mama i Martin zginęli. Jakiegoś bezdomnego, za którym nikt by i tak nie tęsknił. Tak mi było z tym dobrze, że znów sobie pozwoliłem być takim człowiekiem. To było tak, jak gdybym do tego momentu żył bez ręki i jakby nagle ktoś mi ją na nowo przyszył. Znów czułem się spełniony. Było dla mnie jasne, że wkrótce będę was musiał opuścić. Pamiętasz te wszystkie nasze spacerunki po lesie? Wiedziałaś, co tam robimy, chociaż nigdy nawet ci o tym nie wspomniałem. Te znaki, moje znaki, które wycinaliśmy w drzewach. Przygotowywaliśmy się do powrotu do domu. Tamtej nocy... Tamtej nocy wszystko się zmieniło. Wydawało mi się, że w końcu pogodzisz się z tym, co się w tobie pojawiło. Ale ty nie potrafiłaś, przynajmniej nie wtedy. Ja wróciłem tu, do lasu, licząc na to, że kiedyś w końcu sobie uświadomisz, że to jest też twoje miejsce. Znów zostałem Kościuchem.

– To był wypadek – powiedziała Louise, czując na policzku łzę. Otarła twarz rękawem, a potem cofnęła się jeszcze o krok. Teraz już wszystko pamiętała. Ostatnie chwile przed, tę panikę, ten strach. Nie potrafiła nad tym zapanować. Wzniesienie ognia stało

się jej ulubionym zajęciem. Przypomniała sobie, jak urzeczona wpatrywała się w taniec płomieni.

Przypomniała jej się zasłona w salonie. I zapalniczka, którą mama trzymała schowaną w kuchni. Czasami wychodziła zapalić, ale tylko wtedy, gdy ona i Martin nie widzieli. Jej brat. Był od niej starszy, miał piętnaście czy szesnaście lat. Dobrze go rozumiała. Zawsze. Pamiętała, jak nie mogła zasnąć i jak nie mogła przestać myśleć o tej zapalniczce.

Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co się wydarzyło tamtej nocy. Nie w pełni. Myślała tylko o tym, co było później. O ciepłe bijącym od domu, o dobiegających ze środka odgłosach pożaru. O chłodzie powietrza, który odczuwała, gdy stała na zewnątrz i patrzyła na ogień.

Teraz w końcu zobaczyła samą siebie, jak się skrada w kierunku zasłon w salonie. Nigdy jej się ten kolor nie podobał. Pamiętała, jak matka zabrała ją ze sobą na zakupy. Jak jej sugerowała, że ma coś do powiedzenia, a potem zignorowała jej opinię.

Zapalniczka szczęknęła, a ona obserwowała, jak zasłony zajmują się ogniem. Słyszała ten charakterystyczny dźwięk. Czuła wielkie podniecenie. Patrzyła na promienie rozprzestrzeniające się po całym pomieszczeniu tak długo, jak tylko się dało. Poczowała pieczenie, bo zanim zdołała się wydostać z domu i rzucić na trawę, płomienie nadpaliły jej piżamę i poparzyły udo.

– Nie chciałam, żeby umarli...

– Przestań się okłamywać, Louise – powiedział, gdy znalazł się zaledwie o krok od niej. Już go czuła, niemal atakował ją swoim zapachem. Jego twarz jaśniała w blasku ogniska, które wciąż jeszcze znajdowało się między nimi. – Wiesz, co w tobie tkwi. Chciałem, żebyś się taka stała. Czekałem na ciebie. Przyszedłem tu, do lasu i raz po raz zabijałem. Historia znów zyskała rozgłos. Miejscowe dzieciaki, które spotykały mnie w lesie, opowiadały

o mnie coraz dziwniejsze rzeczy.

– Nie chcę tego słuchać.

– Nie masz wyjścia, a poza tym jestem przekonany, że chcesz. Wiedziałem, że jeśli ta kobieta zostanie znaleziona w okolicy tych lasów, to ty się w to śledztwo zaangażujesz. Nie mogłem tak po prostu do ciebie przyjść, rozumiesz? Musiałem cię znów z tym wszystkim skonfrontować.

– Rhys Durham... – powiedziała Louise, z niedowierzaniem potrząsając głową. – Kto to jest, jeden z twoich wychowanków?

Uśmiechnął się, jednocześnie słodko i obrzydliwie.

– Te ciała w lesie, to same porażki. Sami nieudacznicy. Przez lata szukałem kogoś, kto mógłby cię zastąpić, aż w końcu stało się dla mnie jasne, że tego się nie da zrobić. Kilka osób znalazłem. Młodych mężczyzn, zagubionych, bez pomysłu na życie. Ja nadałem im życiu sens, który powinienem wpoić tobie. Dzięki mnie osiągnęli coś, o czym w przeciwnym razie nie mogliby nawet marzyć. Dałem im narzędzia. Musisz zrozumieć, jacy są ludzie tacy jak ja czy ty. Staramy się nasycić ten mrok w naszym wnętrzu, ale jednocześnie ratujemy te dusze. Pokazujemy im cud śmierci, ratujemy przed tragedią ich życia.

– Oni przez ciebie stali się mordercami. Steven Harris, Rhys Durham i nie wiedzieć ilu innych jeszcze.

– Steven nigdy się nie nadawał, nie to, co Rhys. On jako jedyny zdołał się zbliżyć do poziomu, który ty osiągniesz – powiedział, a na jego twarzy nagle zagościł mrok. – On osiągnął coś, do czego nie wydawał mi się być zdolny. Trochę czasu mu to zajęło, ale teraz poradzi już sobie sam. Może pisać własną legendę. A ty i ja będziemy mogli osiągnąć coś jeszcze większego.

– On nie żyje – powiedziała Louise, z lubością obserwując reakcję, którą wywołało jej kłamstwo. On nagle jakby stracił rezon, skulił się w sobie. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że go to zabolowało.

– Ostrzegłam ich. Że on pójdzie do Caroline i jej matki. Musieli go zabić, żeby ratować Caroline i Val Edwards.

– One miały umrzeć...

– Ale nie dzisiaj. Powstrzymałam go. Steven Harris żyje, ale równie dobrze mógłby nie żyć. Siedzi teraz w celi, wkrótce usłyszy zarzut podwójnego morderstwa. – Louise zrobiła mały krok naprzód. – Zgwałcił tę kobietę, wiedziałeś o tym? Włamał się do ich domu i zabił ich w ich własnych łóżkach. Zgwałcił ją, gdy jeszcze żyła. To ty ich tego nauczyłeś?

– Nie... Nic takiego nie miało się stać. Ja nigdy nie kazałem nic takiego robić.

– No to w takim razie pewnie nie jesteś tak dobrym nauczycielem, jak ci się wydawało. A nad innymi się kiedyś zastanawiałeś, *tato*? Czy twoi chłopcy zawsze wybierali ludzi, którzy potrzebowali ratunku, czy może czasem zabijali po prostu dlatego, że mieli ochotę? Że chcieli poczuć moc? Może z kobietami było tak, jak to zawsze jest, jak mężczyzna poczuje się mocny? Może oni im wszystkim to robili?

– Oni nie są tacy.

Louise nawet nie drgnęła. Mówiła teraz donioślejszym tonem, a jej głos odbijał się echem wśród drzew.

– Nie jestem taka, jak ty. Już wtedy o tym wiedziałeś. Przejrzałam cię. Zobaczyłam, co w tobie tkwi, i to cię przeraziło, prawda? Że mam w sobie większą moc, niż ty mógłbyś kiedykolwiek mieć. Choćbyś nie wiem ilu ludzi przywłókł do tego lasu i zabił, to z własną małą córeczką sobie nie poradziłeś. Z dziewczynką. To cię napawało przerażeniem. Truchlałeś na myśl o tym, że ciebie dopadnę w następnej kolejności.

Zrobiła krok w jego stronę, a on znów się skulił.

– Jesteś słaby – powiedziała, czerpiąc satysfakcję z tego, że on teraz nie potrafił się zdobyć na to, żeby na nią spojrzeć. Wydawał

jej się przez to mniejszy, jakby mniej istotny. – Nigdy nie miałeś nade mną takiej kontroli, jaką we własnym przekonaniu sprawowałeś nad nimi.

– On mnie nigdy nie kontrolował.

Louise szybko się odwróciła. Nowy głos dobiegający z ciemności za jej plecami przeraził ją do żywego. Gdy mrok przemówił, głos na chwilę uwiązał jej w gardle.

– Nie musiał. Ja tego chciałem.

Louise zmrużyła oczy, starając się skupić wzrok na drzewach za ogniskiem, bo to tam coś wyłaniało się z nocy.

– Ona jest z nami? – powiedział charkotliwy, niski głos. – Co mam z nim zrobić?

– Kto to jest? Kogo tam masz?

– Proszę, puść mnie... – powiedział mężczyzna usiłujący wyrwać się wychowankowi jej ojca. – Ja jestem tylko kamerzystą. Nikomu nie powiem, że tu jesteście, naprawdę.

– Daj go do pozostałych.

Louise spojrzała ponownie na ojca. Zmarszczyła czoło, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

– Pozostałych?

– Myślałaś, że jesteś tu sama? W lesie? Louise, przecież ty jesteś mądrą dziewczyną. Ten tutaj to jeden z moich wychowanków, jak to byś ty powiedziała. Ten facet, którego on trzyma... Ten może być twoim pierwszym.

Chłopak – bo gdy podszedł nieco bliżej, dla Louise stało się jasne, że miał co najwyżej dwadzieścia lat – cały czas wyłaniał się z cienia. Ona tymczasem cofnęła się, żeby dobrze widzieć obu mężczyzn. Wszedł w krąg światła roztaczający się wokół ogniska i wówczas zobaczyła również mężczyznę, którego prowadził na polanę. Dostrzegła błysk światła odbijającego się w ostrzu noża, który chłopak trzymał przyciśnięty to karku mężczyzny. Ten



w końcu zamilkł, jakby stracił wolę walki. Powoli odwrócił głowę w jej stronę, ale Louise nie zdołała dostrzec wyrazu na jego twarzy. Nie zmartwiło jej to. Nie chciała zobaczyć w jego oczach strachu. Nie chciała dostrzec obojętności, która świadczyłaby o pogodzeniu się z losem.

Nie mogła na to pozwolić.

– Puść go. – Jej krzyk rozbrzmiał echem pośród lasów, ale ojciec nawet nie drgnął. – On nie jest ważny. Masz mnie. On i tak nic z tym nie robi. Jest nikim.

– Wróciłaś tu, bo zrozumiałaś, że to jest twoje przeznaczenie.

– Puść go! Proszę.

Jej ojciec spojrzał na chłopaka, a potem ponownie na Louise. Liczyła na to, że dotrze do niego, że w tym momencie powinien jej posłuchać.

– Zabij go.

Jej ciało zareagowało, jeszcze zanim te słowa w ogóle padły. Spojrzała na młodego chłopaka, który właśnie przyjmował rozkaz. Zanim zdążyła się zorientować, jej nogi już kroczyły w jego kierunku. Czas zwolnił na sekundę czy dwie, a kontury otaczającego ją świata nagle się zamazały, ponieważ z całych sił pędziła właśnie w stronę mężczyzny. Mijała ognisko i już miała skręcać, gdy chłopak uniósł nóż w powietrze i się do niej uśmiechnął.

Ofiara podjęła walkę, ale z bliska Louise zauważyła od razu, że nie ma żadnych szans. Już przegrał, już brakowało mu woli. Twarz miał przekrwioną, a ręce łopotały bezładnie, nie wyrządzając trzymającemu go napastnikowi żadnej szkody.

Miała do pokonania jeszcze kilka kroków, gdy stało się dla niej jasne, że się spóźniła. Że to wszystko na nic.

„Dalej! Możesz mu pomóc!”

Louise tylko patrzyła, jak kolejny z Kościuchów zatapia nóż

w piersi mężczyzny.

## Rozdział 51

Louise zatrzymała się o kilka kroków od nich. Oddech miała przyspieszony. Nie potrafiła pojąć, na co właśnie patrzy. Wydawało jej się, że czuje zapach krwi wypływającej z ciała, które powoli osuwało się przed nimi na ziemię.

Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, że krzyczy. Gdy szła w kierunku mężczyzny, przemierzając jakby morze krwi, jej własny głos wydawał jej się dobiegać gdzieś z oddali.

– Nie... Nie.

Przewrócił się na bok, na *ten* bok. Na ten bok, w który został mu wbity nóż. Oczy miał zamknięte, oddech płytki, niemal niezauważalny. Louise przyglądała się jego klatce piersiowej, która lekko się unosiła i opadała, prawie nie słyszała zaś śmiechu rozbrzmiewającego jej nad głową. Uniosła głowę mężczyzny, licząc na to, że otworzy oczy. Te jednak pozostały zamknięte. Oddychał z coraz większym trudem, a na jego ustach pojawiła się kropla krwi. Louise dostrzegła ją w blasku ogniska.

Odkładała jego głowę powoli na ziemię w akompaniamencie nieustającego śmiechu. Gdy odzyskała kontakt ze światem, przetarła twarz rękawem. Coś w niej drgnęło, jakby gniew, jakby mrok. To coś wypełniło jej żyły i otuliło niczym druga skóra. Wstała powoli i wydała z siebie gardłowy dźwięk, który przez chwilę

wzbierał gdzieś w jej wnętrzu.

Chłopak lekko drgnął, a ona całkiem się wyprostowała i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Zabiłeś go.

– Ty jesteś następna – powiedział, a miejsce głupiego uśmiechu zajął całkowicie bezduszny wyraz twarzy. Szklisty wzrok utkwił teraz w punkt, w którym stała Louise. – Koniec zabawy.

Louise zacisnęła zęby i zwinęła dłonie w pięści. W końcu dopuściła do siebie gniew. Otworzyła tamy, a jej ciało po prostu reagowało na cały ten szal, który zawsze krył się gdzieś w środku i czekał na odpowiedni moment, aby się w końcu wydostać na wolność.

On uniósł w górę ostrze, a ona szybkim ruchem się do niego zbliżyła, niwelując cały dystans między nimi. Gdy on wykonał pchnięcie, usunęła się na bok, unikając w ten sposób pierwszego ciosu. Szybko się odwrócił. Ciało zwinnie pomknęło za ramieniem, które przecięło powietrze tam, gdzie ona jeszcze przed chwilą stała. Louise oddychała ciężko, całą sobą chłonąc otoczenie. Widziała każdy jego ruch. Patrzyła i czekała.

Znów ją zaatakował, jednak tym razem była gotowa. Gdy wycelował w nią nóż, usunęła się w lewo. Ostrze minęło jej ciało o milimetry, ale Louise świetnie wykorzystała okazję. Chwyciła go za nadgarstek i siłą cofnęła.

W jednej chwili uniosła jego ramię w górę i wycelowała w klatkę piersiową. Nóż powolnie wykonał jej polecenie.

Tylko że nie trafiła.

Nóż trafił w gardło, tuż pod podbródkiem. Chłopak zrobił krok w tył, ale podążyła za nim. Podcięła go i powaliła na ziemię.

Rzuciła się na niego, ciężarem własnego ciała przyciskając jego ramiona i wbijając nóż mocniej w jego gardło. Patrzył na nią ze zdumieniem, gdy krzyczała mu prosto w twarz, przy okazji

opluwając go. Dłoń miał ciągle jeszcze zaciśniętą na nożu, ale teraz próbował go już wyciągnąć ze swojego ciała.

– No i jakie to uczucie, co? Jakie to uczucie?

Louise cały czas używała przeciwko niemu masy własnego ciała, teraz jeszcze obiema dłońmi przytrzymując jego rękę na rękojeści. Cały czas krzyczała, plując na niego. Obserwowała, jak oczy otwierają mu się jeszcze szerzej i jak z każdą chwilą wierzga nogami z coraz mniejszą energią. Jego twarz zmieniła kolor, a potem w końcu przestał się ruszać.

Gdy zwolniła uścisk i poczuła, jak powoli opuszcza ją gniew, spojrzała na swoje dłonie w blasku ognia. Były białe.

Potem usłyszała zza pleców oklaski.

– Ależ jestem dumny – powiedział jej ojciec takim tonem, jak gdyby właśnie wygrała wyścig podczas dnia sportu albo przyniosła do domu obraz namalowany w szkole. – Wiedziałem, że masz to w sobie.

Louise nic nie powiedziała. Wyprostowała się i stanęła twarzą do niego.

– Tego właśnie chciałem. – Jego głos przedzierał się przez trzaski płonącego między nimi ogniska. – Teraz to w tobie widzę. To samo uczucie. Ten mrok. Wiedziałem, że to tam jest. Poczułaś to? Poczułaś tę moc? Ona tam zawsze była. Właśnie coś osiągnęłaś. Zmieniłaś się raz na zawsze. No i proszę, jesteśmy ty i ja. Koniec porażek. Tak bardzo chciałem znaleźć kogoś, kto by cię zastąpił, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Ty jesteś mną.

Zamilkł i wtedy zapadła między nimi cisza. Louise czuła, jak jej oddech przyspiesza i staje się coraz płytszy. Z walącym sercem spojrzała na człowieka, który leżał na ziemi. Bezwładny, nieruchomy.

Zamknęła oczy i z ciężkim sercem wciągnęła powietrze przez nos. Przypomniały jej się oczy tego młodego chłopaka w momencie, gdy

wbijała nóż głębiej w jego gardło. Ona sama poczuła w tym momencie wielki spokój.

Teraz już wiedziała, jak to jest kogoś zabić.

Odwróciła się, otworzyła oczy i spojrzała na ojca. Uśmiechał się, prezentując rzędy szerniałych i pozółkłych zębów, dobrze widocznych nawet w bladym świetle.

– Już czas, Louise. Jesteś gotowa.

Nic nie powiedziała, tylko do niego podeszła. On się nawet nie poruszył. Serce nagle zabiło jej mocniej, ponieważ sobie uświadomiła, że on przez cały czas na to wszystko patrzył. Beznamiętnie? A może go to kręciło? Dawało mu radość? W sumie jej to nie obchodziło.

– Za drzewami są jeszcze te dwie, Louise. Możemy zacząć już dzisiaj. Możesz zakończyć swoje dotychczasowe życie i zacząć od nowa. Ja cię nauczę. Nauczę cię, jak możesz uwolnić ten drzemiący w tobie gniew, tę twoją wściekłość. I jak to wykorzystać, żeby zrobić coś dobrego. To już ci nigdy więcej w niczym nie przeszkodzi.

Poczekala, aż te słowa wybrzmiały. Skupiała się na tym, żeby krok po kroku pokonać dystans wokół ogniska, który ją od niego dzielił. Znalazła się na dziesięć kroków od niego, ale szła dalej.

Dziewięć.

Osiem.

Siedem.

Sześć.

– Nigdy nie będę taka jak ty – gdy to mówiła, na jej twarzy zagościł nieprzyjemny uśmiech. – Ale zadbam o to, żebyś już nikogo więcej nie skrzywdził.

– Ja mam w tym dużą wprawę. Nie popełniaj tego samego błędu dwa razy.

– Jesteś zerem, jesteś żalosny. Zabiję cię z taką samą łatwością, z jaką zabiłam twojego ucznia. Sam patrzyłeś, jak umiera.

Louise przyglądała się reakcjom ojca, czując, jak zalewa ją fala przyjemności. Jak lekko zadrżał mu kark, gdy jej słowny cios okazał się trafny.

Sama ciosu nie zauważyła. Zdążyła tylko podświadomie zarejestrować ruch, a potem leżała na plecach i patrzyła w jasne niebo. Zastanawiała się, co się właściwie stało. Był zupełnie zaskoczona, zdezorientowana. Nie doceniła go. Znów. Usłyszała złowrogie warczenie i przestała cokolwiek widzieć, ponieważ on się na nią rzucił. Poczowała na piersi przygniatający ją ciężar, jego ręce znów chwyciły ją za gardło.

– Tym razem się nie uwolnisz – powiedział, a spośród zaciśniętych zębów trysnęła ślina.

Louise poczuła, jak piecze ją skóra, zupełnie jak gdyby właśnie została oblana trucizną. Wierzgnęła i chwyciła go za ramię, usiłując się uwolnić, on był jednak od niej silniejszy. Znacznie silniejszy. Teraz już wiedziała, jak poprzednio udało jej się uciec. On wtedy tak naprawdę nie chciał jej zabić.

Teraz chciał.

– Moglibyśmy coś razem osiągnąć, ty i ja. Myślałem, że jesteśmy tacy sami. A ty jesteś taka jak oni. Jak ci tam. Płynie w tobie moja krew i myślałem, że jesteś inna, ale ty jesteś taka jak oni. Dlaczego nie pozwalasz sobie przemówić do rozsądku?

Louise nie mogła oddychać. Czowała na gardle jego dłonie, a on nic sobie nie robił z tego, że próbuje wbijać mu paznokcie w ramiona. Udało mu się uniknąć ciosów, które usiłowała wymierzyć mu w głowę, w twarz – a gdy w końcu jej się udało, nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

To był on. To był Kościuch.

Próbowała się odwrócić i spod niego wykręcić, ale napierał na nią całym ciężarem swojego ciała i miała bardzo ograniczoną możliwość ruchu. Czowała, jak powoli traci przytomność, jak jej świat tonie

w mroku.

Ręka opadła jej na ziemię i nagle czegoś dotknęła.

– Przykro mi, że do tego doszło, naprawdę. Ale muszę zacząć od początku. Miałem nadzieję, że będziesz mogła do mnie dołączyć, ale teraz widzę, że to nie będzie możliwe.

Oplotła palcami przedmiot, który leżał obok niej na ziemi. Uniosła go i machnęła nadgarstkiem.

On się niczego nie spodziewał.

Policyjna pałka, która musiała jej wcześniej wypaść, nagle wylądowała z łoskotem na jego głowie. Gdy wymierzyła kolejny cios, dłonie na jej gardle nieco poluzowały chwyt.

Jeszcze raz.

Jeszcze raz.

Louise wydostała się spod niego i odczołgała się kawałek dalej. Potrzasnął głową i znów ją zaatakował. Pierwszego ciosu udało jej się uniknąć, a przy okazji uderzyć go w kolano. Krzyknął co prawda z bólu, ale ataku nie zaprzestał. Spojrzał w jej stronę i zaatakował z krzykiem na ustach.

Odsunęła się na bok i znów go uderzyła, tym razem w udo. Na chwilę stracił równowagę i w tym momencie ona już się nie zastanawiała.

Zanim zdążył znów zaatakować, uniosła pałkę i uderzyła go z całej siły w skroń.

Zachwiał się i wykonał prawie pełny obrót. Twarz mu się zapadła, a oczy się zeszkliły jak u ulicznego pijaczyny.

A potem przewrócił się twarzą w dół prosto w ognisko.

Louise ruszyła w jego stronę, z pałką uniesioną w górę, w każdej chwili gotowa do ataku. Było już jednak po wszystkim.

Leżał nieprzytomny, gdy ogień rozpoczął atak. Leżał tam przez sekundę. W kolejnej sekundzie płomienie zajęły jego ubranie. Włosy paliły się błyskawicznie.



Louise odliczała.

Straszliwy ból zadawany przez ogień przywrócił go do świadomości. Płomienie wżerały się w jego skórę, która czerwieniała, a potem czerniała. Noc wypełniła się jego wrzaskiem.

„Za późno”, pomyślała Louise. W ciągu tych kolejnych sekund czuła, jak wszystko z niej ulatuje. Ta nienawiść, ten gniew, ten strach. Wszystko się z niej wydostało, zrzuciła z ramion cały ciężar. Poczowała się lekko.

Patrzyła na płonącego człowieka.

POTEM

Kelner z uśmiechem postawił przed Caroline przyprawy. Ten uśmiech szybko jednak zniknął z jego twarzy, gdy spojrzał na jej twarz i ją rozpoznał. Spuściła wzrok i odłożyła ręce na kolana, ale i tak odwzajemniła uśmiech. Mimo że on już zdążył się odwrócić i odejść.

– To się często zdarza – powiedziała Caroline, wzruszając ramionami. – I tak nie miałby na co liczyć.

– Ludzie są dziwni – powiedziała Louise, lekko śmiejąc się sama do siebie. – Gdyby się zarejestrować na Tinderze, znalazłaby się pewnie cała masa dziwaków.

Caroline się zaśmiała, ale zupełnie nieszczerze. Louise wzięła do ręki solniczkę i zaczęła obracać ją w dłoniach.

– U pani mamy wszystko w porządku?

– Wszystko będzie dobrze – odparła Caroline, znów kładąc ręce na stoliku. – Więcej operacji już nie planują i to dobrze. Blizny jej się podobają. Mówi, że teraz będziemy miały takie same. Twierdzi, że to jej dodaje siły psychicznej. Powiedziałam jej, że są w takim miejscu, że nikt ich nigdy nie będzie oglądać, ale tylko mrugnęła do mnie okiem.

Louise się roześmiała, tak zupełnie autentycznie. Z ulgą przyjęła fakt, że Caroline również to zrobiła. Ta chwila trwała jednak

krótko, bo szybko sobie przypomniały, co je łączy.

– A pani jak się czuje?

– Chyba w porządku – powiedziała Louise, powoli kiwając głową.

– A pani?

– Nie wiem, co by się stało, gdyby on się nie pojawił. Nawet nie wiem, jak mam wam dziękować...

– To *on* uratował wam życie. – Louise przerwała jej w pół zdania i spojrzała jej prosto w oczy. – Mnie nie musi pani dziękować.

– Gdyby pani szybko nie skojarzyła faktów, on by nie wiedział, że w ogóle ma przyjechać.

Louise raz jeszcze skinęła głową, tym razem z większym przekonaniem. Przygryzła dolną wargę, czerpiąc przyjemność z tego lekkiego bólu. Nie mogła powiedzieć Caroline, że to ona powinna tam do niej przyjechać, a nie Shipley... Że by przyjechała, gdyby akurat nie była gdzie indziej.

– On jest bohaterem – powiedziała Caroline, łagodnie, ale z głębokim przekonaniem w głosie. – Tak samo jak pani.

Louise nic nie powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że to nie jest do końca prawda. Caroline nie wiedziała przecież, co się wydarzyło w tych lasach. Nikt tego nie wiedział. Policjantom, którzy przyjechali na miejsce krwawej jatki po Shipleyu, Caroline powiedziała wszystko, co wiedziała. O tym, jak to ona zadzwoniła do Louise i jak potem Shipley ich uratował. Nikogo nie dziwiło, że się jej przypisuje bohaterstwo. W innej części miasta rozegrały się tamtej nocy wydarzenia tak dramatyczne, że nikt specjalnie nie dociekał, ile jest prawdy w zeznaniach policjantki, która się po wszystkim wyłoniła z lasu.

Wszyscy się po prostu cieszyli, że przeżyła.

„Skąd wiedziałaś, dokąd iść?”

– Ilu ich tam pani znalazła?

Pytanie Caroline nieco zaskoczyło Louise, bo przecież wszystkie

media o tym trąbiły. Uznała jednak, że najwyraźniej Caroline nie ogląda telewizji, odgrodziła się od tego wszystkiego i postanowiła tych informacji do siebie nie dopuszczać.

– Trzy osoby nie żyją, dwie osoby zostały aresztowane i postawione w stan oskarżenia. Dwie uratowano w lesie Formby, czyli tam... gdzie ja byłam. Dwóch podejrzanych nie żyje. Do tego całe grono żywych podejrzanych, którzy się podają za prawdziwych Kościuchów. Wydaje nam się, że zrobił się z tego kult.

– Pani coś wiedziała, prawda?

Louise nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w solniczce. Jej twarz spłonęła rumieńcem. Zmieniła temat.

– Jak go pani znalazła?

– Dwadzieścia lat mi to zajęło, ale w końcu trafiłam na jednego, który chciał ze mną rozmawiać. Zauważył kogoś w lasach, a potem Rhys z nim rozmawiał o tym, co się może dzieć w ciemności. Niewiele jednak wiedziałam. Znałam tylko miejsce i tę nazwę, Kościuch. Nic więcej. Obserwowałam go przez wiele tygodni. Szukałam odpowiedzi.

– A udało się pani je znaleźć?

– Nie do końca. Jeszcze go nie znaleźli, ale sama przekopię cały ten las, jeśli będzie trzeba. Gdzieś tam musi być.

Louise skinęła głową z pełną świadomością, że prawda wyjdzie na jaw raczej prędzej niż później. Już natrafili na kolejne groby w Formby. Tu również ciała leżały zakopane w okręgu. Podejrzewali, że to były wcześniejsze ofiary. Teraz poszukiwaniami objęty został cały teren. W sumie znaleziono tam dwanaście ciał. Tyle śmierci... Nikt nawet nie podejrzewał, że ona się tam kryje.

Pomyślała o swoim ojcu, który szkolił tych wszystkich ludzi. Za sprawą którego ci wszyscy chłopcy stawali się tacy sami jak on. Próbował zapełnić pustkę. Znaleźć kogoś na miejsce, które jego zdaniem należało do kogoś innego. Dopatrywał się w nich tego, co

widział u siebie.

I u niej.

Woli zabijania. Gniewu i szału. Louise sądziła, że Matthew się temu sprzeciwił i że został zabity, ponieważ nie chciał stać się taki jak oni. „Te ciała w lesie to same porażki”, usłyszała w głowie głos ojca. Spodziewała się, że pełniejszej prawdy już nigdy nie pozna. Wszyscy oni mieli ją zastąpić. Louise nie bardzo wiedziała, jak miałyby o tym powiedzieć Caroline. Nie wiedziała, czy ona i jej matka kiedykolwiek będą o tym rozmawiać. Wiedziała za to, że na pewno w ich głowie pojawią się pytania, które na zawsze pozostaną bez odpowiedzi.

– Naprawdę sądziłam, że on nadal żyje – powiedziała Caroline, spoglądając w stronę wyjścia. – To mnie motywowało do działania. Nigdy nie dałam za wygraną.

Louise miała nigdy nie poznać całej historii. Nie miała się dowiedzieć, co się wydarzyło lata temu i dlaczego Caroline nie powiedziała detektywom prawdy, gdy przyszli do niej do szpitala. Przypuszczała, że mogłaby się wszystkiego domyślić, ale jakoś nie miała ochoty próbować.

Caroline chciała stać się kimś innym. To właśnie dlatego już dawno zerwała kontakty z matką i zmieniła nazwisko.

– Pani coś wiedziała – powtórzyła Caroline, czekając na odpowiedź.

Louise z jednej strony chciała jej wszystko wyjaśnić, ale z drugiej strony nie miała ochoty już o tym więcej rozmawiać – i ta druga opcja przeważała.

– W dzieciństwie nasłuchiłam się najróżniejszych historii. Sama zresztą też go szukałam, gdy jako nastolatka czułam się niezniszczalna. Raz mi się wydawało, że go widziałam. No a potem na trop naprowadziła nas matka Nathana Coldfielda. On się jakoś specjalnie nie ukrywał.

Kłamstwo bez trudu przeszło jej przez usta. Zastanawiała się, czy mężczyzna znaleziony w lesie – jej ojciec – zostanie ostatecznie zidentyfikowany. Dotychczas w policyjnych bazach danych nie było jego DNA. Nawet odcisków od niego nie pobierano, a teraz strawił je ogień. Nikt nigdy o nim nie słyszał.

Płomienie pozbawiły go wszelkich charakterystycznych cech. Został z niego tylko zmaltretowany, spalony szkielet.

Louise się wydawało, że teraz już rozumie, co się właściwie wydarzyło. Wydarzenia ostatnich dni miały ją skłonić do powrotu do przeszłości. Do domu, do niego. Miała w końcu stać się tym, kim jego zdaniem być powinna.

Taki był jego plan.

– No cóż... wydawało mu się, że nikt mu nic nie zrobi. Rhys... Jak mnie przetrzymywał w tym lesie, zachowywał się jak zwierzę.

– Pamięta pani teraz więcej?

– Jakieś obrazki, urywki. Nie kłamałam, kiedy mówiłam, że miał w sobie coś nieludzkiego. Takie odnosiłam wrażenie. Może się spodziewałam spotkać potwora i to mój umysł sprawił, że dojrzałam w nim to wszystko.

– A jak się pani udało uwolnić, tak naprawdę?

Caroline znów wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Z tamtej nocy pamiętam jedynie wycinki. Jedno tylko pani powiem. Wydaje mi się, że on tam nie był sam. Chyba się pojawiło kilku innych. Pamiętam, jak przez mgłę, jakąś twarz, która na mnie spogląda. Była ciemna, jak gdyby czymś zakryta. On miał długie włosy, jak Rhys, ale wydaje mi się, że był od niego mniejszy. Czy ktoś z aresztowanych pasuje do tego opisu?

Louise skinęła spokojnie głową, ale serce nagle zabiło jej mocniej. Odstawiła solniczkę na stolik, opuściła drżące ręce do boków.

Tamtej nocy był tam jej ojciec. To on uwolnił Caroline. Louise nie miała już teraz co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wiedziała, dlaczego to zrobił.

Dla niego to był pierwszy krok na drodze do odzyskania córki. Słusznie podejrzewała, że miał już dość tych wszystkich opcji zastępczych. Chciał czegoś autentycznego. Prawdziwego potwora, którego we własnym przekonaniu stworzył w momencie, gdy ona przysłała na świat. Chciał kogoś, kto byłby dokładnie taki jak on. Kto przejąłby od niego pochodnię śmierci.

– Mama myśli, że to był Matty – powiedziała Caroline, potrząsając głową. Zaraz potem uniosła dłoń w geście, który mówił: „No może”. – Sama nie wiem. Miło by było pomyśleć, że się o mnie zatroszczył, po tych wszystkich latach.

– Może pani w to wierzyć – powiedziała Louise, wyciągając rękę i dotykając Caroline. – Nie ma nic złego w tym, że się wierzy w anioła stróża, który nas próbuje uchronić przed głupstwami.

– Zapewniam panią, że się już więcej do tego lasu nie wybieram. Do żadnego lasu, pomiędzy żadne drzewa, nawet do parku. Sporo wody będzie musiało upłynąć...

Louise zachichotała i cofnęła dłoń. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ta kobieta będzie w stanie prowadzić odtąd w miarę normalne życie. Że pamięć o tych wydarzeniach przygaśnie, bo tak to przecież zwykle bywa ze wspomnieniami. Za jakiś czas te wydarzenia przestaną jej się wydawać prawdziwe.

Liczyła na to, że tak się właśnie stanie.

– Czyli naprawdę wyjeżdżasz?

Louise spojrzała przez stół na Shipleya, który świdrował ją wzrokiem. Caroline wyszła po godzinie, wkrótce potem on zajął jej miejsce.

– Na razie tak. Muszę od tego na chwilę uciec.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz rozumieć – odparła Louise, kładąc swoją dłoń na



jego dłoni. – Po prostu muszę coś załatwić.

– Będę na ciebie czekać. Jak wrócisz...

Louise się uśmiechnęła. Nie wierzyła mu. Wiedziała, że będzie zmierzać naprzód i zostawi za sobą to spokojne życie, które dotychczas razem prowadzili.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać po tym, jak...

Louise uniosła rękę i potrząsnęła głową.

– Nie było takiej potrzeby. Oboje doskonale wiemy, o co w tym chodziło. Dwoje ludzi, którzy żyli pod presją i potrzebowali się od niej na chwilę uwolnić.

Ciągle jeszcze pamiętała to uczucie, gdy ich usta spotkały się ze sobą w samochodzie. Pamiętała to pożądanie i ten głód, który wtedy poczuła. Wiedziała, że on odwzajemnia te uczucia. Pomyślała, że mogłoby być z tego coś więcej. Nie była tylko pewna, czy mogliby być ze sobą naprawdę szczęśliwi. Normalnie. Może to było coś, z czym się musiała pogodzić. Że normalność to nie dla niej.

O tylu rzeczach nie mogłaby mu powiedzieć.

O tylu rzeczach nikomu nie mogła powiedzieć.

– Dla mnie to było coś więcej – powiedział Shipley, a potem na chwilę zamilkł. Miał świadomość, że ona już podjęła decyzję, postanowił więc chronić samego siebie. – Będziemy w kontakcie?

– Oczywiście – powiedziała Louise, a potem uniosła dłoń. Oboje wstali, a ona pozwoliła mu objąć się ramieniem.

– Do zobaczenia wkrótce.

Louise wyszła. Na zewnątrz powitało ją zimowe słońce. Wsiadła do samochodu i jeszcze przez chwilę siedziała z rękami na kierownicy, powoli oddychając. Już nie czuła żadnego ciężaru. Nic już jej nie dręczyło. Nie spodziewała się, żeby miała się kiedykolwiek uwolnić od poczucia winy, ale z tym akurat potrafiła żyć.

Być może gniew i nienawiść też w niej pozostaną. Być może będą

jej towarzyszyć jak mrok, nad którym nie zawsze ma kontrolę. Teraz jednak po raz pierwszy poczuła, że ma też szansę na światło. Że może się nauczyć akceptować swoją przeszłość i żyć dalej.

Blizny pozostaną, ale może to i dobrze. Ona pewnie powinna pamiętać o wszystkim tym, przez co przeszła.

To był inny rodzaj normalności.

Wsunęła kluczyki do stacyjki i włączyła silnik. Gdy na chwilę spojrzała w prawo, zobaczyła, że Shipley biegnie w jej stronę.

Zatrzymał się przy samochodzie. Guzikiem opuściła szybę.

– Muszę wiedzieć – powiedział, lekko zdyszany, opierając dłoń na dachu samochodu. – Co się wydarzyło w tym lesie?

Louise spojrzała przed siebie na drogę, a potem znów na niego.

– Ta historia się skończyła, Paul.

Potem powoli odjechała.

Zmierzała na południe, zostawiając za sobą lasy tego miasta.

**MATTHEW**

Nadal pamiętał ten tunel. Ukryty w głębi lasu. Miękka ziemia pod stopami, odgłosy dobiegające z ciemności.

Echo.

Wściekłość.

Zapach śmierci.

Pamiętał, że jego siostra weszła pierwsza, a on się temu przyglądał. Dobiegł go jej ledwo słyszalny głos. Nie widział, co się tam w środku kryje. Miał się tego dowiedzieć dopiero za chwilę. W tym momencie mu się wydawało, że po prostu się czegoś przestraszyła i dlatego krzyknęła.

A zaraz potem spotkał jego.

Kościucha.

Matthew Edwards szedł przez las, wsłuchując się w odgłosy liści szeleszczących pod jego stopami. Wiatr tańczący pośród gałęzi od czasu do czasu podrywał niektóre z nich w powietrze.

To był teraz jego dom.

Z początku z tym walczył. Próbował wyrwać się z tych silnych ramion, które uniosły go nad ziemię i wyciągnęły z tunelu. Smród potwora wdierał mu się do nosa i przesycił skórę. Poczł coś na ustach. Wtedy jeszcze nie wiedział, czy to była łapa, czy dłoń.

Nie wiedział, że on go obserwował już od dawna.

Kościuch go unieruchomił, przyciskając go własnym ciałem. Tylko wzrokiem mógł wzywać pomocy siostry i dwójki pozostałych dzieciaków wychodzących z tunelu. Potem sam znalazł się w środku. Spod brudnej ręki zdołał się wymknąć tylko jeden okrzyk.

A potem zaczęły się słowa. Opowieści.

Jego życie.

Kościuch pomógł mu poznać jego prawdziwe oblicze. To, które przed innymi starał się ukryć. No i te jego uczucia, a właściwie ich brak. Ten gniew, który tłumił w sobie i nad którym nie potrafił zapanować.

Swoją pierwszą ofiarę zabił rok później. Miał wtedy piętnaście lat, ale czas przestał mieć dla niego znaczenie.

Pamiętał tunel.

Pamiętał, jakie to było uczucie: dotykać palcami ludzkiego ciała, które się skrawa nożem.

Dawniej nazywał się Matthew. To imię nadano mu bez jego zgody.

On był Kościuchem.

Mimo wszystko pozostało w nim jednak coś z Matthew. Z Matty'ego, bo tak do niego mówiła siostra. Zastanawiał się, co oni teraz robią, ta jego stara rodzina. Czy nadal go szukają? Czy liczą na to, że wróci?

Oni nigdy nie wracali.

Rhys zawiódł. Żałował, że one żyją, bo gdyby nie żyły, to by nie musiał o nich więcej myśleć.

Lasy były mroczne i gęste. Pnie drzew wzbijające się w niebo jeden obok drugiego zapewniały im schronienie. Lasy zajmowały setki akrów, ciągle jeszcze nie zdołał poznać ich wszystkich. Nigdy wcześniej nie pracował na tak dużym obszarze.

Wyjął nóż z pochwy przytroczonej do biodra i zaczął wycinać

symbole w pniu drzewa. Odsłonił drewno ukryte pod korą i wykonał nacięcie.

To był nowy teren, ale on wiedział, że bardzo szybko pozna go jak własną kieszeń.

Wkrótce ludzie będą mówić o potworze, który się w tych lasach ukrywa.

Kościuch znów ożyje.

On właśnie zaczyna pisać nową historię.

## Podziękowania

Ta książka, jak zwykle zresztą, nie trafiłaby do czytelników, gdyby nie wysiłek wielu ludzi. Niniejszym chciałbym więc serdecznie podziękować wszystkim, których zdołam na tych stronach wymienić.

Najpierw moja Rada: Eva, Nick i Hay. To dzięki Wam udaje mi się przebrnąć przez lepsze i gorsze dni, niezmiennie tworząc to nasze dzieło!

Mój partner od podcasta: Steve Cavanagh. Dziękuję Ci serdecznie za ten niesamowity pomysł na niedzielne wieczory, który upływają nam na wielogodzinnych rozważaniach o różnych bzdurach. Nic mnie tak nie bawi, jak te nasze głupkowate śmiechy. „Dobra, Steve, to jak ci minął tydzień?”

Mój agent: Phil Patterson. Dziękuję Ci, że zawsze słuchasz moich wynurzeń. Myślę, że po pięciu latach rozumiesz już mniej więcej 40 procent tego, co do Ciebie mówię z tym moim akcentem. Pragnę również podziękować dwojgu innych agentów, Sandrze Sawickiej i Luke'owi Speedowi, za ich pracę nad prawami do wydań książki za granicą oraz prawami do ekranizacji filmowych i telewizyjnych.

Moja redaktorka: Jo Dickinson, dzięki której ta książka jest mniej więcej o 156 procent lepsza. Jo ma w sobie niezachwiany spokój, co się bardzo przydaje, gdy nie docierają do mnie najprostsze rzeczy.

Jest po prostu niesamowita. Dzięki niej każdego dnia staję się lepszym pisarzem.

Zespół z wydawnictwa Simon & Schuster: Emma Capron, która zapewniła nam świetne wsparcie redakcyjne; Jack Smyth, który stworzył fantastyczną okładkę i nadał mojej książce zupełnie nowy wizerunek (ten człowiek to absolutny geniusz!); Jess Barratt, najlepszy wydawca na świecie – niewielu znam ludzi tak zaangażowanych w swoją pracę jak ona. Jest naprawdę niezwykła.

Sarah Hughes z Watersones Liverpool One zasługuje na słowa uznania, ponieważ jest ogólnie fantastyczna, a do tego mogę ją zaliczyć do grona moich najlepszych przyjaciół. Dzięki za pomoc w eksploracji liverpoolskich parków.

Jestem bezgranicznie wdzięczny wszystkim recenzentom, którzy przeczytali już moją książkę i wyrazili dla niej uznanie na blogach lub w druku.

Liz Barnsley i Kate Moloney pragnę podziękować za lekturę wstępnych wersji tekstu i wszystkie krytyczne uwagi. Dziękuję też bardzo za słowa zachęty.

Craig Sisterson wygrał aukcję charytatywną dotyczącą nazwiska użytego w książce. Mam nadzieję, że podoba mu się postać, którą postanowił nazwać na cześć swojego ojca. Peterowi chciałbym powiedzieć, że ma rewelacyjnego syna!

Mojej rodzinie chcę podziękować za nieustające wsparcie.

Na koniec zostają Emma, Abigail i Megan, które są całym moim światem. Robię to wszystko dla Was trzech. Kocham Was!



# Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[\\* \\* \\*](#)

[WCZEŚNIEJ](#)

[TERAZ](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

WCZEŚNIEJ

TERAZ

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

WCZEŚNIEJ

TERAZ

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

[WCZEŚNIEJ](#)

[TERAZ](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[POTEM](#)

[MATTHEW](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *The Bone Keeper*

Copyright © Luca Veste 2018  
The moral right of the author has been asserted  
Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: © Martin Benner/plainpicture

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Nazwiska, postaci, miejsca oraz zdarzenia stanowią wytwór wyobraźni autora albo zostały opisane w sposób fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do konkretnych osób, żyjących obecnie lub zmarłych, a także do prawdziwych wydarzeń lub miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-484-3

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl  
Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

„Mroczny, genialny thriller”.  
Mark Billingham

„Połączenie Candymana  
i Milczenia owiec”  
Eva Dolan

# ZŁODZIEJ KOŚCI

LUCA  
VESTE

FILIA